

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



CLAUDE FARRÉE

**KORSARZ
Z
SAINT-MALO**

Powieść

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KSIĘGA PIERWSZA

GNIAZDO ORLÓW

I

W południe, gdy zabrzmiał dzwon na Anioł Pański, daleko na morzu rozległ się huk działa, a straż wieży Notre-Dame sygnalizowały, że z północnego zachodu zbliża się do redy korsarska fregata. Nie było w tym wydarzeniu nic nadzwyczajnego. Mieszkańcy Saint-Malo często mieli okazję oglądać powracające z wojennych potyczek okręty. Zanim fregata minęła forty Collifichet i Eperon, na nabrzeżu zebrał się tłum. W większości była to zbieranina próżniaków, których najmilszym zajęciem było gapienie się z założonymi rękami, bez trudu i ryzyka, lecz znajdowali się tam również marynarze, zawsze gotowi wyrazić swą rzeczową opinię na temat manewrów kolegi po fachu, a także bogaci mieszczenie, armatorzy i dostawcy, honorowi mieszkańcy dumnego miasta, ryzykujący na morzu swoją fortunę i los. Najruchliwszą i najgłośniejszą część tłumy stanowiły jednak rodziny marynarzy, ich kobiety: matki, siostry, żony i narzeczone oraz dzieci, o bladych policzkach i niespokojnych oczach. Wśród tych ostatnich właśnie podniósł się namiętny i pełen niecierpliwości krzyk, gdy wielka reja fregaty, niczym długa kolubryna, wyłoniła się spoza Eperonu, łącząc się z działami, których spizowane lufy jeżyły flank granitowego bastionu. W chwilę później ukazał się biały żagiel i fregata wyszła z przesmyku.

Wówczas jeden z grupy bogatych mieszczan zwrócił się do swego sąsiada, grubego armatora w prostym szarym ubraniu, o rumianej twarzy pod okrągłą peruką:

– Panie Gravé, czy mnie wzrok nie myli?! To chyba pańska „Wielka Tyfena”!

Julian Gravé” wytracony nagle ze stanu błogiej obojętności, pochylił się, zmarszczył czoło, mrużąc i tak już bardzo małe oczy.

– Pan raczy żartować, Danycan. Moja „Wielka Tyfena” ma o jakieś dwadzieścia stóp wyższe maszty od tych, do których cieśla najwyraźniej przyciął zbyt krótkie drzewa.

Lecz Danycan, wysoki, tęgi, o wyniosłym spojrzeniu mężczyzna, którego szpada unosiła pięknie obszytą galonem połę z delikatnego sukna, w pludrach według ostatniej mody, uśmiechnął się tylko i rzucił:

– Przyjrzyj się pan temu okrętowi uważnie! To na pewno kule Ruytera¹ tak go urządziły.

Był rok 1672. Groźne eskadry holenderskich okrętów walczyły na Morzu Północnym, w kanale La Manche, na Atlantyku i nawet na Morzu Śródziemnym. Wprawdzie król Ludwik XIV wygrał bitwę w Niderlandach, we Flandrii i także za Renem, a zwyciężona, spustoszona, zalana wodą Republika Zjednoczonych Prowincji Niderlandów na lądzie była pozbawiona znaczenia, jednak na morzach stanowiła nadal siłę, której nie można się było skutecznie przeciwstawić. I jakkolwiek pan Colbert, jak mówiono, pracował dzień i noc, aby dać królestwu flotę, nie osiągnął dotychczas niczego. Dlatego w tym czasie rzemiosło korsarskie było zawodem jak nigdy niebezpiecznym, i często drożej kosztowało złupić towar na nieprzyjacielskim okręcie, niż spokojnie kupić to samo na rynku.

¹ M.A.Ruyter, admirał holenderski, odnoszący na morzu wiele zwycięstw w wojnach Holandii z Anglią i Francją. Śmiertelnie ranny w bitwie pod Agostą w 1676 r. (przyp. red.).

Zaniepokojony armator Julian Gravé, uważnie badał wzrokiem fregatę, która właśnie okrążyła Ravelin².

– To mój okręt – jęknął nagle. – Na Boga! W jakim on jest stanie?!

„Wielka Tyfena” okrążyła Ravelin i kierowała się na Dobre Morze³ odsłaniając w całej okazałości swoją lewą burtę. Wśród zebranych na nabrzeżu przebiegł szmer zgrozy. Porozdzierana, porąbana, pocięta burta ta przypominała raczej koronkę, przez której otwory fale z łatwością mogły się wedrzeć do wnętrza, stwarzając ogromne niebezpieczeństwo dla ładunku, a nawet i samej fregaty.

– Niech zaraza wydusi te holenderskie szczury – syknął pobladły armator zaciskając pięści.

Nie ulegało wątpliwości, że fregata musiała znaleźć się w nie lada opałach i było mało prawdopodobne, aby cieśle kiedykolwiek zdołali doprowadzić ją do porządku. Z jakiej strony by się na nią nie spojrzano, wszędzie znaleźć można było wielkie dziury od kul i kartaczy – i zaiste wspaniała była ta walka, z której fregata wyszła zwycięsko. Na jej masztach powiewały flagi korsarzy z Saint-Malo – niebieskie z białym krzyżem i biegnącą srebrną łasicą na szkarłatnym polu. Największa z nich, wywieszana podczas bitwy, nie uniknęła brutalnej pieszczoty ognia i kul nieprzyjaciela, które uczyniły z niej koronkę niczym kunsztowny wyrób z Alençon.

Na fregacie, kiedy już minęła Stare Nabrzeże, rozpoczęto przygotowywać się do kotwiczienia i powoli zwijano żagle. Do zgromadzonego na nabrzeżu tłumu dobiegł donośny głos kapitana, a po chwili można było ujrzeć jego sylwetkę na pokładzie kasztelu rufowego.

– Tomasz Trublet?!... – podawano sobie z ust do ust z niemalym zdziwieniem.

Naraz Julian Gravé, rozepchnął brutalnie ludzi, torując sobie drogę. Nic nie rozumiał. W spisie załogi, który jako armator podpisał kilka tygodni temu, Trublet nie figurował jako kapitan ani nawet jako porucznik...

Tymczasem na nabrzeżu zapanowała napięta cisza. Na „Wielkiej Tyfenie” zwinięto marsle, grot- i fokżagiel, a po chwili rzucono kotwicę. Wówczas w ciszę tę wdarł się pierwszy żaloszny płacz.

– Panowie – zwrócił się armator do otaczających go notabli – czy zechcecie towarzyszyć mi jako świadkowie? Muszę powitać kapitana, a następnie wobec oficera Admiralicji złożyć raport z wypadków, jakie miały miejsce.

Przez furtę przy Croix du Fief i ulice Beurrerie, Orbettes skierowali się do Wielkiej Bramy, podczas gdy rozpetane teraz na nabrzeżu krzyki i lamenty nie po raz pierwszy ogłaszały całemu miastu żalobę po stracie korsarzy z Saint-Malo.

II

Na piaszczystym wybrzeżu na północ od Ravelinu zatrzymała się szalupa z dwoma wioślarzami. Tomasz Trublet zręcznie zeskoczył na ląd i skierował się w stronę miasta. Tuż przed wejściem pod sklepienie Wielkiej Bramy zatrzymał się, wznosząc oczy do góry. Ponad jej łukiem od strony morza rozciągała swoje spiżowe ramiona postać Chrystusa. Tomasz zdjął kapelusz, uklonił się nisko, po czym przestąpił próg miasta. Na stopniach wiodących do sali zgromadzeń oczekiwał go Julian Gravé w otoczeniu innych armatorów. Panowie, wśród których znajdował się również Danycan, przyglądali się marynarzowi z zainteresowaniem. Jego szeroką, teraz pobladłą twarz przecinała od ucha do środka czoła jeszcze świeża blizna, rękę pokrywały bandaże. Te widome oznaki przeżytych ciężkich walk dodawały majestatu jego z

² Duży bastion, dziś już nie istniejący, który osłaniał Wielką Bramę od ataków morza (przyp. aut.).

³ Dobre Morze (*La Mer Bonne*) stanowiło właściwy port Saint-Malo (przyp. aut.).

natury wielkiej i tęgiej postaci. I jakkolwiek Tomasz Trublet był bardzo niskiego pochodzenia i miał jedynie tytuł bosmana najędźniejszej fregaty – Julian Gravé, bogaty właściciel dwudziestu innych potężniejszych statków odkrył głowę, aby go przywitać.

– Tomasz Trublet, niech nas Bóg ma w swojej opiece! Oto wracasz dzięki Opatrzności... – zaczął zgodnie ze zwyczajem, od którego nikt nie śmiałyby odstępować. – Lecz wyjaśnij łaskawie, co się właściwie zdarzyło?! – zakończył nie kryjąc zniecierpliwienia i wsparł pięść na biodrze.

Pióra jego pilśniowego kapelusza dotykały ziemi, podczas gdy Tomasz kołysał w potężnej dłoni okrycie głowy, którego całą ozdobę stanowiły dwie długie wstążki marynarskie. Przez chwilę panowało milczenie.

– Nic szczególnego, panie... – wydusił wreszcie Tomasz i przełknął ślinę. Wymowa była widocznie słabą stroną marynarza nawykłego raczej do czynu. – Nic szczególnego... – powtórzył, głęboko wciągnął w płuca powietrze i nagle wyrzucił: – Nic szczególnego poza tym, że natknęliśmy się na podłego psa holenderskiego, że zakatrupiliśmy go jak należy... i że kapitan Wilhelm Morvan, porucznik Ives le Goffic oraz siedemnastu z załogi zginęło... Oto wszystko.

Trzymany w ręce skórzany kapelusz z długimi wstążkami, wykonawszy dwa pokłony – dla każdego z wygłoszonych nazwisk – powrócił na rozczochrane, kędzierzawe rude włosy Tomasza Trubleta. Teraz kiedy już uczył pamięć zmarłych, Tomasz nie widział powodu, aby się kłaniać żywym.

– Opowiadaj! – rozkazał armator. – Co to był za holender?

– Podły pies, panie! Wilhelm Morvan dał się przekonać, że to statek kupiecki, ponieważ jego działa ukryte były podstępnie pod płótnem żaglowym. Po czym kiedy zbliżyliśmy się do nich na jakie dwa strzały z muszkietu, ściągnęli liną płótno i dali salwę.

– No, a wtedy?

– Wtedy o mało co nie nastąpiła katastrofa, bo nasze działa nie były nabite, z wyjątkiem dwóch armatek pościgowych. Poza tym holender był wyposażony w dwadzieścia cztery osiemnastofuntowe działa przeciwko naszym ośmiu, pozostałym z dwunastu.

– Mów dalej – zachęcił armator.

– Doznaliśmy wielu uszkodzeń w takielunku i pod pokładem. Biegałem w szalonym śpiechu do dział, aby je nabijać i odpalać. W pewnej chwili holender dał w naszym kierunku dwie salwy tak celnie, że z wielu naszych żagli pozostały strzępy, a marynarze zaczęli w panice uciekać pod pokład, aby tam szukać schronienia. A jeden łotr... nazwiska nie wymienię, aby nie sprowadzać hańby na jego rodzinę, która jest z Saint-Malo... otóż ten łotr chciał poddać nasz okręt i w zamęcie schwycił linkę bandery, aby ją ściągnąć. Podbiegłem i stanowczo mu to wyperswadowałem – kulą prosto w łeb...

– Słusznie. A potem?

– Przyszła na mnie kolej objąć komendę. Wilhelm Morvan i Ives le Goffic padli. Holender nie przestawał prażyć ogniem prosto w nasz kadłub, co mógł czynić z łatwością, mając podwójną liczbę dział. To nie potrwałoby już długo... Podszedłem więc do niego, manewrując tylko sterem, gdyż pozostałem na pokładzie sam, i ustawiłem się burta w burcie. Wówczas nie omieszkałem wywołać załogi na pokład...

– W jaki sposób? – przerwał Julian Gravé.

– Granatami, do wszystkich diabłów! Rzuciłem je pod pokład! – zaspokoił ciekawość armatora Tomasz. – No, a wtedy chłopcom zrobiło się na dole gorąco, wybiegli tak wściekli, że nie było problemu przeprowadzić ich na nieprzyjacielską fregatę... Bombardierzy holendra okazali się mało sprytni i nadal tkwili przy swoich działach, tak że do walki służyły im tylko wyciory armatnie. Szybko zrobiliśmy z nimi koniec – dodał z satysfakcją.

– Gdzie jest zdobyta fregata?

– Zatopiona, panie. Za mało było marynarzy, aby ją brać na hol. Mieliśmy siedemnastu zabitych i czterdziestu pięciu rannych, z czego połowa doznała bardzo ciężkich okaleczeń. Zresztą zdobycz nie była wiele warta.

– Wzięliście jeńców? – zapytał jeszcze armator.

– Nie, panie. To było niemożliwe... Chłopcy wstydzili się swego poprzedniego strachu... nie było więc sposobu utrzymać przy życiu ludzi, którzy byli świadkami tego, że marynarze z Saint-Malo uciekli pod pokład przed nieprzyjacielem. Co do mnie, to kiedy holendra już zatopiliśmy, nie patrzyłem na jego załogę, zdaje się, że zbili niewielką tratwę... A zresztą oni dobrze pływają, te szczury holenderskie – zakończył Tomasz i wybuchnął śmiechem tak zaraźliwym, że otaczający go armatorzy również zaczęli się śmiać. Jedyne Julian Gravé zachował poważny wyraz twarzy, dla formy oczywiście.

W ten sposób problem jeńców został rozstrzygnięty raz na zawsze i kiedy już zapanowała cisza, Julian Gravé odezwał się znowu:

– Spisałeś się dzielnie. Teraz pójdziemy złożyć raport w Admiralicji. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo, trzeba przecież jak najszybciej godnie uczcić naszych zwycięskich chłopców. Później chciałbym z tobą pogadać.

Ruszyli gromadą i minąwszy wysokie sklepienie między dwiema wieżami weszli na bruk uliczny. Wtedy Tomasz Trublet zatrzymał się i skierował spojrzenie w stronę Wielkiej Bramy. Na wzór postaci Chrystusa ze spiżu zwieńczającej jej sklepienie od strony portu – postać Najświętszej Panny z granitu wznosiła się ponad sklepieniem twarzą do miasta. I Tomasz głęboko wierzył, że ta Najświętsza Panna Wielkiej Bramy, zwana również Matką Boską Nieustającej Pomocy, dokonała więcej cudów koniuszkiem małego palca, niż dokonali lub dokonają ich wszyscy święci głośnych miejsc cudownych ze wszystkimi swoimi najświetniejszymi relikwiami...

III

Wąska i kręta ulica Garbarska tonęła w mroku, minęła dziesiąta i dzwon Noguette na wieży Wielkiej Bramy dawno już oznajmił czas gaszenia świateł. Nie wszyscy mieszkańcy Saint-Malo przejmowali się tym, wielu włączyło się po nocach, lekceważąc prawa i zakazy co raz to ogłaszane przez biskupa i garnizon miejski. Najwięcej szynków skupiało się wokół Wielkiej Bramy, stamtąd też przez całą długość zacisznej ulicy, przy której stał dom Trubletów, docierały doń niekiedy odgłosy bijatyki i wrzawa.

Tej nocy w domu przy ulicy Garbarskiej nie zgasło światło o wyznaczonej godzinie. W nisko sklepionej izbie tańczyły odbłaski płomieni czterech świec żelaznego kandelabra, oświetlając ją od białej podłogi po brunatne belkowania sufitu. Pod okapem pieca trzaskały w ogniu oczyszczone z popiołu polana i rozpryskiwały się snopy iskier. Białe firanki na składającym się z wielu szyb oknie, dwie szafy i kufer z rzeźbionego drewna świadczyły o zamożności mieszkańców tego domu. Na dębowym stole stał gąsiorek ze świeżo ściągającym antylnym winem i puchary.

Siedzieli przy nim dwaj mężczyźni, jednym z nich był Malo Trublet, stary rybak, głowa rodziny, drugim – jego syn Tomasz. Dwie kobiety, matka i córka, zajęte były niewiściami czynnościami – Perryna szyła, Wilhelmina przędła – lecz nie przeszkadzało im to uważnie wsłuchiwać się w relację młodego marynarza. Kukułka na drewnianym cyferblacie zegara dawno już wyśpiewała godzinę dziesiątą, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Nie była to pora składania ani przyjmowania wizyt, więc Malo Trublet zawahał się kilka sekund. Zanim podszedł do drzwi, aby otworzyć zakratowane okienko, spokojnie zdjął wiszącą na ścianie ciężką rusznicę i zapalił jej lont.

– Kto tam? – zapytał przygotowany na najgorsze.

– Wasz sąsiad z ulicy Vicairerie – usłyszał spokojny głos.

Zdziwiony Malo Trublet odłożył rusznicę.

– Otwórz! – powiedział do Tomasza, który patrzył na niego pytająco.

W drzwiach zarysowała się sylwetka wysokiego, tęgiego mężczyzny, którego dłoń spoczywała na rękojeści wielkiej szpady.

– Pan Danycan?! – wykrzyknął zdumiony Tomasz.

Gaultier Danycan, pan Closdore, młodszy brat pana de l’Espine, z pewnością nie był najbogatszym z armatorów w Saint-Malo, lecz żaden z nich nie dorównywał mu w sprycie, odwadze i szczęśliwych przedsięwzięciach. Kiedyś pędził beztroskie życie darmozjada na koszt swego starszego brata, lecz w końcu znudziło mu się to i, wykorzystawszy sprzyjający moment, w porę zaryzykował na morzu całą swoją skromną schedę. Później podwajał stawki. A że korsarstwo następowało nieuchronnie po handlu jak wojna po pokoju, i każde przedsięwzięcie dorzucało coś do kiesy awanturczego kawalera, Gaultier Danycan, choć jeszcze młody, zaczął się zaliczać do najznacześniejszych mieszczan Saint-Malo. Spodziewano się, że fortuna jego wkrótce zaćmi najślawniejsze w mieście, a może nawet w całej prowincji.

Wszedł do izby uśmiechając się szeroko i wkrótce zręcznymi komplementami i dowcipami rozweselił cały dom, teraz pił ze swego pucharu, zachwycając się doskonałością sławnego wina, zrabowanego niegdyś na galeonie hiszpańskiego króla. Wszyscy czekali, aby objawił cel swojej wizyty, wiadomo było przecież, że taki jak on człowiek nie będzie niepokoił siebie i innych po nocy jedynie dla wypicia antylskiego wina i opowiadania dykteryjek. Danycan zresztą mówił tylko to, co wypada, aby okazać się dworskim. Kiedy więc już dopełnił ceremoniału, przystąpił do rzeczy.

– Pragnąłbym, abyśmy wszyscy zachowali dla siebie to, o czym chcę tu powiedzieć. – Odpiął pas i położył szpadę na stole najwyraźniej przysposabiając się do dłuższej pogawędki. Potem oparł się łokciami o blat stołu i zwrócił się do Tomasza, patrząc mu badawczo w oczy: – Opowiedz mi szczerze i bez wykrętów przebieg dzisiejszej rozmowy z Julianem Gravém. Co ci twój armator zaproponował?

Danycan nie spuszczał oczu z marynarza. Zaiste, trudno byłoby kłamać pod kontrolą tych przenikliwych źrenic, które zdawały się docierać do najbardziej sekretnych myśli rozmówcy. Lecz Tomasz Trublet wcale nie zamierzał tego czynić. Cały jego gniew, z trudem stłumiony przed godziną, znowu nappełnił mu serce i ścisnął go za gardło, tak że nie mógł wymówić ani słowa, tylko poręcze fotela zatrzęszczały w jego kurczowo zaciśniętych dłoniach. Danycan obojętnie obserwował jego furię.

– Uspokój się – rzekł po chwili. – Powiem otwarcie: widziałem się z panem Gravém po waszej rozmowie. Tomasz spojrzał pytająco spod ściągniętych brwi.

– No cóż. Zakpił z ciebie twój armator... a raczej usiłował zakpić, prawda? Powiedz mi tylko, czy podpisałeś już kontrakt?

– Nie – wybełkotał Tomasz.

– Znakomicie! Jesteś więc wolny – ucieszył się Danycan. – A który okręt chce Gravé uzbroić na miejsce „Wielkiej Tyfeny”?

– „Zalotnicę”.

– To był najstarszy z jego okrętów już przynajmniej piętnaście lat temu. Mój dziadek był świadkiem, jak go spuszczano na wodę... Dwanaście godzin dziennie będziesz spędzał na nim przy pompach, a przez resztę dnia modlił się do swego patrona, aby cię strzegł od sztormu.

Tomasz przyznał w duchu rację Danycanowi, a ten kontynuował:

– W dodatku, chłopcze, ten kapeć nie dostanie się pod twoją komendę. Na tej całkiem zmurszałej „Zalotnicy” będziesz tylko porucznikiem, niczym więcej. Porucznikiem z prawem do ośmiu części⁴. Czy wiesz, kto zostanie kapitanem?

Tomasz nie odpowiadał.

– Stary Quintin, który przez całe swoje życie nie mógł nigdy wyjść z Dobrego Morza, ażeby nie zaczepić po drodze o wszystkie statki stojące na kotwicy od Ravelinu do Talards!... Tego człowieka będziesz musiał słuchać ty, przed którym drżał Ruyter! A to dlatego, że Gravé boi się ciebie, boi się, aby nie wybujały ponad miarę twoja odwaga i twoje męstwo. On nie lubi wojny, a ty w niej zasmakowałeś... Tak wygląda sprawa!... Jako kapitan biłbyś się dzielnie, siekłbyś wroga, ale i on nie szczędziłby ci razów. A Julian Gravé drży o swoje drewno, o swoje liny i płótno. Chce jak najwięcej zyskać, ale boi się ryzykować. Quintin będzie tam po to, aby swoim rozsądnym tchórzostwem powstrzymać cię od zbytnej gorliwości w walce. I zaoszczędzi ci zbytних kłopotów, bądź tego pewien! Oho, tłuste kąski przejdą ci koło nosa! Te można zdobyć tylko przy pomocy armat, a Quintin będzie chciał za wszelką cenę uniknąć kanonady... Będziesz za to łapał drobne rybki. Na morzu holenderskim nie brak poławiaczy śledzi...

W miarę trwania tej przemowy krew odpływała z policzków Tomasza. Twarz jego, początkowo szkarłatna z wściekłości, stawała się coraz bledsza, aż w końcu przybrała odcień zielonkawy. Obserwujący tę niepokojącą przemianę Danycan uznał, że nadszedł właściwy moment, aby ujawnić swoje zamiary. Wstał i położył szeroką dłoń na ramieniu marynarza.

– Dosyć gadania – rzekł. – Powiedzmy sobie otwarcie: twój Gravé, jego „Zalotnica” i Franciszek Quintin – to wszystko nie dla ciebie. Jestem pewien, że bardziej odpowiadałby ci inny armator i inny statek. Co o tym sądzisz?

Tomaszowi nagle powrócił spokój. Patrzył na Danycana ze skupioną uwagą.

– Otóż kończę – powiedział szlachcic – ...inny armator to ja, inny statek to moja „Piękna Łasica”. Rzuć tego skapca i zaokrętaj na moją fregatę. Potrzebuję takich chłopców jak ty, a i ty potrzebujesz takiego jak ja armatora!

Wzrok ich skrzyżował się, Danycan z zadowoleniem zauważył, że Tomasz odzyskał już zimną krew.

– Doceniam zaszczyt, jaki mnie spotyka – odezwał się marynarz głosem spokojnym, niemal uroczystym. – Pańska „Piękna Łasica” jest fregatą bez porównania lepszą od „Zalotnicy” Juliana Gravégo. Co zatem pan mi konkretnie proponuje?

Danycan oparł zaciśnięte pięści na dębowym stole.

– Proponuję ci, abyś wstąpił na służbę do mnie jako kapitan z prawem do dwunastu części i przejął komendę na przygotowanej do wyprawy „Pięknej Łasicy”, która to fregata jest wyposażona w dwadzieścia osiemnastofuntowych dział i stuosobową załogę.

Tomasz wstał również, spojrzął na starego Malo, potem na matkę Perrynę i zwracając się znowu twarzą do armatora powiedział krótko:

– Zgoda.

– Oto moja dłoń – powiedział Danycan.

I w ten oto sposób została zawarta umowa, która miała zadecydować o całej przyszłości Tomasza Trubleta.

⁴ Zdobywcę korsarską dzielono na trzy części: między załogę, armatora i dostawcę. Przydział należny załodze dzielił się znów na części: marynarz, w zależności od stażu, otrzymywał jedną całą część lub jej połowę, podoficer lub oficer dwie, trzy lub cztery części, kapitan miał prawo do dwunastu części, a jego porucznik do ośmiu (przyp. aut.).

IV

– Posłuchaj uważnie – mówił Danycan – bo później nie będziemy mieli wiele czasu na pogawędki, zważywszy, że chciałbym widzieć naszą fregatę rozwijającą żagle już w najbliższą niedzielę, masz więc do dyspozycji cztery dni...

– Kiedy zdążymy ją uzbroić? – przerwał Tomasz.

– Powiedziałem przecież, że wszystko jest gotowe i okręt mógłby podnieść kotwicę przy najbliższym przyptywie. Będziesz miał zdolnego porucznika. Jest nim Ludwik Guénolé, syn kowala z ulicy Herse. Znacie się przecież.

Malo Trublet zdziwiony podniósł głowę.

– Ludwik Guénolé? Czy on nie jest za młody na taką funkcję?

– Za młody?! – krzyknął Danycan i uderzył dłonią po rękojęści szpady, która wydała cichy brzęk. – Fortuna jest dziewczką i tylko młodzi potrafią jej w porę podkasać kiecki! Czy uważacie może, że trzeba mieć szpakowatą brodę, by zajmować się korsarstwem? Z wyjątkiem kilku starych wilków morskich, umiejących sobie doskonale radzić na noku rei podczas sztormu, chcę mieć młodą załogę. Moja fregata ma wrócić z wyprawy napelniona złotem!

Tu spojrzął na Tomasza i napotkał jego błyszczący wzrok.

– Tak więc – kontynuował po chwili – fregata jest przygotowana do wyprawy, zresztą jeśli będziesz chciał wprowadzić jakieś zmiany, masz na to cztery dni. A teraz najważniejsze: nie wysyłam cię na morze holenderskie, abys tam napadał na spokojnych rybaków lub był atakowany przez Ruytera. Sam król wojuje teraz przeciw Zjednoczonym Prowincjom nie na terenie Holandii, lecz w Alzacji, zapuszczając się nawet w głąb Niemiec. Zamierzam go nadsładować! I nie przy wejściu do dziur tych holenderskich szcurów będzie czatowała „Piękna Łasica”! Ośmielają się nazywać „woźnicami morza”! Na morzach i oceanach statki ich oddają dumnie salwę, jak gdyby wszystkie słone wody do nich należały! Na przykład w Indiach Zachodnich, gdzie nie wiem, czy jest choć skrawek holenderskiej ziemi, jakby na przekór wszystkim traktatom wszędzie powiewa trójkolorowa⁵ flaga na statkach przewożących ładunki, które powinny należeć do nas, poddanych króla Francji, lub naszych przyjaciół, poddanych króla Hiszpanii lub Anglii. Musisz ukrócić tę zuchwałość!

– A więc do Indii Zachodnich? – raczej stwierdził niż zapytał Tomasz.

– Tak. Na Antyle. Tam się właśnie udasz i rzucisz kotwicę u wybrzeży Tortue. To jedna z tamtejszych wysp. Od tego momentu pozostawiam ci pełną swobodę poczynań. A główny ich cel można sformułować krótko: opróżniać okręty nieprzyjacielskie, napelniać swój...

Zapanowało milczenie. Malo Trublet ze zmarszczonymi brwiami czynił wysiłki, aby wyobrazić sobie te legendarne Antyle, gdzie nie dotarł nawet podczas swych najbardziej awanturniczych połowów. Na twarzach kobiet malował się przestach. Lecz o ile Wilhelmina pocieszała się, widząc oczami wyobraźni te cudownie barwne papugi, małpy i inne niezwykle zwierzęta, które brat zapewne przywiezie z wyprawy – o tyle Perryna, jak to zwykle matki, widziała już tylko groźne sztormy, katastrofy na morzu, rekiny, kanibali i wszelkie choroby. Co do Tomasza, to pogrążył się w głębokiej zadumie, lecz po jego minie nietrudno było zauważyć, że słowa przedsiębiorczego armatora trafiły na właściwy grunt. Wkrótce jednak ocknął się i zapytał przytomnie:

– Jakie mam szanse, a jakie jest ryzyko? – Po czym dodał wyjaśniająco: – Nie znam sytuacji, jaka panuje na Antylach.

Gaultier Danycan ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ja również nie znam jej zbyt dokładnie. Nic nie szkodzi, zorientujesz się na miejscu. Najogólniej sprawa przedstawia się tak: na wyspach tych znajdują się Francuzi, Anglicy i

⁵ Chodzi tu o flagę holenderską – czerwono-biało-niebieską. Flaga morska Francji aż do 1789 r. była biała (przyp. aut.).

Hiszpanie, którzy mają prawo tam być, i Holendrzy, którzy tego prawa nie mają. San Domingo jest na pół francuska, na pół hiszpańska, Jamajka od jakichś dwudziestu lat angielska, jest jeszcze hiszpańska Kuba. Tortue to wyspa niewielka, lecz obszar nie jest rzeczą najważniejszą, o czym my, mieszkańcy Saint-Malo, powinniśmy wiedzieć najlepiej, skoro nasze miasto robi w świecie więcej hałasu, niżby się tego można było spodziewać po jego wielkości. Podobnie Tortue ma sławę głośniejszą niż Jamajka, San Domingo i Kuba razem wzięte. To prawdziwa stolica Antyli i dlatego tam rzucisz kotwicę, gdyż tam najlepiej się zorientujesz we wszystkich sprawach.

– Wnioskuje z tego, że Tortue należy do Francji – powiedział Tomasz.

– Oczywiście – przytaknął Danyca. – Król ustanowił tam swego gubernatora. Gubernatorem Jego Królewskiej Mości na Tortue i San Domingo jest, według ostatnich wieści, jakie do mnie dotarły, pan d’Oregon, o którym mówi się z szacunkiem. Te wiadomości pochodzą z 1666 roku, kiedy to gubernator Martyniki, który jest moim krewnym, przybył na dwór, na rozkaz pana de Turenne, aby zdać sprawę ze swych rządów. Bez wątplenia Tortue bardziej francuską być nie może... Choć na wyspie tej rozkazy króla nie zawsze bywają posłusznie wypełniane...

Zdziwiony Tomasz Trublet spojrział na Danycana pytająco.

– Nie dziw się temu. Tortue jest przede wszystkim lennem i ojczyzną korsarzy i to tych najzuchwalszych. Uważają oni, że powinni mieć pewne prawa do względów Jego Królewskiej Mości i korzystają z nich. Postępuj tak jak oni.

Na szerokiej i rumianej twarzy Tomasza, gdzie jak świeża krew jaśniała ukośna blizna, narysowana holenderską szablą, zjawił się nagły uśmiech.

– Są to flibustierzy⁶ – odparł Danyca. – Zapamiętaj dobrze tę nazwę. Po niej poznasz tych, którzy ją noszą.

Od pewnego czasu stojąc, szlachcic zajęty był zapinaniem swego pasa. Zawiesiwszy szpadę u boku, sprawdził, czy ostrze siedzi luźno w pochwie, aby z łatwością je w każdej chwili wyciągnąć. Pomimo straży napady w nocy nie były rzadkością. Gaultier Danyca, owijając się w płaszcz, zostawił prawą rękę wolną – na wszelki wypadek.

– A więc, moi kochani rzekł – do zobaczenia i życzę dobrej nocy pod opieką świętego Wincentego, patrona naszego miasta. Malo – zwrócił się do ojca Tomasza – jak tylko twój syn wróci z wysp, napijemy się wina równie dobrego jak to, które piliśmy dzisiajszego wieczoru. Całuję ręce pań. Do jutra, mój chłopcze, jeżeli Bóg pozwoli.

Wyszedł.

W domu przy ulicy Garbarskiej zapanował spokój. Jak przystoi dzieciom, pierwsi Tomasz z Wilhelminą udali się po drewnianych schodach do swoich pokoi, potem poszła Perryna, a Malo, głowa rodziny, zgasił wreszcie ostatnią ze świec żelaznego kandelabra, sprawdziwszy przedtem gruntownie, czy przy drzwiach wszystko jest w porządku: zamek, zasuwka żelazna, podwójna zapora.

Po czym wszystko ucichło.

Później, wśród tej ciszy rozległ się lekki szmer kroków, stawianych miękko, ukradkiem, zgłuszonych, aby nie obudzić staruszków. W niskiej izbie zajaśniało żółte światło latarki. To Tomasz, całkowicie ubrany, gotowy do nocnej włóczędzy, przemknął się do pokoiku siostry i teraz stali obok siebie cichutko się śmiejąc. Już nie od dzisiaj Wilhelmina pomagała bratu w jego nocnych wycieczkach. Jeszcze zanim osiągnął dwudziesty rok życia – a ona nie miała

⁶ Nazwa pochodzi z franc. *Flibustier*, od hol. *vrijbuiter* – dosł. wolny łupieżca. Kompanie piratów i korsarzy, nazywających siebie także Braćmi Wybrzeża, lub niekiedy Rycerzami Fortuny czy Awanturnikami. Flibustierzy grasowali w XVII i XVIII w. u wybrzeży kolonii hiszpańskich w Ameryce Południowej, w walce z Hiszpanami korzystali z protekcji Anglii i Francji (przyp. red).

wówczas nawet piętnastu lat – już wtedy Tomasz wymykał się każdej nocy z domu, aby biec do szynków lub w inne sobie tylko znane miejsca. Zapewne nie byłby to piękny wieczór po takim dniu – dniu, w którym zamienił srebrny gwizdek, znak bosmana, na kapelusz z piórami i szpadę – gdyby kapitan Tomasz Trublet poszedł spać razem z kurami, nie obiegłszy przedtem miasta i nie uściskał rąk swych dobrych, wypróbowanych druhów.

– Idź więc – rzekła dziewczyna. – Ale ani mi się waży hałasować, jak będziesz wracał. Rzuć piaskiem w moje okno, usłyszę na pewno i pobiegnę ci otworzyć.

V

W szynku przy Wielkiej Bramie marynarze Juliana Gravégo jeszcze pili, żadnego z nich tam nie zabrakło. Wchodzącego Tomasza Trubleta powitano głośnymi okrzykami.

– Jak się macie, chłopcy! – zawołał wesoło. – Jestem, jak zapowiedziałem. Kto mi zrobi miejsce?

Przekroczył dwie ławki, potem stół. Pochwa jego szpady uderzyła w pełną szklanice i przewróciła ją.

– Do diabła! – zaklął pijak. – Trublet, twoja szpada ma pragnienie.

Tomasz zaśmiał się. Jakiś człowiek, siedzący w głębi knajpy w otoczeniu innych, podniósł się ze swego stołka.

– Szpada? – powiedział. – E, cóż to? Szlachcic tutaj o tej porze?

Tomasz, który już zdążył usiąść, gwałtownie się podniósł.

– Ktoś mnie woła? – zapytał zaczepnie.

Lecz tamten, rozsądny, uważał za stosowne nie odpowiedzieć. Tak więc Tomasz znów usiadł, a jego chłopcy, otoczywszy go, wnieśli szklanice:

– Wiwat! Trublet, pokaż nam, jak się pije!

Pił. Potem, kiedy służąca przyniosła nowy gąsiorek, udał, że pas go krępuje i odpiął go, kładąc szpadę na stole – jak to widział niedawno u Danycana.

– Psiakrew! – zaklął – ma pragnienie czy nie, szpada też zasługuje na swoją porcję wina, jest to bowiem ta sama, którą nosił kapitan Wilhelm Morvan. I, zaiste, robił z niej dobry użytek.

– Ty tak samo! – krzyczeli chłopcy. – Wina dla szpady!

Jedni mówili: „szpada Wilhelma Morvana”, a drudzy: „szpada Tomasza Trubleta”. Zadowolony Tomasz uderzył po stalowej rękojeści, wciąż naśladując Danycana.

– Więc tak! – powiedział, patrząc w głąb szynku. – Szpada jest moja, jak to wszyscy mówicie, prawem dziedzictwa. I, również w randze kapitana, będę się nią posługiwał jak jej poprzedni właściciel. A „kto na nią szemrze, również niech będzie; takie moje życzenie!” – zacytował z emfazą dumną dewizę, jaką księżna Anna kazała wyryć na granicy swego zamku.

Rozległy się okrzyki: hurra! Jeden z energiczniejszych chłopców uderzył wściekle pięścią w stół.

– Za pomyślność! – zaryczał podnosząc w górę szklanice. – Za kapitana Tomasza!

Jakiś głos, nie wiadomo skąd, zapytał:

– Kapitana? Czy on jest naprawdę kapitanem?

– Jestem nim! – rzekł Tomasz dumnie. – „Kto szemrze...”

Lecz nikt nie szemrał, a nawet przeciwnie. W całej grupie marynarzy z „Wielkiej Tyfeny” rozszalał się hałaśliwy entuzjazm.

– Doskonale! Świetnie! – krzyczano ze wszystkich stron. – Rozkazuj, kapitanie! i jazda na Holendrów! Niech żyje Król! Śmierć Ruyterowi! Tomasz, weź nas na swój pokład, jesteśmy twoimi ludźmi!

– Diabeł mnie będzie błogosławić – zaklął Tomasz – jeżeli was nie wezmę, was wszystkich, którzyście się niedawno tak dzielnie spisali!

– Kiedy podniesiesz kotwicę? – zapytał jeden z mniej pijanych.

– Jutro, jeżeli zechcę! – odparł rezolutnie Tomasz.

W tej chwili pomiędzy ludźmi, którzy pili w głębi szynku, powstał spór:

– Siedźże! – radził jeden z nich, ten sam, który dopiero co wyśmiewał się ze szpady Tomasza Trubleta. – Siedź i uważaj, co będzie dalej. Nie widzisz, że on jest pijany?

– Tak! – potwierdził ktoś inny. – I zobacz, w jakim jest bojowym nastroju!

Ale człowiek, który się podniósł, nie ustąpił swym towarzyszom.

– Czy ma nastrój taki, czy inny – rzekł – jest mi wszystko jedno. Słyszałeś go, jak mówił o podniesieniu jutro kotwicy? Muszę z nim pomówić jeszcze tego wieczoru i, pijany czy nie, musi ze mną mówić.

– Wincenty, wariacie! O czym ty myślisz? Nie szukaj zwady...

– Czy mówiłem o zwadzie? Nie! To nie ja szukam zwady, klnę się na Najświętszą Panienkę!

Wciąż stojąc, człowiek ten wyrwał się z rąk, które go chciały zatrzymać. Idąc do stołu chłopców z „Wielkiej Tyfeny”, podszedł aż do Tomasza Trubleta i położył mu dłoń na ramieniu.

– Tomaszu! – powiedział głosem bardzo spokojnym, chociaż głuchym i nieco ochryplym.

Zapanowała cisza. Człowiek, który podszedł do Tomasza, nie mówił głośno. Pomimo to usłyszano go doskonale, bez wątpienia z powodu tego szczególnego głosu, jaki posiadał. Nikt z pijących nie myślał już krzyczeć ani śpiewać, stało się bowiem nagle dla każdego oczywiste, że nie czas teraz na pijatykę i że stanie się oto rzecz poważna.

Tomasz zaś poruszył się niespokojnie na stołku. Zdawało się, iż zaskoczony w ten sposób w rozgwarze pijatyki i pośród swych marynarzy, rzucił się z całą wrodzoną gwałtownością na tego, który przerwał zabawę. Podniósł się, ściskając pięści.

Lecz, zobaczywszy tego człowieka i poznawszy go, opanował się w jednej chwili, usiadł i uspokojony roześmiał się głośno.

– Cóż to! – rzekł. – To ty, Kerdoncuff? Cóż ty tam robisz w tym kącie, zamiast przyjść tutaj pić razem z nami?

Uspokojone zgromadzenie przytaknęło hałaśliwie. Tylko Wincenty Kerdoncuff nie przyłączył się do tego zespołu.

– Tomaszu – odezwał się po chwili – jesteś z pewnością dobrym kompanem i dziękuję ci za zaproszenie. Lecz nie chodzi tu wcale o picie, mam do ciebie sprawę i to sprawę poważną. Otóż niedawno powiedziałeś, że jutro, być może, podniesiesz kotwicę i udasz się na morze?

– Powiedziałem to.

– A więc trzeba, abyśmy jeszcze tego wieczoru porozmawiali, jeżeli Bóg pozwoli, po dobrej przyjaźni.

Tomasz, przed chwilą rozbawiony i krzykliwy – w gruncie rzeczy nie wypił nawet jeszcze czwartej części tego, co należy wytrąbić, aby być porządnie podchmielonym – teraz spoważniał.

– Po dobrej przyjaźni? – powtórzył chłodniej niż Wincenty, jakkolwiek ten ostatni nie kładł już w tę przyjaźń wielkiego uczucia. – Po przyjaźni? Jeżeli tak jest rzeczywiście, a ja w to mocno wierzę, po kiego diabła mamy sobie psuć noc i odrywać się od tego miejsca, gdzie wino wcale nie jest najgorsze? Porzuć lepiej tę myśl, siadaj tam i mów, o co chodzi.

Wincenty Kerdoncuff potrząsnął głową:

– Nie! To niemożliwe. Tylko my dwaj, ty i ja, i nikt więcej, możemy o tym mówić. Chodź więc stąd – dokąd chcesz, ale sam.

Tomasz podniósł się, nie próbując więcej protestować, lecz uczynił to tak brutalnie, że cały stół się zatrzęsł i poprzewracało się wiele szklanic.

– Do pioruna! – zawołał spoglądając na swoich chłopców – wobec tych ludzi rzadko mam tajemnice. I wszyscy są mi świadkami, że tym razem, jeżeli przed nimi coś ukrywam, to nie ja tego chciałem.

Chłopcy poruszyli się na to wezwanie, a kilku z nich zamruczało dość głośno. Jeden krzyknął nawet:

– Śmierć Ruyterowi i śmierć wszystkim, którzy czyhają na naszą zgubę, tu, jak i gdzie indziej!

– Cicho tam! – rozkazał Tomasz dość miękko. Nieco zaskoczony, Wincenty Kerdoncuff powiedział z podziwem:

– Jesteś wielce popularny, przyjacielu.

Gotując się do wyjścia Tomasz nie zapomniał przypasać szpady kapitana Wilhelma Morvana – i to wciąż tym samym gestem, jaki widział u Danycana w swoim domu.

VI

Wyszedłszy pierwszy zatrzymał się zaraz na progu szynku i zwrócił się twarzą do Wincentego Kerdoncuffa, który szedł za nim.

– A więc? – zapytał, gotów do rozmowy.

Lecz Kerdoncuff, nie tak prędko, wskazał ręką na koniec ulicy.

– Chodźmy dalej, tu pod drzwiami jest za dużo ludzi i mógłby nas kto podsłuchać...

Rzeczywiście, Główna Ulica była ulicą bardzo ożywioną. Całe nocne życie Saint-Malo skupiało się tutaj i tutaj to właśnie po godzinie gaszenia światła spotykali się i gromadzili wszyscy, którzy chcieli się zabawić, napić, pohulać, nagadać – szajki dobrych kompanów, postrach spokojnych ludzi i największy kłopot sierżantów straży. Dość szeroka i prawie prosta, ulica ta miała wygląd niebrzydki i nie przypominała wcale tych rozbójniczych krętych zakamarków, jakie się spotyka w innych miastach i jakie są dobrze znane pod nazwą piekielnych zaułków. Lecz habit nie czyni mnicha. I Główna Ulica Saint-Malo tylko z pozoru budziła zaufanie, w istocie zaś przy niej to od wałów do dzielnicy biskupiej mieściło się piętnaście do dwudziestu lokali, stojących otworem w dzień i w nocy dla wyżej wspomnianych kompanów, chętnie osuszających szklanice, zalecających się do dziewcząt, grających w karty i potem toczących między sobą bijatyki.

– Chodźmy dalej! – powiedział Wincenty Kerdoncuff.

– Chodźmy! – zgodził się Tomasz.

Przeszli zatem całą Główną Ulicę aż do Biskupówki, później, skręcając na prawo, poszli ulicą Croix du Fief, a następnie ulicą Świętego Jana z Grille aż do murów Trzech Cmentarzy. Wincenty chciał iść jeszcze i kierował się w stronę północnego wału, lecz Tomasz osądził, że już dalej iść nie trzeba.

– Po kiego diabła! – rzekł. – Widzisz przecież, że nie ma tutaj ani niepotrzebnych oczu, ani niepotrzebnych uszu?

Miejsce było istotnie całkiem wyludnione. Zamieszkała część miasta już dotąd nie sięgała; poza niskimi domkami niezbyt długiej ulicy Kardynalskiej Kerdoncuff i Trublet mogli dostrzec mur pałacu Quic-en-Groigne i słyszeć niewyraźny poszum fal morza.

– Mów więc wreszcie, o co chodzi – powiedział Tomasz. – A może wolałbyś, ażebyśmy przeszli za ten mur, gdzie moglibyśmy prowadzić rozmowę jeszcze dalej od wszelkich istot żyjących? – zapytał ironicznie i wskazał na mur cmentarny, niższy od muru Biskupówki.

– Nie! – odparł Wincenty poważnie. – Tu właśnie możemy porozmawiać, jeżeli raczysz mnie wysłuchać.

– Mów! – powtórzył Tomasz.

Stali twarzą do środka ulicy. W miejscach, gdzie zbita ciżba domów rzucała gęsty cień, noc zdawała się być bardzo ciemna. Ale cmentarze były jak jeden potrójny ogród, a poprzez jego cisy i wierzby księżyc rozsiewał ukośnie swoje promienie. Niskie mury nie dawały wielkiego cienia, tak że ulica była dość jasna. Tomasz i Wincenty, wychodząc z tonących w cieniu ulic, znaleźli się tutaj twarzą w twarz jak przy świetle dziennym.

Wincenty Kerdoncuff przystąpił do rzeczy:

– Tomaszu, chodzi o moją siostrę Annę Marię... Chcę wiedzieć, jakie masz wobec niej zamiary?

Głos jego, jakkolwiek ochrypliwy i nieco drżący ze wzruszenia, brzmiał pomimo to ze szczególną siłą. Tomasz, zaskoczony i wyprowadzony z równowagi, cofnął się o krok.

– Twoja siostra? – wybełkotał. – Twoja siostra? – powtórzył jakby nie rozumiał. – O co chodzi? I co ja z nią mam wspólnego?

Lecz Kerdoncuff zbliżył się do Tomasza i schwycił go za ręce silnym uściskiem.

– Zamilcz na Boga! – zawołał z nagłą gwałtownością. – Zamilcz, jeżeli chcesz tylko kłamać! Wiem wszystko: ta suka mi powiedziała... Ach, tego dnia skóra jej nie była wiele warta! Dlaczego jej nie zabiłem, zadaję sobie wciąż to pytanie... Ale mniejsza z tym: teraz chodzi nie o nią, lecz o ciebie. Tomaszu, ty ją miałeś, była dziewczcą, więc odpowiedz mi, co zamierzasz z nią robić teraz?

Nie puszczał z dłoni rąk Tomasza. Zresztą ten nie próbował ich uwolnić.

– Bo ja wiem? – odezwał się zakłopotany i jakby znudzony. – Czy ja wiem? – powtórzył. – Wincenty, wysłuchaj mnie i nie gniewaj się, gdyż cała ta historia nie jest żadnym nieporozumieniem. Skoro siostra ci wszystko wyznała, nie widzę powodu, abym milczał. Tak jest, posiadałem ją. Ale nie gwałtem, przysięgam ci, przeciwnie, stało się to za jej pełnym zezwoleniem. Zapytaj lepiej jej, kto z nas zaczął za kim latać? Krótko mówiąc, w następstwie tego... – Tu się zająknął, ale po chwili kontynuował już pewniejszym głosem. – Ponadto, jeśli o mnie chodzi, nikomu o tym nie mówiłem. A więc w czym tu jest zło? Nie myśl, przyjacielu, że Anna Maria jest jedyną dziewczyną, którą pozbawiłem dziewictwa. Otóż, żadna nie robi z tego powodu hałasu... Cóż chcesz, siostra twoja jest z tej samej gliny, co inne. Pozostaw ją w spokoju i nie zajmuj się tym więcej, to wyłącznie jej sprawa.

Tomasz Trublet westchnął ciężko i zadowolony, że powiedział tak wyraźnie to, co jego zdaniem należało powiedzieć, zaśmiał się.

Wincenty Kerdoncuff, milcząc złowrogo, pozwolił mu się wypowiedzieć. Słuchał go, lecz, być może, nie rozumiał, pogrążony całkowicie w swoich ponurych myślach. Obydwaj mężczyźni byli wciąż jeszcze złączeni ze sobą, dłonie jednego zaciskały się wokół rąk drugiego, lecz nie zwracali na to uwagi.

Tak więc Tomasz Trublet, skończywszy mówić, zaśmiał się. Wincenty Kerdoncuff, wytrącony z zadumy, usłyszał ten śmiech i w tej samej chwili rozjuszył się jak byk, który zobaczy czerwona płachtę. Zatrząsł nim od stóp do głów tak wściekły gniew, że uczynił jakiś dziwny skok, potknął się i o mało co nie upadł. Kurczowo zaciśnięte usta nie pozwalały mu wydać żadnego dźwięku. Bełkotał tylko niewyraźnie, wczepiając się paznokciami w ciało przeciwnika, który, nagle zaskoczony, nie mógł na razie stawić oporu.

– Puszczaj mnie, puszczaj do diabła!... Do licha, puścisz mnie, czy nie, ty łotrze?

Zaczęli bójkę. Tomasz był z pewnością silniejszy. Lecz człowiek, opanowany wściekłością, może pokonać trzech spokojnych. Wincenty czuł swoją przewagę i trzymał zdobycz. Tomasz, nie mogąc się uwolnić, zgrabnym ruchem schwycił rękojeść szpady i zaklął znowu:

– Do wszystkich diabłów! Wincenty, jeżeli mnie nie puścisz, zabiję cię!

Wincenty zobaczył ten jego ruch. Wydał dziki okrzyk, puścił Tomasza, odskoczył w tył i wyciągnął szpadę – wszystko to w mgnieniu oka. W świetle księżyca błysnęło nagie ostrze. Było długie i mocne, przeznaczone do walki, a nie takie jak owe zabawki od parady, jakie,

zresztą niechętnie, nosili mieszczanie Saint-Malo. Tomasz ujrzał to ostrze w niewielkiej odległości od swego gardła. Zatrzymał jednak szpadę w pochwie i nawet skrzyżował ręce na piersiach, odzyskując nagle spokój i zimną krew, jak to zawsze się z nim działo w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Kerdoncuff, zgiąwszy kolano, natarł półobrotem ręki.

– No, uderzaj! – powiedział z pogardą Tomasz, śmiejąc się znowu, lecz tym razem już innym śmiechem. – Jeżeli mnie zabijesz, twoja siostra będzie z tego bardzo zadowolona!

Kerdoncuff odstąpił krok i opuścił rękę. Wciąż z pogardą Tomasz dodał:

– Jeżeli chcesz mnie zabić, dobrze! Jeżeli chodzi o co innego, powiedz!

Lecz Wincenty Kerdoncuff nie mógł mówić od razu. Dyszał ciężko, potem znów zabelkotał. Wreszcie odzyskał mowę.

– Czy... czy... poślubisz... moją siostrę?

Tomasz Trublet pozostał z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– To wszystko? – spytał chłodno – to wszystko, co chciałeś powiedzieć? Szkoda tylu słów dla tak prostej sprawy... Czy poślubię Annę Marię? Chcesz wiedzieć? Nie, nie poślubię jej. Nie dlatego zresztą, aby ona mnie nie chciała w tej chwili, ale dlatego, że ja jej nie chcę. Wszelkie głupstwa między nami są już skończone. Powtarzam, Wincenty, nie mieszaj się w tę sprawę. Siostra twoja poślubi, kogo będzie chciała, bo jest dziewczyną ładną, bogatą i z dobrym imieniem. Ja zaś żadnej nie poślubię. To jest moje postanowienie, a zresztą, kieruję się tutaj rozsądkiem: żenić się bowiem nie jest rzeczą korsarza.

Wincenty podniósł znów rękę. Tomasz ujrzał ponownie ostrze szpady na wysokości swego gardła. Niewzruszony, powtórzył raz jeszcze, bardzo spokojnie:

– Nie. Nie poślubię jej. Nie. Nie!

– Miej się więc na bacności! – wyszeptał Wincenty, cały drżący z gniewu.

Lecz Tomasz powoli tracił cierpliwość.

– Sam się miej na bacności! – powiedział nagle, usiłując jeszcze zachować spokój. – Miej się na bacności, bo ja nie lubię pogrózek. I, jak Bóg na niebie, nie masz racji!

Wincenty, jak gdyby go nie słyszał, stanął w rozkroku, wysuwając prawą stopę naprzód, jak to czynią zapaśnicy, gdy zaczynają walkę. Jego prawa półzgięta ręka wyprostowała się lekko i dosięgła odsłoniętej piersi Tomasza, który nie zdążył się cofnąć. Ostrze dotknęło sukna kaftana.

Wtedy obydwaj razem zaczęli krzyczeć.

– Ożeń się z nią albo zginiesz tutaj! – z największym wzburzeniem wołał Kerdoncuff.

A Tomasz, którego zbyt długo hamowany gniew wybuchnął nagle jak wybuch granat:

– Precz z mojej drogi albo cię zatłukę!

To, co się stało potem, nie trwało dłużej niż zmówienie zdrowaśki. Wincenty uderzył, Tomasz odskoczył w bok, zbyt późno jednakże, aby uniknąć zadrażnienia w ramię. Wówczas zawył z wściekłości, jednym ruchem wyciągnął szpadę z pochwy, odbił cięcie i wyciągając ramię, trzy razy pchnął w prawy bok Wincentego, który bez westchnienia zwałił się jak zarżnięty wół.

VII

Tomasz Trublet stał przerażony ze szpadą w dłoni. Z jej opuszczonego ku ziemi ostrza ka-pały powoli ciemne krople. Na bruku leżało na wznak, ze skrzyżowanymi ramionami, nieruchome ciało Wincentego Kerdoncuffa.

– Najświętsza Panno Wielkiej Bramy! – westchnął bezradnie. Otarł odruchowo zakrwawioną szpadę, włożył ją do pochwy, potem, klękając na ziemi, nachylił się nad pokonanym.

– Z pewnością już nie żyje... – pomyślał.

Wszystko na to wskazywało. Rana była podwójna, ostrze wepchnięte po rękojeść pod prawą pachę wyszło przez lewe ramię. Krew płynęła wielkimi fontannami z obydwu ran.

Tomasz podniósł głowę Wincentego i opuścił ją znowu. Wstrząs ten bez wątpienia poruszył jakieś sprężyny w ciele, nagle bowiem zatrzepotały zsiniałe powieki, a w przyćmionych źrenicach słabo zamigotał blask. Zdziwiony Tomasz Trublet nachylił się ponownie nad zastygłą twarzą. Zadrgały wówczas bezkrwiste wargi i Wincenty Kerdoncuff przemówił.

– Tomaszu – mówił cicho, z największym wysiłkiem – to ja ciebie wyzwalałem... Odejdź więc w pokoju, nie jesteś winien mojej śmierci.

Zakaszła i krew popłynęła mu do warg, które na chwilę stały się podobne do warg człowieka żyjącego. Tomasz, widząc to, zaklinał go, aby milczał, gdyż każde słowo, wydane z tych krwawiących ust, przyspieszało zbliżającą się według wszelkich oznak śmierć.

Ale Wincenty pomimo to mówił dalej:

– Tomaszu, czy poślubisz moją siostrę, Annę Marię?

W niemal zagastych oczach zamigotał żywy niepokój. Tomasz, zdziwiony, mimo woli podniósł brwi. A Wincenty odpowiedział na to nieme pytanie – z wysiłkiem, który sprowadził na jego skrwawione wargi czarniawy skrzep krwi.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego... I popełniłem wielki błąd... Tomaszu... moja siostra... jest brzemienna... od czterech miesięcy... a to jest akurat czas, który upłynął od twego ostatniego odjazdu... Tomaszu Trublet... na Boga, który mnie będzie sądził... moja siostra... ty jeden ją posiadłeś... dopóki ciebie nie widziała, była dziewczyną rozsądną... czy ją poślubisz?

Źrenice jego znów się zaćmiły. Kerdoncuff naprawdę umierał. Tomasz poczuł w całym ciele jakieś dziwne i silne drżenie. Jego wola, złamana, osłabiona, rozbita, nie podtrzymywała go już przeciw temu, umierającemu, który błagał. Wincenty ostatnim wysiłkiem opierając się obiema rękami o bruk, zwrócił się do Tomasza. Wtedy ten, z sercem pokonanym przez litość, przed którą nie mógł się obronić, ustąpił. Skłaniając głowę na znak zgody, powiedział:

– Dobrze, Wincenty, jeśli siostra twoja jest naprawdę brzemienna i jeśli stało się to za moją sprawą, poślubię ją, przysięgam na Chrystusa z Ravelinu i Najświętszą Panienkę Wielkiej Bramy.

Umierający chciał coś powiedzieć, ale siły go opuściły. Drugi czarny skrzep, większy niż pierwszy, nie mógł mu przejść przez gardło i dusił go. Obydwie ręce, wsparte o ziemię, osłabły, i ciało, niczym nie podtrzymywane, upadło twardo na bruk. Jakiś dreszcz wstrząsnął umierającym. Potem całe ciało zastygło.

Tomasz, obnażywszy głowę, przeżegnał się pobożnie, ażeby zmówić jedyną znaną sobie modlitwę za zmarłych.

W godzinę później księżyc, teraz już wysoko na niebie, rozszrebrzył rześście całe Dobre Morze. Tomasz Trublet z wysokości wału, górującego nad Starym Nabrzeżem, pomiędzy wszystkimi, strzelającymi ku niebu, masztami – a stanowiły one jakby gęsty las – szukał oczami swojej nowej fregaty, „Pięknej Łasicy”, której położenie w porcie określił mu Gaultier Danycan. Znalazł ją?

– Tak! – pomyślał – zrobiłem bardzo mądrze, dochodząc z Wincentym do zgody... szybko i skutecznie...

Śmiertelne szczątki Kerdoncuffa zostały z łatwością przeniesione przez niewysoki mur Trzech Cmentarzy w potężnych ramionach Tomasza. Po godzinie zatem trup znajdował się tam, gdzie powinny się znajdować trupy. A zarośla, wśród których Tomasz go umieścił, miały ukrywać ciało przez jakiś czas. W każdym bądź razie nie mogło to trwać długo. W tamtych czasach bowiem takie wypadki nie były rzadkością, a garnizon miejski nie omieszkął za każdym razem robić wielkiego hałasu z powodu zabitego człowieka, choćby to się stało w uczciwej walce. Sytuacja, w jakiej znalazł się Tomasz Trublet, wcale nie była dobra. Wyszedł z opresji obronną ręką, ale oto stał się mordercą.

Lecz na ciemnej wodzie, gdzie księżyc odbijał swoją srebrną tarczę, cztery maszty „Pięknej Łasicy” z dziesięcioma skrzyżowanymi rejami kołysały się bardzo żałośnie. Tomasz Trublet, patrząc na nie, uśmiechnął się.

– Nie w niedzielę – zamruczał – lecz jutro... tak! jutro podczas wieczornego przyływu... jeżeli pozwoli mój święty patron... wyjdę w morze.

Wówczas zabrzmiał dzwon Noguette. A była już godzina bardzo późna. Biegające na piasku po odpływie psy straży miejskich Saint-Malo odpowiedziały na dźwięk dzwonu długim wyciem. Tomasz przeżegnał się znakiem krzyża, wierzył bowiem, że zwierzęta wyją poczuwszy nieboszczyka.

Psy, naszczekawszy się do syta, zamilkły, a Tomasz Trublet westchnął:

– Boże, przyjmij duszę tego nieszczęsnego chłopca!

Tomasz Trublet bowiem nie był człowiekiem okrutnym ani twardego serca...

KSIĘGA DRUGA

KORSARZE

I

Z bocianiego gniazda, ulokowanego ponad fokbramslem, „oko” badający horyzont, pochylił się w stronę pokładu i zawołał przez złożone w tubę ręce:

– Łąd!... Trzy rumby w lewo...

Wtedy inny wachtowy, usłyszawszy to, popędził z siekierą w garści przez całą długość pokładu, aż do jego krawędzi, i powtórzył z całej siły okrzyk, ażeby go usłyszała cała załoga.

– Łąd! Trzy rumby w lewo! Łąd!...

Zbiegli się wszyscy, a wielu marynarzy wdrapało się na wanty, ażeby lepiej widzieć.

Od czasu wypłynięcia z Dobrego Morza minęło właśnie sześćdziesiąt dni. Sześćdziesiąt dni dla przepłynięcia piętnastu setek wielkich mil morskich⁷, oddzielających Tortue od Saint-Malo, to nie była fraszka. Mógł tego dokonać tylko doskonały żaglowiec, a „Piękna Łasica” właśnie nim była.

Tomasz Trublet, wyszkolony dobrze przez swojego armatora i przez obeznanych z tymi morzami starych marynarzy z Saint-Malo, starał się obrać najlepszy kurs, choć ten daleki był od najprostszego. Gdy tylko minęli Półwysep Bretoński, pożeglował na południe, wzdłuż Hiszpanii, Portugalii i poznawanych jedna po drugiej wysp afrykańskich: Madery, Wysp Szczęśliwych, archipelagu Wysp Zielonego Przylądka. I wtedy dopiero, korzystając z pomyślnego wiatru przebrasował reje, wziął kurs na Amerykę, przeciął ocean od wschodu do zachodu – zostawiając daleko na północy szkaradne Morze Sargassowe, i w końcu, czterdziestego piątego dnia zatrzymał się na jednej z Wysp Podwietrznych – której? to go nie obchodziło. W pięć dni później, po idących na zmianę wicherach i beznadziejnych ciszach, „Piękna Łasica” płynęła wzdłuż Wysp Dziewiczych, Puerto Rico, potem San Domingo. Lecz oto nadszedł dzień sześćdziesiąty. Sygnalizowany ład nie mógł być teraz niczym innym, jak tylko upragnioną Tortue, celem i końcem długiej podróży.

Drzwi rufowego kasztelu otworzyły się i wyszli stamtąd kapitan Tomasz Trublet z porucznikiem Ludwikiem Guénolém. Trzymając się pod rękę szli wzdłuż pokładu i po schodniach lewej burty weszli na bak. Tam, przyłożywszy ręce do czoła, aby lepiej widzieć, spojrzeli w dal. Załoga, zgromadzona wokół, pilnie nasłuchiwała. Ani Trublet, ani Guénolé nie byli zwierzchnikami, do których ludzie mogliby czuć nienawiść lub pogardę.

– Piękna wyspa – rzekł Tomasz po chwili przypatrywania się.

– Istotnie, piękna – przyznał Ludwik Guénolé. – Z wyglądu przypomina tę, którą nam niedawno opisywał Kersaint, co to spędził cztery lata wśród tutejszych ludzi.

Łąd, o którym mówili, właśnie się wyłaniał z błękitnego horyzontu, sam niebieskawy i jakby przezroczysty. Lecz oczy marynarzy, pomimo odległości, odróżniały już falisty profil łańcucha gór, urwanych stromo od północy i, przeciwnie, zniżających się w łagodnym spadku od południa.

⁷ Ówczesna wielka mila morska (franc. *lieu*, ang. *league*) wynosiła 3 mile morskie (przyp. red.).

– Na tych morzach – zauważył Ludwik Guénolé – wzrok niesie bardzo daleko. To zadziwiające zjawisko. Do diabła! U nas najsprytniejszy wachtowy z bocianiego gniazda nie odgadłby nigdy na podobną odległość, że tam jest ląd!

– Do kroćset, masz rację! – potwierdził Tomasz Trublet. Po czym umilkli i patrzyli dalej w milczeniu.

„Piękna Łasica” płynęła na otwartym morzu pod wszystkimi żaglami, oprócz bramsli, które często są zbyt cienkie, aby nimi manewrować, kiedy się zerwie wichura. W ten sposób ożaglowana, „Piękna Łasica” poruszała się, według logu, z prędkością około ośmiu węzłów i Tortue zaczynała się wznosić ponad morzem.

Ląd niebieskawy stał się zielony, tą zielonością delikatną i aksamitną, której się nie spotyka w żadnej stronie świata, z wyjątkiem Antyli. A wśród tej rzadkiej i doskonałej zieleni, istotnie zachwycającej oczy, ukazała się teraz pewna liczba porozrzucanych, tu i tam białych punkcików. Była nimi pokryta góra. Rozsiane na aksamicie drzew i łąk robiły wrażenie tych bardzo wytwornych koronek, którymi wielcy panowie zdobią jedwab żupanów.

– Boże! – zawołał Ludwik Guénolé, wskazując wyspę palcem – myślę, że ten zakątek jest najbogatszy w świecie. Wszystko, co tam widać, to nie może być nic innego, jak ślicznie położone wille i pałace.

– A właściwe miasto – dorzucił Tomasz Trublet – jest na dole nad samym brzegiem morza. Oto się teraz pokazuje i port także.

Była to tylko mała przystań, położona w zatoce, na której brzegu stało w szeregu trzydzieści do czterdziestu bardzo brzydkich budynków, podobnych raczej do jakichś magazynów niż domów mieszkalnych. Ale na lewo cieszyła oczy solidnie obmurowana bateria, a ogień jej czterech ciężkich dział z zielonego spizu musiał się doskonale krzyżować z ogniem wielkiej wieży, którą się rozróżniało na prawo. I jakkolwiek otwarty od strony morza, port wyspy Tortue, będąc tak doskonale przygotowany do odparcia ataku nieprzyjacielskiego, nie musiał się go lękać.

– Będziemy się tam czuli najlepiej na świecie – osądził Tomasz, kiedy już wszystko zobaczył. – Ściągnijcie żagle i przygotujcie się do rzucenia kotwicy. Wydadaj odpowiednie rozkazy, Ludwiku, ja zaś wrócę do kasztelu.

Guénolé skłonił głowę.

– Według twych rozkazów – odparł tylko.

Trzymając się pod rękę, wrócili na rufę. Kapitan wszedł z powrotem do swojego salonu, podczas gdy porucznik udał się na pokład kasztelu rufowego, skąd lepiej się kierowało manewrami okrętu i gdzie trzeba być, aby widzieć od jednego rzutu oka dziesięć rejdów czterech masztów.

Tomasz Trublet siedział w salonie, twarzą do swego kapitańskiego kufra, i podniósłszy ciężkie wieko o podwójnym zamku szukał wśród papierów okrętowych dokumentu najważniejszego ze wszystkich, tego, który miał wkrótce przedłożyć gubernatorowi d’Ogeron. Według bowiem ostatnich wiadomości, jakie miał z Wersalu kawaler Danycan, pan d’Ogeron rządził wciąż jeszcze, od roku 1666, a nawet 1664, wyspą Tortue i wybrzeżem San Domingo dla króla i panów z Kompanii Zachodniej.

– Bez wątpienia to ten – zamruczał wreszcie Tomasz.

Rozwinął pismo. Był to pergamin pokryty dwoma szeregami wielkich pieczęci z zielonego wosku. Tomasz, jakkolwiek nie bardzo uczony, czytać umiał. Sylabizował:

PRZYWILEJ KORSARSKI

LUDWIK DE BOURBON, HRABIA DE VERMANDOIS, ADMIRAŁ FRANCUSKI, *do wszystkich, którzy niniejsze oglądać będą, pozdrowienie. Według rozkazów, które otrzymali-*

śmy od Króla, ażeby pilnować akuratanj obrony jego poddanych i dla zabezpieczenia handlu morskiego...

Później, przepuszczając kilka wierszy:

...Dla tych przyczyn zwolniliśmy od służby, daliśmy władzę i zezwolenie panu Tomaszowi Trubletowi, kapitanowi lekkiej fregaty, zwanej „Piękna Łasica”, około stu sześćdziesięciu ton, z taką ilością ludzi, dział, kul, prochu, ołowiu i innej amunicji i żywności, które są niezbędne w podróży morskiej, aby walczył przeciwko rozbójnikom morskim, korsarzom lub ludziom bez określonego zajęcia, a nawet przeciwko poddanym Republiki Zjednoczonych Prowincji Niderlandów, i przeciwko innym wrogom Państwa, oraz brat ich do niewoli wraz z ich okrętami i inny mi rzeczami, które im będą wzięte we wszelkich miejscach i okolicach, gdzie można będzie ich spotkać...

– To jest dobre! – powiedział głośno.

Znów przepuścił cały paragraf i czytał dalej:

...Z obowiązkiem dla wyżej wymienionego Tomasza Trubleta wywieszania podczas walki jedynej flagi, która jest jego, mianowicie Saint-Malo, niebieskiej, przeciętej krzyżem białym, w wolnym polu szkarłatnym mającej biegnącą łasicę srebrną; z obowiązkiem także spełniania i przestrzegania spełnienia przez załogę rozkazów marynarki i rozporządzenia, danego przez Jego Królewską Mość Roku Pańskiego 1669...

Pergamin, złożony z powrotem, zaszeleścił.

– Z tego jasno wynika – wywnioskował zadowolony Tomasz Trublet– że jesteście korsarzami zupełnie według prawa.

Ludwik Guénolé, stojąc na pokładzie kasztelu rufowego, niedaleko stermasztu, wydawał komendy:

– Zwijać dolne żagle! Na górę żeglarze!

Jego bretoński głos, suchy i zarazem śpiewny, niósł daleko i był słyszany aż do fokmasztu.

– Wchodzić! Zwijać dolne żagle! Uwagać na noki!

Na „Pięknej Łasicy” każdy manewr wykonywany był z taką samą szybkością i dokładnością, jaką podziwiano na statkach marynarki królewskiej.

– Na dół!

Żeglarze opuścili się wzdłuż want. Dolne żagle były zwinięte. Mistrz kanonierów zbliżył się do schodni kasztelu rufowego na pokładzie i zdjął kapelusz, aby zaraportować:

– Gotowe do rzucenia kotwicy.

Na co porucznik odpowiedział skinieniem głowy. Kiedy tak stał na pokładzie kasztelu rufowego, sylwetka jego prężyła się dumnie, choć nie był ani bardzo wysoki, ani barczysty, a jego białe, gładkie policzki i długie, bardzo czarne włosy podobne były do policzków i włosów dziewczyny. Ale ostre i przenikliwe spojrzenie zawsze pełnych ognia oczu, odbierało całą słodycz tej młodej twarzy o czystych rysach.

Nieco później, gdy „Piękna Łasica” minęła wschodni cypel portu, Tomasz Trublet przyłączył się do swojego porucznika na kasztelu rufowym. Stojąc tak obok siebie wyglądali jeden jak wątłe dziecko, drugi jak tęgi i silny wojownik. W rzeczywistości jeden nie był mniej groźny od drugiego i chłopcy z wachty, wszyscy bardzo posłuszni i niemal bojaźliwi, wobec obydwóch czuli ten sam respekt.

– Wkrótce rzucimy kotwicę, każ sondować.

– Do sondy! – rozkazał Ludwik Guénolé.

Marynarz wyciągnął dwanaście sążni linki i wyśpiewał:

– Nie ma dna!

– Nie szkodzi– rzekł Trublet.– Niedaleko stąd stoi brygantyna na kotwicy. Podejźmy jeszcze trochę.

– Brasować na wiatr! Wolno, oddawać ster!

Fregata posłusznie zbliżyła się do lądu. Żagle zaczęły zwisać. A marynarz, sondując dalej, wyśpiewał tym razem:

– Dno! dziesięć sążni z lewej burty, dziesięć sążni!

– Przygotować dwie kotwice! – zakomenderował Tomasz Trublet. I zwracając się do porucznika, powiedział:

– Idź na bak, chcę natychmiast rzucić kotwicę.

Według zwyczajów marynarskich drugi oficer musi się znajdować na dziobie okrętu w chwili, kiedy rzucają kotwicę. A ten moment nadszedł.

Tomasz patrzył uważnie na żagle. Fregata miała jeszcze nie zwinięte marsle na fokmaszcie i grotmaszcie oraz sterżagiel, lecz szła już wolniej. Trublet, splunawszy na wodę, aby lepiej sprawdzić prędkość, zdecydował:

– Zwinąć wszystkie żagle! – zawołał.

Chłopcy znowu się pośpieszyli. Na pokładzie z jasnego sosnowego drzewa zatętniły bosc nogi.

– Tak jest! Zwijać żagle!

Trzy żagle złożyły się równocześnie jak trzy pary skrzydeł.

– Przebrasować reje!

Kiedy rozkaz został wykonany, Tomasz z zadowoleniem spoglądał na pozbawione żagli maszty, potem natężył głos, aby być lepiej słyszany przez kanonierów, zgromadzonych wokół liny kotwicznej na dziobie:

– Gotowe do rzucenia kotwicy? Rzucić kotwicę na dziobie! Na co kotwica zanurzyła się wśród plusku rozpryskującej się wody.

Chwilę potem Tomasz usłyszał wołanie marynarza:

– Kapitanie! Hej! Kapitanie! Tamta brygantyna wysłała szalupę, chyba do nas.

II

– Ahoj! Na szalupie!

Marynarz z krótką piką w garści skierował ten okrzyk do zbliżającej się szalupy. Z szalupy – długiej łodzi o czterech wiosłach – nikt nie odpowiedział, lecz ktoś się podniósł i na dowód pokojowych zamiarów zamachał skórzanym kapeluszem, którego wstążki powiewały na wietrze.

Szalupa dobiła już do burty fregaty. Człowiek, który machał kapeluszem, począł wołać:

– Hallo!... Spuście trap!

Głos, bardzo ochryply, brzmiał z cudzoziemska. Załoga, jeszcze na stanowiskach koło kotwic, spojrzała na kapitana, stojącego na schodniach kasztelu rufowego. Tomasz Trublet dał zezwalający znak głową i podczas gdy chłopcy, skorzy do spełniania rozkazów, spuszczaali trap, sam zszedł na dolny pokład i zatrzymał się przy burcie, aby przywitać człowieka z szalupy. Ten, uchwyciwszy się liny, wdrapał się po trapie zwinnie jak małpa. W chwili, gdy zeskakiwał na pokład, Tomasz zbliżył się i wyciągnął prawą rękę, nie zaniechawszy jednak trzymać lewej na rękojeści jednego z pistoletów, które miał za pasem.

– Hallo! – zawołał przybysz.

On także miał za pasem dwa pistolety. Jak zwyczaj nakazuje, wyjął je i ofiarował Tomaszowi Trubletowi na znak przyjaźni czy przymierza;

– Hallo! – powtórzył.

Po czym zapoznano się bliżej.

Edward Bonny, zwany Rudobrodym z powodu długiej brody przez osobliwą kokieterię zabarwionej na czerwono, sam był kapitanem brygantyny, stojącej obok „Pięknej Łasicy”, która to brygantyna, dość nędzna, nazywała się „Flying King” i miała tylko osiem małych dział. Rudobrody nie martwił się tym zbyt, przyzwyczajony do powtarzania często swojej załodze, że z czterema tylko działami i osiemnastoma piratami słynny Piotr Legrand piętnaście lat temu wziął do niewoli wiceadmirała hiszpańskiego pomimo jego trzystu osiemdziesięciu sześciu ludzi i pięćdziesięciu czterech dział, prawie wszystkich ze spiżu. Im lepiej wyposażony nieprzyjaciel, tym większa zdobycz; mniej liczna załoga, obfitsze udziały w łupach. Edward Bonny, flibustier zwany Rudobrodym, rodem z Bristolu w Anglii, wyznawał powyższe zasady i jeszcze te oto: umiera się tylko raz, żyje się tylko raz oraz – trzeba być wielkim durniem, ażeby się bać zakończyć piękne życie męską śmiercią.

Wysoki i tęgi, jakkolwiek ustępujący pod oboma względami Tomaszowi Trubletowi, nie ustępował nikomu w męstwie, odwadze i męskiej dumie. A dwadzieścia wygranych, tak na morzu jak i na lądzie bitew, pouczyły wszystkich mieszkańców Ameryki, kto zaś jest Edward Bonny, zwany Rudobrodym.

Tomasz Trublet, który nic o tym nie wiedział, szóstym zmysłem wyczuł i oszacował flibustiera według jego wartości. Aby go uczcić, wyciągnięto z kuchni okrętowej najstarsze wino i podano je zaraz w największych dzbanach. Nie upłynął kwadrans, a dwaj kapitanowie stanowią już parę przyjaciół i poklepywali się wzajemnie po kolanach.

– Przyjacielu! – mówił Edward Bonny, patrząc przenikliwie na Tomasza Trubleta czarnymi oczami. – Stary druhu! Taki drań jak ty i z takim wyglądem jak twój nie przybywa w tujejsze strony, aby zbierać kakao, tytoń i drzewo kampezowe, chyba że towarów tych szukać będzie na hiszpańskich okrętach, które dopiero co wyszły z Nowej Holandii. Czy nie mam racji? Niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie jesteś korsarzem, jak ja flibustierem! A korsarz z flibustierem mogą się porozumieć! Daj rękę na zgodę, marynarzu, a ja ci wskażę bogaty kasek, po który udamy się razem jako dobrzy Bracia Wybrzeża.

– Podobasz mi się! – stwierdził Tomasz Trublet. – Ale dlaczego mówisz o Hiszpanach i Nowej Hiszpanii? Jak mi Bóg miły, jestem korsarzem i gotów jestem działać razem z tobą – lecz jedynie przeciwko Holendrom, którzy są wrogami króla Francji, ale nie przeciw ludziom z innych krajów, neutralnych, sprzymierzonych lub zaprzyjaźnionych. Na dowód pokażę ci mój Przywilej Korsarski. Rozbójnikiem byłbym, gdybym się temu sprzeniewierzył. Czytaj, co jest na pergaminie.

– Hej! – wykrzyknął Rudobrody. – Myślisz więc, że potrafię czytać? Nie! Ale to nie szkodzi! Holendrzy, Hiszpanie, papiści, hugenoci, kalwini, jansenści – czort by się w tym połapał! Czyś zwariował, druhu? Czybyś tylko ty sam jeden pośród wszystkich tujejszych Francuzów i Anglików chciał unikać tej zgrai małych kastylskich, które bez miłosierdzia palą nasze chaty i wieszają naszych ludzi za każdym razem, o ile my z kolei nie wieszamy ich ludzi i nie palimy ich chat? Na ich przeklętą Matkę Boską! Trublet, nie masz wyboru, jesteś albo z nami, albo przeciw nam. Jeśliś z nami, daj rękę na zgodę. Jeśli przeciw, niech mnie piekło pochłonie! Wracam zaraz na burzę, aby natychmiast walczyć z tobą na śmierć!

Nie odpowiadając, Tomasz cofnął się o krok. Rudobrody, odetchnąwszy, podjął znów, nieco łagodniej:

– Co tam, drzysz przed świstkiem ośle skóry? Kiedy pożyjesz jakiś czas między nami, nie będziesz się więcej zajmował rozróżnianiem przyjaciół i nieprzyjaciół twego poczciwego króla. Twoi nieprzyjaciele i twoi przyjaciele ci wystarczą. Ale nie czekaj na bieg wypadków, to można załatwić już dzisiaj. Gubernator d’Ogeron jest sprytnym człowiekiem i nie wątpię, że potrafi znaleźć ci inny przywilej korsarski, lepszy niż ten, i taki, który nakaże ci ścigać równie dobrze Holendrów, jak i Hiszpanów. Jeżeli powiedziałem prawdę, czy pójdziesz ze mną?

Tomasz przyglądał mu się dość długo, mając nadzieję tym sposobem dobrze go zbadać i poznać:

– Tak – rzekł następnie głosem niespodziewanie wysokim i czystym. – Chętnie będę twoim towarzyszem, jeżeli otrzymam na to zezwolenie pana d’Ogeron, którego zresztą chcę odwiedzić dzisiaj. Ale o jakim to załatwieniu sprawy mówisz i jaki przywilej korsarski mogą mi dać ponad ten, który otrzymałem?

Edward Bonny, zwany Rudobrodym, zaśmiał się wtedy dźwięcznym śmiechem i zagłębił się w szczegóły objaśnień.

Nie od dzisiaj datowała się ta nieubłagana wojna, która nie ustawała między flibustierami a koloniami hiszpańskimi Indii Zachodnich. Dawno już – lat pięćdziesiąt lub więcej temu, nikt tego nie pamiętał dokładnie – bukanierzy, czyli myśliwi, polujący na bawoły, mordowani, i to w sposób bardzo okrutny, na ich własnych terytoriach przez Hiszpanów, zemścili się pierwszy raz, atakując swoich prześladowców i dopuszczając się na nich strasznych mordów. W tym to czasie, który poprzedził zorganizowanie się flibustierów, bukanierzy, prości wieśniacy, zmuszani do wojny przez brutalną zaborczość, nie wdawali się bynajmniej w dyplomację czy w politykę. Nie troszczyli się również o to, że ich nieprzyjaciele byli poddanymi króla katolickiego. Że sami należeli do króla arcychrześcijańskiego, nie wątpili w to ani trochę. Naprzykrzano się im, zadawali ciosy: oko za oko, ząb za ząb, ty uderzasz, ja zabijam! Zresztą, cóż to szkodziło? Jednakże z czasem sytuacja uległa pewnej zmianie. Walcząc długi czas na lądzie i morzu, i przyzwyczajwszy się mieć zawsze do czynienia z tymi samymi przeciwnikami, z Hiszpanami jedynie, flibustierzy, dziedzice i spadkobiercy polujących na bawoły bukanierów, uzyskali na skutek swych zabiegów pomoc i zgodę różnych narodów Europy, wrogich Hiszpanii. Były to narodowości portugalska, zelandzka, angielska, lecz przede wszystkim francuska, ponieważ Francuzi od wielu lat byli najzaciętszymi wrogami Hiszpanów. Flibustierzy owi, jak sobie przypominali – byli przeważnie Francuzami, zanim zostali flibustierami. I wielu z nich obiecywało sobie wrócić do dawnej ojczyzny, o ile los łaskawy na to pozwoli. Po przeróżnych awanturach postanowili wszyscy prosić, aby dla ich siedziby na Tortue ustanowiono gubernatora francuskiego, którym został pan de Poincy, zarządzający wtedy wyspą Świętego Krzysztofa w charakterze generała zakonu kawalerów maltańskich.

Teraz osiedlili się tam flibustierzy. Mniej niezależni niż dawniej, pozornie poddani woli króla Francji, zachowali jednak dużo rzeczywistych swobód. A pomiędzy nimi najszacowniejsza była, oczywiście, swoboda zwalczania zawsze i wszędzie ich własnych nieprzyjaciół, nawet wtedy, kiedy ci przestali już być nieprzyjaciółmi króla Francji przez fakt podpisania traktatu gdzieś tam w Europie.

W podobnych wypadkach było to już rzeczą gubernatora flibustierów znaleźć jakiś wykręt, ażeby wszystko szło zgodnie z prawem. Pan d’Ogeron, następca po wielu innych, uczynił tę procedurę już bardziej wytworną. Sposobem, jakiego używał w tym roku, tysiąc sześćset siedemdziesiątym drugim, było dawanie korsarzom przywilejów korsarskich, podpisywanych w imieniu J. K. M. króla Portugalii, będącego wówczas w wojnie z Hiszpanią, świadectw zupełnie autentycznych, a których miał spory zapas, Bóg wie skąd.

– On ci to więc załatwi, Tomasz – zakonkludował na koniec swej przemowy Rudobrody. – Nie miej co do tego wątpliwości i udaj się do niego jak najwcześniej. Na początek trzeba, abys go pozdrowił siedmioma wystrzałami armatnimi, jak mu się to należy. Ja wracam na mojego „Flying Kinga” i spotkam się z tobą, aby wyruszyć pojutrze, skoro tylko wszędzie słońce. Po co tracić czas? Jeden dzień wystarczy dla zaopatrzenia się w wodę i prowiant do naszej wyprawy. Nie potrwa ona dłużej niż piętnaście dni.

Gdy szalupa Anglika odbiła od „Pięknej Łasicy”, rozległ się pierwszy powitalny wystrzał armatni. Angielski flibustier przy sterze łodzi podniósł wesoło swoją czerwoną brodę.– Na pokładzie tego przekłętego drania z Saint-Malo nie trzeba wielkiego zachodu, aby nabić armatę! – pomyślał.

Tymczasem Tomasz Trublet i Ludwik Guénolé patrzyli w stronę portu. Ludzie, wyszedłszy z domów, zgromadzili się na huk działa. Wkrótce jeden z mężczyzn, lepiej ubrany i noszący kapelusz z piórami, odłączył się od innych i podszedł aż na nabrzeże. Chłopcy z „Pięknej Łasicy” nie wątpili, że osobistość ta to nikt inny, tylko pan d’Ogeron, gubernator wyspy Tortue i wybrzeża San Domingo.

III

– Wiedźcie obydwaj – mówił kapitan Edward Bonny, zwany Rudobrodym, zwracając się do Tomasza Trubleta i porucznika Ludwika Guénolégo – że mniej niż czterysta mil morskich w kierunku południowo-zachodnim, przechodząc przez Cieśninę Zawietrzną i minąwszy wyspę Jamajkę, otwiera się i zagłębia w wielki ład zatoka, cała usiana wyspami. Nazywają ją Zatoką Honduraską. Niedaleko stamtąd rozciąga się kraj Kampešów, który stanowi część bogatego królestwa Nowej Hiszpanii, pełen złota, srebra, koszenili, kosztownego drewna, wybornego tytoniu i kakao, z którego robi się odżywczy napój, czekoladę. Są tam kwitnące miasta i silnie zbudowane porty, z których głównym jest Veracruz. Z pewnością byłoby dla nas awanturą nazbyt ryzykowną, z dwoma tylko statkami, liczącymi zaledwie stu sześćdziesięciu ludzi załogi, napadać na to lub owo potężne miasto. Zaproponowałbym ją wam pomimo to, z braku lepszego projektu, i wiem dobrze, że zgodziliby się na nią ludzie tacy jak wy, godni flibustierów. Ale, dzięki Bogu, nie ma potrzeby podejmować takiego ryzyka, aby się jednak wzbogacić jak należy. Posłuchajcie więc, co mam do zaproponowania: w głębi Zatoki Honduraskiej jest ujście rzeki, którą my, Awanturnicy, nazywamy rzeką Moskitów; otóż, na tej spławnej rzece Hiszpanie co roku zbroją i obsadzają załogą okręt towarowy o siedmiu lub ośmiu setkach ton, doskonały do przewożenia dużych ilości wszelkich towarów, oraz okręt eskortowy dla ochrony tamtego i również do przewożenia towarów – kosztowniejszych, a mniej zajmujących miejsca, którymi nie chcą obciążać okrętu towarowego: są to metale do bicia monet. Nie zapominajcie, że okręty towarowe są to wielkie statki o zaokrąglonych dziobach i rufach, zresztą dość dobrze uzbrojone, jeżeli tego potrzeba, a statki eskortowe są to po prostu fregaty strażnicze. W sprawie, która nas zajmuje, dowiedziałem się, że tego roku okręt towarowy z Zatoki Honduraskiej ma pięćdziesiąt sześć dział, a eskortowy tylko czterdzieści, ale największego kalibru. Ogółem dziewięćdziesiąt sześć sztuk, przeciwko dwudziestu ośmiu naszym. Podział, można powiedzieć, jest równy. Będzie dla nas korzystne, jeżeli, jak się spodziewam, weźmiemy się najprzód do okrętu towarowego, a do strażniczego potem, atakując każdy statek wspólnie. Taki jest mój plan.

– Przyjmujemy go – odpowiedział bez wahania Tomasz Trublet, mówiąc za siebie i za Ludwika Guénolégo.

Po czym Rudobrody pożegnał swoich współników z „Pięknej Łasicy” i wrócił na „Flying Kinga”. Następnego dnia rankiem oba okręty opuściły wyspę Tortue, biorąc południowo-zachodni kurs.

Obecnie stały one na kotwicy u brzegów wyspy Roatán, jednej z wysp Bahía, aby się opatrzyć w wodę i pilnować wyjścia okrętów strażniczego i towarowego, które nie mogły, wypływając z ujścia rzeki, nie zatrzymać się przy tej wyspie, zanim się udadzą na północ, aby minąć przylądek Catoche, którą prowadzi dobra droga do Europy. Tomasz z Ludwikiem siedzieli przy stole w mesie i kończyli obiad, składający się z twardego solonego mięsa, suchej fasoli, zwanej przez marynarzy francuskich fayot, i twardszych od mięsa sucharów. Po

posiłku Tomasz, jako dobry katolik, zaintonował pieśń Zachariasza, potem Magnificat. A Ludwik, śpiewając wspólnie, odmówił następnie Miserere. Taki był zwyczaj na okrętach korsarzy chrześcijańskich. Skończywszy modlitwy spojrzeli na siebie przyjaźnie.

– Gdy się śpiewa to, co śpiewają u nas w kościołach, człowiek czuje się mniej oddalony od kraju – powiedział kapitan.

– Tak – zgodził się Guénolé.

Nie powiedział nic więcej. Czoło jego marszczyła jakaś troska.

– Co ci jest? – spytał Tomasz, przyglądając mu się.

– Nic.

– No! Widzę przecież, że masz jakieś zmartwienie.

– Ależ nie.

– Tak? Do pioruna! Zdaje mi się, że między nami nie powinno być żadnych tajemnic.

– A więc dobrze! – rzekł Guénolé. – Skoro nalegasz, będę mówił. Gniewaj się potem, jeśli będziesz chciał. Otóż powiem ci, że całe to przedsięwzięcie, w które żeśmy się wpakowali, nie wydaje mi się godne katolików. Tomaszu! posłuchaj... i przemyśl to: co my, dobrzy i wierni chrześcijanie tutaj robimy, w towarzystwie tego Anglika, z pewnością niedowiarka i hugenota, jeśli nie gorzej? Idziemy ścigać i zwalczać Hiszpanów, dobrych i wiernych chrześcijan, jak my, i poddanych króla, który teraz jest przyjacielem naszego króla? Czy to słuszne? Kim zresztą są nasi zwykli wrogowie, wrogowie nas, mieszkańców Saint-Malo? Kim są ci, którzy sobie poprzysięgli, że jeżeli zdobędą kiedyś nasze miasto, nie zostawią w nim kamienia na kamieniu, aby pomścić w ten sposób klęski, jakie ponosili za każdym razem, gdy na nas napadli? Ty wiesz, Tomaszu! Ci ludzie to są Anglicy, a nie Hiszpanie. I skoro tego żądasz, powiem ci całkiem szczerze: jestem niezadowolony, widząc u mego boku okręt angielski, który ma być naszym sprzymierzeńcem.

– Cierpliwości! – rzekł Tomasz Trublet.

Postawił na stole dwa puchary pełne rumu z trzciny cukrowej, tego który sprzedają w całej Ameryce i w który się zaopatrzyli na Tortue.

– Cierpliwości! – powtórzył. – Najpierw wypij to!

Sam opróżnił swój puchar, po czym zaczął mówić:

– Posłuchaj, przyjacielu, wcale mnie nie gniewasz. Myślę tak samo, jak ty. Anglicy? Czy sądzisz, że żywię do nich inne uczucia niż ty? Możesz być pewny, że przyjdzie i na nich kolej, że będą celem dla naszych działań. Ale co się tyczy chwili obecnej, co robić, jeżeli przede wszystkim mamy wzbogacić naszego armatora i samych siebie? Nasza obecna wyprawa to zapowiada. Co szkodzi, że ci ludzie są hugenotami, a tamci katolikami, ci neutralni, a owi przyjaciele, skoro mamy przywilej korsarski przeciwko wszystkim, świadectwo dobre i zgodne z prawem? Daj spokój! Patrz na to, co będzie! A może nadejść wkrótce taki dzień, w którym staniemy się całkiem niezależni, kierujący się wyłącznie według swej woli i walczący przeciw komu nam się spodoba! Napelnił znowu obydwie puchary, ale Ludwik Guénolé nie pił.

– Co znowu? – zapytał Trublet. – Mów, druhu, otwórz serce!

– Tomaszu – Ludwik zniżył głos, rzucając na prawo i lewo niespokojne spojrzenia. – Tomaszu, jesteś dzielny, lecz czy nie boisz się, że diabeł może nas omotać złotymi sidłami? Niejeden już w nie wpadł. Święta Anno z Auray! Wysłuchaj mnie, Tomaszu...

Zniżył jeszcze głos, a Tomasz drgnął niespokojnie i dotknął dłońmi poświęconych medaliaków, zawieszonych na szyi.

– Wysłuchaj mnie. Otóż gdy byłem dzieckiem, matka zaprowadziła mnie na odpust w Plouguenast. Upłynęło już jakieś dwanaście lat od tego czasu. Była jesień i zaczynało się zmierzchać. Plouguenast, jeżeli wiesz, położone jest wysoko w górach, w głębi lasów. Są tam rzeki, lecz nie widzi się ich prawie nigdy z tego powodu, że płyną w wąskich korytach, przesłoniętych pobrzeżnymi dębami, paprocią, rosnącą między tymi drzewami i mchem u stóp

paproci. Wszystko to mówię, abyś zrozumiał dobrze, iż są to rzeki, gdzie człowiek może wpaść do wody, zanim się spostrzeże, że ma ją przed sobą.

...Matka prowadziła mnie za rękę po ścieżce, niezbyt wydeptanej, wiodącej w głąb lasu. A z pewnością nie brakło duchów w tym borze. Ale pomimo to wcale się nie bałem, możesz mi wierzyć... mniej się bałem niż teraz, szczerze mówiąc... a to ze względu na obecność mojej matki, której całkowicie ufałem. Trzymając się ręki matczynej, poszedłbym aż w sam środek koła czarownic, nie obrażając świętych Iwona i Ludwika, moich patronów...

Ale widzę naraz, że matka zatrzymuje się nagle i stoi, zamieniona, jakby powiedział nasz proboszcz, w słup soli. Spoglądam na nią i widzę, że nasłuchuje. Nasłuchuję więc także i słyszę... Tomaszu! To prawda, jak to, że obydwaj siedzimy tutaj... słyszę: pluf, pluf, pluf!”, głos, jaki się słyszy, gdy kobiety piorą w rzece bieliznę...

Tomasz w nagłym odruchu przeżegnał się.

– Wodnice? – spytał z nagle pobladłymi policzkami.

– Tak! To były one! Upewniło mnie w tym zachowanie się mojej matki. Nagle puściła moją rękę, zrobiła kilka kroków do przodu, schyliła się, jakby chciała przejrzeć leśną gęstwinię, potem odskoczyła, wzięła mnie znów za rękę i biegnąc bardzo szybko schroniliśmy się tam, skąd przyszliśmy, nie śmiać iść dalej, ani obejrzeć się poza siebie. Zresztą, jak trzeba w takich razach.

– Umarła w tamtym roku? – spytał Trublet.

– W tym samym miesiącu – odpowiedział Guénolé. – Tak więc to były one, zajęte wtedy, prawdopodobnie, praniem całunów śmiertelnych w świetle księżyca... Posłuchaj dalej: byłem wtedy zaledwie chłopakiem okrętowym, najgłupszym, być może, z naszej ulicy, ale jednak – pamiętam – kiedy usłyszałem ten głuchy odgłos: pluf! pluf! pluf! wodnic, poczułem, że jakiś dziwny, zimny dreszcz przenika mnie całego od stóp do głów, skręca mi nagle jelita, w szpik wdziera się chłód taki, że szron zimowy zdawałby się przy nim ciepły jak letni powiew... tak! Otóż, innego poranku, tego poranku, kiedyśmy przybyli na Tortue, gdy tylko ujrzałem tego Bonny Rudobrodego, niech go skarże Bóg i Wszyscy Święci!... i za każdym razem, kiedy, od tego fatalnego dnia, postawi on stopę na naszym pokładzie... wtedy... czuję jakby dotknięcie mokrą ścierką, ten sam straszny chłód, nigdy nie zapomniany od nocy wodnic. Ten sam chłód śmiertelnego grzechu i śmierci, ten sam chłodny lęk duszy potępionej i skazanej. Tomaszu! Z tego wszystkiego wyniknie wielkie nieszczęście!...

Tomasz Trublet przeżegnał się jeszcze po dwakroć. Pograżył się w zadumie.

– Ba! – rzekł wreszcie. – Niech się dzieje, co chce! Jest przecież wielka różnica między wodnicami, tymi strasznymi zjawami sprowadzającymi śmierć na każdego, kto je ujrzy, a człowiekiem z krwi i kości, którego codziennie widzi mnóstwo ludzi różnego rodzaju, i nikt nie czuje się przez to źle.

– Kto wie? – powiedział Ludwik Guénolé. – Przypuszczam, że ten prostak będzie złą wróżbą i zostawi wszędzie, gdzie tylko przejdzie, jakby posiew przekleństwa, a posiew ten, być może, nie wszędzie natychmiast.

– Ludwiku – odezwał się Tomasz – jesteś bardzo nabożny i kocham cię za to. Ale tutaj nie jesteśmy już u siebie, i z wyjątkiem naszych pustkowi, gdzie krążą czarownice, wodnice i wilkołaki, w żadnym innym kraju nikt, żyjący życiem rzeczywistym, nie spotka ludzi, którzy by byli złą wróżbą. Tym mniej: ludzie będący złą wróżbą, nie mogliby występować pod postacią uczciwych kapitanów korsarskich, ze statkami, działami i załogą, szukających pomocy i przymierza w zbyt dla nich ciężkiej walce.

– Niech będzie! – rzekł Ludwik Guénolé. – Obym się mylił i oby Rudobrody przynosił nam tylko złoto, coraz więcej złota...

Gdy powiedział te słowa, głucha i daleka detonacja wstrząsnęła lekko kilem „Pięknej Łasicy”. Kapitan i porucznik porwali się niezwłocznie z miejsc i wybiegli z mesy. Był to umówiony między nimi i Rudobrodym znak, że okręty nieprzyjacielskie już wypłynęły.

Chłopcy zaczęli się wdrapywać na wanty, skąd mogliby lepiej zobaczyć jeszcze niewidocznego nieprzyjaciela. Ale Tomasz Trublet jednym rozkazem powstrzymał ten powstający chaos.

– Gotuj się do walki! – krzyknął pełną piersią.

IV

Nie była to wcale bitwa wielka ani zbyt uporczywa. Oczywiście, okręty towarowe i strażniczy liczyły trzy razy więcej dział, niż mogły im przeciwstawić „Piękna Łasica” i „Flying King” razem wzięte. Także oddzielnie każdy z nich miał dużą przewagę nad połączonymi korsarzami. Ale można walczyć i walczyć. Hiszpanie, nastawieni na handel mieszczanie, kupcy i marynarze, nie obsługiwali dostatecznie sprawnie swoich dział i polegali w tym względzie na kontyngencie zabranych z sobą żołnierzy. Żołnierze ci nie byli liczni. Poza tym tańczący pokład okrętu był dla nich zdecydowanie mniej pewny niż ład stały – świadczył o tym najlepiej ogień z ich dział. Podczas gdy, przeciwnie, ogień korsarzy był wprost zadziwiająco celny. Okręt towarowy, ostrzeliwany ostro przez dwóch przeciwników, poddał się w znikomo krótkim czasie. Statek strażniczy, widząc to, chciał uciec na pełne morze. Ale „Piękna Łasica”, żaglowiec szybszy, dogoniła go, podczas gdy „Flying King” obsadzał swoimi ludźmi pierwszą zdobycz. Zręcznymi manewrami Tomasz trzymał się uparcie rufy hiszpana, dzięki czemu mógł go dosięgnąć tylko ogień z dwóch jego dział. Następnie, lawirując, zbliżał się i uderzał raz za razem w jego prawą lub lewą burtę. Osaczony w ten sposób statek strażniczy w obawie, aby okręt korsarski nie podszedł do abordażu⁸, zrezygnował szybko z walki i poddał się swemu losowi. Nie upłynęło jeszcze dwadzieścia minut, kiedy bandera hiszpańska została w pośpiechu ściągnięta z rufy. „Piękna Łasica” dobiła wtedy do poddającego się wroga i szepiła się z nim, z przesadną ostrożnością, dziobem do dziobu. Tomasz, skoczywszy na pokład zdobyczy, odebrał z rąk zwycięzonego kapitana szpadę, pośród pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu trupów, których wnętrzości pokrywały przejścia między pokładami.

Po czym nastąpił podział łupów.

Okazało się, że na okręcie towarowym zwycięzcy zdobyli dwadzieścia tysięcy ryz papieru i pewną ilość płótna, serży, wstążek i innych materii. Wszystko to stanowiło cenną wartość. Ale korsarze nie mogli z tego skorzystać. Wobec tego ci z „Flying Kinga” rzucili towary do morza, nie troszcząc się o to, że zdobyli je za cenę krwi, wielu bowiem pośród nich było rannych i kilku zabitych. Okręt strażniczy, przeciwnie, naładowany był tylko czystym srebrem w sztabach. I jakkolwiek nie znaleziono go tyle, ile się spodziewano, zdobycz była pomimo to p wiele lepsza i dająca pożądaną korzyść.

Wtedy między chłopcami z Saint-Malo wywiązała się sprzeczka. Jedni, przyznający udział w pościgu „Flying Kingowi” i jego kapitanowi, chcieli zatrzymać dla Anglików ich udział w sztabach srebra. Drudzy, uważający, że „Piękna Łasica” sama zaatakowała i wzięła okręt strażniczy, odmawiali „Flying Kingowi” innego udziału oprócz części okrętu towarowego, gdyż ten uległ dzięki wysiłkom obydwu sprzymierzonych korsarzy.

Od słowa do słowa sprzeczka przeszła w kłótnię i zdawała się jeszcze zaostriąć. Obydwie strony zaczęły sobie grozić. Tymczasem Tomasz Trublet i Ludwik Guénolé znajdowali się na pokładzie okrętu strażniczego, gdzie zajęci byli doprowadzaniem zdobyczy do porządku i zamknięciem więźniów w dobrze strzeżonym miejscu pod pokładem.

⁸ Sposób walki na morzu, stosowany powszechnie do XVIII w, polegający na szepianiu się dwóch walczących okrętów i na walce wręcz prowadzonej na pokładach przez obie załogi (przyp. red.).

Nagle, w chwili, gdy najmniej tego oczekiwano, na pokładzie „Pięknej Łasicy” rozległ się wystrzał z pistoletu. Ludwik Guénolé, który miał dozór nad pokrywą luku, mającą szczelnie zamknąć bandę zdrowych jeszcze i całych Hiszpanów, podniósł głowę i nadstawił ucha. Tomasz Trublet, znacznie szybszy, oderwał się od srebrnych sztab, które obliczał ściśle według ich wartości, i popędził po schodach aż na przedni kasztel okrętu strażniczego, aby od jednego rzutu oka zobaczyć, co też się mogło dziać na pokładzie jego fregaty.

I rzeczywiście zobaczył – załogę podzieloną na dwa wrogie obozy, które gotowe były przejść do walki wręcz. Człowiek z pistoletem, który podszedł dość blisko do jednego ze swych towarzyszy, stał pośrodku pokładu, a pistolet jeszcze dymiąc leżał u jego stóp, gdyż porzucił go, aby móc zwawiej dobyć szpady.

– Hola! – krzyknął Tomasz Trublet.

Skoczywszy z kasztelu na bukszpryt, z bukszprytu na niewielki żagiel umieszczony na jego końcu, czepiając się pociętej przez kule liny zwisającej z rei i posiłkując się nią jak huśtawką, aby przerzucić się z takielunku na takielunek, w cztery sekundy był na własnym pokładzie i wpadł w sam środek skłóconej gromady. Musiał być dobrym linoskoczkiem, obydwie bowiem okręty, złączone hakami, jakich się używa przy abordażu, kołysały się na fali jeden obok drugiego, lecz bynajmniej nie przylegały do siebie ściśle. Załoga, widząc naraz swojego kapitana bliżej niż chciałyby go widzieć, zdumiała się i pozostała na miejscu jak skamieniała. Człowiek z pistoletem, który przedtem krzyczał i gestykułował z podniesioną szpadą, pierwszy opuścił ramię i zamilkł, stojąc z rozdziawioną gębą.

– Co się stało? – spytał Tomasz.

Z wściekłego gniewu stał się blady. Jednak się hamował. Podczas trzech z górą miesięcy, które upłynęły od czasu wyjścia z Dobrego Morza aż do tej wygranej bitwy, która była pierwszą bitwą „Pięknej Łasicy”, na pokładzie nie było żadnego buntu. Tak więc chłopcy, jakkolwiek znali dobrze swego Trubleta i odgadywali w nim człowieka, który umie karać, kiedy tego zajdzie potrzeba, aż do tego dnia nie doświadczyli jego surowości. Byli przygotowani na najgorsze, ale widząc, że jest spokojny i nawet nie podnosi głosu, z początku prawie że się cieszyli.

– Co się stało? – powtórzył Tomasz Trublet wciąż tym samym tonem.

Jeden z nich, nabrawszy pewności siebie z powodu tej zimnej krwi, zaryzykował zbliżyć się nieco i wyjaśnić, o co chodzi. Był on z tej części załogi, która chciała podzielić całą zdobycz równo między oba zwycięskie okręty. Człowiek z pistoletem był w partii przeciwnej. Wysłuchawszy wyjaśnień pierwszego mówcy, tamten, nie myśląc włożyć szpady do pochwy, zbliżył się również i zaczął wyklądać swoje racje.

Tomasz Trublet, słuchając obydwu stron, nie okazywał niezadowolenia. Nie odpowiedział jednemu ani drugiemu. I obydwaj marynarze nagle tym zaniepokojeni, bełkotali jeszcze coś, potem ucichli.

– To wszystko? – zapytał Tomasz patrząc na nich.

Pokiwali twierdząco głowami, coraz bardziej niespokojni, i nie bez powodu.

Nie bez powodu! Tomasz bowiem, nie robiąc kroku na prawo ani na lewo, położył obydwie ręce na rękojeściach pistoletów, które miał za pasem. I nagle, wyciągając je razem i kierując do jednego i drugiego uzbrojone ręce, dał dwa strzały tak szybko, że usłyszano tylko jeden odgłos, i tak celnie, że obydwaj ludzie padli z jednakowo rozbitymi głowami.

Wtedy Trublet ze skrzyżowanymi rękami cofnął się aż do burty i oparł się o nią plecami, twarzą do wszystkich. Nikt oprócz niego nie ruszył się i wszyscy spoglądali nań z lękiem.

– Zabiłem dwóch z was! – zawołał. – Zabiję dwudziestu albo czterdziestu. Lecz wiedźcie, że dopóki ja żyję, na moim pokładzie buntu nie będzie. Ci, którzy by przeciwko temu uchybili, zapoznają się z moim pistoletem, który nie chybia. Wszyscy na swoje miejsca! A co do podziału zdobyczy, to ja tu jestem panem i zrobię tak, jak będę chciał.

Dwa broczące krwią trupy leżały na pokładzie. Wskazał je palcem.

– A to ścierwo żeby mi zawieszono w tej chwili na noku rei. Niech wszyscy poznają moją sprawiedliwość! Jazda!

Chłopcy spełnili niezwłocznie ten rozkaz.

Tomasz Trublet, pozostawszy sam na środku pokładu, podniósł wzrok, aby przyjrzeć się temu, co nazwał swoją sprawiedliwością. I w takiej właśnie pozycji zastał go Ludwik Guénolé, powróciwszy, po należytych wywiązaniu się z zadania, ze zdobytego okrętu.

Gniew Tomasza był podobny tym rzekom, które wzbierają powoli, niewidzialnymi falami, lecz które pomimo to wzdymają swe wody groźniej niż rwące potoki, straszliwiej wychodzą z brzegów i zatapiają większe połacie kraju i na dłużej. Gniew Tomasza Trubleta, w tym wypadku, rósł dalej i wzmagał się, nawet kiedy już cień buntu był zanikł. I kiedy Ludwik Guénolé, zbliżywszy się do niego, uważał, że najlepiej będzie go przywitać słowami:

– Zaiste, dobrze uczyniłeś!

Tomasz odpowiedział mu jedynie jakimś dziwnym rykiem:

– Zamilcz!

Porucznik zamarł więc w bezruchu nie śmiać nic więcej powiedzieć.

Dopiero po upływie dość długiej chwili Tomasz opanował wściekłość na tyle, że mógł zacząć mówić.

– Jak myślisz? Zrobiłbym lepiej, powiesiwszy ich z tuzin? – zapytał przyjaciela.

– Ech! – odparł Ludwik – mamy ich wszystkiego tylko stu! Zresztą, bili się dzisiaj dzielnie i zasługują na pobłażliwość. Pamiętaj także, że ten ich bunt nie był przeciwko tobie.

– Na krew Zbawiciela! – zawołał Trublet. – W dniu, w którym byłoby inaczej, tą oto ręką wysadziłbym cały okręt w powietrze!

– Dobrze! – zgodził się spokojnie Guénolé. – Po tym wszystkim, jaka jest twoja wola odnośnie podziału zdobyczy?... Ale oto flibustier złapał wiatr w żagle i kieruje się tutaj – zauważył spoglądając na morze. I dorzucił przez zęby:

– Powiedziałem ci już kiedyś, że ten podły pies przyniesie nam nieszczęście! – Tu przeżegnał się.

A Tomasz Trublet pograżył się w myślach.

– Co do podziału łupów – odezwał się wreszcie – należą się one tylko nam, gdyż my sami je zdobyliśmy. Ale to Rudobrody był naszym przewodnikiem w tym przedsięwzięciu, powinien zatem otrzymać nagrodę. Postanowiłem tak: trzecia część srebra dla naszego armatora i trzecia część dla dostawcy żywności, po potrąceniu wydatków, jakie mieliśmy na Tortue i gdzie indziej.

Z pozostałej trzeciej części, części należnej nam i naszym chłopcom, biorę tylko twój udział i mój, a resztę dam Anglikowi wraz z kadłubem okrętu strażniczego. Należy mu się to. A chłopcy zostaną ukarani za rebelię. Jeżeli chcą się wzbogacić, będą musieli nadal walczyć!

Zrobiono więc tak, jak powiedział Tomasz Trublet. I nikt na „Pięknej Łasicy” nie ośmielił się powiedzieć słowa sprzeciwu. Zresztą bardzo się dziwiono. Edward Bonny, zwany Rudobrodym, zadowolony ze swej części, rozpląwał się wszędzie w szumnych pochwałach dla chłopców z Saint-Malo, szczególnie zaś dla ich przywódcy. Dowiedzieli się o tym wszyscy flibustierzy. Od tego dnia rozpoczęła się wielka sława Tomasza Trubleta, która wkrótce rozciągnęła się na całe Antyle.

V

W ciągu jednego roku 1672 „Piękna Łasica” krążąc tu i ówdzie po całych Indiach Zachodnich, zagarnęła korzystnie cztery holenderskie okręty kupieckie, a były to: „Krokodyl”, wiozący kakao, wzięty koło wybrzeża Curaçao; „Mosa”, z ładunkiem koronek i innej manufaktury, wzięty w drodze powrotnej z Niderlandów; „Draak”, który wracał do Rotterdamu, kiedy

Tomasz Trublet spotkał go niedaleko Puerto Rico, i „Marten Harpetszoon Tromp”, który musiał ściągnąć swoją banderę o jaką milę od wyspy Aruba, gdzie z pewnością znalazłby pomoc, gdyż wyspa ta należy do Zjednoczonych Prowincji. Jednak, trzeba to przyznać, na dwóch ostatnich statkach zdobycz była niewielka. Lecz „Pięknej Łasicy” poszczęściło się lepiej przy zdobyciu pięciu okrętów hiszpańskich: „Ciudad de Cadiz”, pełnego tytoniu i szarej ambry, który ruszył trzy dni przedtem z Bahía de Campeche i kierował się do Cieśniny Florydzkiej; „Dorado”, który był tylko długim barkiem, lecz bogato naładowanym koszenilą, towarem wielkiej wartości, a zajmującym mało miejsca; „Grazia de Dios”, który wyszedł -z Malagi w Hiszpanii, dobrze zaopatrzony w andaluzyjskie tkaniny różnych gatunków dla hawańskiej wyspy Świętego Krzysztofa; „Espada”, załadowanego drewnem kampezowym, a także niewielką ilością srebra w sztabach, pochodzącego z kopalń Meksyku, i – aby zakończyć najlepszym – fregaty „Armadilla”, uzbrojonej w dwadzieścia cztery działa, która ochraniała na rzece Hache czternaście barek poławiaczy perel, również zagarniętych przez Tomasza Trubleta. Znajduje się tam rzeczywiście miejsce obfitych połowów perel, eksploatowane przez Hiszpanów przy pomocy niewolników-nurków i skąd połów zawożą do Cartageny w Nowej Granadzie. Eksploatacja ta trwa co roku od października do marca, ponieważ w tym okresie zimy wiatry i prądy morskie są słabsze na całym tym wybrzeżu. Oto dlatego Tomasz Trublet postanowił zaatakować „Armadillę” w lutym, przy końcu okresu połowu. I w ten sposób zdobył mnóstwo perel różnych rozmiarów, dużych wprawdzie w mniejszej ilości, lecz dostatecznej, aby stanowić bardzo wielki majątek. Kiedy „Piękna Łasica” następnie rzuciła kotwicę na Tortue, wywołała tą zdobyczą powszechne zdziwienie, w tym także gubernatora d’Ogeron. Ten ostatni zresztą dostarczywszy swego czasu korsarzowi jeden z dwóch patentów korsarskich, miał swój okazały udział w zysku. Lecz nikt bardziej od niego na to nie zasługiwał, gdyż był to człowiek poczciwy, kochał dzielnych ludzi i wyświadczał im stale różne przysługi, jakże więc oni mogliby dopuścić, aby mu czegoś brakowało?!...

Przyszły lata następne, 1673, 1674, 1675, które nie były mniej owocne. Powoli do wszystkich armatorów hiszpańskich i holenderskich, trudniących się handlem z Indiami Zachodnimi dotarła wieść o „Pięknej Łasicy” i jej kapitanie. Krążyły budzące przerażenie wersje, że obecnie obok zwykłych flibustierów spotkać można innych korsarzy, jeszcze okropniejszych, którzy przybywszy z Saint-Malo grasują na Zatoce Meksykańskiej i Morzu Karaibskim, od Veracruz do Maracaibo i od Wysp Zawietrznych aż do głębi Zatoki Honduraskiej, stanowią zagrożenie tak wielkie, iż żaden statek kupiecki nie może puścić się na słoną wodę. W rzeczywistości wszyscy ci korsarze, których każdy z kapitanów owych statków ze strachu liczył na tuziny, sprowadzali się do jednego jedynego Tomasza Trubleta. On to, wiedząc lepiej niż ktokolwiek, gdzie i kiedy płynąć, aby zdobycz była najobfitsza, a mając tylko jedną fregatę, istotnie pracował za dziesięć. W ten sposób usprawiedliwiał najsluszniej w świecie zarówno postrach, jaki szerzył wśród swych przeciwników, jak i zaufanie, którego nie przestawał mu okazywać jego armator, kawaler Danycan, doskonale powiadomiony o tym oraz o tysiącu innych rzeczy.

Podczas tych lat trafiała się wiele razy okazja powrotu do Saint-Malo, gdzie Tomasz Trublet mógł się zjawić jako człowiek bogaty, jednak nie chciał nigdy z niej skorzystać. Nie dlatego, aby dla obecnego swego awanturniczego życia powziął wielką namiętność, jaką przejawiają niektórzy flibustierzy, co to raz spróbowałszy morza, walk i rabunków, nie chcą się ich nigdy wyrzec, napadając na kupieckie okręty na przekór dobremu i złemu losowi, aż do śmierci. Tomasz Trublet nie zaliczał się do tego rodzaju straceńców, i choć odważniejszy może od niejednego z nich, jak każdy mieszkaniec Saint-Malo marzył o innym końcu, niż ten, jaki zazwyczaj spotyka najlepszych flibustierów, a więc śmierć gwałtowna od ognia, żelaza lub powroza nieprzyjacielskiego. Tomasz dla siebie samego, Ludwika i wszystkich swoich ludzi pragnął, przeciwnie, pogodnej śmierci ludzi, którzy konają w swoim własnym łóżku, w

pościeli z delikatnego płótna i pośród zalanej łzami rodziny. Życzył sobie także, aby to przyszło bardzo późno i aby przedtem on i jego ludzie mieli czas radości i używania bogactw, które nagromadzili dzięki swemu męstwu i w sposób zgodny z prawem.

A jednak, chociaż pragnieniu temu sprzyjały okazje do odwiedzenia dalekiej ojczyzny, obiecujące przyjemność wyładowania samemu na poczciwym nabrzeżu Dobrego Morza zdobytych w walce towarów lub równą tej przyjemność rzucenia na stoły wesołych szynków przy Głównej Ulicy wielkich sztuk złota, zagrabionych na statkach hiszpańskich – pomimo to Tomasz Trublet nie korzystał z nich, a upływał właśnie czwarty rok kampanii. Już dziesięć razy „Piękna Łasica” z zamulonym i ociążalym od ślimaków i wodorostów kadłubem, zmuszona była oczyszczać dno, co wymagało podróży do południowych Cayos, wysepek u wybrzeży Kuby. Tam, pod nosem samych Hiszpanów, fregaty flibustierów dokonywały wszystkich drobiazgowych remontów, gdyż było to miejsce na Antylach najlepsze i jedyne, gdzie morze nigdy nie jest wzburzone. Po każdym takim zabiegu „Piękna Łasica” wychodziła w morze, udając się na kolejne wyprawy.

W tym czasie pole działania korsarzy rozszerzyło się. Król Ludwik XIV prowadził walkę nie tylko już przeciw samej Holandii, lecz niemal przeciw całej Europie, przeciw jednemu państwu po drugim. Od końca 1672 walczył z Hiszpanią, wkrótce potem z Danią, następnie z elektoratem Brandenburgii i wreszcie z Cesarstwem. Odtąd każdy statek, który nie miał bandery francuskiej lub angielskiej, mógł być tylko statkiem nieprzyjacielskim. Dla Tomasza było wygodne i korzystne ściganie każdego rozwiniętego żagla bez zadawania sobie trudu patrzenia najpierw przez lunetę i wytrzeszczania oczu dla wyszukania koloru lub rysunku flagi. Korsarstwo stało się przez to zawodem jeszcze atrakcyjniejszym. I nawet ci najbardziej niecierpliwi, żądający powrotu do kraju kompani, widzieli w tym argument za przedłużaniem wyprawy, której powodzenie rosło bez przerwy.

Tomasz był człowiekiem zręcznym i ostrożnym, umiejącym dbać o interesy zarówno armatora i dostawcy, jak i korsarskiej załogi. Flibustierzy, z braku cierpliwości i porządku, bardzo często tracili cały rezultat doskonałego przedsięwzięcia. Ich lenistwo, wstręt, jaki mieli do robienia czegokolwiek jedni dla drugich, były tego przyczyną. Ich zwykła rozrzutność szkodziła im także. Nagminnie zdarzało się, że na skutek lekkomyślności i pośpiechu przy sprzedaży zagrabionych towarów przyjmowali najniższą cenę, albo, wściekli, rzucali do morza cały ładunek. Tomasz, lepszy finansista, osiągał zawsze dobre dochody ze swoich zdobyczy. Nie potrzebując nigdy pieniędzy i zachowując pośród załogi najściślejszą i najostrzejszą karność, odrzucał wszystkie oferty niedogodne i sprzedawał swój towar drogo. Za uzyskane stąd pieniądze zawsze usłużny pan d’Ogeron dawał mu listy zastawne, płatne we Francji – i w ten sposób armator Gaultier Danycan, nie opuszczając Saint-Malo, mógł do woli korzystać z udziałów w zdobyczy i cieszyć się z powodzenia swojej fregaty i ze szczęśliwego pomysłu, jakim okazało się mianowanie Tomasza Trubleta kapitanem.

Nadszedł rok 1676. Pewnego wiosennego wieczoru „Piękna Łasica” krążyła po morzu, szukając przygody. A ponieważ była piękna pogoda, morze spokojne i wiał tylko słaby wietrzyk, Tomasz i Ludwik Guénolé wypoczywali po obiedzie w obszernej kabinie w kasztelu na rufie. Przez okna, szeroko otwarte na powiew zmierzchu, wpadały ostatnie promienie słońca. Było pięknie. Niebo usiane obłoczkami, z których każdy zdawał się różową wysepką mknącą po lazurze, odbijało wszystkie barwy zachodu, a morze płonące ogniem słońca, które jakby w nie zapadało, rozrzucało wokół fregaty tańczące błędne fale, podobne płomieniom.

– Oto widowisko – powiedział Tomasz spoglądając przez okno – jakie nieczęsto mogą obserwować mieszkańcy Saint-Malo z wysokości wałów naszego miasta!

Sprawiło mu przyjemność częste mówienie o kraju i, jakby dla usprawiedliwienia swojej obojętności i niechęci do powrotu, sprawiło mu również przyjemność chwytanie okazji do

przenoszenia ponad kraj rodzinny, który jednak kochał gorącą miłością, tych różnych miejsc, gdzie kazało mu błdzić rzemiosło korsarskie.

– To prawda – przyznał Ludwik Guénolé – że u nas zachody słońca nie są tak wspaniałe. Zresztą nie sądzę, aby obecnie pogoda w Saint-Malo była mniej piękna. Jednakże zdaje mi się, że deszcz na ziemi rodzinnej wart tyle samo lub więcej, niż słońce na ziemi obcej.

Nie pozwalając sobie nigdy na żadną dyskusję z wolą kapitana Ludwik Guénolé, Bretończyk czystej krwi, dławił w sobie gorycz, która w nim rosła, w miarę jak przedłużało się oddalenie od Bretanii. I sama myśl o rozległych moczarach, o dżdżystych mgłach, padających na wrzosa i janowce ścisnęła mu serce jakimś słodkim i smutnym niepokojem.

Tego dnia tęsknota za deszczem bretońskim stała się tak dojmująca, że nie był w stanie powstrzymać łez, i aby je ukryć przed wzrokiem Tomasza, oparł się szybkim ruchem o parapet okna, udając, iż zajmuje go widok nieba i morza. Tomasz jednak zobaczył te łzy.

– Ludwiku! – zawołał nagle – spójrz na mnie!

Ludwik, któremu wieczorny wiatr zdążył już osuszyć oczy, zwrócił się do kapitana i zrobił wysiłek, aby się uśmiechnąć.

– Do diabła! – zaklął Tomasz. – Co to ma znaczyć?! Przez cztery lata byłeś najdzielniejszym i najczynniejszym z moich ludzi. Nie chciałbym, nawet za trzy udziały najpiękniejszej zdobyczy, aby w twoim sercu gościł smutek albo gniew, z wyjątkiem gniewu przeciw nieprzyjaciołom króla i Saint-Malo. Nie płakałeś bez powodu. Jaki masz kłopot, mów! Czy naprawdę dręczy cię tak mocno tęsknota za krajem? Czy tak bardzo życzyłybyś sobie zobaczyć swoją parafię, że pozbawia cię to na chwilę męskości?

Podniósł się i, stojąc twarzą do Ludwika, którego przewyższał o głowę, oparł szeroką dłoń na jego ramieniu. Guénolé, ongiś drobny i wątyły, z długimi czarnymi włosami i gładkimi policzkami, podobnymi do włosów i policzków dziewczęcych, oczywiście zmężniał i opalił się, pływając tak długo wśród burz i wichrów i uczestnicząc w tylu bitwach, gdzie proch bez przerwy smalił twarz. Mimo to pozostał szczupły i delikatny, szczególnie w porównaniu z Tomaszem, który zawsze był nadmiernie wielki i tęgi.

– Mów! – nalegał Tomasz, lecz Ludwik z początku nie chciał wyznać prawdy.

– Kto z nas nie chciałby zobaczyć swojej parafii? – powiedział wymijająco. – Pewnego poranku cztery lata temu minęliśmy Eperon i wyszliśmy z Dobrego Morza, aby tutaj szukać szczęścia. Któż z nas zatem mógłby narzekać, skoro fortuna uśmiechnęła się do nas i obecnie jesteśmy bogaci?

Tomasz potrząsnął głową.

– Z nas obu ja jestem półkrwi Normandczykiem, a jednak dzisiaj ty pozujesz na Normandczyka i odpowiadasz mi wykrętnie, po normandzku. Przecież widziałem, jak płakałeś. Bądź szczerzy: co cię smuci? Ja wiem, do licha, że będzie już wkrótce cztery lata, jak opuściliśmy nasze miasto po to, aby się wzbogacić, ale wiem także, że podczas tych czterech lat trafiały się różne okazje, kiedy mogliśmy powrócić z wielkimi honorami, aby wypłynąć znowu i zaokrąglić naszą fortunę. Czy żałujesz tych okazji? Powiedz, bracie, gdyż uważam cię za brata po mieczu i przelanej krwi, bo tyle razy, gdyśmy walczyli ramię w ramię, ta sama szpada lub ta sama pika rozdzierała nam skórę. Powiedz – powtórzyl – i niech mi Najświętsza Panna Wielkiej Bramy odmówi na zawsze swojej opieki, jeżeli nie będziesz ze mnie dzisiaj zadowolony!

Ośmielony i zachęcony w ten sposób Ludwik zdecydował się mówić:

– Wiem, Tomaszu, że jesteś człowiekiem dobrym, mądrym, zarówno rozsądnym jak i dzielnym – zaczął od pochlebstw, lecz zaraz przystąpił do rzeczy. – Wraz ze mną żałuje oczystego kraju także wielu chłopców na pokładzie. I ty wiesz o tym. Jeżeli więc po tylu pięknych zdobyczach, po „Armadilli” i wielu innych dostatnio naładowanych okrętach, które zagarnęliśmy, żadna okazja powrotu do kraju nie wydała ci się dobra, to może znaczyć, że nig-

dy nie chcesz z niej skorzystać. Jednak nie tracimy nadziei i cierpliwie oczekujemy godziny, którą ty wybierzesz. Nasze prawo ciebie stanowi tutaj pierwszym po Bogu.

– Posłuchaj, Ludwiku – powiedział Tomasz poważnie – często byłem wobec ciebie zły lub niesprawiedliwy, a winien ci jestem braterską miłość i wdzięczność. Winien ci także jestem pewne wyjaśnienia...

Zamilkł na chwilę.

– To prawda – podjął – że mieliśmy moc okazji powrotu do kraju. Jeżeli z nich nie skorzystałem, pomimo wyraźnego życzenia całej załogi, to dlatego, że miałem poważne osobiste powody, aby pozostać jak najdłużej na morzu. Otóż nie mogę wrócić do Saint-Malo, dopóki tam wszyscy nie zapomną o pewnej sprawie. Nie będę niczego krył przed tobą: cztery lata temu, bezpośrednio przed naszym wyjściem w morze, zabiłem w pojedynku człowieka, a trupa jego rzuciłem przez mur Trzech Cmentarzy. I z wieści, jakie dochodziły do mnie od tego czasu z kraju wynika, że z pojedynku tego, który nie miał świadków i który źli ludzie nazwali zbrodnią, czyniono by mi jeszcze dziś zarzuty, gdybym powrócił, pomimo naszych bogactw i sławy, jakie zdobyliśmy... Wiesz wszystko. Lecz choćbym miał zostać sam na Tortue do końca moich dni, przysięgam ci, jak chcę być w niebie, że przyjdzie czas, gdy zaprowadzisz beze mnie „Piękną Łasicę” na Dobre Morze i następnie, jeżeli serce ci to nakáže, powrócisz.

Skończywszy to przemówienie opowiedział Ludwikowi ze wszystkimi szczegółami tamtą tragiczną przygodę, w której śmierć z jego ręki poniósł Wincenty Kerdoncuff, lecz opowiadając to pominął jednak prawdziwą przyczynę zwady, mianowicie historię z siostrą nieboszczyka, o której Tomasz do dziś nie wiedział, czy istotnie spodziewała się dziecka.

– Czy ten Wincenty nie był przypadkiem bratem Anny Marii, tej, o której gadano coś w związku z tobą? – zapytał, gdy Tomasz skończył.

– Ten sam – odparł Trublet, mocno się czerwieniąc.

– A więc – podjął Guénolé – czy myślisz, że jego rodzina prześladowałaby cię, gdybyś, oddając im siebie za niego, poślubił siostrę, płacąc w ten sposób za zabójstwo brata?

– Lecz... – Tomasz zamyślił się – czy sądzisz, że oddano by mi jego siostrę, nie zważając na krew, którą się splamilem?

– W tym właśnie rzecz – rzekł Ludwik Guénolé. – Dziewczyna jednak, o ile wierzyć temu, co mówiły nasze pocziwe kumoszki, była w tobie mocno zadurzona.

– Upłynęły już cztery lata od tego czasu – powiedział Tomasz.

– To prawda – odparł Guénolé – lecz miłość może trwać cztery lata, tak samo jak nienawiść. Ażeby się tego dowiedzieć, najpewniej byłoby zbadać sprawę na miejscu. I jeżeli chcesz, zaprowadzę fregatę do Saint-Malo, a ty pozostań tutaj. Dowiem się tam wszystkiego i wrócę.

– Zróbmy tak więc, z Bożą pomocą. Przedtem jednak musi nam się trafić jedna dobra zdobycz, która zapełni nasze ładownie – zakończył Tomasz.

Podczas gdy tak gawędzili, słońce zanurzyło się w morzu i szybka tropikalna noc pokryła niebo i wodę. Wówczas, jak to się działo każdego wieczoru, rozległ się gwizd zwołujący załogę do apelu, po którym wszyscy marynarze, z wyjątkiem wachtowych, mogli rozłożyć swoje legowiska czy hamaki i udać się na spoczynek. Ale przedtem ustawiali się w szeregu pod grotmasztem, aby odmówić wspólną modlitwę, co na morzu było powszechnym marynarskim zwyczajem. Kiedy chłopcy byli już w komplecie i gdy niosący latarnie przez szacunek podnieśli je aż ponad głowy – pełniący urząd kapelana porucznik Ludwik Guénolé podszedł do schodni rufowego kasztelu i pobożnie odmówił „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”, aby podczas nocy fregatę zachować od niebezpieczeństwa skał podwodnych i od wszelkich sztormów.

VI

– Przedtem jednak musi nam się trafić jedna dobra zdobycz, która zapełni nasze ładownie – powiedział do Ludwika Tomasz Trublet.

Otóż podobne zdobycze nie trafiały się codziennie. W roku 1676 korsarstwo osiągnęło swoje apogeum. Sam gubernator d'Ogeron zachęcał do wypraw przeciwko wrogom króla, by, jak mówił, oczyścić całe Indie Zachodnie od wszystkich innych flag poza tymi, na których widniał kwiat lilii. Sześć miesięcy temu Curaçao zostało zaatakowane przez koalicję Awanturników, która przysłała w sukurs armii królewskiej, prowadzonej przez straż przybrzeżną Martyniki. Takie łączenie się w celu dokonywania wspólnych napadów na nieprzyjacielskie wyspy lub miasta wkrótce weszło w zwyczaj. Zwłaszcza że ściganie na własną rękę statków kupieckich dawało mizerne rezultaty, ponieważ Hiszpanie i Holendrzy, zmęczeni stratami, jakie ponieśli, zaczęli ograniczać handel.

W ciągu dwóch miesięcy „Piękna Łasica” krążyła po morzu, nie znajdując na swej drodze statku, który by godny był paść jej łupem. W końcu Tomasz, uważając, że log wykazuje mniejszą prędkość niż powinien i że niezbędne jest oczyszczenie dna, zdecydował, iż trzeba odbyć podróż po południowym Cayos. Mijając przylądek Tiburon, położony na zachodnim cyplu San Domingo, fregata przez jakiś cudowny przypadek wpadła na to, czego szukała daremnie tak długo.

Było to wczesnym rankiem. Wachtowy, który dopiero co wszedł na bocianie gniazdo, zawołał nagle, że na trawersie ukazał się jakiś żagiel. Chłopcy pośpieszyli wdrapać się na wanty fokmasztu i wytrzeszczali oczy, aby coś zobaczyć. Stamtąd istotnie ujrzeli go. Sygnalizowany żagiel był dość blisko. Lecz źle oświetlony przez wschodzące słońce rysował się niewyraźnie na ciemnej ścianie wybrzeża, tak że trzeba było mocno wysilać wzrok, aby go tam odkryć. Ludwik Guénolé, skierowując wkrótce gdzie należy lunetę, oznajmił, że okręt przebrasowuje reje, bez wątplenia również w zamiarze okrażenia przylądka Tiburon.

– Co to za okręt? – zapytał Tomasz, wychodząc w tej chwili z kasztelu na rufie.

– Bardzo duży – odpowiedział Guénolé.

– Tym lepiej! – zawołał Tomasz – będzie lepsza zdobycz!

Ludwik Guénolé nie odrywał oczu od lunety. Bardzo uważnie badał okręt.

– Co widzisz? – zapytał znowu Tomasz

– Bardzo wysoki kadłub, pomalowany na czerwono, żółto, niebiesko i biało, i doskonale omasztowanie z nowymi żaglami – odpowiedział po pewnym czasie.

– Czyżby to był okręt wojenny?

– Zdaje mi się, że tak – powiedział Guénolé i podał lunetę Tomaszowi.

– Świetnie! – zawołał Tomasz przyjrawszy się okrętowi. – Tego wieczoru, jeśli nasi święci patroni będą łaskawi – wzbogacimy się. Jednak nic nas nie nagli, są na takim kursie, że nie mogą nas uniknąć. Pożywimy się więc nieco, zanim zaczniemy walczyć: będziemy rażniejsi i zwycięstwo przyjdzie nam łatwiej.

Spotkało się to ze zgodą wszystkich, i załoga pobiegła do kambuza, aby zdobyć coś do jedzenia. Zostawszy sam ze swoim porucznikiem, Tomasz Trublet położył mu nagle ręce na ramiona.

– Ludwiku – powiedział poważnie – zbliża się groźna przygoda... To wszystko, cośmy robili od czterech lat, jest wobec niej jedynie igraszką. Ten okręt to niezły orzech do zgryzienia.

Nie odpowiadając ani słowa, Ludwik skinął głową.

– Ten przeklęty gmach – podjął Tomasz – jest okrętem liniowym o dwóch pokładach, i chyba się nie mylę, że drobnostka, którą zatknął na grotmaszcie, ma oznaczać, iż na pokładzie znajduje się ważna osobistość. Jakiś admirał, bez wątplenia. A my jesteśmy zbyt nędzną skorupą, aby zarzucać sieci na tak grubą rybę.

Nadal milcząc, Guénolé znowu potwierdził ruchem głowy.

– Myślisz tak samo? – spytał Tomasz, badając bladą twarz porucznika, który nigdy nie był spokojniejszy, jak w momentach najgorszego niebezpieczeństwa. – Czy zatem nie sądzisz, że byłoby lepiej unikać tej awantury? Czy może chcesz tym razem jeszcze zaryzykować wszystko razem ze mną?

– Rozkazuj! – rzekł Guénolé. – Będę słuchał.

Tomasz spoglądał na puste morze.

– Gdyby – zamruczał – było jeszcze kilku flibustierów, aby można wspólnie przystąpić do tej bitwy... Gdybyż tu był Rudobrody!

Na dźwięk tego imienia, którego nie znosił, Ludwik Guénolé przeżegnał się cichaczem. Tomasz wahał się jeszcze:

– Co mi radzisz? Odpowiedz!

– Nic – odparł chłodno Ludwik Guénolé. – Rób jak chcesz. Jesteś zwierzchnikiem.

Marynarze wyszli na pokład. Kilku z nich kończyło żuć okruchy sucharów, które przedtem w pośpiechu rozbili o kolana i powkładali do kieszeni. Tomasz patrzył w ich twarze. Dzięki męskiej odwadze tych chłopców wygrał dwadzieścia bitew. I w całym tym rejonie nie było hiszpańskiego czy holenderskiego kapitana, który nie drżałby na samo imię „Pięknej Łasicy”, „diabelskiego okrętu”, jak go nazywali. Duma wojenna napęłniła serce kapitana. Stał na trapecie prowadzącym do kasztelu na rufie. Zeskoczył na pokład, podbiegł do marynarzy, wziął dwóch z nich za ramiona i zawołał ze wszystkich sił:

– Bracia Wybrzeża! Słuchajcie mnie wszyscy! Jest nas stu, nieprzyjaciół, być może, jest tysiąc. My mamy dwadzieścia dział osiemnastofuntowych, oni pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt dwudziestoczerofuntowych albo trzydziestosześciofuntowych. Od uderzenia ich kul burty nasze, zbyt cienkie, popękają jak kasztany w ogniu, a nasze kule nie przebiją tego potężnego kadłuba. Byłoby rozsądniej i mądrzej cofnąć się i zostawić ten okręt, aby płynął swoją drogą... nie zważając, że jest napęłniony złotem od dna aż po górną baterię! Jest to bowiem jedna z galeon Nowej Hiszpanii, opatrnościowo odłączona od swojej floty... Mówię: opatrnościowo, zważywszy, że Opatrzność przeznaczyła ją na to, aby była największym łupem dla odważnych, którzy ją zaatakują, i największym wstydem dla tchórzów, takich jak my, jeśli jej pozwolimy zbiec. Co o tym sądzicie?!

W całkowitym zdumieniu chłopcy milczeli, rzucając na kapitana spojrzenia spode łba. Lecz dwóch z nich, którzy przez furtę działową mieli czas przyjrzeć się hiszpańskiej galeonie, zwróciło się z oburzeniem do swoich kompanów i zawołało:

– Tchórze i zdrajcy ci, co zawahają się zaatakować okręt pełen złota!

I w tej samej chwili na całej fregacie podniósł się krzyk, cała bowiem załoga zbiegła się na pokład:

– Do boju! Do boju!

Tomasz, czerwony z radości, puścił dwóch ludzi, których trzymał:

– Tak więc wszyscy, ilu was tu jest, chcecie walczyć? – zapytał.

Zaryczeli jak jeden mąż:

– Tak!

– Załatwione! – powiedział Tomasz i zwrócił się teraz również do Ludwika. – Bądź mi świadkiem i wy wszyscy wraz z nim – oświadczył uroczyście. – Przysięgam na Chrystusa z Ravelinu, na Najświętszą Pannę Wielkiej Bramy, na świętego Malo, świętego Wincentego i świętego Tomasza, że zabiję własnymi rękami każdego, kto by się cofnął w tej bitwie!

Wielu chłopców przeżegnało się. Przysięga ta przstraszyła ich. Było to najstraszliwsze zaklęcie, na jakie ośmielił się Tomasz Trublek. Zwykle bowiem wzywał on świadomie tylko świętych Malo i Wincentego, patronów Saint-Malo, ale prawie nigdy nie zaklinał się daremnie na Chrystusa z Ravelinu, który skuteczniej niż Najświętsza Panna Wielkiej Bramy opie-

kował się marynarzami na morzu, ale który też zarazem surowiej karał za niedotrzymanie przysięgi.

Tomasz tymczasem splunął na ziemię i podniósł prawą rękę w górę na znak potwierdzenia swoich przerażających słów.

– Wyostrzyć do wiatru! Do szotów! – rzucił komendy. – Jeżeli ten poganin nam umknie, nigdy już nie zajrzę do szklanicy!

VII

Galeona płynęła, manewrując żaglami w ten sposób, aby przejść tuż koło brzegu. Bez wątplenia, miała zamiar, minawszy przylądek Tiburon, zboczyć nieco na północ i potem mknąć dalej, korzystając z wiatru, aż do brzegu Kuby – być może do portu w Santiago, najbliższego wyspy San Domingo. Wiejący z północnego wschodu wiatr pozwalał płynąć tym kursem bez brasowania i pod pełnymi żaglami. Skrępowana jednak brzegiem, galeona nie mogła jeszcze swobodnie manewrować. „Piękna Łasica”, idąca ostrzej do wiatru, powinna była jak najwcześniej przeciąć drogę nieprzyjacielowi. Tomasz dokonał pośpiesznego przeglądu całej fregaty. Stwierdziwszy, że wszystko jest gotowe do walki, zarządził, aby zakryto długim płótnem furty armatnie od dziobu do rufy. Był to podstęp wojenny bardzo pomysłowy: mając w ten sposób ukryte działa, „Piękna Łasica” nie różniła się niczym od statku handlowego, z wyjątkiem pewnych udoskonaleń w ożaglowaniu, zwiększających prędkość, a charakterystycznych dla okrętów korsarzy. Oni to bowiem musieli polegać przede wszystkim na prędkości okrętu, zarówno podczas ucieczki, jak i podczas pościgu. Tego nie dało się ukryć, zatem Tomasz, prosząc jedynie Boga, ażeby Hiszpan niczego nie zauważył, zajmował się starannym maskowaniem dział.

Galeona tymczasem zdawała się jeszcze nie dostrzegać fregaty. Przynajmniej nie okazywała wcale, aby się nią choć trochę interesowała. Płynęła dalej tym samym kursem, pod tymi samymi żaglami – pełnym ożaglowaniem fokmasztu, marslami grot- i stermasztu, żaglem bukszprytowym i sterżaglem. Było mało prawdopodobne, aby tego rodzaju okręt – okręt liniowy pierwszej lub drugiej rangi – zechciał się zaniepokoić okrętem trzy lub cztery razy słabszym i, pozornie, nie posiadającym artylerii. Na dobitkę, żaden marynarz z fregaty nie pokazywał się na pokładzie, a przy sterze był tylko widoczny Tomasz Trublet, stojący obok sternika. Był to jeszcze jeden podstęp, mający na celu zarówno ukrycie przed chłopcami wielkiej przewagi nieprzyjaciela, jak i uspienie czujności tego ostatniego. A jednak, pomimo tylu mądrze przemyślanych środków ostrożności Tomasz, przyglądając się z bliska strasznemu gmachowi galeony, zaczynał wątpić w swoje powodzenie. Odezwała się w nim normandzka krew. Nie upadając bynajmniej na duchu, liczył jedno po drugim działa hiszpańskie i porównywał je ze swoją własną nędzną artylerią. Była to kalkulacja rozważna i szybka, na której Tomasz oparł wkrótce plan walki. Jedna salwa galeony mogła unicestwić fregatę. Było zatem lepszą taktyką uniknąć tej salwy. Mogło się to udać pod warunkiem ustawienia się od początku w takiej pozycji, aby zmusić nieprzyjaciela do walki przez jego własny dziób, który, jak dzioby wszystkich okrętów, pozbawiony był baterii. Abordażu należało jednak również unikać, chyba że w ostateczności: ponieważ stu ludzi, jakkolwiek bardzo dzielnych, nic nie znaczyło, gdyby przyszło do walki pierś w pierś z pięcioma lub sześcioma setkami nieprzyjaciół. A być może galeona miała załogę jeszcze liczniejszą.

Tomasz wciąż patrzył. Już zaledwie mila dzieliła obydwie okręty i olbrzymi kadłub hiszpański zdawał się wznosić nad wodą jak góra. Jego kasztel rufowy wznosił się nad morzem na więcej niż czterdzieści stóp, a podwójny szereg dział z błyszczącego brązu połyskiwał w słońcu jak lustra. Był to istotnie bardzo piękny okręt liniowy. Jego dolna bateria była pomalowana na czarno, bateria górna na niebiesko ze złotymi ornamentami, a między nimi biegł

pas barwy łani. Obramowania furt działowych barwiły się żywą czerwienią, kolor ten przeblyskiwał również między pokładami i na kasztelach. A każda barwa była świeżo pociągnięta, nowa i błyszcząca. Ponad kadłubem żagle czterech masztów piętrzyły się aż do nieba śnieżną piramidą.

Odległość się zmniejszała bardzo szybko. Fregata wyprzedziła teraz galeonę. Tomasz, widząc burtę przeciwnika, manewrował jeszcze, aby, jak postanowił, zająć pozycję przed dziobem nieprzyjaciela. Manewr taki był wyraźnie nieprzyjazny. Kapitan hiszpański, widząc to, porzucił swoją obojętność. Manewrując sam, aby uniknąć zastawionej pułapki, wywiesił właśnie wielką banderę kastylską i oddał strzał armatni. Był to znak, aby zbliżający się okręt również wywiesił barwy. Ale Tomasz Trublet, uznawszy, iż jeszcze nie nadszedł czas, nie zamierzał tego zrobić, ani też odsłonić baterii, wciąż podstępnie zakrytej płótnem. Bez wahania natomiast wywiesił piękny proporzec kastylski, całkiem podobny do bandery okrętu liniowego, potem ściągnął bombramsle i zwinął bramsle, jak gdyby w zamiarze salutowania temu okrętowi, a także, aby się móc zbliżyć na odległość głosu. W celu lepszego zaznaczenia swoich pokojowych intencji nie zaniechał wywijania tubą i przykładania jej do ust. Ograniczał się zresztą tylko do gestykulacji, nie mając przecież nic do powiedzenia. Lecz Hiszpan złapał się na te sztuczki i był dość głupi, aby tracić czas, który Tomasz świetnie wykorzystał.

Istotnie, w minucie, która potem nastąpiła, „Piękna Łasica”, przebrasowawszy nagle reje fokmasztu ustawiła się w poprzek kursu galeony i zatrzymała w miejscu. Reszta stała się w czasie krótszym, aniżeli go potrzeba, aby to opowiedzieć: płótno pokrywające baterię, zostało ściągnięte, barwy hiszpańskie zdarto z gafla na rufie, i groźna bandera Saint-Malo, niebieska, przecięta białym krzyżem, pośrodku szkarłatna, zajęła ich miejsce. Z paszczy dział, skierowanych na okręt liniowy, wybuchły długie płomienie, a salwa, ziejąc pośród masztów i olinowania zrzuciła, jakby pod działaniem czarów, połowę tej piramidy żagli, która wznosiła się na galeonie i która teraz stopniała jak śnieg w słońcu. Wtedy na pokładzie nieprzyjacielskim jak długi i szeroki podniósł się namiętny okrzyk wojenny i chmara uzbrojonych żołnierzy wbiegła na bak, ażeby ostrzeliwać się z muszkietów, dopóki któreś z ich dział nie będzie w stanie odpowiedzieć na ogień napastnika. Lecz chłopcy z „Pięknej Łasicy” nie bali się ludzi hiszpana, choćby nie wiem jak uzbrojonych. Poza tym, rozsiani od dziobu do rufy po całej fregacie, strzelając pod osłoną nadburcia, bez pośpiechu i spokojnie, mieli decydującą przewagę nad wyjąnymi z bezsilnej wściekłości żołnierzami hiszpańskimi, zbitymi w nieładzie na dziobie swojego okrętu, odsłoniętymi na strzały nieprzyjaciela, skrępowanymi w ruchach. Tak więc po krótkiej chwili, gdy załoga Tomasza nie poniosła jeszcze żadnych strat, pokłady i przejścia galeony zdawały się być całkowicie pokryte trupami.

Widząc to chłopcy z Saint-Malo sądzili, że zwycięstwo jest już pewne, i trzech czy czterech spośród najzuchwalszych pozwoliło sobie samowolnie wznieść okrzyk: „Na pokład wroga!” Byliby źle na tym wyszli, ponieważ Tomasz nie żartował, gdy chodziło o karność: raz na zawsze rozkazał, aby podczas bitwy nikt nie śmiał słowa powiedzieć prócz niego. Na szczęście dla śmiałków, Tomasz, zatrzymawszy się na rufowym kasztelu, aby stamtąd móc kierować walką, nie słyszał ich. I tylko Ludwik Guénolé, kierujący ogniem muszkietów, dał im napomnienie, co uczynił z właściwym sobie umiarkowaniem, nie rozwalając nikomu łba pistoletem. Spokój został wkrótce przywrócony i walka trwała dalej nie zakłócana żadnym zbytecznym zajściem.

Ogień galeony powoli uciszył się, a to z powodu wystrzelania przez korsarzy wszystkich żołnierzy, którzy znajdowali się w jakimkolwiek miejscu na jej pokładzie. Ogień fregaty ucichł również, ponieważ chłopcy nie mieli teraz do kogo strzelać. Nieruchomy hiszpan kołysał się na fali jak rozbitek. Małe czerwone strumyki wypływały z niego przez otwory burtowe i morze wokół pokryło się purpurą. Tomasz, widząc to sądził, iż nieprzyjaciel jest bliski poddania się. Zdecydowany wówczas przyspieszyć bieg rzeczy, odepchnął sternika i gwałtownie przełożył ster, w wyniku czego „Piękna Łasica” wpadła na galeonę i szepiła się z nią takie-

lunkiem o takielunek – bukszpryt nieprzyjaciela ugrzązł między jej wantami grotmasztu. Trublet puścił ster i wołając: „Bracia za mną!” wbiegł pierwszy na pokład nieprzyjacielski z szpadą w jednej ręce, pistoletem w drugiej, a puginałem w zębach.

Na galeonie było ponad tysiąc ludzi, tak żołnierzy jak i marynarzy. Galeona, jak się dowiedziano później, była ładowana w porcie Ciudad-Real, najbogatszym mieście Nowej Granady. A żeglowała do Sewilli w Andaluzji, wioząc tam, oprócz dużej liczby pasażerów, dwie wyborowe kompanie piechoty hiszpańskiej, czyli prawie czterystu doskonale uzbrojonych piechurów. Do tego trzeba dodać właściwą załogę, czyli trzystu czterdziestu ludzi, osiemdziesięciu ochotników, stu dziesięciu żołnierzy i stu czterdziestu oficerów i podoficerów marynarki wszystkich stopni. Wszyscy oni byli zdecydowani bić się na śmierć i życie. A ogień korsarskich muszkietów na początku walki nie zgładził ich więcej jak stu pięćdziesięciu, co było i tak dużą liczbą, jeżeli się pamięta, że na „Pięknej Łasicy” było tylko sto muszkietów.

Zaledwie więc Tomasz Trublet z około trzydziestoma ludźmi skoczył na bak nieprzyjacielski, gdy z trzech szeroko rozwartych dużych luków na rufie, przez które można schodzić z górnych do dolnych baterii okrętu, wypłynęły trzy lawiny uzbrojonych ludzi i runęły z szaloną wściekłością na spotkanie atakujących. Bez wątplenia korsarze, pomimo całego ich bohaterstwa, nie wytrzymałyby pierwszego uderzenia, gdyby im nie sprzyjało nadzwyczajne szczęście. Otóż Hiszpanie mogli dotrzeć na bak kasztelu dziobowego tylko przez bardzo wąskie przejścia, po lewej i po prawej stronie bezanmasztu, a przejścia te, przez które w zwykłych warunkach czterech ludzi w szeregu nie mogło przejść swobodnie, były teraz zabarykadowane przez to wszystko, co pod ogniem dział fregaty spadło na pokład: rejami, pociętymi w kawałki żaglami, linami, stosami różnych przyrządów i rozmaitych szczątków. Była to barykada, do której Tomasz i jego chłopcy pośpieszyli dorzucić jeszcze z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt trupów, którymi był zavalony pomost.

Tłum Hiszpanów, oszalałych gniewem i zemstą, tym bardziej, że tak długo musieli poddawać się działaniu morderczego ognia korsarzy, bez możliwości skutecznego odpowiadania, i patrzeć, jak padają liczne szeregi mężnych kompanów – ruszył do ataku na bak z takim impetem, że żaden szaniec zdawało się nie wytrzymać takiego natarcia. Ale poza tą barykadą, którą tworzył pocięty takielunek wraz z ciałami zabitych, czekali ludzie Tomasza. Pierwsze uderzenie, jakkolwiek było straszne, zostało odbite lekko jak piłka. Korsarzy było już nie trzydziestu, lecz sześćdziesięciu albo osiemdziesięciu, ponieważ szybki jak piorun Ludwik Guénolé, widząc niebezpieczeństwo, grożące jego kapitanowi i towarzyszącej bronii, rzucił się w sukurs ze wszystkimi zdrowymi ludźmi, którzy pozostali na pokładzie „Pięknej Łasicy”. I teraz na tej wąskiej przestrzeni, która rozciągała się wokół bezanmasztu galeony chłopcy z Saint-Malo walczyli dalej jeden przeciw dziesięciu, nie tracąc nadziei, że zostaną zwyciężcami.

Tomasz i Ludwik posuwali się na czele garstki swych towarzyszy przeciwko niezliczonym zastępom wrogów, wciąż nacierających, wciąż odpieranych, wciąż ponawiających natarcie, wciąż odrzucanych w tył, których trupy tworzyły rosnący z każdym atakiem stos. Dosięgał on boku. Teraz Hiszpanie mogliby z łatwością wdrapać się tamtędy. Ale stracili już animusz, zaś korsarze, uniesieni męstwem, skoczyli triumfująco przez tę przeszkodę i pędzili przed sobą zatrwożonych nieprzyjaciół. Trzy luki wciąż jeszcze rozwarte pochłonęły cofających się w rozsypce Hiszpanów, a Tomasz i Ludwik, zadając śmiertelne ciosy, pociągnęli ludzi do pościgu za uciekającymi. Pokład gigantycznego okrętu był jednym strasznym pobojuwiskiem. Ludwik Guénolé, który dwukrotnie pośliznął się i wpadł w kałużę krwi, kroczył teraz czerwoną od stóp do głów. Zaś Tomasz Trublet, który złamał na Hiszpanach trzy szpady, puginał i rękojeści wszystkich swoich pistoletów, wywijał teraz olbrzymim toporem i walczył jak drwał, ścinający dęby.

VIII

Pocięta flaglina nie utrzymała wielkiej flagi kastylskiej, która spadła z gaffla na rufie galeony. Tomasz Trublet, upojony zwycięstwem, podeptał piękną materię. Zwykle spokojnego, podczas walki stopniowo ogarniał szał wojenny. Zmiażdżenie wrogów nie stłumiło w nim furii. W tej chwili walka zdawała się skończona. Na pokładzie pozostali tylko zwycięzcy, przerażona gromadka pokonanych zbiła się w masę w głębi okrętu, skąd dochodził tylko straszny jęk, zmieszany z krzykami o łaskę. Ale nieubłagany Tomasz mimo to siał dalej zniszczenie, waląc granatami w szczątki załogi hiszpańskiej. Każdy ranny, znaleziony na pokładzie, był bezlitośnie dobijany i niezwłocznie wrzucany do morza. Rzeź nie ustawała. Tylko Ludwik Guénolé nie brał już w niej udziału i ze skrzyżowanymi rękami i opuszczoną głową przechadzał się na boku na dziobowym kasztelu galeony, ciągle złączonej bukszprytem z fregatą. Od czasu do czasu Guénolé spoglądał wokoło, na niebo i morze, bacząc, czy nie zbliża się sztorm lub nowy nieprzyjaciel. Podczas gdy wszyscy zapamiętali się w masakrze, on jeden czuwał nad ich bezpieczeństwem.

Rzeź jednak skończyła się. Spośród tysiąca wojowników na galeonie zostało przy życiu zaledwie trzystu. Upewniono się, iż żaden z nich nie ma broni i spędzono wszystkich jak barany w głąb okrętu. Wartownicy z muszkietami w garści strzegli każdego wejścia, które dla pewności przykryto żelazną kratą. Wreszcie Tomasz, cały jeszcze rozedrgany szałem wojennym, osądził, iż, aby należycie posiąść zdobyty okręt, trzeba się udać do kapitańskiego salonu w kasztelu rufowym i zagarnąć znajdujące się tam zapewne dokumenty okrętowe i inne papiery.

Poszedł w otoczeniu kilku towarzyszy. Zaledwie uchylono drzwi, rozległ się stamtąd przeraźliwy krzyk, który nie pozwalał wątpić o obecności w tym miejscu wielkiej liczby kobiet. Rzeczywiście, nie brakło ich, a wraz z nimi znajdowali się tam mężczyźni, ale nie słyszano ich z tej racji, że nie krzyczeli tak głośno. Byli to pasażerowie. Od pierwszego wystrzału wszyscy uciekli w to miejsce i zwartą gromadą skupili się wokół osobistości z długą brodą, osobistości, o której stanowisku i godności wyraźnie mówiły fioletowa sutanna i ametystowy pierścień na palcu. Tylko on mógł powstrzymać atak korsarzy i zażądać od nich szacunku i poważania, do jakich miał prawo Jego Ekscelencja Arcybiskup z Santa Fé. Nie był to bowiem nikt inny, tylko on. I na jego to cześć galeona wywiesiła na grotmaszcie flagę arcybiskupią, którą Tomasz niedawno wziął za godło jakiegoś hiszpańskiego admirała.

Tomasz posuwał się naprzód ze wzniesionym toporem, a za nim czterech korsarzy. Na widok arcybiskupa zatrzymali się nagle jak skamieniali – na poły ze zdumienia, na poły z prawdziwego lęku. Wszyscy byli w gruncie rzeczy dobrymi chrześcijanami i sama myśl świętokradztwa wywoływała w nich grozę. A cóż dopiero świętokradztwa najgorszego w świecie, podniesienia ręki na kapłana, pomazańca Bożego? W całym tym tumultcie Tomasz zgiął kolano i, zanim jeszcze porzucił swój topór, błagał dostojnika o błogosławieństwo, jako jedyny talizman, zdolny zmazać ten straszny grzech, którego o mało nie popełniono. Arcybiskup, doznawszy olbrzymiej ulgi z powodu tej zacnej prośby i zachwycony, że ma do czynienia z katolikami, ludźmi mniej okrutnymi dla kapłanów niż hugenoci i bardziej skłonnyymi do pertraktacji, pośpiesznie dał błogosławieństwo wszystkim, którzy tego pragnęli, a następnie ofiarował bogaty okup pod warunkiem, że on i jego owieczki będą dobrze traktowane. Mówiąc to, wskazał na płaczącą i lamentującą u jego stóp gromadkę.

– Do diabła! – zaklął wówczas jeden z korsarzy, nie mniej uradowany niż sam arcybiskup.
– A to pocziwy księżulo! Błogosławi nas darmo i jeszcze chce dać talarów!

– Zamilcz! – ryknął mu prosto w twarz Tomasz Trublet. – Nie bluźnij, bo cię zabiję!

Zrazu, ulegając pierwszemu wrażeniu, Tomasz istotnie nie zamierzał obciążać sumienia okupem, który ofiarował arcybiskup, jak nie zamierzał kłaść rąk krwią sługi Bożego. Ale w

skórce dobrego chrześcijanina, troszczącego się przede wszystkim o zbawienie duszy, siedział Normandczyk, który teraz się w nim odezwał i począł zwyciężać, nim Jego Świątobliwość skończył przemówienie, w którym za cenę wolności proponował korsarzom cały swój dochód roczny, czyli czternaście tysięcy dukatów hiszpańskich, odpowiadających wartości tysiąca liwrow francuskich. Tomasz, uspokojony, co do niebezpieczeństwa popełnienia grzechu i ulegający szybko pożądaniu, gdy tylko usłyszał słowa liwry i dukaty, przerwał krótko rozmowę, ażeby uniknąć ryzykownych targów, i rozkazał jedynie dostojnikowi, z całym zresztą szacunkiem i należną uległością, iżby raczył na razie udać się do przeznaczonego mu pomieszczenia i pozwolił najpierw uporządkować sprawę swych owieczek, co do losów których może być zresztą całkiem spokojny.

A gdy arcybiskup bez długich ceregieli posłuchał tego rozkazu, zajęto się jego gromadką.

Całe to intermedium nie trwało długo, dostatecznie jednak, aby osłabić dziki i morderczy rozpęd korsarzy. Teraz, kiedy otrzymano błogosławieństwo świętego męża, nie mogło być oczywiście już mowy o masakrze. Skorzystali z tego, niejako cudownego, uspokojenia się zwycięzców pasażerowie. Otwarto pokrywę luku i wpędzono ich pod pokład, ucieszonych, iż znajdują schronienie, mniejsza z tym gdzie, choćby to było nawet więzienie. Lecz kiedy się tam znaleźli, stwierdzili, że brakuje wiele kobiet.

Nie pierwszy to raz chłopcy z „Pięknej Łasicy” znajdowali kobiety na pokładach zdobytych okrętów.

Zazwyczaj sprawa była prosta. Okręt handlowy rzadko się bronił przed korsarzami i większość zdobyczy dostawała się bez wystrzału. Zdobyty okręt na ogół spokojnie obsadzano, a kobiety, jeżeli się tam znajdowały, tak jak mężczyźni płaciły okup albo go nie płaciły, zależnie od tego, czy były, jak i mężczyźni, bogate czy też biedne. Oczywiście zdarzało się też, że zgwałcono dwie lub trzy dziewczyny. Ale nie posuwano się w tym względzie za daleko. W wielkim błędzie są ludzie spędzający życie na lądzie, uważając marynarzy, przede wszystkim zaś tych, którzy od dłuższego czasu przebywają na morzu, za bardzo skłonnych do rozpusty i przechodzących wprost katusze na skutek swego długiego i przymusowego celibatu. Wręcz przeciwnie: nic nie jest bardziej uspokajające dla ciała, jak bezustanne i bez końca błędzenie między niebem i morzem z tym zdrowym zmęczeniem, jakie daje stawianie i zwijanie żagli, manewrowanie nimi, brasowanie rej i mocowanie lin, podczas gdy na skórce czuje się pocałunki morskiego wiatru.

Tym razem jednak rzeczy wzięły inny obrót, ponieważ krwawa bitwa, wygrana z takim trudem, zapaliła krew w wojownikach i podrażniła ich zmysły. Skoro tylko ujrzeni wystraszone i lamentujące kobiety, które z początku skupiły się wokół Jego Ekscelencji Arcybiskupa z Santa Fé, korsarze zapalali wielką i brutalną żądzą ich posiadania. Gdy więc zniknął arcybiskup i zaczęto spędzać pod pokład wszystkich pasażerów, każdy z chłopców w pierwszym odruchu odłączał i zatrzymywał tę z branek, która mu się najwięcej podobała, lub tę, która była najbliżej niego, aby ją niezwłocznie zaciągnąć w pierwszy lepszy ciemny kąt. Tomasz, który w innych okolicznościach byłby to ukarał natychmiastową śmiercią, sam, jakby ulegając ogólnej zarazie, postąpił tak jak jego chłopcy.

Schwycił więc za ramię szczupłą brunetkę, która trzymała się z dala od swego towarzystwa, w głębi salonu, i która, jedyna być może z całej gromady, nie krzyczała, kiedy wdarli się tam korsarze.

Z ciemnych kątów, gdzie chłopcy zaciągali kobiety, zaczęły się rozlegać stłumione krzyki. Tomasz, nagle pobladły, zadrzał z żądzy. Brunetka, również blada jak śmierć i wciąż spokojna, patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami. Była dość wysoka i bardzo piękna, o złocistej, matowej cerze. Przygryzła dolną wargę, z której wypłynęło trochę krwi.

Wtedy Tomasz nagle rzucił się na swą zdobycz, przewrócił ją, powalił na ziemię i pochylił się nad nią. Wywinęła się rozpaczliwym ruchem i podniosła, chcąc uciec.

Zatrzymał ją i znowu pochwycił. Lecz ona znów się wymknęła i zmieniając taktykę, zaczęła się bronić. Korsarz miał sztylet za pasem. Zdołała mu go wyrwać i wywijala nim, gotowa do zadania ciosu. Wybuchnął brutalnym śmiechem. Wówczas dając krok wstecz skierowała sztylet we własną pierś. Zaczęła krzyżeć cieniem głosem i w jakimś dziwnym języku, będącym mieszanką hiszpańskiego i francuskiego:

– Jeżeli się zbliżysz do mnie, zabiję się! I oby wówczas Brunetta La Macarena przeklęła twoją matkę, twoją siostrę i twoją narzeczoną i zadusiła je, gdy będą spały!

Tomasz Trublet, który nie wiedział, co znaczy la Macarena, ani kto to jest Brunetta, zniechęcony zdumiony tymi dziwnymi słowami i przestraszony, sądził bowiem, iż słyszy jakąś magiczną formułę przekleństwa lub zaklęcia czarownicy. Puścił brunetkę i odsunął się od niej gwałtownie, w obawie, aby nie spełniło się to przekleństwo. I w wielkim, pogrążonym w półmroku salonie, wśród jęków innych gwałconych kobiet, stali długą chwilę twarzą w twarz – dziewczyna z wciąż krwawiącą wargą i nożem w dłoni oraz Tomasz z zaciśniętymi pięściami i wykrzywionymi ustami, gotowy do skoku i niezdolny tego uczynić, wściekły i zarazem przeniknięty strachem...

KSIĘGA TRZECIA

ZDOBYTE MIASTO

I

Wieczorem tego samego dnia Tomasz mówił do Ludwika:

– Bracie, trafiła nam się okazja, na jaką czekaliśmy. Kiedy niedawno, aby rozpaścić odwagę naszych chłopców, wołałem do nich, że ta galeona jest pełna złota, nie sądziłem, że jest tak istotnie. Moglibyśmy korszarzyć jeszcze dwadzieścia lat i więcej, przebiec wszystkie morza i nie spotkać podobnej zdobyczy. Teraz jesteśmy bogaci, i to tak bardzo, iż byłoby grzechem, abyśmy naszym bogactwem właściwie nie rozporządzili. Wrócimy na Tortue, która jest nie dalej jak o pięćdziesiąt wielkich mil morskich stąd. Naprawimy tam jako tako maszty zdobytego okrętu. Następnie, zatrzymując ilu będzie trzeba naszych chłopców, pozeglujesz na nim do Saint-Malo, ponieważ tylko tam osiągniemy należyte ceny za zdobyty ładunek.

– Dobry plan – zgodził się Ludwik – to najrozsądniejsze rozwiązanie.

W takim stanie, w jakim się znajdowała, galeona mogła jeszcze dźwigać żagle na dolnych rejach, a to było wystarczające, aby ją doprowadzić do Tortue. „Piękna Łasica” płynęła zresztą obok i w razie potrzeby mogła ją holować. Jak sięgała pamięć korsarza, tak bajeczna zdobycz jeszcze się nie trafiła. Według obliczenia nawet z grubsza, zagrabiony szlachetny metal, tak w monetach, jak w sztabach, sięgał wartości czterystu czterdziestu trzech tysięcy liwrow – licząc, według zwyczaju, w liwrach srebrnych, składających się z dziesięciu piastrow. – Do tego trzeba dodać mnóstwo drogich kamieni, w tym wiele cudownie pięknych, materię najwyższej ceny, kosztowne drewno, korzenie, pewną ilość żywności, napoje orzeźwiający, amunicję wojenną – krótko mówiąc, mogła się tym wzbogacić na zawsze cała załoga „Pięknej Łasicy” od kapitana i porucznika począwszy, aż do najmłodszego marynarza i chłopca okrętowego, nie zapominając ani o dostawcy, ani o armatorze.

– Do stu tysięcy diabłów! – mówił Tomasz w świetnym humorze – czeka cię, Ludwiku, z pewnością piękny i triumfalny powrót na Dobre Morze! Ludzie nie będą wierzyli własnym oczom, pamiętając, żeś opuścił Saint-Malo jako porucznik nędznej fregaty, a widząc ciebie wracającego jako kapitan okrętu liniowego pierwszej klasy!

Ludwik Guénolé spojrział na swego zwierzchnika.

– No dobrze, to moja korzyść – rzekł. – Ale cóż dla ciebie?

– Dla mnie? – rzekł Tomasz, nagle poważniejąc.

Byli sami w wielkiej kabinie, Tomasz jednak zniżył głos, zanim odpowiedział:

– Przecież wiesz, że nie mogę się pokazywać w Saint-Malo, zanim się nie upewnię, że mogę to zrobić bez ryzyka?

Lecz Ludwik Guénolé potrząsnął głową:

– Teraz, kiedy jesteś bogaty i okryty sławą, czy nie sądzisz, że możesz to zrobić?, I czy nie sądzisz, że siostra Wincentego Kerdoncuffa... requiescat in pace!... nie odda ci z chęcią ręki, aby stać się poważaną właścicielką domu i kufrów pełnych dukatów? A wszystko to będziesz miał, gdy tylko „Piękna Łasica” zatrzyma się u nabrzeża.

Tomasz zamyślił się.

Z początku słuchał zadowolony i przyjemnie polechtany. Ale na dźwięk imienia człowieka, którego przed paru laty zabił, czoło jego nagle się zachmurzyło. Teraz, podczas gdy Lu-

dwik Guénolé mówił jeszcze o siostrze Wincentego, Tomasz spoglądał z pewnym zakłopotaniem na zamknięte i zaryglowane drzwi, które prowadziły do kabiny, gdzie stało jego własne kapitańskie łóżko. Guénolé uchwycił to spojrzenie.

– Co się tyczy dziewcząt i tych spraw – podjął natychmiast, sam zakłopotany – co zamierzasz zrobić z tą doncellą? – Wskazał palcem na drzwi kabiny.

Tomasz zmarszczył brwi i spuścił oczy:

– Bo ja wiem? – rzekł niepewnie.

– Po cóż było ją zamykać tutaj, na naszym pokładzie i w twojej własnej kabinie?

– Bo ja wiem?

Zamilkli obydwaj na dłuższą chwilę. Po czym Tomasz, ulegając pierwotnemu niepokojowi, odezwał się:

– Powiedz mi, ty, który jesteś pobożniejszy i rozsądniejszy ode mnie... czy wierzysz, że ona jest czarownicą?...

– Bo ja wiem? – odparł z kolei Guénolé. Ale przeżegnał się na wszelki wypadek.

Kilka godzin temu Tomasz Trublet przeokrętował na „Piękną Łasicę” brunetkę, która stawiła mu tak zuchwale opór.

Dlaczego tak postąpił, sam – jak to szczerze wyznał Ludwikowi – nie wiedział. Była to być może podrażniona i nienasycona żądza, połączona zresztą z przesadnym lękiem. „Brunetta La Macarena”, wciąż niezrozumiała, napawała dalej Tomasza jakimś szczególnym drżeniem i to tym więcej, że Ludwik Guénolé, zapytany kilka razy w tej sprawie, nie wiedział, co odpowiedzieć i był sam bardzo poruszony.

– Hiszpanie – zauważył bystro – są na ogół dobrymi chrześcijanami i katolikami. Ale znajduje się wśród nich dużo pogan, jak na przykład Cyganie, Maurowie i Żydzi, a nawet czarnoksiężnicy. Jeżeli doncella jest z nich, będziemy wszyscy bardzo żałowali, żeśmy ją zabrali.

Tymczasem doncella, zanim się dowiedziano, co sądzić o jej prawdziwej naturze, była uwięziona w kabinie kapitana. Ale Tomasz na razie tam nie wchodził. Nie miał potrzeby się śpieszyć i nie zakończył jeszcze różnych czynności, związanych z obsadzeniem zdobytego okrętu. Te zaś wymagały rozważań i ostrożności. Walka była krwawa. Z dziewięćdziesięciu dwóch ludzi, których liczyła fregata przed zaatakowaniem galeony, trzydziestu zostało zabitych i ośmiu okaleczonych lub rannych tak ciężko, że na długi czas nie można było na nich liczyć podczas manewrowania okrętów. Lżej rannymi, rzecz prosta, nikt się nie zajmował, zabrakło bowiem takich, którzy w tej bitwie nie straciliby mniej lub więcej krwi. Tomasz zatem, mając przy sobie tylko pięćdziesięciu czterech towarzyszy, lecz zdecydowany za wszelką cenę nie puścić zdobyczy i skłonny raczej opróżnić swoją „Piękną Łasicę”, wylosował trzydzieści sześć nazwisk, aby solidnie obsadzić galeon doświadczoną załogą, której przydzielił najlepszego kapitana – samego Ludwika Guénolé. W ten sposób na fregacie zostało jedynie osiemnastu ludzi. Ale wszelki bunt jeńców na pokładzie okrętu liniowego mógł być łatwo zduszony. Co do możliwych spotkań z innymi statkami nieprzyjacielskimi, zarówno osiemnastu ludzi na jednym, jak trzydziestu sześciu na drugim – to było za mało, aby obsłużyć artylerię na obu okrętach. Tomasz jednak liczył, że w tych okolicznościach flaga Saint-Malo! – bardziej niż cokolwiek innego ochroni zdobycz i że mało jest żeglarzy holenderskich czy hiszpańskich dość zuchwałych na to, by zaryzykować atak przeciwko dwóm przeciwnikom tej miary i o tak groźnym wyglądzie, zwłaszcza że z odległości niełatwo było domyślić się ich rzeczywistego stanu.

Na razie jednak nie należało się obawiać żadnego niebezpieczeństwa. Słaby wietrzyk, który wiał w stronę Antyli, ucichł całkowicie, gdy tylko zaszło słońce. Cisza unieruchomiła zapewne także wszystkie inne okręty w tym rejonie. Nieruchomo stojące burta w burtę w środ-

ku pustego horyzontu obydwie statki unosiły się na morzu całkowicie bezpiecznie. Ludwik Guénolé zatem zupełnie spokojnie spuścił na wodę szalupę i udał się na wieczerzę do Tomasa, aby się naradzić w wielu istotnych sprawach. To wspaniałe zwycięstwo należało możliwie jak najlepiej wykorzystać. Wszystkie rozwiązania zostały tedy przez obydwóch kapitanów rozważnie rozpatrzone i przedyskutowane.

Po czym pogawędka pomału zeszała na przedmiot, który obydwu żywo interesował.

Wygodnie rozparci Tomasz i Ludwik spoglądali przez otwarte okna na znieruchomiałą ocean i błyszczące gwiazdami niebo. Na czarnych falach księżyc rozlewał cienkie strumyki żywego srebra.

– Martwi mnie i niepokoi – rzekł naraz Ludwik Guénolé – że zostawię ciebie samego w tym kraju, pośród tylu złych ludzi i popłynę sam do naszej świętej Bretanii, do naszych pięknych kościołów i miejsc cudownych.

– Niestety! – westchnął Tomasz. Patrzył wciąż na morze, spowite w noc. Po całkowitej ciszy nastąpiło niedostrzegalne tchnienie.

– Możesz być spokojny – kontynuował Ludwik, że każde zadanie będzie wykonane według twego życzenia i że wrócę potem pośpiesznie, aby ci przynieść dobrą nowinę, na którą czekasz, a która wreszcie pozwoli ci wrócić do nas bez strachu i ryzyka. Ale wiedz, że pomimo wszystkiego, com przecierpiał, będąc tak długo z dala od kraju i pomimo całej radości, jaką odczuwam, wracając w końcu do naszego miasta, będę smutny nie mając ciebie przy boku. Będzie mi Ciebie brakowało, gdy usiądziemy w szynku koło Wielkiej Bramy i potem, gdy zapalimy nasze świece na wielkim ołtarzu katedry podczas mszy dziękczynnej.

– Niestety! – powtórzył Tomasz.

Kto by go widział w tej chwili, skruszonego i melancholijnego, ze łzami w jasnych oczach z żalu za słodką bretońską ojczyzną, którą wspominał Ludwik Guénolé – z wielkim trudem rozpoznałby w tym prostym chłopcu, dającym upust tak subtelnym uczuciom, dzikiego korsarza Tomasza Trubleta, straszniejszego dla nieprzyjacielskich kupców niż sztormy i orkany...

Nieco później szalupa Ludwika wróciła na galeonę, ponieważ wiatr zaczynał wydymać żagle jednego i drugiego statku, na razie jeszcze dość leniwie, ale należało wykorzystać najmniejsze jego poddmuchy, aby prędzej dostać się na Tortue.

Lecz Tomasz zdawał się tego nie zauważać, wydał jedynie rozkazy bosmanowi i nie chciał wychodzić do manewrów, które zresztą były proste. Tomasz pozostał w swoim wielkim salonie i patrzył przez okno za oddalającą się szalupą. Wiosła uderzały miarowymi ruchami o ciemną wodę, a we wznoszącej się pianie tańczyły jakieś dziwne błyski...

Kiedy szalupa z Ludwikiem zniknęła i kiedy na pokładzie „Pięknej Łasicy” ucichło drepotanie nagich stóp chłopców ustawiających żagle oraz wszelkie inne hałasy, wówczas w absolutnej ciszy śpiącego okrętu Tomasz odszedł od okna, wyprostował się, zdjął z belkowania sufitu jedną z wiszących latarni i podszedł do zaryglowanych drzwi, które prowadziły do kapitańskiej kabiny. Zanim wszedł, zawahał się, lecz tylko krótką chwilę...

II

Kabina nie była duża. Latarnia oświetliła ją całą. Żółte jej światło odbiło się o cztery ściany z malowanego drewna. Na suficie, szerniałym od dymu, zatańczyły cienie. Zabłysła miedź obramowania iluminatora.

Tomasz, nie robiąc hałasu, zamknął drzwi, potem podniósł latarkę, aby lepiej widzieć.

Dwie ławy, stojąca zaraz przy wejściu szafa, sklecona z desek okrętowych, i łóżko – to było całe umeblowanie. Łóżko, bardzo wąskie, stało na wprost szafy, również jak ona przymocowane do ściany. Na łóżku tym leżała śpiąca branka z nogami i rękami związanymi

ostrym sznurem konopnym, bez wątpienia osłabiona wskutek zmęczenia i niepokoju. Światło, rzucone na jej twarz, nie obudziło jej.

Była piękna. Sen, złagodziwszy rysy, niedawno tak ostre i dzikie, ujawnił jej młodość jeszcze dziecięcą. Mogła mieć z szesnaście lat. Być może mniej. Jej cera barwy złota i ambry, doskonały wykrój ust, prawidłowo zarysowany nos o nerwowych nozdrzach, przeświecający granatem heban włosów – odejmowały jednak twarzy całą prostotę dziecięcą i całą miękką słodycz. Tomasza, patrzącego z bliska w tę twarz, na której malowała się jakaś niezwykła wola, ogarnęły wątpliwości: czy to możliwe, aby dziewczyna była zwyczajną córką ludzi z krwi i kości? Czy nie należałoby raczej widzieć w niej przejawu jakichś sił diabelskich lub czarodziejskich? Tomasz instynktownie wznosił oczy na wielki krucyfiks z drewna, umieszczony ponad łóżkiem – jedyną ozdobę kabiny, gołej jak cela mnisza. U stóp krzyża przybita była muszla zamiast kropielnicy, a Tomasz bardzo dbał o to, aby znajdowało się w niej zawsze choć kilka kropel wody święconej, której gąsior zabrał z Saint-Malo, a którą, w drodze wielkiej łaski, poświęcił dostojny biskup Mikołaj Pavillon. Pod wyobrażeniem Boga, pod kropielnicą z wodą święconą, która oczyszcza, czarownica nie mogłaby przecież spać tak spokojnie!... Przez nadmiar ostrożności Tomasz umoczył w muszli palce prawej ręki i pokropił śpiącą. Wzdrygnęła się, lecz nawet nie westchnęła. Gdyby była w mocy szatana, oczywiście skręciłaby się natychmiast jak pod dotknięciem rozpalonego żelaza! Stanowczo był to niezbity dowód: branka nie miała w sobie nic diabelskiego...

Nagle ośmielony Tomasz położył wielką dłoń na jej drobnym ramieniu. Dziewczyna zerała się, nie wydając jednak żadnego krzyku; nie była ona widać z tych kobietek, co to jęczą i płaczą przy lada okazji, a nawet bez okazji. Związane ręce mocno ją krępowały. Uniosła się, jak mogła najwyżej, i wsparła na łokciach. Jednocześnie nie odrywała wzroku od oczu Tomasa, który, znowu zakłopotany, nie wiedział z początku, co powiedzieć, i milczał dość długą chwilę.

Wreszcie jednak przemówił. Mówił tym ostrym normandzkim głosem, który wiatry morskie uczyniły jeszcze twardszym i jeszcze bardziej chropowatym:

– Ktoś ty? Jak się nazywasz i jak się nazywa twój kraj? Skąd wyruszyliście i do jakiego portu płynęliście? – zarzucił ją pytaniami.

Nie odpowiadała, patrząc wciąż na niego upartym wzrokiem.

Po upływie minuty, podjął:

– Jak się nazywasz?

Milczała dalej.

– Czy mnie nie rozumiesz? – podniósł głos. Nie poruszyła nawet głową. Ani tak, ani nie. Zakłopotany, wahał się kilka sekund. Lecz nagle przypomniał sobie:

– Przebóg, tak! – zamruczał zirytowany. – Rozumiesz mnie, bo przecież niedawno mówiłaś ze mną... Zbudziła się jego poprzednia ciekawość:

– Ta „Brunetta La Macarena”, którą wzywałaś niedawno na pomoc... kto to jest?

Ściśnięte wargi wykrzywił półuśmiech najwyższej pogardy. Lecz nie było żadnej odpowiedzi. Wyrażająca wzdrganie twarz, zaledwie porzuciła swoją obojętność, znów do niej powróciła.

W sercu Tomasza rósł coraz większy gniew, teraz był już spokojny i niczego się nie bał. Ręka jego wstrząsnęła silnie wątpym ramieniem.

– Czy trzeba ci rozwiązać język? Strzeż się! Znajdę na to sposób! Nie będziesz długo udawała niemej, ty Mauretanko... poganko! – zawołał.

Tym razem dziewczyna, dziwnie wrażliwa na tę obelgę, skoczyła i zawołała:

– To nieprawda! Skłamałaś swoim psim ozorem, ty, psie, ty psi synu, złodzieju, heretyku! Jestem chrześcijanką dzięki łasce Boga Najwyższego i wstawiennictwu naszej Brunetty! Z pewnością lepszą chrześcijanką i katoliczką niż taki złodziej jak ty!

Zdumiony, nie odpowiedział natychmiast. Wówczas wskazując na swoje skrepowane ręce, tonem królowej rozkazała:

– Odwiąż ten sznur!

I, poddając się jakiejś tajemnej sile, Tomasz Trublet, korsarz usłuchał tego rozkazu.

Mając wolne ręce, dziewczyna lekko rozkuczała długie i delikatne palce, jak gdyby chcąc im przywrócić swobodny obieg krwi. Po czym zrobiła taki gest, jak gdyby sama chciała uwolnić od sznura skrepowane nogi. Ale wkrótce zmieniła zamiar i wskazała Tomaszowi palcem więzy.

– Rozwiąż jeszcze ten sznur! – rozkazała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

A Tomasz, jak poprzednio, usłuchał i teraz.

Obecnie siedziała na łóżku wygodnie jak w miękkim fotelu, a Tomasz Trublet stał przed nią. I teraz ona zadawała pytania, a Tomasz, bardzo uległy, odpowiadał jej.

– Kto jesteś? Jak się nazywasz? Skąd pochodzisz? – zaczęła tak jak niedawno on.

I stała się rzecz dziwna. Jego męska duma nie zaprotestowała przeciw tej niezwyklej zamianie ról. Odpowiadał jej posłusznie, a ona, branka, nie okazała wzruszenia na dźwięk jego nazwiska, będącego postrachem całych Indii Zachodnich. Po chwili, już nieco mniej pogardliwa czy też być może zadowolona z tak prędkiego okiełznania nieprzyjaciela, odpowiadała, wprawdzie od niechcenia, na wszystkie pytania, które on jej stawiał, trochę jakby nieśmiało i bojaźliwie.

Nazywała się Juana. Miała siedemnaście lat... Tak, siedemnaście – a nie piętnaście!... cóż znowu?! Brano ją za dziewczynkę? Była sewilanką, czystej krwi andaluzyjskiej... córką hidalga! – oświadczyła z dumą. Na pokładzie galeony płynęła do Sewilli, aby się wywiązać z pobożnego ślubowania i następnie powrócić do Indii Zachodnich, gdzie była cała jej rodzina... Nazwisko tej rodziny? – Było to nazwisko zbyt szlachetne, aby je można wygłaszać tutaj, w tej złodziejskiej jaskini!... Jej rodzice? – Byli oni wielkim państwem w najdumniejszym mieście, z którego wypłynęła galeona – Ciudad-Real w Nowej Granadzie, mieście tak bogatym i tak potężnym, iż żaden król europejski nie mógłby go nigdy kupić ani podbić. I być w tym mieście gubernatorem albo kapitanem-majorem było z pewnością większym zaszczytem, aniżeli prowadzić przez morza bandę dzikich rozbójników, rabując i mordując każdą napotkaną uczciwą załogę.

Obojętny na tę zniewagę, Tomasz spytał:

– Czy twoi rodzice płynęli razem z tobą? Czy wziąłem ich do niewoli albo może zabiłem?

– Jesteś wariatem!... – roześmiała się szyderczo. – Gdyby tam byli, ty byś się dostał do niewoli i został powieszony na własnej rei. Dwudziestu bandytów takich jak ty nie przestraszyłyby na pewno mojego ojca ani brata, ani też rycerza, którego poślubię!

Tomasz przyzwyczajony był do tego zawsze jednakowego hiszpańskiego samochwalstwa, więc wzruszył ramionami:

– Jeszcze żaden twój rodak – zamruczał – nie spotkał się ze mną bez lęku i tak, aby to się dla niego nie skończyło nieszczęściem.

A gdy ona śmiała się coraz głośniejsze, aby pokryć swoją bezsilną wściekłość, ośmielił się spojrzeć jej w twarz:

– Gdyby oni byli tacy dzielni, ci twoi, czy byłabyś teraz tutaj? W dzisiejszej walce zwyciężyłem ich ponad tysiąc, a moich chłopców nie było nawet stu!...

Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale gwałtownie nakazał jej spokój:

– Zamilcz! I pamiętaj, że jesteś moją branką! Przeczekała jego gniew. I pozostali tak, twarzą w twarz, milczący, nienawistni...

W końcu jednak przemówiła:

– Mój ojciec zapłaci ci za mnie wielki okup, będziesz więc mógł zaspokoić swoją piracką chciwość.

– Kto ci powiedział, że przyjąłbym za ciebie jakikolwiek okup? – zapytał i spojrzał na nią ze szczególnym wyrazem oczu.

Zobaczył ją po raz pierwszy drżącą. Wypreżyła się, opierając obie ręce o łóżko:

– A więc – zapytała – co myślisz zrobić ze mną?

Wahał się dziesięć długich sekund, a policzki jego zabarwiły się purpurą. Ona nadal patrzyła na niego z pogardą, kołysząc się na podpartych rękach. Piersi jej wznosiły się i opadały. Rzucił się na nią nagle jak pijany, gniotąc jej ramiona w swych potężnych marynarskich rękach jak w kleszczach, i przewrócił ją na łóżko, krzycząc:

– Oto co zrobię z tobą!

Myślał, że posiadzie ją w jednej chwili, ale ona broniła się jak dawniej, ściskając nogi i odwracając głowę, aby uniknąć pocałunku i uścisku. Wysilał się jakiś czas, teraz jedną ręką usiłując pochwycić jej kibić lub uda. Dziewczyna broniła się jednak dalej z taką zręcznością, iż żaden brutalny atak nie mógł osiągnąć celu. Wreszcie uwolniła ręce i działała tak zwinnie, że zaryczał nagle z bólu i odskoczył pokopany, poszczypany, podrapany w najczulsze miejsce poniżej brzucha.

– Ty małpo! – krzyczał, oszalały żądzą i gniewem. – Ty małpo! Ty suko! Nie będziesz długo triumfowała, zobaczysz! Będę cię miał, choćbym miał umrzeć, przysięgam na Najświętszą Pannę Wielkiej Bramy! Choćbym cię miał przywiązać za ręce i nogi do czterech rogów łóżka i tak naciągnąć sznury, ażebyś została rozerwana żywcem!

– No, odważ się to zrobić! – zawołała z roziskrzonymi oczami. – A twoja Najświętsza Panna, już nie wiem czego, Najświętsza Panna psa, Najświętsza Panna pogańska nic nie będzie w stanie uczynić przeciw Brunecie La Macarena, której ślubowałam dziewictwo i która mi je zachowa przeciw wszystkim takim złodziejom jak ty!

Łapała z trudem powietrze. Walka ją wyczerpała i piersi jej wznosiły się w szybkim urywanym oddechu, wzdymając wielki czarny szal, zwyczajem sewilanek przepasany na staniku.

– Dziewicą jestem i dziewicą zostanę, zapamiętaj to sobie dobrze! – powiedziała nieco spokojniej, ale z nutą zdecydowania w głosie. – Moje ciało nie jest dla takiego chama. Nie weźmiesz mnie ani siłą, ani podstępem. Jeżeli zwrócisz mi wolność, dostaniesz wielki okup. Jeżeli nie chcesz, nie dostaniesz nic, ani mnie, ani złota. Wiedz o tym.

Stał teraz ze skrzyżowanymi rękami w głębi kabiny, usiłując opanować wzburzenie. Wysłuchał obojętnie wyzwania branki.

– Ty zaś wiedz o tym – odpowiedział bardzo chłodno – że tutaj ja jeden rządę po Bogu, że robię i będę robił zawsze to, co mi się podoba, że jesteś moją branką i niewolnicą i że nimi pozostaniesz, dziewicą czy nie, ponieważ nie oddam cię twoim, nie oddam nigdy...

Skoczyła na równe nogi, zrobiła trzy kroki naprzód, zbliżyła się do niego, prawie go dotykając, po czym, patrząc mu prosto w oczy, krzyknęła:

– A więc tym gorzej dla ciebie!

– Tym gorzej dla ciebie samej! – odparł.

Potem wyszedł, zostawiając ją samą w kabinie i zamykając znowu drzwi na rygiel. I poszedł spać w pustym łóżku Ludwika Guénolégo.

III

W trzy dni później, o wschodzie słońca, fregata wraz z galeoną rzuciły kotwice w porcie Tortue pod osłoną dział baterii po stronie zachodniej i wielkiej wieży po wschodniej. A na plaży zebrał się wielki tłum, który podziwiał wspaniałą zdobycz i dziwował się, że korsarz z dwudziestoma działami zdobył okręt liniowy, wielokrotnie lepiej uzbrojony i mocniej zbudowany. Dziwiono się zwłaszcza, że po takiej trudnej walce „Piękna Łasica” nie miała żadnych uszkodzeń, żadnej dziury od kul w kadłubie. A obecni w tłumie flibustierzy, również jak

i wszyscy inni marynarze przywykli do walki na morzu, odczuwali teraz spotęgowany szacunek dla Tomasza, którego i tak zawsze wysoko cenili z powodu jego niezwyklej umiejętności prowadzenia bitew.

Gubernator d'Ogeron nie chciał nawet czekać, aż zwycięzca złoży mu wizytę i odda należny hołd. Pośpieszył pierwszy w swojej własnej łodzi na pokład „Pięknej Łasicy” i z radością rzucił się w objęcia Tomasza, pozdrawiając go w imieniu własnym i w imieniu króla, który na pewno okazałby wielkie zadowolenie na wiadomość o jednym ze swych poddanych, pochodzącym z pięknego miasta Saint-Malo, który okazał się tak dzielny i wierny oraz odnosił tak wspaniałe zwycięstwa nad wrogami państwa. Potem, okryci sławą, Tomasz Trublet i Ludwik Guénolé oraz kilku ich towarzyszy udali się wraz z gubernatorem w uroczystej procesji podziękować jak należy Bogu, do kaplicy, która służyła jako kościół i katedra wyspy. Tomasz złożył dla kaplicy dar z tego wszystkiego, co miał ze sobą na galeonie hiszpański arcybiskup: z bogatych liturgicznych szat, takich jak stuły, biskupie peleryny i ornaty, oraz ozdób kościelnych, takich jak krzyże, cyboria, monstrancje i kielichy. Co do arcybiskupa, zmuszono go, aby się przyłączył do procesji i nawet ją prowadził, potem zaś aby osobiście odprawił nabożeństwo i odśpiewał Te Deum w podziękę za poniesioną klęskę. Wywiązał się ze wszystkiego najuprzejmiej w świecie.

Później należało załatwić inne sprawy, nie mniej poważne. Kwestię jeńców odłożono na później; przestano na wypuszczeniu ich z okrętu i zdaniu się w tym względzie na pana d'Ogeron, który większość z nich wpakował do więzienia, a silniejszych przeznaczył do robót w swoich plantacjach. Jedynie arcybiskup z Santa Fé był traktowany z należnymi względami i otrzymał wolność, a nawet z wielkimi honorami odwieziony został do hiszpańskiego portu w Santiago na Kubie. Dobry pasterz okazał wielkie wzruszenie, chociaż zażądano od niego i zdarto bezwzględnie okup w wysokości sześćdziesięciu sześciu tysięcy dukatów hiszpańskich, czyli stu tysięcy liwów francuskich, nie opuszczając ani grosza, zamiast tego, jaki pierwotnie ofiarował, a który był pięć razy mniejszy. Prałaci, kanonicy, arcydiakoni i kapelani, którzy towarzyszyli Jego Świątobliwości, zostali wszyscy zatrzymani na Tortue jako zakładnicy do czasu otrzymania okupu; uczyniono jedynie wyjątek dla pięknego chłopca, gdyż arcybiskup żądał usilnie, aby go mógł zatrzymać przy sobie „dla usługiwania do mszy”, jak mówił. Chętnie na to zezwolono, tym bardziej że pan d'Ogeron dowiedział się przez swoją tajną policję, że to dziecko było naturalnym synem dostojnika. Uczciwi ludzie mieliby skrupuły rozłączyć dziecko od ojca, skoro nic ich nie zmuszało do tak okrutnego postępowania.

Naprawa galeony szła tymczasem swoim trybem. Na Tortue nie brakło ani masztów, ani rej, ani różnego rodzaju wszelkich części omasztowania i ożaglowania. Właśnie naprawiano lub uzupełniano takielunek, porwany i uszkodzony przez kule „Pięknej Łasicy”. Nie upłynęło jeszcze piętnaście dni, kiedy pewnego pięknego poranka Ludwik Guénolé stanął przed Tomaszem i złożył meldunek: remont zakończony w najdrobniejszych szczegółach i galeona gotowa do postawienia żagli. Pozostała jedynie do załatwienia sprawa załogi.

– Pragnę, Ludwiku – oświadczył Tomasz – abyś dalej był jej kapitanem, jak ci się to zresztą słusznie należy. Przecież to ty zaprowadzisz galeonę aż do Francji po to, abyśmy najwięcej na niej zyskali, nieprawdaż?... Jak ci się zatem zdaje, z ilu ludzi powinna się składać załoga takiego okrętu?

– Pan Colbert – odpowiedział Ludwik – który się na tym zna, z pewnością nie puściłby na morze okrętu o takim tonażu z mniej niż dwustu pięćdziesięcioma marynarzami i stu dwudziestoma żołnierzami, wciągniętymi jak należy do spisu.

– Zgadzam się z tym – potwierdził Tomasz. I roześmiał się szeroko.

– Ale – ciągnął Guénolé – nie mamy ani dwustu pięćdziesięciu marynarzy, ani stu dwudziestu żołnierzy. Mamy wszystkiego pięćdziesięciu czterech zdrowych, śmigłych jak dęby chłopców. Nie można przecież liczyć na ośmiu rannych lub okaleczonych, z których obecnie żaden nie ma nawet siły do ciągnięcia liny.

– No właśnie – rzekł Tomasz. – I chociaż pięćdziesięciu czterech dobrych chłopców z Saint-Malo podczas walki ze statkiem nieprzyjacielskim wartych jest tyle, a może i więcej, co stu dwudziestu żołnierzy i dwustu pięćdziesięciu marynarzy – takich jak na galeonie! – to jednak trzeba się liczyć z tym, że do manewrowania czterema masztami w pełnym ożaglowaniu, z których najwyższy wznosi się na dobre trzydzieści pięć sążni, i dla obsługi siedemdziesięciu czterech dużych dział, rozdzielonych na obydwie burty po dwie baterie na każdej, pięćdziesięciu czterech chłopców to jest tylko sto osiem rąk do roboty. Nie będziesz więc miał ich za dużo, musisz wziąć ich wszystkich i zostawić mnie samego na „Pięknej Łasicy”. Nie potrzebuję pomocy, aby jej pilnować w tym spokojnym porcie. W razie potrzeby któż mi zresztą przeszkodzi, abym sobie dobrał kilku dzielnych flibustierów? Niewielu będzie takich, którzy by nie chcieli wejść w spółkę z Tomaszem Trubletem!

Istotnie, Tomasz miał rację: pięćdziesięciu czterech ludzi, nawet korsarzy, to była liczba zbyt daleka od tej, jaka jest niezbędna, aby należycie obsadzić galeonę. Byłoby przeto bardzo nierozsądne odrywać z tej liczby choćby jednego. A zresztą „Piękna Łasica”, stojąca na kotwicy w porcie sojuszniczym pod osłoną nadbrzeżnych baterii, nie miała się czego obawiać.

Ludwik Guénolé jednak długi czas nie chciał się zgodzić na propozycję Tomasza. Zbyt wytrawny marynarz, aby wątpił w słuszność tej propozycji, protestował jedynie przeciwko temu, że Tomasz zostanie sam na rozbrojonej fregacie, opuszczony jak pies zapomniany na podwórzu domu, porzuconego przez właścicieli. Podobnie zdarzało się wielokrotnie wśród piratów, którzy porzucali swoich hersztów na jakiejś bezludnej wyspie, jedynie ze strzelbami, pistoletami, szablami i małym zapasem prochu i ołowiu – jeżeli ci herszci w ten czy inny sposób narazili się na ich niełaskę. Czy jednak dałoby się wybaczyć podobne barbarzyństwo wobec najdzielniejszego i najlepszego z kapitanów korsarskich w całych Indiach Zachodnich, i to w chwili, gdy tenże kapitan przyczynił się w takim stopniu do zdobycia sławy i wzbogacenia się całej załogi?

Lecz ze wszystkich tych argumentów Tomasz tylko się śmiał. Niebawem uderzył Ludwika po ramieniu i, przywołując całą swoją powagę, kazał mu zamilknąć.

– Posłuchaj – rzekł po chwili – wiem, że mnie kochasz i wiem, co cię boli. Ale nie łudź się co do tego, że zmienię zdanie. Będzie tak, jak postanowiłem. Zresztą nie obawiaj się, przecież powrócisz tutaj za sześć czy siedem miesięcy, gdy tylko ulokujesz w bezpiecznym miejscu ładunek, który zabierasz. Do stu tysięcy diabłów! nie mów nic więcej i zapewniam cię, że w upragnionym dniu twego powrotu będę tu na ciebie czekał, jeszcze większy, tęższy, z weselszymi oczami i w lepszym zdrowiu, niż jestem teraz!

– Możliwe – zamruczał w zakłopotaniu Ludwik – lecz zdrowie ciała nie jest rzeczą najważniejszą...

Tomasz, również zakłopotany i ze zmarszczonymi brwiami, przestał się śmiać. Jednakże szybkim gestem ręki odpędził niespokojną myśl i nie dopuścił do jej wyrażenia...

Jak więc zarządził Tomasz, w tydzień później galeona pożegłowała do słodkiej ziemi francuskiej, zabierając wszystkich co do jednego pięćdziesięciu czterech marynarzy z „Pięknej Łasicy”. A wyżej wymieniona „Piękna Łasica” pozostała. Kapitan Tomasz Trublet z pokładu kasztelu rufowego spoglądał za oddalającymi się chłopcami, których tyle razy prowadził do zwycięstw i którzy, opuszczając go, żegnali go tyloma okrzykami i tak entuzjastycznym wymachiwaniem kapeluszy, jakimi nigdy żadnego dowódcy eskadry ani wiceadmirała floty królewskiej nie fetowała załoga w dniu jego najsławniejszej bitwy...

IV

Odtąd przez wiele tygodni, być może przez rok cały albo i dłużej Tomasz Trublet jak eremita miał spędzić niemal samotne życie na fregacie, gdzie obecnie wegetowała pod jego rozkazami tylko garstka kalek, którzy nie mogli się zabrać na pokład galeony i którzy w dalszym ciągu opatrywali swoje trudno gojące się rany.

Tomasz zaś, zdrow i silny – był kilka razy ranny w bitwach, ale zawsze lekko – oczywiście kiepsko się nadawał do pełnienia roli pielęgniarza, na co skazały go okoliczności. Wśród flibustierów i innych mieszkańców Tortue zapanowało niemałe zdziwienie, kiedy się dowiedzieli o osobliwym postanowieniu najślawniejszego korsarza Indii Zachodnich i o tej prawdziwej abdykacji, na jaką się zdecydował. Wielu chłopców z początku w to nie uwierzyło, uznając za kpiny pogłoskę, jakoby wielki Trublet miał pozwolić wypłynąć swojemu porucznikowi i załodze na pokładzie okrętu, którego by na pewno ani załoga, ani porucznik bez niego nigdy nie zdobyli. Czyż było prawdopodobne, żeby tego rodzaju człowiek został na tej fregacie – którą widziano tam, w głębi portu, pozbawioną żagli i rej – spełniając na niej raczej obowiązki stróża niż kapitana? Jednak trzeba się było z tym pogodzić w obliczu rzeczywistości. Ponadto wielu rybaków lub marynarzy przepływając w pobliżu „Pięknej Łasicy” widziało nieraz Tomasza Trubleta we własnej osobie, snującego się jak pokutująca dusza od prawej do lewej burty lub dla odmiany od dziobu do rufy, albo opartego w ciągu długich godzin o nadburcie, aby spokojnie wpatrywać się w morze. Dziwiono się wtedy jeszcze bardziej. Ale wkrótce rozeszły się pogłoski, że ten niezwykle odwrót, jaki nastąpił po czterech z górą latach czynnego życia, nie pozostawał bez tajemnej przyczyny. Wiedziano, że spośród jeńców, wziętych na pokładzie galeony, Tomasz Trublet zatrzymał dla siebie hiszpańską damę, jak mówiono, piękną jak słońce. A jeden z krewnych gubernatora, świeżo wypuszczony z kolegium, który pamiętał jeszcze gruntownie to, czego go uczono, mówił dużo o Hannibalu i o rozkoszach starożytnej Kapui.

– Do licha! – mówili ludzie – miłość jest wielkim nauczycielem! Nasz Tomasz, jak to się zdarzyło wielu sławnym wojownikom, wojuje teraz w krainie Rozkoszy...

Wojowanie to należało chyba do najbardziej zaciętych, jakie Tomasz kiedykolwiek prowadził.

Branka Juana wcale nie złagodniała i czas tu nic nie zmienił. Ani cierpliwość, ani gwałt nie stanowiły metody na ten zawzięty upór hardej Hiszpanki, która pozostała nieugięta w swej cnotliwości. Obustronne pozycje, jakie się ustaliły pierwszego dnia, były zachowane. Branka mieszkała w kabinie Tomasza, a on w kabinie Ludwika. Ani jedno, ani drugie nie wychodziło zresztą ze swych fortów, i kto by ich zobaczył z bliska, nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, kto z nich był czym jeńcem. Tomasz jednak zachodził każdego dnia do Juany i usiłował nawiązać rozmowę. Pretekstem tych wizyt była kurtuazyjna dbałość o zdrowie młodej dziewczyny. Tomasz, prawdę mówiąc, niepokoił się o nią i nawet kupił dla swej branki niewolnicę, którą jej podarował. Juana przyjęła dar, jak zwykle, z miną królowej.

O miłości nie było mowy. Pozostali nadal dwojgiem przeciwników, z których jeden gotów był do ataku, a drugi do obrony. Tomasz, odepchnięty już dwa razy – a wiadomo z jaką furią – nie ryzykował jeszcze trzeciego ataku. Teraz sytuacja wyglądała tak, że – jedno śledząc drugie, z paznokciami i zębami w pogotowiu, gawędzili z sobą dość grzecznie. Juana, chętnie milcząca w pierwszych dniach, aby dać wyraz pogardzie, osądziła wkrótce, iż lepiej będzie mówić. Zamierzała w ten sposób zmiażdżyć swego nieprzyjaciela całą przewagą, jaką miała nad nim, albo jej się zdawało, że ma. Dzięki temu Tomasz dowiedział się o tysiącu wypadków, szczegółów i anegdot, wszystkich pomyślnych dla jego branki, i mógł sobie do woli wyobrazić, że była bardzo wielką damą. Szczerze mówiąc, ta cała wielkość i splendor nie imponowały nigdy Tomaszowi tak, jakby tego chciała Juana.

Juana, według jej własnego opowiadania, urodziła się przed siedemnastu laty w Sewilli, w tym wspaniałym, największym i najszlachetniejszym mieście Hiszpanii, nawet Europy. Juana twierdziła także, że z mlekiem matki wyssała szczególny i żarliwy kult, który jej nigdy nie opuszczał, dla najpotężniejszej Madonny, opiekunki Sewilli – Nuestra Señora de le Esperanza, zwanej La Macarena lub poufale: „Nasza Brunetta” z tej racji, że pobożny artysta, który ją wyrzeźbił, dał jej postać pięknej Andaluzyjki z czarnymi włosami. Przy tej okazji zadowolony Tomasz upewnił się wreszcie, że ta Brunetta, która go niedawno tak niepokoiła, nie była niczym innym, jak hiszpańską siostrą dobrej dziewczycy z Wielkiej Bramy w Saint-Malo. Rodzice Juany, według jej opowiadania, zajmowali wysokie stanowiska. A kiedy lud sewilski z powodu nadmiernej liczebności opuszczał andaluzyjską ziemię, szukając szczęścia w Nowym Świecie, wyżej wymienieni rodzice, tak bogaci i uprzywilejowani, raczyli pewnego pięknego dnia stanąć na czele tej emigracji i prowadzić do Indii tych wszystkich, którzy tego pragnęli. W ten sposób wyjechało z Hiszpanii wiele tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, przysięgając sobie nawzajem pracować tak dzielnie, że stworzą gdzieś po drugiej stronie oceanu nowe miasto, większe, silniejsze i nawet bogatsze niż Sewilla. I przysięgi dotrzykali. Zaledwie dziesięć lat minęło od tamtego czasu, kiedy już w ten sposób powstałe miasto Ciudad-Real w Nowej Granadzie, jeszcze całkiem nowe i nie osiągające rozmiarami zamierzonej wielkości, zaczęło się liczyć do najwspanialszych miast Indii Zachodnich. Juana, która własnymi oczami widziała jego wzrastanie i która, słusznie lub nie, uważała się tam niemal za księżnę, nie zaniedbała wspomnieć o przepychu tej prawdziwej stolicy. Były tam budowle zarówno cywilne jak i wojskowe: wały, forty, twierdze; cytadela, strażnica, ratusz, pałac gubernatora i wspaniałe domy, ozdobione obficie herbami; były tam nade wszystko kaplice, klasztory, semina-ria, bazyliki, katedry i wspaniałe zamek biskupi. Doskonale wybrukowane ulice pozostawały o każdej porze dnia i roku czyste i błyszczące. Domy, wciąż odmalowywane, świeciły się tysiącem czarownych barw, na których jasne słońce nowego kontynentu kładło jedwabiste błyski, podobnie jak to czyni słońce hiszpańskie na draperiach i malowidłach, którymi zdobią w Sewilli balkony w dniu uroczystych świąt. Wokół miasta rozciągały się ogromne połacie urodzajnej ziemi z niezliczonymi ogrodami i tysiącami zagonów pól uprawnych, gdzie zbierano najlepsze owoce i gdzie były najobfitsze żniwa. Dalej pasły się stada na sawannach, w porównaniu z którymi wszystkie łąki Francji były pustyniami i mokradłami. Było oczywiste, że dumna panna feudalna, mając tak wspaniałą ojczyznę, posiadała wszelkie prawa, aby patrzeć z wysoka na tego prostackiego i gburowatego marynarza, Tomasza Trubleta, pochodzącego z nędznego kraju, co tonął w deszczu i mgłach, i w dodatku mającego za przodków jedynie swe własne odważne czyny. Juana od czasu do czasu przekonana, że jej dumne słowa zrobiły wyłom w postanowieniu korsarza, przerywała sobie w środku cudownego opowiadania i powracała do swojej śpiewki z pierwszego dnia.

– Widzisz, jak piękny okup możesz dostać, jeżeli go nie stracisz przez swój upór!... Zobaczysz! Gdy odwieziesz mnie do Ciudad-Realu, możesz liczyć na wspaniałomyślność moich rodziców... W przeciwnym razie...

Lecz wtedy wzrok Tomasza pod łukiem gęstych ściągniętych brwi rzucał tak twarde błyski, że dziewczyna, nagle onieśmielona, nie miała odwagi nawet skończyć zaczętego zdania i milkła. Wkrótce jednak znowu brała odwet. Wówczas Tomasz skłaniał głowę i wycofywał się.

Prawie każdej nocy, dręczony bezsennością, porzucał swoją kabinę i na pół ubrany wychodził na pokład przechadzać się pod gwiazdami. Tropikalny upał nie zmniejszał się i prażył zarówno od wieczora do rana, jak i od poranku do nocy. Tomasz, który dusił się w zamkniętej kabinie, błędził teraz od kasztelu na rufie, do kasztelu na dziobie, aby się nieco orzeźwić nocnym podmuchem wiatru. Lecz było to daremne, bo na morzu kładła się całkowita cisza, a zapach drzew i kwiatów wyspy, idący gęstymi kłębami ponad wodą, łączył się z ciężkim jak mgła powietrzem, które w ten sposób nie nadawało się do oddychania. Tomasz z napiętymi

nerwami chodził czas jakiś, patrząc kolejno na zakrzepły ocean, na łąd całkiem tonący w ciemności, na rozgwieżdżone niebo, gdzie płynęła mleczna droga jak wielka rzeka pereł pośród brzegów usianych klejnotami. Gorąca noc wlewała rozpaloną lawę do żył korsarza. I naraz zawracał do kasztelu na rufie, potem, zdecydowanym ruchem człowieka, który powziął nieodwołalne postanowienie, otwierał drzwi kabiny, gdzie spała Juana...

Ale śpiąca nie budziła się, i Tomasz, zatrzymywany nagle przez ten sen, który jakaś tajemna siła kazała mu uszanować, pozostawał na progu, nie śmiąc postąpić kroku naprzód. Daremnie na łóżku leżało kuszące ciało, bezbronne i prawie nagie. Niewinne i wyzywające razem. Tomasz, zwyciężony, ujarzmiony przez jakiegoś nieznanego boga, opiekuna tej wiele w tym momencie ryzykującej czystości, zamykał żywo półotwarte drzwi i bojaźliwie wracał do własnego łóża...

V

Pewnego wieczora mieszkańcy Tortue ujrzeli zatrzymującą się w porcie łódź, którą znajdujący się w niej człowiek posuwał wielkimi pociągnięciami wiosel. Zdziwieni ludzie zgromadzili się na plaży, wioślarz ten bowiem nie miał wyglądu rybaka indiańskiego – z tych, którzy dostarczali kolonii żółwi morskich i morskich krów, żyjątek o bardzo smacznym mięsie – a jego łódź nie była podobna do tubylczych piróg, drażonych w pniu drzewa mahoniowego. Człowiek ten wyskoczył wkrótce na łąd, silnymi ramionami wyciągnął łódź na piasek i odszedł, kierując się do miasta. Wtedy, widząc go z bliska, mieszkańcy poznali w nim Tomasza Trubleta.

W ciągu sześciu tygodni Tomasz Trublet zamykał się w samotności na pokładzie fregaty, nie racząc nawet opuszczać jej dla zaopatrzenia się na lądzie w świeżą żywność i skazując się na zapasy z kambuza albo na to, co mogli mu dostarczyć z ryb lub zwierzyny nieliczni kupcy, którzy ryzykowali sprzedaż na okrętach stojących w porcie. W ciągu sześciu tygodni przestrzeń pokładu „Pięknej Łasicy” zdawała się wystarczać korsarzowi, dla którego wielkie morze antylskie w ciągu pełnych czterech lat było zbyt ciasne w jego niezmordowanych wędrówkach. I nie było wątpliwości, że Tomasz Trublet, zadowolony z tego odpoczynku po tylu trudach, chętnie przedłużyłby go, nie schodząc na łąd aż do ostatniego dnia pobytu na obczyźnie, gdyby nie pogarda i nieczułość branki Juany. Wreszcie przebrała się miara jego rozgoryczenia i gniewu odepchniętego kochanka i zapragnął znaleźć dla siebie więcej przestrzeni, gdzie mógłby doznać ulgi w forsownych marszach.

W ten sposób flibustierzy i inni mieszkańcy wyspy mieli okazję tego wieczora i następnych widzieć Tomasza Trubleta, przemierzającego we wszystkich kierunkach miasto i okolice, wspinającego się na szczyt wysokiego wzgórza, na zboczach którego piętrzyły się wille bogaczy i niekiedy zapuszczającego się nawet aż w głąb dzikich lasów, położonych od północy, gdzie nie było ani pól uprawnych, ani żadnej innej roślinności. Tomasz chodził krokiem szybkim i porywczym, z twarzą człowieka obłąkanego, pogrążonego w jakiejś ponurej zadumie. I dopiero w ciemną noc osobliwy wędrowiec, przebiegający lasy i zarośla, raczej zmęczony niż uspokojony, powracał na plażę, odnajdywał szalupę, wciągał ją na wodę i odpływał z powrotem na okręt...

Pewnego dnia, gdy tak szedł oddalając się od portu i gdy zaczynał się wspinać na pierwsze zamiejskie uliczki, biegnące bardzo stromo, ktoś, wyszedłszy z niskiego domu z szerokim szyldem i ujrzawszy go, wydał głośny okrzyk:

– Hej! Przyjacielu! Czy to naprawdę ty? Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli się mylę i jeżeli to nie jest jeden z moich Braci Wybrzeża Trublet! Hurra! Takie spotkanie trzeba opić!... Chodź do oberży, bracie, i opowiedz mi, co się z tobą dzieje, albo mnie diabli wezmą!

Tomasz poznał Edwarda Bonny’ego, zwanego Rudobrodym.

Flibustier angielski nie miał się tak dobrze, jak niegdyś. Świadczył o tym jego ubiór: spodnie miał porwane, a bluzę tak starą, że trudno było określić jej barwę. Zresztą Rudobrody nie krył się bynajmniej ze swoją nędzą, która była oczywiście wszystkim znana. Pierwszą jego potrzebą było zatem opowiedzieć Tomaszowi, szczegółowo i wśród hałaśliwych wybuchów śmiechu, jak to wypadek pozbawił go „Flying Kinga”, który wpadł na skałę podwodną koło przylądka Manzanillo, i jak Hiszpanie z Colónu, których swego czasu puścił za pięknym okupem, zemścili się podle, mordując wszystkich, kogo dostali z rozbitej załogi. On sam, Rudobrody, zdołał umknąć, goły jak święty turecki, i dostać się z powrotem na Tortue, Bóg wie po jakich tarapatach! Teraz przebywał tutaj od miesiąca bez grosza przy duszy, ale wesoły jak zwykle, i nie tracąc ducha, jak przystało na prawdziwego flibustiera.

– Te małe kastylskie drogi mi zapłacą za moją brygantynę, a jeszcze więcej za moich druhów! – zapewniał, uderzając Tomasza ostro po ramieniu. – Możesz mi wierzyć: za każdego zamordowanego towarzysza wyrżnę tą oto ręką nie mniej jak dziesięciu wrogów, a za każdą straconą deskę odbiorę sobie nie mniej jak funt złota!

Po czym obydwaj, Rudobrody i Tomasz, weszli do oberży. Jej sztyld w kształcie żelaznej chorągiewki skrzypiał przymilnie, poruszany południowym wiatrem. Było gorąco i zaschło w gardłach. Przy stole, który Rudobrody niedawno porzucił i przy którym posadził Tomasza, dwie już puste kruże wskazywały namacalnie, iż pirat podejmował dzielne wysiłki w celu zwalczenia tej posuchy. Ale dwie nowe kruże, jakie właśnie zamówił, świadczyły także, iż uważał te wysiłki za niewystarczające. Rzeczywiście, nowe dzbanki wyschły w mgnieniu oka jak studnie w czas upałów.

– Tomaszu – podjął wówczas flibustier – wiem, że jesteś tak bogaty, jak ja biedny, i gratuluję! Wiem także, żeś wysłał niedawno wraz z załogą do Europy pokaźną zdobycz, która ci się dopiero co dostała. Dobrze, ale co dalej? Czy to prawda, że, jak wszędzie gadają, zostałeś sam na „Pięknej Łasicy”, aby cieszyć się miłością i pieszczotami pięknej dziewczyny, z której uczyniłeś swoją niewolnicę? Jeśli tak, nie rumień się i dawaj łapę: nikt lepiej od Rudobrodego nie zna się na słodkich namiętnościach, i chcę ci natychmiast dać tego poważny dowód.

Mówiąc to i nie dając Tomaszowi przyjść do słowa, podniósł się i pobiegł do drzwi oberży, aby rzucić okiem na ulicę... I bez wątpienia ujrzał to, czego szukał, w tej samej bowiem chwili zaczął wołać na całe gardło:

– Hallo! Rack, chodź tutaj, mój synku! Zostaw wszystko, zwiń żagle i rzuć kotwicę na tym progu! Piję w towarzystwie jednego z Braci Wybrzeża, z pewnością go polubisz.

Wrócił, poprzedzony przez chłopca o pięknej postawie. Młodzieniec nie miał ani zarostu, ani wąsów, a kiedy rzucił swój kapelusz na stół, odkrył wspaniałe długie blond włosy, nie związane na karku, lecz przeciwnie, swobodnie puszczone na ramiona.

– Hallo! – zawołał z kolei przybysz głosem świeżym, chociaż nieco zdartym. – Hallo! Bonny, jesteś już pijany i beze mnie? Już cię korci, przekłete bydlę! Kim jest ten człowiek?

– To jest Tomasz Trublet, o którym ci mówiłem tyle razy i który...

– I który na pewno nie potrzebuje, aby go rekomendował taki gaduła jak ty. Zamilcz, na Boga! Kapitanie Tomaszu, daj rękę! pan mi się podobasz, jakem Mary! Do pańskich usług!

W ten sposób zdziwiony Tomasz dowiedział się, że marynarz Rudobrodego był kobietą.

Wesoła ta dziewczyna nazywała się Mary Rackam i jakkolwiek miała zaledwie dwadzieścia lat, przebiegła już wszystkie morza, tak że nie była nowicjuską ani w rzemiośle wojennym, ani marynarskim. Zresztą, choć była odważna i dzika jak żaden flibustier na świecie i choć ubierała się po męsku, zarówno dla wygody jak i z upodobania, tym niemniej pozostała kobietą z wszystkimi jej namiętnościami, wszystkimi uniesieniami, a także z wszystkimi słabościami i kaprysami. I, nie zwlekając ani minuty, zaprezentowała się tak dokładnie, że Tomasz nie mógł w to wątpić: zwracając się bowiem do Rudobrodego, zaczęła go gwałtownie

przeklinać, czyniąc mu zarzut, że robił oko do którejś służącej z oberży i obiecując mu tysiąc uderzeń noża w brzuch, gdyby ta służąca odplaciła mu choć jednym uśmiechem.

– Ech! cóż ci to szkodzi? – zapytał Rudobrody śmiejąc się na całe gardło. – Czy jesteś moją prawną małżonką i czy przysięgałem ci wierność, że okazujesz tyle zazdrości?

W mgnieniu oka Mary Rackam wyciągnęła nóż, który miała za pasem, i wbiła go w stół; ostrze weszło w drewno przynajmniej na dwa palce.

– Co szkodzi?! – odparła, błyskając białymi zębami – a szkodzi to, że nie potrzebuję ani przysięgi mężczyzny, ani obrządku kościelnego, aby strzec tego, co do mnie należy! A oto moja poręka!...

Wskazała palcem wbity w stół nóż.

Tomasz oddał go jej z galanterią, a musiał użyć całej swojej siły, aby ostrze wyciągnąć od jednego razu.

– Zaraza! – mruknął z podziwem. – A to dopiero! Chciałbym mieć do pomocy tę piastkę podczas abordażu!

W ustach Tomasza Trubleta było to pochlebstwo.

– Do diabła! – zawołała Mary uderzając go pięścią w ramię. Chętnie będę walczyć z tobą ramię w ramię! Podobasz mi się, kapitanie Trublet... Posłuchaj... kiedy zdradzę tego tu – wskazała na Rudobrodego – co z pewnością wkrótce nastąpi, bo chyba sam diabeł mnie otumanił lub oślepił w tym nieszczęsnym dniu, kiedy wzięłam sobie za kochanka podobne bydlę... A więc kiedy go zechcę zdradzić, a będziesz wówczas w moim zasięgu na odległość strzału – zrobię to z tobą!

Na co Rudobrody odpowiedział takim wybuchem śmiechu, iż zdawało się, że naprawdę pęknie.

Od tego dnia Tomasz poniechał swych samotnych wędrówek, które zresztą nie dawały mu prawie żadnego zadowolenia. Znajdował lepszą rozrywkę w towarzystwie wesołego flibustiera i jego wojowniczej kochanki oraz różnych innych Awanturników, którzy, podobni w tym do Rudobrodego, nie mieli wówczas grosza przy duszy i odwiedzali wszystkie knajpy wyspy, aby wykorzystać ten niewielki kredyt, jakiego im jeszcze udzielano. Gromadziła się w nich różnorodna zbieranina najniezwyklejszych ludzi. Tomasz Trublet wyróżniał spośród wszystkich pewnego Francuza, rodem z wyspy Oléron w Aunis, który to Francuz, wychowany w duchu reformacji, zachowywał pozory surowych obyczajów, bardzo bliskich hipokryzji, ale nie był przez to ani mniej dzielny, ani mniej śmiały niż inni katolicy. Inny Francuz, ten znów rodem z Dieppe w Normandii, tak wielki i tęgi, że, gdy się na niego patrzyło, można go było wziąć za niedołęgę, w rzeczywistości miał opinię niezwykle ruchliwego w walce i niezastąpionego wówczas, gdy należało dawać dziesięć ciosów za jeden. Trzeci kompan w oryginalności przewyższał jeszcze dwóch poprzednich: był to Wenecjanin, który twierdził, że jest szlachcicem i kazał do siebie mówić sir. Ten to szlachcic utrzymywał, iż pochodzi z rodziny patrycjuszów, nawet książąt. Miał się nazywać Lorédan, i to wielkie imię, imię średniowiecznego, doży, pasowało zresztą do jego niezwykle urodziwej twarzy, delikatnych rąk i wdzięku, z jakim się poruszał. Poza tym, książę czy prostak, Lorédan był prawdziwym flibustierem, i to jednym z najlepszych, jakkolwiek, w przeciwieństwie do Normandczyka z Dieppe i hugenota z Oléron, jak również niemal wszystkich jego kompanów, nie został marynarzem prawie od urodzenia, lecz zaczął pływać na okrętach dopiero po przekroczeniu wieku męskiego. Jego dzieciństwo i młodość stanowiły prawdziwy romans, jakiego by, nawet w połowie tak romantycznego, nie ułożył sam pan de Scudery⁹. Nie było prawie fachu, którego by flibustier Lorédan nie próbował, ani obowiązków, jakich by nie wypełniał, ani przygody, jakiej by nie

⁹ Georges de Scudery (1601-1667), dramaturg, poeta i powieściopisarz francuski; autor epopei „Alaryk”, wyśmianej przez Boileau (przyp. tłum.).

doznał na lądzie i na morzu, w polu, w miastach i w wyprawach korsarskich – jednym słowem wszędzie, gdzie sprawa wymagała błyskawicznego wyciągnięcia szpady z pochwy.

Ludzie ci i wielu innych stanowili odtąd towarzystwo Tomasza Trubleta, który pozostawał nadal na pokładzie „Pięknej Łasicy” – by codziennie wysłuchiwać dumnych słów i odpraw sewilanki Juany – ale każdego wieczora udawał się teraz na ląd, aby odnaleźć w którymś z szynków miasta bandę rozpróżnionych flibustierów, pić razem z nimi i weselić się – prawdziwie, czy też tylko pozornie. Nikt z tych ludzi zresztą nie podejrzewał ani przez chwilę Tomasza Trubleta, króla korsarzy, aby mógł mieć choćby najmniejszy powód, by nie czuć się najszcześniejszym ze śmiertelnych, a tym bardziej, aby miał szukać w winie i rumie zapomnienia. Nikomu przecież nie przyszło do głowy, że jest źle traktowany przez swoją branżę, która to branka, w pojęciu wszystkich Awanturników – ludzi mało uczuciowych i nie usposobionych do poddawania się władzy jakiegokolwiek kobiety – mogłaby być tylko najniższą służką takiego bohatera jak Trublet; służką i niewolnicą, uległą wobec wszystkich najmniejszych kaprysów i zachcianek swego pana. Byliby się wielce zdumieli, gdyby im powiedziano, że nic z tego nie było prawdą...

VI

Już dwa razy Tomasz przypuszczał szturm do cnoty, czy też do rzekomej cnoty, swojej branki Juany. I dwa razy został odparty najenergiczniej w świecie – z taką zajadłością, że zwlekał i odkładał z tygodnia na tydzień trzeci atak. Pierwsze dwa przedzielało zaledwie kilka godzin – pierwszy na pokładzie galeony, w dniu, kiedy ją zaatakowano i zdobyto, drugi na pokładzie „Pięknej Łasicy”, w nocy, która nastąpiła bezpośrednio po tym dniu. Od tego czasu przeszło sto dni i sto nocy, minęły już bowiem trzy miesiące, jak Ludwik Guénolé podniósł kotwicę w porcie Tortue, zabierając na galeonie całą dawną załogę Tomasza Trubleta i zostawiając go niemal samego na rozbrojonej fregacie. Sto dni i sto nocy, podczas których Tomasz, sam na sam z dziewczyną, miał liczne okazje rozjątrzać swoje pożądanie i gniew z powodu odporu oraz niezliczonych poniżeń, obelg i zniewag, jakich od niej doznawał. Jednakże, zdusiwszy w sobie gniew i gorączkę krwi, powstrzymywał się jeszcze i jako dobry taktyk okazywał cierpliwość bez końca: chciał bowiem tym razem uderzyć bezbłędnie, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że trzecie uderzenie będzie decydujące.

Nie ulega wątpliwości, że brutalna siła mogłaby łatwo złamać opór słabej kobiety, tak mało jeszcze różniącej się od dziecka. Ale Tomasz, jakkolwiek myślał z początku, że byłoby to rzeczywiście najlepsze wyjście, i jakkolwiek groził nawet tym doncelli, zawahał się wkrótce przed wykonaniem tej pogroźki. Inna rzecz zgwałcić dziewczynę w pierwszym porywie namiętności, pośród zdobytego szturmami miasta albo na pokładzie wziętego w abordażu okrętu, a inna rzecz na zimno przywiązać ręce tej dziewczyny do rogów łóżka, aby ją osiąść bez przeszkód i cieszyć się nią do woli. Tomasz zrezygnował z tego wyrachowanego gwałtu, zwłaszcza że niezwykle dumna branka wyparła z niej wszelki lęk, pomimo lub nawet na przekór beznadziejnej sytuacji, w jakiej się ona znalazła. Juana przysięgała po wielokroć, iż nie przeżyje tego, co pompatycznie nazywała swoim dyshonorem, a Tomasz wierzył, że jest zdolna zabić się rzeczywiście, aby nie zadawać kłamu własnym słowom.

Nadszedł jednak dzień tej trzeciej batalii, tak długo zwlekanej i odkładanej. Tomasz, który bardzo się pilnował, aby nie rozpoczynać walki inaczej, jak tylko w dogodnej dla siebie chwili i z całą przewagą po swojej stronie – w ostatnim momencie poniechał narzuconej sobie rozwadze, stracił w jednej minucie doświadczenie dwunastu tygodni i ulegając nagle rozdrażnieniu, porzucił wszelkie wyrachowanie i zdał się na los. Było to podczas jednej z tych ceremonialnych rozmów, które miewał z Juaną, a które ona wykorzystywała, aby go bezustannie irtować tysiącami obelg. Raz jeszcze była poruszona sprawa Ciudad-Realu w Nowej Grana-

dzie. Juana, rozwodząc się z zawsze jednakowym zadowoleniem i próżnością nad nie mającą równej w świecie wspaniałością tego miasta, o którym mówiła, jak o swoim lennie, orzekła naraz, iż Tomasz mógłby się wkrótce sam przekonać o prawdzie tych słów.

– Czyżby? – zapytał obojętnie Tomasz, który z początku nie spostrzegł, dokąd zmierzała ta rozmowa. – W jaki sposób mógłbym się przekonać?

– Gdybyś zobaczył na własne oczy – odpowiedziała.

Byli z sobą na ty. Ale to „tykanie” w ustach Tomasza było tylko pospolitym zwyczajem dziecka morza, marynarza, który nigdy nie robił wielkich ceremonii z żonami i córkami swoich druhów-marynarzy – natomiast Juana, mówiąc „ty” Tomaszowi, objawiała pogardę szlachcianki, besztającej chłopca, albo pani, rozkazującej lokajowi.

Tomasz jednak pytał dalej:

– Ale jakim sposobem mógłbym zobaczyć na własne oczy?

– Zobaczysz! – padła odpowiedź. – Zobaczysz wtedy, kiedy mój ojciec, mój brat i mój narzeczony przybędą przeciwko tobie, aby mnie odebrać, zawiodą cię jako jeńca do Ciudad-Realu i powieszą tam na szubienicy koło Wielkiej Bramy.

Tomasz nie był człowiekiem, który by się zbyt łatwo przejmował podobnymi pogrozkami. Juana rozgniewała się prędko, widząc, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Czy sądzisz – rzekła rozzłoszczona – że jeśli dotychczas nie przybyli, to dlatego, że się boją ciebie albo twoich ludzi? Gdyby wiedzieli, że jestem tutaj, przybyliby niezwłocznie i znalazłbyś się prędko w ich mocy, a po załatwieniu się z tobą zdobyliby całą Tortue!

Tomasz śmiał się tylko. Podrażniona doncella zacisnęła pięści:

– Wątpisz w to? – zasyczała. – Zobaczysz! Ty złodzieju! Jesteś bardzo mądry i przebiegły, trzymając mnie tutaj i sam się ukrywając, aby uniknąć sprawiedliwej zemsty moich krewnych!

Tomasz, śmiejąc się ciągle, wzruszył ramionami.

– Nie kryję się ani trochę, cała Ameryka wie, że jestem tutaj, na mojej własnej fregacie, i że jestem sam jeden. Moi nieprzyjaciele, jeśli chcą, mogą mnie tu znaleźć.

Teraz z kolei Juana wzruszyła ramionami.

– Przeceniasz swoją popularność – powiedziała szyderczo. – A ponadto jeśliby twoi nieprzyjaciele chcieli cię tu dopaść, któż by cię przeciwko nim obronił? Może przypadkiem twoja Panienska. Panienska nie wiem skąd, Najświętsza Panna pogańska, psia, która na pewno sypia z diabłem?

Bluznierstwo zgiewało Tomasza więcej, niż mogłoby to sprawić dwadzieścia obelg.

– Milcz! – rozkazał nagle wściekły. – Ta Panienska, przed którą nie jesteś godna skłonić kolana, warta jest więcej niż twoja cygańska Brunetta, która może sypiać, z kim jej się podobą, ale pomimo to nie przeszkodziła, byś wpadła w moje ręce!

Juana skoczyła na równe nogi.

– Milcz sam, bezbożniku! – zawyla. – Brunetta uratowała od twoich rąk więcej niż mnie samą, zachowując moje dziewictwo, które zmusiła cię uszanować – pomimo całej twojej siły i rozpusty, pomimo całej przeklętej opieki nad tobą tej Panienski, Panienski rozpustnicy i ladczyki!

Na Tomasza zniewaga spadła jak pada iskra krzesiwa na panewkę muszkietu. Wybuchnął męską wściekłością i w jednej sekundzie stracił doświadczenie dwunastu tygodni. Juana, łącząc i szydercza, stała z rękami na biodrach, odzyskując naraz zimną krew, podczas gdy on ją stracił. Przez nadmiar brawury przyjęła postawę zbyt wyzywającą i w ten sposób sprowokowany Tomasz ośmielił się... Runął na nią, jak czynił to już dwa razy. A zrobił to tak prędko, że rzucił ją na łóżko i padł na nią, zanim mogła się obronić. Ale nie jest wcale łatwo osiągnąć cel z kobietą, która się broni, przynajmniej jeżeli się nie ucieka do gestów brutalnych. A Tomasz widać nie chciał tego, skoro na pierwszy krzyk bólu, wydany przez przeciwniczkę, puścił zdobycz, rozluźnił uścisk wokół wątych piąstek i cofnął kolano gniotące delikatny

brzuch. W takiej walce kto raz ustąpi, jest zwyciężony. Uzyskawszy pierwszą zwłokę, Juana umiała też uzyskać następne. Krzycząc, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry, skoro tylko poczuła, iż pozycja jej jest zagrożona, zmuszała w ten sposób zakochanego Tomasza, niemal zdętwiałego, do utraty każdej przewagi niemal w tym samym momencie, gdy ją zdobywał. Wynik tak prowadzonej walki był bardzo wątpliwy. Cztery minuty później Tomasz wyprostował się, ostatecznie pokonany, i zrobił odwrót. Juana, zaledwie uwolniona z uścisku, wyprostowała się również i stanęła. Bała się. Ale zwycięstwo wróciło jej śmiałość. Wybuchnęła przenikliwym śmiechem.

– Nie mówiłam ci? – zawołała – nie mówiłam ci, że twoja Panienska, Panienska bramy czy rozstajnych dróg, nic nie może przeciwko mojej Brunecie La Macarena?... przeciwko Brunecie, która zachowa moje dziewictwo, ponieważ w tej chwili uczyniłam ślubowanie, iż skoro tylko powrócę do Ciudad-Realu, ofiaruję jej sukienkę całą z materii złotolitej!...

Tomasz przekroczył już próg. Słyszając te słowa drgnął jak gdyby ukąszony przez żmiję i zawrócił.

– Przebóg! – zamruczał przez ściśnięte zęby. – Amen! biorę wotum na mój rachunek. Zapłacę za sukienkę całą z materii złotolitej dla Brunetty! Ale Brunetta pewnie nie chciałaby tego, gdybym dla wzięcia z niej miary zmienił najprzód kaplicę...

Juana z otwartymi ustami, oniemiała, przestała szydzić.

– A zresztą – zakończył Tomasz Trublet, z kolei on wybuchając śmiechem – a zresztą, jeżeli Brunetta na to się zgodzi, Panienska Wielkiej Bramy zdoła mi łatwo wyjednać przebaczenie!

Trzasnęły za nim drzwi.

VII

Wtargnąwszy nagle do oberży „Pod tańczącym żółwem”, gdzie tego wieczora pili Edward Bonny i Mary Rackam, Wenecjanin Lorédan i flibustier z Oléron, Francuz z Dieppe i różni inni Awanturnicy, same ważne osobistości – Tomasz Trublet, wywołał sensację. Wbrew swoim obyczajom Tomasz, co było niezwykle, wkroczył wojowniczo i rzucał wokół dzikie spojrzenia. Dotarł do ławy, upadł na nią raczej niż usiadł, a ujrawszy dzbanek, pełen świeżego wina, schwycił go i opróżnił jednym haustem – wszystko to bez pozdrowienia obecnych choćby najmarniejszym słowem. Zdumieni piraci przerwali pijatykę i przyglądali się w skupieniu tej nagłej zmianie.

Tomasz wypił i wściekłym uderzeniem rozbił dzban o stół.

– Cóż się stało? – zaryzykowała Mary Rackam, bardziej skora do mówienia niż mężczyźni.

Ale Tomasz nie odpowiedział. Być może wcale nie usłyszał pytania.

– Bracia Wybrzeża! – zawołał naraz, spoglądając na wszystkich wokół jarzącym się wzrokiem. – Czy macie już dosyć, jak ja, wycierania portek na stołkach oberży i opróżniania waszych kiesek, nie wiedząc, kiedy je znowu będziecie mogli napełnić?! Jeżeli tak, wypijcie do dna i posłuchajcie mnie... Kto spośród was uzna mnie za kapitana i podpisze ze mną umowę na wyprawę, która, jeżeli będzie się to podobało Bogu i naszym patronom, uczyni nas bogatymi na zawsze?

Po martwej ciszy, w jaką padły pierwsze słowa tego przemówienia, powstał w mgnieniu oka szalony tumult. Zerwawszy się jakby za naciśnięciem sprężyny, flibustierzy zawyli z entuzjazmu, potrząsając strzelbami – mieli bowiem zwyczaj nigdy się z nimi nie rozstawać, tak w szynku jak i w bitwie. Podczas całych pięciu minut panował taki hałas, że trudno było odróżnić choćby jedno słowo. Ale w końcu przenikliwy głos Mary Rackam zapanował nad innymi.

– Hurra! – zawołała. – Kapitanie Tomaszu, jeżeli mi nie odmówisz, chcę być w tej wyprawie twoim marynarzem! Pójdę za tobą, gdzie tylko będziesz chciał, pójdę tam, gdzie ty pójdziesz, na śmierć, na życie i aż na samo dno piekieł!

Inni, rycząc i klnąc, stanowili jeden chór. Tomasz, wspominając z dumą załogę „Pięknej Łasicy”, podobnie hałasującą w chwilach poprzedzających każde z odniesionych zwycięstw, poczuł, jak serce wzbiera mu wojowniczą i triumfującą radością. Dopiero po długiej chwili uderzył pięścią w stół, aby nakazać ciszę.

– Kto z was – zapytał, gdy to osiągnął – zna bądź ze słyszenia, bądź z własnego tam pobytu pewne miasto w królestwie Nowej Granady, które się nazywa Ciudad-Real?

– Ja – odpowiedział Lorédan Wenecjanin, podnosząc się z ławy.

A ponieważ pił w końcu knajpy, zbliżył się do Tomasza i przysiadł się do tego samego stołu, przy którym siedział kapitan. Rozradowany Tomasz uderzył go w kolano.

– Więc znasz Ciudad-Real w Nowej Granadzie? – upewnił się jeszcze.

– Tak, na świętego Marka i na Lwa! – potwierdził Wenecjanin. – W dodatku znam je nie ze słyszenia, ale ponieważ byłem tam osobiście.

– Dalibóg! – Tomasz był zachwycony – oto przewodnik, jakiego nam potrzeba! Opowiedz nam zatem o tym mieście, które cieszy się tak wspaniałą sławą. Mów nam wszystko, co tylko o nim wiesz, a wy, Bracia Wybrzeża, słuchajcie uważnie: bo to właśnie Ciudad-Real mam zamiar wziąć szturmem, aby je ograbić i splądrować do cna.

W tej samej chwili rozległy się burzliwe oklaski. Niewielu piratów wiedziało coś więcej na temat Ciudad-Realu poza tym, że było to miasto bardzo bogate, a więc akurat dobre do grabieży.

Wenecjanin Lorédan czekał tymczasem, aby się uspokoił ten ogólny wrzask. Skoro to nastąpiło, zaczął mówić swoim miłym i spokojnym głosem.

– O wspomnianym mieście w Nowej Granadzie – zaczął – wiem wszystko. Znam w nim nie tylko każdą ulicę, każdy plac i każdą bramę z jej nazwy, ale zwiedzałem tam po wielokroć wały, baszty, forty, zamek i strażnicę. Byłem tam bowiem nie w roli podróżnika, który przybywa, ogląda i odchodzi, ale jako mieszkaniec, więcej, szanowany obywatel. Zdarzyło mi się nawet być oficerem garnizonu, utrzymywanego tam przez hiszpańskiego króla...

Słowa te, jakkolwiek dziwne, nie zdumiały flibustierów. Tyle już w swoim życiu widzieli i tyle robili, że nie uważali bynajmniej za coś nadzwyczajnego, jeżeli któryś z nich był niegdyś kimkolwiek, nieważne kim, choćby nawet oficerem hiszpańskim. Tylko Tomasz Trublet podniósł brwi. Ale Lorédan mało się tym wzruszył.

– Otóż więc – podjął bardzo spokojnie – chcę powiedzieć, o tym, co nas teraz najbardziej obchodzi. Ciudad-Real jest miejscem warownym, doskonale utrzymanym i zdolnym do stawiania oporu regularnemu oblężeniu w ciągu wielu miesięcy. Aby je zdobyć według zwykłych reguł wojennych, niezbędna jest flota i armia. Co się tyczy floty, powinna ona liczyć osiem lub dziesięć okrętów liniowych, ponieważ front twierdzy od strony morza tworzy osiem albo dziesięć silnych fortec, zbudowanych według ostatniej techniki, a każda z nich znaczy tyle co okręt. Co się tyczy armii, powinna ona liczyć najmniej sześć tysięcy ludzi, garnizon bowiem liczy trzy tysiące pięćset żołnierzy, z których każdy, walcząc za blankowanymi murami, wart jest dwóch ludzi, walczących bez ukrycia. Co do reszty, Ciudad-Real jest otoczony wielkim wałem z bastionami i okopami głębokości piętnastu stóp, z faszyną szerokości siedmiu stóp. Na zewnątrz są różne fortyfikacje, silnie obsadzone, w liczbie dziesięciu. Zdobywszy te fortyfikacje i wał, oblegający natkną się na pięć oszańcowanych klasztorów, które tworzą wokół miasta drugie obwałowanie. Dwa tysiące czterystu mnichów stanowi tam prawdziwy garnizon, ponieważ gubernator króla katolickiego dał im do obrony osiemset muszkietów i tysiąc sześćset pik. Byłem sam, kiedy dokonywano podziału. Zdobywszy z kolei klasztor, ma się przed sobą cytadelę, czyli zamek posiadający pośrodku bardzo wysoką strażnicę z czterema wartowniami na flankach. Pięćdziesięciu ludzi, zamknąwszy się w niej,

może powstrzymać pięć tysięcy, dopóki wódz naczelny wicekrólestwa nie przyjdzie na pomoc z Santa Fé de Bogota na czele dwudziestu tysięcy żołnierzy, którymi dowodzi. Między Santa Fé i Ciudad-Realem nie ma nawet stu wielkich mil.

Powiedziawszy to wszystko Lorédan oparł niedbale lewą dłoń o biodro i zamilkł.

Wśród flibustierów przebiegł pomruk. Wielkość niebezpieczeństw, jakie należało pokonać, z pewnością nie przstraszała żadnego z nich. Ale wobec nagromadzenia tylu przeszkód, niektórzy, obliczając szczupłe siły, jakimi rozporządzano, zaczęli wątpić, czy powodzenie będzie możliwe.

Wówczas jednak rozległ się głos Trubleta. A głos ten brzmiał tak spokojnie i tak chłodno, iż zdawało się, jakby Tomasz nie słyszał ani słowa ze straszliwych wyjaśnień Lorédana Wenecjanina.

– Lorédan, dotychczas nie powiedziałeś nam nic o rzeczach, które najbardziej nas interesują – otóż pytam cię zatem... czy jest prawdą, jak to twierdzą, że Ciudad-Real należy do najbogatszych miast amerykańskich?

– Oczywiście! – odpowiedział Wenecjanin.

– Czy jest prawdą, że jego kościoły, kaplice, klasztory i inne święte budowle są przepelnione obrazami i posągami w przeważającej części z litego złota lub srebra?

– Jest prawdą.

– Czy jest również prawdą, że w Ciudad-Realu znajdują się obszerne składy, zawierające sztaby kosztownych metali, a także rubiny, granaty, szmaragdy, agaty i inne drogie kamienie; korale, koszenilę, indygo, tytoń, cukier, szarą ambrę, drzewo barwnikowe, skóry, kakao, czekoladę?

– Tak.

– Czy jest prawdą ponadto, że w mieście tym zwyczajni mieszczanie są bogatsi niż sędziowie, kupcy i notable?

– Fakt to niewątpliwy.

– A więc – wykrzyknął Tomasz z wielką radością, uderzając obydwoma pięściami w stół – po kiego diabła mówić o wałach, fasadach, okopach, bastionach i mocnych zamkach? I który flibustier, troszczył się kiedykolwiek o podobne bzdury? Z nami Bóg! Słuchajcie mnie uważnie wszyscy: przysięgam tutaj na Chrystusa z Ravelinu i Jego Matkę Przenajświętszą – skoro Ciudad-Real jest bogaty, Ciudad-Real będzie nasz albo w nim zginę!

Żaden z obecnych flibustierów nie cofnął się – żaden nie uchylił się przed zaszczytem towarzyszenia Tomaszowi Trubletowi w planowanej przez niego wyprawie, która zapowiadała się jako najzuchwalsza spośród tych, jakie kiedykolwiek przedsięwzięli flibustierzy. W oberży „Pod tańczącym żółwem” zgromadziło się dwudziestu sześciu śmiałków, którzy natychmiast z wielkim entuzjazmem podpisali umowę, w tak prawidłowej i przejrzystej formie, że lepszej nie sporządziłby żaden prawnik. Tomasz podyktował akt słowo za słowem Lorédanowi, który, dobrze umiejąc pisać – umiał on niemal wszystko – wypisał dokument bardzo czytelnie. Papier leżał następnie w ciągu trzech dni na stole oberży – własny puginał Trubleta i sztylet Wenecjanina przymocowały go tam jak dwa wojenne gwoździe. I każdy obecny na wyspie flibustier mógł do woli słuchać lektury tego dokumentu, której na jego życzenie dokonywali ludzie dobrej woli, dostatecznie oświeceni, aby mogli go przeczytać. W rezultacie wieczorem trzeciego dnia Trublet i Lorédan, wróciwszy wyciągnąć swoje sztylety i zabrać umowę, nalicyli na niej sto szesnastcie starannie wypisanych nazwisk oraz dwieście dwadzieścia krzyżyków, pomieszanych z nazwiskami. W sumie było więc trzystu trzydziestu sześciu zacnych ludzi, umiejących albo nie umiejących pisać, ale umiejących się bić. Zgromadziła się elita flibustierów, zadowolona zarówno z kapitana, jak i z kompanii.

Dokument umowy Tomasz podyktował, jak poniżej, troszcząc się, aby pogodził on zwyczajne Awanturników z jego własnym interesem kapitana z Saint-Malo, oraz z pewnymi ta-

jemnymi zamysłami, jakie pieścił w głębi duszy, co do miasta, wychwalanego przez branke Juane i co do mieszkańców tegoż miasta...

Oto co podyktował Tomasz Lorédanowi:

UMOWA

Pomiędzy wszystkimi Braćmi Wybrzeża, którzy podpiszą niniejsze, zawarta jest umowa, ażeby dokonać do Ciudad-Realu w Nowej Granadzie wyprawy, którą dowodzi Tomasz Trublet, Kapitan i dowódca, mając jako poruczników Edwarda Bonny'ego, zwanego Rudobrodym, Lorédana Wenecjanina, Awanturnika z Dieppe, Awanturnika z Oléron, Mary Rackam, kobietę korsarkę i innych, jeśli zajdzie tego potrzeba. Tomasz Trublet mianuje jednego z nich wicekomendantem floty, innego kontrkomendantem, według swego wyboru, a sam będzie Generałem armii lądowej, skoro tylko armia ta wyląduje.

Flota składa się z lekkiej fregaty „Piękna Łasica” i z wszelkich innych okrętów, które zostaną zdobyte w drodze. Wyżej wymieniona fregata, będąc wniesiona do spółki przez Generała, nie jest wspólnotą całej załogi; zgadzamy się, że pierwszy zdobyty okręt będzie dany Generałowi, jako zapłata za jego ryzyko wraz z dwoma przydziałami ponad należny mu udział w zyskach.

Porucznicy będą mieli każdy po dwa udziały przy podziale. Jeżeli się odznaczą, będzie im przyznana nagroda za wspólnym zezwoleniem.

Chirurg otrzyma dwa tysiące talarów na medykamenty.

Cieśla – tysiąc talarów za swą pracę przy uszczelnianiu okrętu.

Kto zabije pierwszego nieprzyjaciela – tysiąc talarów.

Kto pierwszy wdrze się na wały miasta – tysiąc talarów.

Kto zdejmie flagę hiszpańską z fortecy, aby tam zawiesić francuską albo Saint-Malo – tysiąc talarów.

Kalecy otrzymają:

za stratę jednego oka – tysiąc talarów;

za stratę obydwu – sześć tysięcy;

za stratę jednego ramienia lub jednej ręki – tysiąc pięćset;

za stratę obydwu – cztery tysiące;

za stratę jednej nogi – dwa tysiące;

za stratę obydwu – sześć tysięcy,

Zaznacza się tutaj, że cyfry te, osiem i dziesięć razy większe, niż jest we zwyczaju, są takie z racji wielkości i niebezpieczeństwa przedsięwzięcia. Wszystkie specjalne zapłaty będą pobrane z góry według zdobyczy, przed podziałem, który się następnie odbędzie na tyle części, ile wypadnie, według obecnych, udziałów do rozdania.

Generał zakupuje ze swych funduszy wszystkie proch do dział i otrzymuje jeszcze dwa udziały ponad przynależne mu, jako zwierzchnik.

Po wzięciu miasta nikt z Awanturników nie będzie mógł niczego zabrać ze zdobyczy, ani złota, ani niewolników. Ale każdy, kto pozna wśród jeńców swych osobistych nieprzyjaciół, może ich zabić własnymi rękami, o ile będzie chciał.

W dowód czego podpisaliśmy i przysięgamy aż do zwycięstwa być dobrymi Braćmi Wybrzeża.

Hiszpanka Juana dziwiła się wielce, słysząc nazajutrz na pokładzie „Pięknej Łasicy” gwar, jaki czynili pierwsi flibustierzy, którzy zaczęli już ładować na statek wszystko, co jest potrzebne do ponownego uzbrojenia fregaty. Dziewczyna była zbyt dumna, aby okazywać ciekawość, nie próbowała więc przekonać się naocznie, co się dzieje, ani nikogo wypytywać, pewna, że Tomasz Trublet przyjdzie ją odwiedzić, i że wówczas dowie się wszystkiego z jego

ust. Lecz to się nie stało. Tomasz nie odwiedził swojej branki ani tego dnia, ani dni następnych. I kiedy w tydzień później „Piękna Łasica” wypłynęła wśród wrzawy nowej załogi, Juana nie wiedziała jeszcze, dokąd i w jakim celu kierowała się fregata, unosząc na pokładzie prócz niej samej, coraz bardziej zaniepokojonej, niewidzialnego kapitana i nie znanych marynarzy.

VIII

Z prawej i lewej burty widniał bliski brzeg, a przed nim długa linia raf, o które rozbryzgiwały się fale. Za nimi wznosiły swoje kredowe ściany nadmorskie skały. W oddali jeżyły się wielkie góry z licznymi ostrymi szczytami i wieloma stromymi grzbietami. Na prawo zatoka kończyła się ujściem rzeczonym. Wypływała tam rzeka, na co mogły wskazywać gęsto rozsiądane niskie wysepki, podobne do tych, jakie tworzy, obok Saint-Malo, przy ujściu Rance, nagromadzony rzeczny muł. Na dwóch z nich wznosiły się wysokie mury o formach geometrycznych, zbyt jeszcze odległe, aby je można było rozpoznać. Poza nimi ukazały się inne zabudowania, jeszcze bardziej niewyraźne. Ale liczne wieże, które wystrzelały ponad nie, wskazywały, że te budowle to było miasto – sam Ciudad-Real w Nowej Granadzie, położony na brzegu owej Rio...Rio Grande, jak Sewilla położona jest na brzegu Gwadalkiwiru – Tomasz przypomniał sobie te słowa Juany.

Samotna „Piękna Łasica” płynęła zuchwale naprzód pod pełnymi żaglami. Od czasu wyjścia z portu na Tortue nie wzięto żadnej zdobyczy. Fregata posiadała wciąż swój pełen wojenny ładunek – trzystu trzydziestu sześciu flibustierów, zdecydowanych zwyciężyć lub zginąć. Zapewne było to dużo, ale i niewiele, jeśli się weźmie pod uwagę liczbę wrogów, których trzeba było pokonać, i moc pracy do wykonania. Tomasz Trublet, licząc na palcach, zdawał sobie sprawę z jednego i drugiego, i doszedł do przekonania, że każdy korsarz będzie miał jakichś czterdziestu albo pięćdziesięciu przeciwników do zwalczania. Podobny rachunek spowodował w nim wahanie w dniu napadu na galeonę. Ale Tomasz Trublet ówczesny i Tomasz Trublet obecny byli bez wątpienia ludźmi już bardzo różnymi. Ten bowiem, który teraz nerwowym krokiem przemierzał odległość od jednej burty do drugiej na kasztelu rufowym, patrząc na rysujące się w dali miasto z pewnego rodzaju dziką niecierpliwością, wcale się nie wahał i nawet śmiał się od czasu do czasu – krótkim, jakby obłąkanym śmiechem – z niebezpieczeństw, jakie miał pokonać.

– ...Budowle kamienne – objaśniał Lorédan Wenecjanin, jak zwykle mówiąc jakby od niechcienia – które pan widzi wzniesione na wyspach przy ujściu, to właśnie te sławne fortece, mające bronić nieprzyjacielskim flotom przystępu do Ciudad-Realu. Jest ich sześć i trzeba liczyć jakieś dwie wielkie mile kanału łączącego pierwszą z ostatnią. Ta, którą pan widzi z brzegu, trzy rumby przed lewą burtą, nazywa się fortem Świętego Hieronima. Jest to, właściwie, otoczona murami bateria, składająca się z ośmiu dział żelaznych, wyrzucających kule dwunasto-, ośmio- i sześciofuntowe, z obsługą pięćdziesięciu ludzi. Druga forteca nosi imię Świętej Teresy i liczy dwadzieścia dział. Jest to budowla całkiem nowa, o czterech bastionach, z fosami bez wody. Oprócz artylerii znajduje się tam dziesięć jednostek, każda po dwa naście muszkietów, dziewięćdziesiąt strzelb, dwieście granatów, oraz w odpowiedniej proporcji proch, ołów i lonty. Następnie idą forteca Poczęcia i forteca Zbawiciela...

– Wystarczy – przerwał Tomasz Trublet. – Oczywiście, możemy zdobyć wszystkie te budwy. Ale byłaby to bardzo długa robota. Czy, aby się dostać z fosy na sam plac, nie ma jakiejś drogi, która by omijała ujście?

–Być może jest – rzekł beztrasko Wenecjanin. – Ale ja nigdy o takiej nie słyszałem.

Wszyscy porucznicy Tomasza zgromadzili się wokół niego: Rudobrody, Francuz z Dieppe, pirat z Oléron i Mary Rackam – jak zawsze w męskim stroju, przy tym klnąc i złorzecząc sama jedna więcej niż czterech flibustierów razem wziętych.

Tomasz rozmyślał z oczami uporczywie wbitymi w szarą linię fortecy.

– Trzeba wziąć jeńców! – postanowił nagle, nikogo się nie radząc. – Brak nam jeńców, ot co! Jeżeli istnieje droga, jakiej szukamy – w ten sposób się o niej dowiemy, albo, dalibóg, nie nazywam się Trublet!

Porywczo podbiegł sam do steru i wziął kurs prosto na fort Świętego Hieronima.

– Ta rudera – krzyknął – nie będzie miała nawet czasu na szamadę¹⁰! Załoga fortu liczy pięćdziesiąt strzelb, co wystarcza akurat do zapchania dziurawego zęba. Jeżeli się poddadzą od razu, okażemy im łaskę. Jeżeli stawią opór, wyłucze się kanalie, oprócz dziesięciu lub dwunastu łajdaków, którzy będą nam przewodnikami.

– A jeśli nie zechcą? – spytał Awanturnik z Dieppe.

– Nie zechcą?! Na ścierwo szatana! Jeśli nie zechcą, powiesi się ich – i to trochę inaczej niż za szyję! – odpowiedziała Mary Rackam, śmiejąc się na całe gardło.

– Zechcą – zapewnił Tomasz Trublet.

Bracia Wybrzeża podziwiali raz jeszcze zręczne manewry swojego kapitana. Fregata lawirowała tak przebiegle, że zatrzymała się na drugim brzegu, powstałym na skutek odpływu, najwyżej sto sążni od fortu Świętego Hieronima, a jednak poza polem ostrzału dział hiszpańskich. Piaszczysty bowiem cypel wydłużał się ukośnie w morze, na północny zachód od fortu, a celowniki ośmiu dział nie były nakierowane tak, aby mogły ostrzeliwać cokolwiek poza tym cypłem. „Piękna Łasica” usadowiła się w tej bezpiecznej strefie. Stu flibustierów, których Tomasz z góry wyznaczył i którymi dowodził osobiście, mogło w ten sposób dotrzeć do stoku fortu bez jednego wystrzału.

Obroncy wprawdzie zajęli blanki i strzelali z muszkietów, ale słabo, ponieważ odpowiedź Awanturników, lepszych strzelców niż jakikolwiek żołnierz na świecie, od pierwszego naciśnięcia spustu zwała każdego Hiszpana, który zaledwie wychylił głowę spoza muru. Nie padło jeszcze czterech, kiedy pozostali silili się jedynie na podnoszenie muszkietów na wysokość ramienia, aby strzelać na chybił trafił, bez narażenia na szwank własnej skóry. Strzały te, źle wymierzone, nie mogły zrobić flibustierom większej szkody. Tomasz jednakże zirytował się wkrótce. Przedostawszy się do fosy na czele dwudziestki swoich ludzi – inni strzelali dalej dla osłony – kazał sobie naprędce zrobić małą drabinę, zręcznie wdrapał się na mur i wskoczył do fortu. Chwilę później połowa jego ludzi dołączyła się do niego, a ta jedna chwila wystarczyła, aby sześciu Hiszpanów padło, powalonych szpadą Tomasza. Pozostali, diabelnie wrzeszcząc, rzucili broń. Większość tych łajdaków wyprawiono na tamten świat. Tomasz jednak przypomniał sobie w porę, że potrzebował jeńców i oszczędził niezbędnych: ośmiu ludzi, którym związano ręce i których zaprowadzono niezwłocznie na fregatę. Podczas walki nastąpił przypływ i „Piękna Łasica” kołysała się już swobodnie przy cyplu, gotowa do żeglowania po nowe zwycięstwa...

Ale przed ponownym wypłynięciem w morze Francuz z Dieppe, który zajęty był pracą przy sterze i żaglach, zwrócił się do Tomasza Trubleta z pytaniem o dalszą drogę. Fort Świętego Hieronima zajęto przecież tylko po to, aby zasięgnąć języka u Hiszpanów...

Tomasz, jak zwykle, wyszedł z walki wrzący ponurym gniewem. Początkowy opór go rozgniewał, potem tchórzostwo wrogów zmieniło ten gniew we wściekłość. To ona go popchnęła do sforsowania muru i walki sarn na sam z wieloma przeciwnikami. Ale masakra, która potem nastąpiła, bynajmniej go nie uspokoiła, przeciwnie, rozdrażniła aż do szału.

¹⁰ Szamada (*chamade*) – oznaczała sygnał, jaki oblężeni dawali na znak, iż się poddają, albo chcą prowadzić rokowania (przyp. tłum.)

Wiele wysiłku kosztowało go zaprzestanie rzezi po to, aby z niej uratować ośmiu jeńców, mających służyć za przewodników.

Skoro więc Francuz z Dieppe zapytał go o dalszą drogę, Tomasz, wybuchając śmiechem, z oczami iskrzącymi się jak dwa rozżarzone węgle, rozkazał, aby mu przyprowadzono wyżej wspomnianych jeńców na pokład fregaty i aby ich ustawiono w szereg za grotmasztem. Wokół jeńców zgromadziła się załoga „Pięknej Łasicy”. Wówczas Tomasz, posługując się jako tłumaczem Awanturnikiem z Oléron, który mówił po hiszpańsku równie doskonale jak król katolicki, rozkazał mu wyłuszczyć jeńcom w jasny sposób, jakiej usługi od nich oczekiwano: mianowicie, aby zaprowadzili napastników do miasta, unikając ognia ufortyfikowanych wysp.

Pirat z Oléron uczynił to. Ale przemowa jego nie dała spodziewanego rezultatu. Jeńcy, spojrzawszy po sobie, oświadczyli jak jeden mąż, że żądano od nich rzeczy niemożliwej, zważywszy, iż jedyną drogą dotarcia do Ciudad-Realu jest właśnie ten kanał, znajdujący się zresztą na linii strzałów kolejno pięciu pozostałych fortów.

Mary Rackam, usłyszawszy tę odpowiedź, zwróciła się do Tomasza Trubleta i zakpiła:

– Nie mówiłam ci, do licha, że nic nie powiedzą? Jazda! każ ich powiesić i jedźmy dalej. Szkoda czasu.

Ale Tomasz, z twarzą czerwoną jak płomień, zamknął jej usta:

– Milcz! Czy nie mówiłem ci, że powiedzą?

Zaniepokojeni jeńcy patrzyli na kapitana. Bez słowa podszedł do pierwszego z nich i wyciągnął szpadę.

– Myślisz, że powiedzą, gdy utniesz im głowy? – powiedziała szyderczo korsarka.

Ale nie miała okazji kontynuować, ponieważ pod ciosem szpady Tomasza pierwsza głowa, odcięta jednym ruchem, odskoczyła jak kamień z procy i, spadając na deski pokładu do stóp Mary Rackam, skropiła też Mary deszczem gorącej krwi.

Siedmiu żyjących jeszcze Hiszpanów zawył ze strachu. Nie bez powodu! Tomasz, z tym dziwnym spokojem, któremu przeczyła tylko purpurowa twarz, zbliżył się do drugiego z nich. Człowiek ten cofnął się instynktownie, chcąc uciec. Ale Tomasz już wbił dwoma ciosami jeszcze czerwoną szpadę w jego brzuch i pierś. Hiszpan padł, preżąc się śmiertelnie.

Trzeci, widząc to, zawołał: „Łaski!” Głuchy i niemy Tomasz, uderzając w tułów, rozciął go na dwoje od ramion do pasa. Z jamy, ociekającej krwią, trysnęły wnętrzności. Zaciekawiony Tomasz grzebał końcem szpady pośród tych okropności, jak gdyby szukając tam, nie wiadomo po co, tego, czego znaleźć przecież nie mógł. Zwłoki przestały już drgać. Tomasz podszedł do czwartego jeńca.

Ten upadł na kolana, a wraz z nim wszyscy pozostali jego towarzysze. Zaczęli się razem modlić do Boga, nie chcąc więcej błagać o zaniechanie ciosów.

Wtedy Tomasz, zatrzymując się przed swoją czwartą ofiarą, zamiast uderzyć, włożył szpadę do pochwy.

Drżąc z nadziei, nędzarz podniósł głowę. Lecz krótka była jego radość.

– Powroza! – rozkazał Tomasz, otwierając wreszcie usta.

Dwóch flibustierów przyniosło kilka skręconych sznurów.

– Związać mu ręce i nogi. Trzy razy okręcić i ściągnąć węzłem.

Skrupulatnie wykonano polecenie.

– I rzucić tę paczkę za burzę.

Jęk skazańca ucichł wśród fal.

Z ośmiu jeńców pozostało jeszcze czterech.

– Ten oto... – zaczął Tomasz, znacząc na śmierć pierwszego z nich, lecz przerwał, odwrócił głowę i spojrzał na Mary Rackam. – Zdaje się mówiłaś niedawno, że nie ma dobrej drogi, wiodącej do Ciudad-Realu?

Obrócił się na pięcie i zmierzył wzrokiem drżącego Hiszpana, gotowego już do mówienia.

– Nie ma dobrej drogi? – powtórzył Tomasz. – Mogę się dowiedzieć natychmiast o trzech albo czterech. Ale ten człowiek z pewnością nie zna żadnej.

Za pasem Tomasza tkwiły zatknięte dwa pistolety. Tomasz ujął jeden z nich i podniósł go do twarzy jeńca.

– Droga... – wybełkotał jeńiec niemal już martwy.

– On nie zna żadnej! – stwierdził po raz drugi Tomasz, naciskając spust.

Mózg rozprysnął się na wszystkie strony.

Tomasz podszedł teraz do tego, który poprzedzał przedostatniego... Był to Mulat, w połowie Kastylczyk, w połowie tubylec. Upadł na brzuch:

– *Señor capitan!* – zawołał rozpaczliwie – *no me mateis! yo os dire la verdad*¹¹.

– No! – mruknął Tomasz, krzyżując ręce.

Patrzył nie na Mulata, lecz na Mary Rackam.

– Jest droga, pewna droga – twierdził Mulat, mówiąc wciąż po hiszpańsku, jak gdyby w tym okropnym strachu zapomniał wszelkiego języka oprócz swego, nawet gwary flibustierów, gwary zrozumiałej i używanej w całej Ameryce.

– Nie mówiłem ci? Nie mówiłem ci, że jest droga? – powtarzał Tomasz zwracając się do Mary.

– Droga ta okrąży góry z zachodu... Dwanaście mil w górę od miasta na Rio Grandę jest bród... Przeszedłszy przez ten bród z lewego brzegu na prawy, może pan wejść do Ciudad-Realu przez sawannę bez żadnej przeszkody.

– Droga ta – podjął Tomasz, mówiąc wciąż do Mary Rackam – z pewnością kryje jakąś zasadzkę...

– Niech pan w to nie wierzy, panie kapitanie! – zawołał Mulat. – Żadnej zasadzki! Mówię prawdę!...

– Ale, jeżeli będzie – ciągnął Tomasz – to tym gorzej dla naszych trzech przewodników, których obdę żywcem ze skóry własnym nożem...

– Niech tak będzie, panie kapitanie! A darujesz nam życie, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, czy tak?

– Daruję życie! – zgodził się Tomasz.

Podszedł do korsarki i uderzył ją po ramieniu.

– Powiedzieli, tak czy nie? Jak ci się zdaje? – tu wybuchnął konwulsyjnym śmiechem.

– Rany boskie! – krzyknęła Mary Rackam. – Ależ szelma z naszego generała! Słodki jak baranek, jak mi życie miłe!

– Hurra! Niech żyje Tomasz Baranek¹² – wykrzyknął naraz Rudobrody.

Dwadzieścia gardeł powtórzyło okrzyk:

– Hurra! Niech żyje Tomasz Baranek!

Śmiejąc się ciągle tym samym niesamowitym śmiechem Tomasz – Baranek, otworzył prawą rękę i zwrócił ją ku flibustierom, jak gdyby tym gestem przyjmując przydomek.

– L'Agnelet? Niech będzie! – rzekł. – Będę zatem odtąd Barankiem. A teraz, jazda! Ster w lewo i kurs na zachód. Zawieźmy wełnę Baranka wilczkom z Ciudad-Realu!

IX

Zbliżywszy się na niewielką odległość od wału, Tomasz Trublet – zwany Tomaszem l'Agneletem – zatrzymał jednym gestem gromadę szalonych głów, którym sam przewodził.

¹¹ Panie kapitanie! Nie zabijaj mnie! Powiem panu prawdę (przyp. aut.).

¹² W oryginale powieść ma tytuł: „Thomas l'Agnelet” (*l'agnelet* – jagniątko, baranek). Przydomek bohatera w tej scenie właśnie bierze początek (przyp. tłum.).

Brnąc pośród wysokiej trawy, wysunął się jakieś trzydzieści kroków naprzód, ażeby oszacować dokładnie pozycję nieprzyjacielską. Trzy strzały z muszkietu rozległy się jeden po drugim, co świadczyło o tym, że warty bastionów bacznie czuwały. Świsnęła także strzała, wśród obrońców bowiem nie brakło Indian. Ale Tomasz nie zważał na strzały ani na kule. Zawsze gardzący niebezpieczeństwem, badał teraz tylko wygląd obwałowania, aby wybrać najlepszy punkt do ataku.

Miasto – Ciudad-Real w Nowej Granadzie – było zbudowane na płaskowzgórzu stromym ze wszystkich stron, z wyjątkiem tej, która zwracała się ku rzece. Tu prawie łagodny spadek kończył się nabrzeżem, przy którym okręty mogły wygodnie dokonywać załadunku i wylądunku pod osłoną kilku potężnych baterii na poziomie wody, stanowiących pierwszą linię fortyfikacji ze strony morza. Powyżej i poniżej tego nabrzeża poprzedzały fortyfikacje lądowe dwie wielkie wieżyce, blankując do pewnego stopnia samą pochyłość płaszczyzny, która służyła jako cokol dla miasta, wału i półkola szańców. Atak na którykolwiek punkt tej doskonale pomyślanej fortyfikacji mógł być więcej niż trudny.

Przed fosą wznosił się mur poprzecinany wartowniami. Różnorodne palisady broniły wejścia do wielkich fortów. W najwyższym punkcie wału liczne baterie wysuwały lufy dział we wszystkich kierunkach. A ponad tymi bateriami nie widziało się już nic prócz kilku wież kościelnych – tak dalece wysokość murów przewyższała każdy dom i nawet każdy gmach publiczny miasta. Rozległy się znowu, trzy strzały z muszkietu: strażę miały czas do nabicia broni. Kula, odbiwszy się o kamień, upadła o dwa kroki przed niewzruszonym Tomaszem. Zobaczywszy wreszcie to, co chciał zobaczyć, Tomasz zarządził odwrót, wycofując się razem ze swoimi kompanami. Hiszpanie z wartowni, domyślając się, iż chce dokonać ataku, lżyli go z dala, nazywając szczeniakiem. Odpowiedział na to śmiechem.

Dzięki jeńcom z fortu Świętego Hieronima, którzy okazali się dobrymi przewodnikami, wylądowanie na lewym brzegu Rio Grande, jak i pochod z boczami gór, z północy na południe, oraz przejście brodu powyżej miasta, nie przedstawiały najmniejszej trudności. Jedynie czterdziestu flibustierów, z losowania, pozostało na pokładzie „Pięknej Łasicy”, która w celu uniknięcia ataku okrętów lub podpalających łodzi hiszpańskich, wypłynęła znowu na morze i krążyła teraz w głębi zatoki. Armia lądowa, w sile blisko trzystu wojowników, okrążyła forty ujęcia i ukazała się nagle przed samym Ciudad-Real, u stóp warowni. W ten sposób miała ona tę przewagę, że mogła uniknąć wszelkiej bitwy, a więc także zbyt licznych strat. Szczęście flibustierom sprzyjało, okazało się bowiem, że otoczywszy miasto na tym odcinku, zajęli tym samym jedyną drogę, przez którą Ciudad-Real mógł wysyłać swoich gońców z prośbą o pomoc, bądź do Panamy, bądź też do Santa Fé de Bogota. Oblężenie mogło zatem być dowolnie odkładane bez obawy przedwczesnej interwencji.

Nie było jednak zamiarem Tomasza niczego odkładać w nieskończoność. Swój pogląd na sytuację wyraził on niezwykle jasno, odpowiadając Awanturnikowi z Oléron, który spytał, jaką zamierza przyjąć taktykę, aby zdobyć fortyfikacje miasta według wszelkich prawideł sztuki wojennej.

– Kto by się przejmował jakimiś tam prawidłami?... – odparł pogardliwie Tomasz. – Czyż nie jesteśmy stworzeni do ataku, a Hiszpanie do poddawania się?

Obóz był urządzony na szczycie pagórka, odległego o niecałe pół mili od wału. Wokół obozu ustawiło się osiem placówek straży, ponadto każda brama miasta była osobno strzeżona z dość bliska, aby uniknąć niespodziewanego ataku. Poza tym wysyłani co chwila na rekonasans nieustraszeni zwiadowcy podpełzali aż do fosy. Trzeba było jak najszybciej odkryć najłabszy – jeśli taki istniał – punkt wału. Aby dopiąć celu, Tomasz w tych akcjach nie oszczędzał ani siebie, ani innych. Osobiście prowadził ostatni z tych wypadów zwiadowczych. Właśnie powrócił ze swoją grupą do obozu.

– A więc, generale l'Agnelet! – zawołał do niego Rudobrody, który wraz z Mary Rackam jako drugim oficerem dowodził ośmioma placówkami straży. – Czy znalazłeś miejsce, gdzie można by wdrapać się po drabinach?

– Być może – odpowiedział ostrożnie Tomasz. – Właśnie pomówimy o tym zaraz na radzie.

Z zaciśniętymi ustami poszedł dalej, wszedł do obozu i wkroczył do swego namiotu.

W obozie było niewiele namiotów. Większość flibustierów – synów i następców bukanierów, ongiś tu bytujących, spała na świeżym powietrzu lepiej i smaczniej niż niejeden mieszczuch w swojej alkwie. Bez żadnych ceregieli zawijali się w cokolwiek, często w płaszcz podróżny, zrobiony z szytej koziej skóry, i kładli głowy na wyciągniętej lewej ręce, na ziemi. Jedyne zwierchnicy, aby zaznaczyć swą godność, a także niektórzy żołnierze, ci bogatsi i pragnący to z próżności podkreślić, zabrali z sobą, pośród szczupłego bagażu wyprawy – niesionego zaledwie przez dwudziestu niewolników Murzynów, którzy byli służącymi w armii – konieczną ilość ostrych pali i przesycanego płótna, aby mieć schronienie. Piętnaście do dwudziestu tych namiotów grupowało się w środku kwadratu, zajmowanego przez armię. Namiot Tomasza, całkiem podobny do innych, wyróżniał się tylko długą lancą, którą on sam zatknął w ziemię przed otworem, służącym jako wejście, a do której przywiązał flagę Saint-Malo jako sztandar wyprawy.

Otóż więc, odsunawszy płótno, którego jedna poła spadała tworząc coś w rodzaju półzamkniętych drzwi, Tomasz, schylając się, wszedł do namiotu, zbyt niskiego, aby można w nim chodzić w pozycji wyprostowanej.

Siedząca w głębi kobieta, z podbródkiem wspartym o kolana, z ramionami bezwładnie wiszącymi wzdłuż ciała, podniosła na niego oczy. Była to Hiszpanka Juana.

Bo oto Juana brała udział także w wyprawie armii lądowej... Od czasu wylądowania na lewym brzegu Rio Grande, Tomasz ku zdziwieniu wszystkich flibustierów zarządził, iżby wysadzono na ląd – „dobrowolnie albo siłą”, jak powiedział – brankę, dotychczas zamkniętą w kapitańskiej kabinie. Juana zresztą nie stawiała wcale oporu i nawet o nic nie pytała, chociaż rozglądała się bardzo ciekawie wokoło w szalupie, która ją przywiozła z fregaty na ląd. Być może rozpoznawała okolice swojego Ciudad-Realu, z którego była tak bardzo dumna. W każdym bądź razie nie okazywała tego.

Następnie w ciągu czterech dni, od plaży, gdzie wylądowano, aż po wał miejski, Juana szła pośród flibustierów, wciąż bez słowa, wciąż nie zwracając na nic uwagi. Nikt w dodatku nie myślał otworzyć ust, aby jej cokolwiek wyjaśnić, a najmniej Tomasz. Zresztą, od pierwszej chwili wyprawy aż dotąd nie naruszył milczenia, które zachowywał względem swojej branki. I nawet tutaj, u kresu podróży, pod murami Ciudad-Realu, w przeddzień wejścia do niego z szpadą w ręku, trwał w tym upartym milczeniu i do tej chwili nie przekroczył jeszcze progu swojego namiotu...

Wszedł zatem tutaj po raz pierwszy. Dlatego Juana, jakkolwiek usiłując tego nie okazywać, była zdziwiona.

Twarzą w twarz, patrzyli na siebie długo w milczeniu.

Potem Tomasz, nie spuszczając wzroku – ponieważ piętnaście dni komenderowania i wydawania twardych rozkazów wlało mu na powrót w serce jego poprzednią śmiałość – zapytał ostro:

– Czy wiesz, gdzie jesteś?

Wzruszyła pogardliwie ramionami, udając, iż nic jej nie obchodzi, gdzie się znajduje, tu czy tam.

– Dobrze, moja dziewczeczko! – powiedział szyderczo. – Mało cię to obchodzi, czy tak? Słusznie! Jednak, czy widzisz tę stronę namiotu? Nadstaw więc ucho i słuchaj dobrze. Uprzedzam cię, że tam właśnie odbędę zaraz radę wojenną. I pomimo twego braku zainteresowania, niech mnie Lucyper porwie, jeśli nie będziesz zadowolona, słysząc, o czym rozprawiamy!

Patrząc jej ciągle szyderczo w oczy cofnął się poza namiot. Kiedy wyszedł, zapadły płócienne drzwi.

Chwilę później w obozie zabrzmiała trąbka, cały sztab zbierał się wokół flagi Saint-Malo, znaku armii. Generał Tomasz Trublet oczekiwał swoich poruczników, oparłszy obydwie ręce na lancy, stanowiącej drzewce flagi.

– Bracia Wybrzeża – oznajmił, kiedy się wszyscy zebrali – przed chwilą zbadalem z bliska wał, fosę i nawet inne głupstwa: palisady, wartownie, baterie, bastiony, nasypy, fasady, bramy i inne kramy, otaczające Ciudad-Real ze wszystkich stron. Wiedźcie, że wszystko to jest w dobrym stanie i że obrońcy zdają się z wielką zarozumiałością ufać swoim murom. To nic. Nie później jak tej nocy będziemy w sercu miasta, jeżeli Najświętsza Panna Wielkiej Bramy, w którą wierzę, przyjmie moje ślubowanie. Otóż ślubuję, że skoro tylko wrócimy, wystawię Jej na wyspie Tortue kaplicę, gdzie zostanie złożone to wszystko najpiękniejsze i najbogatsze, co zrabujemy w tutejszych kościołach, opactwach i klasztorach!

– Powiedziane i zaprzysiężone! – potwierdził nagle Awanturnik z Dieppe, dobry katolik – podczas gdy hugenot z Oléron, słysząc, jak wymawiano i sławiono imię Najświętszej Matki Boga, splunął z pogardy na ziemię. Nie śmiał jednak nic powiedzieć, gdyż utkwione były w niego płonące oczy wodza, pełne niebezpiecznej groźby. Co do Lorédana Wenecjanina, swoim zwyczajem uśmiechał się, gotów przyjąć wszystko, co nie szkodziło jego własnym interesom. Podobnie Rudobrody i Mary Rackam, tylko że Anglik śmiał się głośno zamiast się uśmiechać, a korsarka, poważnie zajęta nowym pugińcem toledańskim, który zawiesiła po raz pierwszy, nie słyszała ani słowa z przemowy.

Gdy zatem nikt nie protestował, Tomasz ciągnął dalej:

– Zgodziwszy się na tamto, mówmy o reszcie. Bracia Wybrzeża, tak jak wam powiedziałem, mury są zbyt wysokie do przekroczenia, fosy zbyt szerokie do przeskoczenia. Pomimo to jutro będziemy na pewno w Ciudad-Realu, oczywiście skoro postanowimy tam być. Sposobów nie brak. Ale kto z was widzi najlepszy?

– Wszyscy stali z zapartym oddechem. W skupieniu, z ufnością i oddaniem, flibustierzy oczekiwali rozkazu wodza.

– A więc! – podjął dumnie Tomasz. – To, czego wy nie wiecie, ja wiem.

Wyciągnął zza pasa długą strzałę, tę samą, którą Indianin, obrońca wału, wypuścił niedawno przeciwko niemu, niewiele chybiając.

Tomasz podniósł strzałę na wysokość ramienia, pokazując ją każdemu:

– Oto co będzie dla nas drabiną i zwodzonym mostem, za łaską Pana Naszego i Jego Świętej Matki!

Strzała pozbawiona była ostrza, które uderzając o kamień zostało złamane. Awanturnicy, wielce zdumieni, podeszli krok, aby lepiej widzieć ten upierzony kij, mający służyć jako „drabina” i „most zwodzony”...

Pierwsza przerwała milczenie Mary Rackam.

– Dobra! – krzyknęła, szyderczym ruchem dotknąwszy strzały bez ostrza. – Do stu tysięcy szatanów! Teraz już wszystkie fosy będą na pewno zasypane i mury szeroko otwarte. Jazda zatem i nie gadać więcej! Miasto jest zdobyte!

Tomasz zdawał się tego nie słyszeć.

– W jaki sposób ta strzała?... – zaczął hugenot z Oléron, ciekawy jak wszyscy heretycy. Ale szybka odpowiedź zamknęła mu usta:

– Dowiedcie się w swoim czasie. No, dosyć gadania i układamy plan dalej. Pytanie do ciebie, Lorédan: najbliższa noc będzie ciemna i bez księżycy – czy potrafisz pomimo to, skoro wał zostanie zdobyty, prowadzić nas w ciemności, wśród labiryntu ulic, uliczek i zaułków?

– Nie gorzej i nie lepiej niż w jasny dzień! – odpowiedział Wenecjanin.

– Z największym pośpiechem musimy najpierw zająć najważniejsze punkty obrony, jak zamek, strażnice oraz koszary... Czy wyobrażasz sobie, w jakim to będzie porządku, i czy masz plan?

Lorédan Wenecjanin zamyślił się.

– Tak jest – rzekł w końcu. – Jednak najpierw powinniśmy w największym pośpiechu nie „zajmować”, ale podpalać. Dla naszego dobra nie możemy rozdzielać się na niniejsze grupki skoro, razem wzięci, nie jesteśmy zbyt liczni... Podpalimy zatem różne budowle, które, nie bójcie się, potrafię znaleźć, choćby noc była czarna jak piekło! Potem, nie zatrzymując się w domach ani w magazynach, co do których nie może być mowy, abyśmy je atakowali, gdyż to rozproszyłoby prędko i osłabiło nasze siły – pobiegniemy prosto do cytadeli, weźmiemy ją i odetniemy od miasta. Nie ulega wątpliwości, że będą tam zgromadzone najważniejsze osobistości miasta i razem wpadną w nasze ręce. Pozbawieni w ten sposób wodzów, żołnierze nie wytrwają długo. A my będziemy panami wszystkiego na długo przed wschodem słońca. Podczas akcji podpalania najważniejszą rzeczą będzie unikać blankowanych murów klasztornych. Gdybyśmy je nieogłędnie zaatakowali, stracilibyśmy sporo drogiego czasu i ludzi – albo jeszcze gorzej. Ale to już moja rzecz być dobrym przewodnikiem i prowadzić was prostą drogą pośród tych klasztorów, bez nieszczęśliwego wypadku.

– Dobrze! – powiedział Tomasz.

Wahał się chwilę, jakby się namyślał. Potem odezwał się cichszym, zmienionym głosem, patrząc z napięciem na Wenecjanina:

– Bez wątpienia zatem znajdziemy zgromadzonych w cytadeli wszystkich głównych notabli i naczelników miasta... Lorédan... kogo z nich znasz? Kim oni są i jak się nazywają?

Mary Rackam nie kępowała się, aby dalej szydzić.

– Jak mi Bóg miły! – zawołała. – Oto co ma naprawdę wielkie znaczenie: czy mały kastylskie nazywają się Carlos, Antonio albo José!...

Niewzruszony Tomasz zdawał się nadal tego nie słyszeć. Lorédan, jak zawsze dworski i uprzejmy, nie odmówił odpowiedzi.

– Ciudad-Real – wyjaśniał – nie jest bynajmniej miastem bardzo szlachetnym. A ci, którzy je zamieszkują, to pospolita hołota, przybyła z Hiszpanii w ślad za żołnierzami, których król katolicki wysłał tu swego czasu. Wspomniana hołota prędko zresztą i skandalicznie wzbogaciła się na handlu i kopalniach. Ale niemniej została ona hołotą i miasto jest pozbawione dzielnego mieszczaństwa, a tym bardziej szlachty. Jedynymi prawdziwymi naczelnikami i panami są zatem ci, których ustanowił król, mianowicie: gubernator, który się nazywa Felipe Garcia – o ile nie został zmieniony od dwóch lat, jednak nie sądzę, aby to nastąpiło, gdyż wtedy właśnie dopiero co przybył. Następnie radca, który się nazywa Pedro Inigo, i prokurator Luis Medina Sol – ci ostatni w służbie cywilnej. Co do wojskowej – gubernatorowi podlegają różni kapitanowie piechoty, ale nie sądzę, abym znał któregoś z nich, ponieważ w kompaniach, stacjonowanych w Nowej Granadzie, często zmieniają się garnizony, i te, które obecnie zajmują Ciudad-Real, były bez wątpienia w Santa Fé albo Maracaye, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy.

Tomasz, który słuchał najuważniej w świecie, zapytał jeszcze:

– Gubernator, prokurator i radca mają zapewne przy sobie żony i dzieci... za które mogliśmy otrzymać bogaty okup?

– Nie – powiedział Lorédan. – Żaden urzędnik ani szlachcic hiszpański nie zabiega o to, aby sprowadzić swoją rodzinę do miasta, zaludnionego jedynie przez hołyszów. Wszyscy ci, których wymieniłem, żyją w celibacie.

Tomasz, jakby zdziwiony, podniósł brwi.

– Czyżby?... ale czy nie ma tam jeszcze kogoś ważnego, o kim może zapomniałeś?

Lorédan zamyślił się.

– Do diabła! Ależ tak, na Lwa! – wykrzyknął po chwili, śmiejąc się pogardliwie. – Zapomniałem o wielu, a przecież nie są byle kim, jeżeli chodzi o ściągnięcie okupu, wszyscy bowiem są bogaci. Chociaż całkiem prostacy, jak już dopiero co powiedziałem, mieszkańcy Ciudad-Realu są nie mniej dumni i hałaśliwi, i król katolicki, obawiając się zaburzeń, a nawet buntów, przyznał niedawno tym złodziejom prawo wybierania sobie, dla swych wewnętrznych rządów, sędziego miejskiego, sierżantów, woźnych i czterech poruczników policji – wszystko osobistości, wybierane spośród najbogatszych. Sędzia, jeżeli dobrze pamiętam, nazywał się ongiś, a raczej kazał się nazywać panem, chociaż nim nie był: Don!... don Enrico... Enrico... Enrico?... Alonzo?... na Lwa! nie wiem już... Enrico, może być... tak, don Enrico Forez... albo Perez... Krótko mówiąc, coś w tym rodzaju... Człowiek ten ma na pewno z sobą żonę i dzieci, bo jednego ze swych synów zrobił porucznikiem milicji, a jedną z córek zamierzał wydać za... już nie wiem za kogo... za rzekomego hidalga, także porucznika milicji!... Doncella miała na imię Juana, o ile mnie pamięć nie myli, i gubernator don Felipe Garcia, rozmawiając ze mną pewnego dnia, mówił, że jest piękna...

– Wszystko się jak najlepiej składa!... – powiedział Tomasz przerywając nagle słowa Weneccjanina. – Jak najlepiej! I zdobycz będzie dwa albo trzy razy większa od tej, jakiej słusznie oczekiwaliśmy...

Urwał znów i tak jakby się śpieszył, aby skończyć z tą sprawą hiszpańskich osobistości, zwrócił się do całej rady, pragnąc zamknąć debatę.

– Bracia Wybrzeża – powiedział twardym, rozkazującym głosem – rozejdźmy się, narada skończona, lecz żeby o północy wszyscy byli uzbrojeni i gotowi do ataku. A teraz uwaga: rozkazuję zebrać jak największą liczbę tych strzał, jakie Indianie, będący w służbie u Hiszpanów, wyrzucają obficie z wysokości wału. Następnie ogołocić wszystkie krzaki bawełny w okolicznych plantacjach i nagromadzić puch. Niezadługo bowiem będziemy tego wszystkiego potrzebowali! Niech nas bóg strzeże!

Gdy wszyscy się rozeszli, Tomasz pozostał sam, wciąż oparty rękami o lancę, która służyła za drzewce sztandarowi. W chwilę potem ruszył z miejsca, przeszedł jakieś dwa-trzy kroki i spojrzał na wejście do swego namiotu. Jednak nie wszedł do środka, tylko w zamiśle niu usiadł obok, a na jego szerokiej surowej twarzy ukazał się triumfujący półśmiech.

X

W bardzo ciemną noc flibustierzy zbliżając się do pierwszych palisad poruszali się z niezwykłą ostrożnością. Porywczy, suchy i pałący wiatr szumiał wśród drzew i wysokiej trawy. Lekki szcęk broni w pochodzie mieszał się z tym szumem i ginał w nim tak, że nikt z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu wartowników hiszpańskich, stojących na wale, nie mógł jeszcze niczego odgadnąć.

Tomasz Trublet, zwany Tomaszem l'Agneletem, który kroczył na czele swoich ludzi, zatrzymał się teraz widząc, iż znaleźli się w dostatecznej odległości, aby zrealizować swój plan walki. Na jego komendę, wydaną ledwie dosłyszalnym głosem, pięćdziesięciu Awanturników, wybranych spośród najniezawodniejszych strzelców, zaczęło nabijać muszkiety, ale robili to w dziwny sposób. Zamiast kuł, każdy z nich władował do lufy jedną z zabranych ze sobą strzał, uwiązawszy uprzednio do jej końca pełną garść puszystej bawełny, której mieli pełne kieszenie. Po czym zapaliwszy ten bawełniany puch, wycelowali na wysokość wału i oddali jednocześnie pięćdziesiąt strzałów. W tym samym momencie pięćdziesiąt ogni roz-

świeciło noc, dziurawiąc wartownię, budki strażnicze, domki i wszelkie inne lekkie baraki, zbudowane tu i tam na bastionach i łączących je murach, niekiedy sięgając w głąb miasta. I naraz zapłonęły liczne pożary wszędzie, gdzie tylko padły te diabelskie pochodnie¹³.

– A co, nie mówiłem?! – zawołał Tomasz z dumą.

Odpowiedział mu ogólny poklask. Nie było potrzeby dalej się ukrywać ani milczeć: gorący wiatr rozniecał ogień pośród łatwopalnych rzeczy, na płonącym wale biegali w nieładzie oślepieni rażącym światłem Hiszpanie, tak że flibustierzy nie mieli się czego obawiać. Z tej strony fosy wśród straży powstał również popłoch, ludzie zaczęli uciekać, cofając się w kierunku urwiska. Widziano nad podziw wyraźnie ich czarne postrzępione sylwety na tle płonącej fortyfikacji, i nie było nic przyjemniejszego, jak wystrzeliwać ich w tej właśnie chwili, kiedy ukazywali się na pochyłości, gotowi do skoku w dół i wrzeszczący wniebogłosy, aby im otworzono furkę okopów. Flibustierzy zrobili dobry użytek ze swoich muszkietów, w rezultacie w ciągu niecałego kwadransa nieprzyjaciele byli wystrzelani co do nogi, z wyjątkiem tych, którzy znajdowali się za murami. Wówczas Tomasz zawołał ze wszystkich sił:

– Bracia Wybrzeża! Naprzód! Do ataku!

I znowu armia odpowiedziała triumfalnym krzykiem jak jeden mąż:

– L’Agnelet! L’Agnelet! L’Agnelet!... Bracia Wybrzeża! Naprzód! Do ataku!

Ruszyli...

Wał został przekroczony jednym susem – oblegający, czepiając się jeden drugiego, utworzyli coś w rodzaju drabiny w chwili tak krótkiej, jakiej potrzeba dla połknięcia jednej jagody winogrona. Potem Awanturnicy, atakując wspólnie, w zwartej kolumnie, mając na czele Tomasz i jako przewodnika Lorédana biegli w szalonym pędzie wśród ognia, krwi, ruin, porzrywanych trupów, wdzierając się do miasta już w połowie zdobytego.

Godzinę później robota była zakończona. Sześć albo siedem budynków: koszary, magazyny broni, ratusz, zwany przez Kastylczyków *ayuntamiento*, księgarnia, przeładowana cudownymi książkami, składy tego, fabryki owego – zostały gruntownie spalone za mądrą radą Weneccjanina. Żaden oblankowany klasztor nie stanowił przeszkody na tej drodze. I wreszcie, u jej końca, po przebyciu trzydziestu uliczek, węższych i bardziej krętych niż jakikolwiek zaułek Saint-Malo, armia uderzyła w zabarykadowaną bramę, która poprzedzała fosę z wysokim mostem zwodzonym. Poza nią rysował się w cieniu mur barbakanu. Ani brama, ani fosa nie zatrzymały długo napastników. Trzydziestu żołnierzy, których znaleziono w barbakanie, zostało dla przykładu powieszonych i armia parła dalej. Z barbakanu do zamku prowadziło blankowane przejście. Wdarto się na nie szybko i przerażeni obrońcy nie mieli nawet czasu opuścić bramy, kiedy już Tomasz rzucił się pierwszy do fortu, tnąc szpadą na prawo i na lewo. Nieprzyjaciel znowu się rozpierchnął. Wówczas reszta napastników dołączyła się do swojego wodza, który, jak zwykle, nie doznał w walce najmniejszego draśnięcia. I wyglądał jak prawdziwy zwycięzca. Pierwszy kompleks budynków zdobyto szturmem. Dziedziniec zamkowy poddał się prędko, bez obrony. Pozostała do zdobycia jedynie strażnica, jako deser po tej wspaniałej uczcie, pochłoniętej zbyt prędko przez żarłoków...

Tomasz nagle zatrzymał się i wycierając o spodnie ręce, czerwone od nieprzyjacielskiej krwi, odwrócił się i począł wśród swoich ludzi szukać wzrokiem angielskiego pirata Rudo-brodego. Wkrótce ujrzał go.

– Bonny! – zawołał ochryplym jak u pijaka głosem. – Czy kobieta tam jest?

– Jest... albo niech mnie piekło pochłonie! – zaklął flibustier.

¹³ Wobec tego, iż taki podstęp wojenny mógłby się wydać nieprawdopodobny, należy przytoczyć fakt historyczny podpalenia w ten sposób przez pirata Morgana w roku 1671 baraków fortu Świętego Wawrzyńca przy ujściu rzeki Chagre (przy p. aut.).

W tej samej chwili wysunęło się dwóch niewolników murzyńskich, wiodąc za związane, skrępowane wąż ręce kobietę, o której właśnie mówiono – Juanę.

Na rozkaz generała branka szła za atakującą armią. W ten sposób ujrzała własnymi oczami całe zwycięstwo Awanturników, całą klęskę Hiszpanów, wreszcie – upadek, rozbicie i porażkę tego miasta, będącego jej miastem, które tak często i z taką dumą wychwalała, uważając je za nie do zdobycia, a które trzystu oberwańców, trzystu złodziei... zdobyło i podbiło – bez walki – w biegu – śmiejąc się.

Podczas gdy pilnujący jej murzyńscy niewolnicy ciągnęli ją lub nieśli, od przeszkody do przeszkody, poprzez tyle płonących gmachów, tyle nagromadzonych ludzkich zwłok – Juana nie odrywała wzroku od tego strasznego człowieka, który kroczył na czele zwycięskich piratów. I powoli, upadająca ze zmęczenia, umierająca z trwogi i niepokoju, poczuła, iż opuszcza ją niedawne męstwo i cała jej dumna próżność, co czyni z niej nędzną bezduszną rzecz, bez siły i woli, niemal bez instynktu...

Pośrodku obszernej sali, poprzedzającej dziedziniec zamkowy, wśród hordy Awanturników, strasznych i uwalanych krwią, Murzyni rzucili do stóp wodza tę całkiem unicestwioną dawną Juanę. Nie krzyczała, nie jęczała. Ukucnąwszy w pozycji istoty wyczerpanej, będącej u kresu swych sił, pozostała na miejscu, patrząc uporczywie w Tomasza Trubleta rozszerzonymi i zamglonymi oczami. On zaś, pijany jeszcze walką i zwycięstwem, podszedł wprost do niej, niemal jej dotykając.

– Ha! – zagrzemiał. – No co, dziewico? Wiesz, gdzie teraz jesteś, co? Dalibóg! Nie potrzebujesz zgadywać! ja ci to powiem: jesteś w Ciudad-Realu Nowej Granady, w mieście, które ja zdobyłem; jesteś w zamku Ciudad-Realu. Spójrz, oto dziedziniec zamkowy, a oto strażnica. Patrz, patrz, czarownico mauretańska! Tam, do tej strażnicy uciekli twoi – ojciec, brat i narzeczony, jeszcze żywi, a wiesz, że znam imiona wszystkich trzech. A teraz spójrz na poręcz tych balkonów! Tutaj ich niedługo powieszę... Klnę się na Najświętszą Pannę Wielkiej Bramy, która mi dała zwycięstwo i klnę się na Chrystusa z Ravelinu!

Zwrócił się do swoich ludzi, którzy słuchali z wielkim zdumieniem:

– Bracia Wybrzeża, teraz naprzód! Na strażnicę! Wszyscy za mną!

Chwycił sznur, który krępował ręce branki. I, ciągnąc ją za sobą, z szpadą w garści wkroczył na dziedziniec zamkowy. Ten krótki czas, który w ten sposób stracono na gadanie, nieprzyjaciel pośpiesznie wykorzystał. Brama strażnicy była teraz otwarta. I podczas gdy flibustierzy, wybiegając z pierwszego pomieszczenia, pośpieszyli na dziedziniec zamkowy, kierując się prosto na te drzwi, wypadła stamtąd naraz gromada zdecydowanych na wszystko żołnierzy, którzy ruszyli na ich spotkanie, a jednocześnie rozległa się wściekła strzelanina z murów, blanków i wszystkich strzelnic. Osaczona w ten sposób armia Tomasza, zanim mogła stawić opór, straciła więcej ludzi niż dotychczas, od chwili wdarcia się na wał. W jednej chwili rozgorzała rozpaczliwa walka. W drzwiach strażnicy ukazał się jakiś dostojnik o dumnej minie, w stroju z czarnego aksamitu – bez wątplenia chory lub ułomny, gdyż niosło go w fotelu dwóch lokajów – i krzycząc donośnym głosem zachęcał swoich żołnierzy do walki. Żołnierze z wielkim zapałem starali się wypełnić jego rozkazy. Gdyby nie waleczność flibustierów, nie znajdująca równej w świecie, i ich mistrzowskie władanie bronią, Hiszpanie ci mogliby łatwo osiągnąć przewagę.

Ale gdy tylko minęło pierwsze zdumienie, Tomasz i jego ludzie wzięli prędko górę. Za każdego z nich, który padł, kładli trupem dziesięciu wrogów. Teraz, kiedy powstało ogólne zamieszanie, muszkietrzy z góry nie mogli już strzelać, w obawie zabicia własnych rodaków. Rudobrody i Awanturnik z Dieppe, waląc wściekle i siekąc na prawo i na lewo, dotarli już do drzwi strażnicy i umocowali je żelaznymi kłami w taki sposób, aby uniemożliwić ich zamknięcie. Mary Rackam, która biła się zaciekłej niż mężczyźni, podbiegła do siedzącego w fotelu dygnitarza i przebiła go jednym uderzeniem szpady. A był to sam gubernator

Ciudad-Realu, Don Felipe Garcia. Widząc jego śmierć, Hiszpanie stracili odwagę. Wielu rzucało broń, wołając: Litości!, podczas gdy inni uciekali bezładnie, zresztą bez większej nadziei umknienia.

Zwycięzcy flibustierzy zaczęli wbiegać do strażnicy. Większość wdzierła się na wyższe piętra, przeskakując schody, wywalając drzwi, zadając ciosy ludziom przy strzelnicach i wszystkim, którzy stanęli na drodze. Znajdujący się pośrodku nich Lorédan Wenecjanin, zwinny i zręczny jak nikt, wszedł pierwszy na platformę, gdzie powiewał królewski sztandar Kastyliei, i zdarłszy go, zawiesił na jego miejscu białą flagę– flagę flibustierów– którą zabrał z sobą, owinąwszy się nią jak pasem wokół ciała. Na ten widok armia wydała długi okrzyk zwycięstwa. Tymczasem kilku flibustierów, odłączywszy się od głównego oddziału swych towarzyszy, zatrzymało się na dolnych piętrach, a niektórym nawet przyszła fantazja zejść do piwnic. Krzyżowało się tam mnóstwo sklepionych przejść z wieloma nabijanymi żelazem bramami. Kilka z nich, po wybiciu, odsłoniło pewną liczbę nieprzyjaciół, żołnierzy czy też strażników, którzy ukryli się tam i wcale nie stawiali oporu. Strażnica zatem, od góry do dołu, była w rękach Awanturników i obecnie słyszano w niej tylko prośby i błagania, w które przerodziły się pierwsze okrzyki wojenne Hiszpanów.

Tomasz Trublet, nieco skrepowany w ruchach przez branke, którą wciąż ciągnął za sobą, wszedł na pierwsze piętro i zatrzymał się, gdy tylko ukazała się przed nim szansa bezpośredniej walki. Kilkadziesiąt stopni powyżej dziedzińca otwierał się dość obszerny hall między schodami, w rodzaju wielkiej sali, a w głębi widać było dwoje drzwi o dwóch skrzydłach, które zapewne prowadziły do ważnych pomieszczeń. Tomasz, ujrawszy je, pobiegł w tę stronę.

Ramieniem i pięścią uderzył w drzwi środkowe. Nie drgnęły. Były to ciężkie drzwi z grubego dębowego drewna, zbijanego wielkimi gwoździami. Tomasz cofnął się o krok, rozejrzał się wokoło, poszukując czegoś, czym mógłby się posłużyć jako taranem. Nie znalazł jednak. Ale na murze było zawieszona trofeum z broni, w postaci kilku toporów abordażowych. W tej samej chwili zjawili się obok niego niewolnicy murzyńscy, pilnujący Juany, którym nie wolno było jej opuszczać nawet wtedy, gdy Tomasz osobiście spełniał ten obowiązek. Rozkazał im gestem, aby mu przynieśli jeden z tych toporów i aby sami uzbroili się jak on. Potem wszyscy razem runęli na odporne drzwi, które tym razem zostały wyłamane i rozleciały się na kawałki. Z podniesionym toporem, pociągając Juana, Tomasz skoczył w wybity otwór, a za nim dwóch murzyńskich niewolników.

Znaleźli się w długiej i wąskiej komnacie, w której za stołem, jeden przy drugim, siedziało trzech mężczyzn, uzbrojonych w szpady i pistolety. Wszyscy trzej byli wspaniale odziani. Gdy tylko ujrzał tych ludzi, Tomasz był pewny, tą całkowitą, absolutną, chociaż tajemnego pochodzenia pewnością, że oto ma przed sobą ojca, brata i narzeczonego Juany – i rzeczywiście byli to oni. Natarł na nich. Ale Juana, poznając ich, wydała krzyk tak przeraźliwy, że Tomasz mimo woli zatrzymał się i odwrócił głowę w jej stronę.

Ten moment wystarczył, aby na krzyk Juany odpowiedziało sześć pistoletowych wystrzałów. Trzech Hiszpanów podniosło się błyskawicznie, każdy dając ognia z dwóch pistoletów. Murzyni padli jeden na drugiego, prężąc się śmiertelnie. Tomasz, raniony w kolano i draśnięty w lewe ramię, ruszył mimo to naprzód i ciął toporem z taką siłą, że pierwszemu ze swych trzech przeciwników rozciął głowę niemal do szyi. Dwaj inni, cofnąwszy się o krok, wyciągnęli szpady. Tomasz stanął naprzeciw nich, wymachując skrwawionym toporem. Wzrok jego był tak straszny, że jakkolwiek byli dwaj przeciw niemu jednemu, nie śmieli go z początku zaatakować. W przeciągu kilku sekund pozostali wszyscy na miejscu nieruchomi, wahający się.

Lecz wtedy Juana, wyrwawszy się z dotychczasowego odrętwienia i spoglądając na swego wroga, zauważyła krew płynącą z jego zranionego kolana i ramienia, a także topór drżący w

osłabłej ręce. Osądziła zatem zbyt pośpiesznie, iż Tomasz jest pokonany, i już triumfująca wybuchnęła przejmującym śmiechem. Śmiech ten dotknął Tomasza jak chłaiście biczem w twarz. Nagle runął naprzód, sprężystym ruchem wyciągnął wzniesioną rękę, uderzył. Dwie szpady, wymierzone przeciw niemu, dosięgły go, ale nie przebiły, obydwaj bowiem mężczyźni odskoczyli pośpiesznie w tył, aby uniknąć ciosu topora. Jeden z nich jednak nie uniknął go i padł z rozplataną piersią. Pozostał ostatni. Ale wyczerpany Tomasz zaledwie mógł utrzymać topór, który stał się zbyt ciężki, podczas gdy Hiszpan władał rapierem lekko jak piórką.

Tomasz, będąc u kresu sił, począł się chwiać. Miał już upaść i Hiszpan posunął się, aby mu wbić ostrze prosto w serce, kiedy Juana wybuchnęła znowu dzikim śmiechem. Tomasz, jak pobudzony ostrogą umierający koń, skoczył jeszcze tym razem. Daremnie Hiszpan nacierał: rapier, ucięty aż po rękojeść, nie powstrzymał strasznego cięcia korsarza: topór, spadając jak piorun, był szybszy. Sędzia – on to był – padł pierwszy, martwy. Tomasz, nieomal konający, osunął się na jego zwłoki.

Upłynęła długa chwila, a zeszywniała i jakby skamieniała Juana nie ruszała się z miejsca. Oczy jej, rozszerzone lękiem, spoglądały na zwalisko tych dopiero co żywych i silnych ludzi, teraz przedstawiających już tylko zwłoki, które należało pogrzebać.

Wreszcie ośmieliła się poruszyć, schylić i dotknąć rękami czterech ciał. Trzy spośród nich poczęły stygnąć. Dla tych nie istniało już żadne lekarstwo. Czwarte okazało się gorące, nawet więcej niż gorące – płonęło. A było to ciało Tomasza. Pomimo swoich ran, Tomasz żył jeszcze, był jedynie w najwyższym stopniu wyczerpany i trawiła go gorączka.

Juana wyprostowała się nagle z jakimś ponurym postanowieniem. Dwa kroki od niej leżał sztylet, który komuś wysunął się zza pasa. Juana ujęła go i podeszła do Tomasza...

Ale nie uderzyła.

Podniosła ramię, które po chwili opadło bezwładnie. Jakaś nieznaną, potężną siłą rozluźniła uścisk jej palców, z których wysliznął się sztylet. Zadrżała do głębi swej istoty. Jednakże nienawiść ani gniew nie osłabły. Człowiek, który tam leżał, zdany na jej łaskę, był to ten sam, który ją wziął do niewoli, potem brutalnie znęcał się nad nią i poniżał; był to ten sam, który przyszedł tutaj, aby na jej oczach zabić narzeczonego, ojca, brata... Wzbudzał w niej wstręt... Tak! Ale zabić go, nie!... nie mogła...

Nie mogła... Był zbyt silny, zbyt dzielny, zbyt piękny nawet – ten leżący teraz na tyłu nieprzyjacielskich trupach skrwawiony zwycięzca.

I naraz Juana przyklękła nad Tomaszem, zwanym l'Agneletem, i rozdierając zbrukane wielkimi czerwonymi plamami suknie z delikatnej materii zaczęła opatrywać po kolei wszystkie jego rany...

KSIĘGA CZWARTA

KRÓL

I

Upłynęło już pięć miesięcy od zdobycia Ciudad-Realu przez flibustierów Tomasza l'Agneleta, kiedy Ludwik Guénolé, ongiś porucznik na „Pięknej Łasicy”, porucznik tego samego Tomasza, który wówczas był tylko Trubletem, przybył pewnego pięknego wieczora z Saint-Malo na Tortue na pokładzie całkiem nowej fregaty korsarskiej.

Skoro tylko kotwica złapała dno, Ludwik Guénolé, niespokojny, spojrzął przez lunetę: Czy to naprawdę „Piękna Łasica” tam się kołysze na linie kotwicznej? I czy naprawdę jest cała i nienaruszona, była przecież od tak dawna bezbronną i pozostawioną samej sobie?... Tak przynajmniej sądził Ludwik Guénolé.

Zdziwił się tedy radośnie: „Piękna Łasica”, odświętnie wystrojona, tkwiła wciąż na kotwicy w tym samym miejscu. Maszty jej były w doskonałym stanie, a kadłub świeżo pomalowany. Na rufie dumna flaga Saint-Malo furkotała na wietrze; a nie było to jeszcze wszystko, gdyż na szczycie grotmasztu powiewała inna flaga: Ludwik ujrzał szerokie płótno barwy szkarłatnej z trójkątnym wycięciem i z widniejącym pośrodku baranem czy też jagnięciem utkany ze złota.

– Cóż to znów jest! – dziwił się Guénolé, wytrzeszczając oczy. Postanowił wkrótce się o tym przekonać.

– Łódź! – wykrzyknął.

I zanim się udał, jak każe etykieta, z wizytą do pana d'Ogeron, wciąż jeszcze gubernatora królewskiego na Tortue i wybrzeżu San Domingo, pojechał odwiedzić Tomasza.

Tomasz Trublet – zwany Tomaszem l'Agneletem – oczekiwał tej wizyty, stojąc przy luku i drżąc z niecierpliwości. Z dala ujrzał swego dawnego porucznika i serce zabiło mu żywo, gdyż nie przestał gorąco go kochać. Skoro tylko stanął na pokładzie, Ludwik Guénolé został pochwycony w objęcia i zduszony w tak gorącym uścisku, że niemal stracił oddech i przez długą chwilę nie mógł wydobyć słowa.

Przemówił wreszcie i wykrzyknął z podziwu. Ten Tomasz, którego znów zobaczył, nie był już dawniejszym Tomaszem. Odmieniony od stóp do głów, miał wygląd pana wysokiego rodu, z kapeluszem o potrójnym galonie pod olbrzymim czerwonym piórem i we wspaniałej szacie z błękitnego aksamitu, obszytej złotem i spadającej poniżej kolan. Ponadto dwóch niewolników Metysów, w stroju lokajskim, kroczyło jak cień za swym panem. Ludwik spoglądał z rozdziawionymi ustami na swego dawnego zwierzchnika. Witając go zdołał tylko powiedzieć:

– Bracie mój, Tomaszu! Ubrany jesteś wspaniale i wyglądasz piękniej niż w święta wielkanocne!

– Ba! – roześmiał się kordialnie Tomasz. – Nie wiesz zatem, Ludwiku, że podczas twojej nieobecności, która, Bóg mi świadkiem, zdawała się długa jak wieczność, stałem się bardzo bogaty i bardzo sławny? Posłuchaj więc! Admirał noty, wódz armii, gubernator miasta... niemal księżę albo król!... Spójrz! Oto dowód – mój sztandar wszechwładny, który powiewa

tam; w górze. Tak, byłem cesarzem nawet, można by powiedzieć! Pomimo to kocham cię jak dawniej z całego serca!

Zamknął go znowu w uścisku tak czule, że pocziwy Guénolé, wyściskany i wycalowany, poczuł, iż serce jego jest teraz całkowicie wolne od wszelkiego niepokoju i nieufności.

– ... Tak więc – kończył Tomasz, opowiedziawszy od początku do końca swoje dzieje – tak więc miasto było zdobyte, a ja leżałem na wpół martwy. Wtedy, Ludwiku, czy uwierzysz? ta dziewczyna, zamiast mnie dobić, jak ja bym uczynił na jej, miejscu, opatrzyła moje rany! Co więcej, opatrzawszy mi rany, pielęgnowała mnie troskliwie, pieściła jak matka pieści dziecko, czuwała nade mną podczas snu, gdy mnie trawiła gorączka! Krótko mówiąc, leczyła mnie. I przysięgam ci, że pielęgniarka albo siostra miłosierdzia nie byłaby bardziej łagodna i troskliwa! Tak się zatem rzeczy mają obecnie: wszystko zło jest między nami zapomniane i wreszcie przyszła miłość.

– Mój Boże! – zdumiał się Ludwik Guénolé.

Instynktownie zakreślił szybkim ruchem znak krzyża. Przygoda ta wydała mu się niezwykła i tajemnicza a zarazem niezaprzeczalnie podejrzana.

– Co do zdobyczy, to nawet jej sobie wyobrazić nie możesz! – ciągnął korsarz. – Naładowano nią, oprócz „Pięknej Łasicy”, osiem wielkich statków, które zagarnęliśmy w samym porcie Ciudad-Real. Z tych ośmiu okrętów cztery najmocniejsze zostały specjalnie przeznaczone na metale, bądź w kawałkach, bądź też w monetach. Srebro stanowiło trzy pełne ładunki, złoto wraz z klejnotami, koronkami i drogimi materiałami – czwarty. Nasz Wenecjanin Lorédan, człowiek pomysłowy, zabrał wraz ze swym bagażem solidną wagę, z której zrobiliśmy dobry użytek. Czyste złoto ważyło ponad cztery tony, srebro sto dwadzieścia ton albo więcej! Nie chcę nawet wspominać o kakao, koszenili, drzewie kampszowym, różnych tkaninach, mące, oliwie i wybornym winie krajowym, któregośmy wzięli osiemset dużych baryłek i które z pewnością przyczyniło się do mojego wyzdrowienia, albowiem byłem wówczas, jak ci już powiedziałem, niemal konający, i Juana nie odstępowała mnie dzień i noc. Kamraci zachowali się nie mniej godnie. Rudobrody, wicekomendant floty i generał porucznik armii, a więc pierwszy mój zastępca, oświadczył podczas rady przy podziale, że w obliczu mego wspaniałego zwycięstwa, okupionego jednak bardzo poważnymi ranami, które odniosłem w walce, przyznanie mi pięciu udziałów, przewidzianych w umowie, byłoby niedostateczne i niesprawiedliwe. Rudobrody uznał, że należy mi się jeszcze pięć. W dniu mego wyzdrowienia – przebywaliśmy już wtedy od dwóch tygodni na Tortue – przyniesiono mi trzy baryłki pełne złota, ponadto zaś woreczek pereł i klejnotów, jakich zapewne nie ma Jego Królewska Mość. Od tego dnia Juana nosi naszyjnik z trzydziestu diamentów, a pan d’Ogeron, nie widząc jeszcze tych diamentów, ofiarował za nie trzydzieści tysięcy talarów, gdybym je chciał sprzedać!

– Mój Boże! – powtórzył Ludwik Guénolé w najwyższym zdumieniu i podziwieniu.

Tomasz podbiegł do szafy i wyjął z niej dwie szklanice i gąsior.

– Do licha! – zaklął – oto właśnie wino, któreśmy wzięli w Ciudad-Realu. Spróbuj i powiedz, co o nim myślisz? Niech mnie diabli porwą, jeśli nie należy opić naszego spotkania i twego powrotu na Tortue!

Nalał w dwie szklanice różowego wina. Ludwik Guénolé wziął swoją i wzniosł ją w górę:

– A ja piję za twój powrót do nas, za twój powrót do Saint-Malo.

Wychylił szklanice do dna.

Potem Ludwik Guénolé opowiedział swoją historię. Była ona prosta. Na zakończenie rzekł:

– Jeszcze przed zdobyciem Ciudad-Realu i wzięciem naszej galeony, inne twoje bohaterские czyny otworzyły ci szeroko Wielką Bramę naszego starego miasta. Wprawdzie Kerdoncuffowie – chcąc pomścić śmierć syna – głośno wołali o karę dla ciebie, nie wierząc, że ich Wincenty zginął w szlachetnym pojedynku, ale to gadanie prędko ucichło. W miarę tego, jak

do ojczyzny nadchodziły wieści o wszystkich bitwach, któreś tu wygrywał, i o wszystkich zdobyczach, któreś wziął, w miarę tego, jak nasz armator, zacny kawaler Danycan, widział napelniające się i pęczniejące od talarów swoje kufry, wszelkie plotki zaczęły cichnąć i dzielność twoja stała się przysłowiowa. Od tej chwili zostało stwierdzone i uznane, że nie mogłeś być winny, a w najgorszym razie – był to uczciwy cios nieszczęsnej szpady. A później, kiedy wpłynąłem sam na Dobre Morze na pokładzie naszej galeony, był powszechny żal z powodu twej nieobecności. Oczekiwało cię trzystu dzielnych chłopców, którzy płakali rzewnymi łzami, nie mogąc cię zanieść do miasta w triumfalnym pochodzie.

– Ach! – westchnął Tomasz, napawając się tą sławą.

– Także Kerdoncuffowie, poniechawszy szukania zwady z tobą, byliby zadowoleni, gdyby mogli zostać twymi przyjaciółmi, w co nie możesz wątpić; a byliby jeszcze bardziej zadowoleni, gdybyś się zgodził poślubić ich Annę Marię, ale ty nie wiesz, co się stało...

– Milcz! – wyszeptał Tomasz, przerywając mu całkiem niespodziewanie nagłym ruchem, którego Guénolé z początku nie zrozumiał.

Podczas gdy obydwaj milczeli, Ludwik zdziwiony, Tomasz zakłopotany, otworzyły się drzwi kabiny kapitańskiej i weszła piękna dama.

Była to Juana. Wystrojona i wyelegantowana najszykowniej w świecie – w sukni ze wspaniałej lśniącej tafty, w płaszczu z brokatu, rozchylającym się na piersiach, okrytych wytworną flamandzką koronką. Co do jej oblicza, Guénolé przyznał szczerze w głębi duszy, że nigdy nie widział czegoś, choćby w połowie, tak pięknego i rozkosznego. A postawa jej była zaiste królewska.

– Przebóg! – rozpromienił się Tomasz. – Chodź, najdroższa, i pozwól, że przedstawię ci mego prawdziwego przyjaciela brata, najlepszego towarzysza, o którym tyle razy ci mówiłem. Oto Ludwik Guénolé, dopiero co przybyły z Saint-Malo.

Ludwik złożył niezwłocznie swój najwytworniejszy ukłon, dziwiąc się, że Tomasz nauczył się wyrażać z taką elegancją. Dama odpowiedziała z pełną rewerencją. Po czym, mówiąc tonem swobodnym i niewymuszonym, jakby chodziło o rzecz z góry ułożoną, nie podlegającą żadnej wątpliwości i dawno postanowioną, rzekła:

– Panie! Jestem niezmiernie rada, że pana widzę i proszę mi wierzyć, że z niecierpliwością oczekiwaliśmy jego przybycia. Czy przynosi pan dobre nowiny? Czy nie ma już żadnej przeszkody, abyśmy mogli wkrótce powrócić razem do waszego miasta, które chciałabym jak najprędzej poznać?

II

– Co zamierzasz uczynić z tą hiszpańską doncellą? Czyżbyś się odważył zabrać ją razem z nami do ojczyzny? – spytał po chwili Ludwik Guénolé.

– A cóż mam zrobić? – odparł Tomasz Trublet.

Ani jeden, ani drugi nie powiedział nic ponadto, wiedząc, że odtąd wszelkie słowa będą bez znaczenia i że jakaś wola tajemna, silniejsza niż oni obydwaj – silniejsza nawet niż wszyscy trzej – będzie kierowała tą sprawą.

Powrót, istotnie, był bliski. Jeszcze osiem dni i „Piękna Łasica” pożegluje radośnie ku Saint-Malo.

Ludwik Guénolé pracował nad ponownym uzbrojeniem statku. Przezorny Guénolé – a prawdziwi marynarze są przezorni bardziej niż sama bogini Przezorności – skompletował we Francji załogę na drugą fregatę. W ten sposób ta nowa fregata mogłaby nadal przemierzać morza z największą korzyścią dla kawalera Danycana, który był jej właścicielem, podczas gdy „Piękna Łasica”, prowadzona przez Tomasza, mogłaby wrócić do ojczyzny. To był cel

podróży Ludwika na Tortue: skłonić Tomasza do powrotu. Porucznik Guénolé zgodził się porzucić swą najdroższą Bretanię, gdzie teraz, dzięki talarom, zdobytym na galeonie i gdzie indziej, posiadał nieruchomość z pięknym domkiem. Daremnie przebiegły armator – który poznał się już na jego dzielności, kusił Ludwika, jak tylko umiał, niezliczonymi obietnicami, pochlebstwami i pieniędzmi. Ludwik Guénolé nie zgadzał się na nic z wyjątkiem zaprowadzenia na Tortue nowego okrętu i zostawienia go tam pod rozkazami innego kapitana, specjalnie przyjętego w tym celu. Sam Ludwik mógł wówczas powrócić na starej „Pięknej Łasicy”. Kawaler Danycan chcąc nie chcąc zatwierdził w końcu ten plan. Był on zresztą zbyt roztropnym i zacnym człowiekiem, aby nie cenić i nie darzyć szczerą sympatią tych dwóch dzielnych wojowników, Trubleta i Guénolégo, którzy tak bardzo przyczynili się do tego, iż został najbogatszym spośród armatorów w Saint-Malo.

– Czy ty naprawdę chcesz dwa razy przepłynąć ocean jedynie po to, aby ściągnąć stamtąd naszego Tomasza? Czy sądzisz, że on sam by nie powrócił? – Mimo danego już pozwolenia, kawaler Danycan podjął jeszcze jedną próbę odwiedzenia Ludwika od planowanej wyprawy.

– Ależ tak, Bóg mi świadkiem! – odpowiedział Guénolé, obracając w palcach kapelusz o wielkich skrzydłach. – Wróciłby, panie. Ale uczyniłem przysięgę i gdybym nie pojechał, spełniłbym krzywoprzysięstwo.

Ludwik uważał, że na tej odległej i obcej wyspie nie było prawdziwego bezpieczeństwa ani dla ciała, ani dla duszy Tomasza, nie było to z pewnością odpowiednie miejsce pobytu dla jego przyjaciela. Ciągłe trapiły go koszmarnie sny, w których tysiące wypadków spotykało biednego Tomasza, a wszystkie takie, że było się rzeczywiście czego lękać.

W istocie to, co go naprawdę spotkało, było nie mniej niepokojące.

Tymczasem Ludwik Guénolé pracował z zapałem i „Piękna Łasica” znów zatętniła życiem. Nowa załoga, od pierwszego do ostatniego człowieka, składała się wyłącznie z mieszkańców Saint-Malo. Byli to ludzie bardzo spokojni, zamustrowani w tym celu, aby przyprować fregatę do ojczyzny, bardzo karni i wykazujący gotowość do pracy. Nie będąc korsarzami, nie mieli wcale chęci poszukiwać jakichkolwiek przygód. Tomasz spoglądał z pewną pogardą na tych poczciwych chłopców, kędzierzawych Bretończyków, zachowujących swą gwarę i obyczaje, w prostocie serca posłusznych wszystkim jego rozkazom i bardzo łagodnych. Ludwik też nie miał powodów do narzekań. Ci prostoduszni marynarze wykonywali wszelkie prace ze zdwojonym wysiłkiem. W największym pośpiechu przygotowywali okręt do wyjścia w morze.

Tomasz niczym się nie martwił i zostawiając wszystko swemu losowi korzystał z ostatnich dni pobytu w Ameryce. W dzień zażywał spacerów po całej wyspie, zaś podczas nocy urządzał i pijatyki, na które spraszał wszystkich okolicznych awanturników. Juana nie gardziła udziałem w tych zabawach i chętnie wodziła rej w ucztach. Dumna ze swych bogatych strojów, bawiła się w towarzystwie licznych dam, które nie omieszkały przyłączyć się do zasobnych w pieniądze flibustierów. Z podziwu godną umiejętnością owe damy potrafiły wyciągnąć większość tych pieniędzy od szczodrych flibustierów. Stąd moc klejnotów i pięknych sukien. Zdobycz z Ciudad-Realu napełniła wspaniale wszystkie kieszenie, toteż przez kilka tygodni panował na Tortue wielki zbytek. Codziennie odbywały się pijatyki, podczas których lało się wino na satyny, aksamity, koronki i złote hafty. Dochodziła do tego gra w karty i widziano wielu flibustierów, którzy zasiadali jako bogacze, a wstawali od stołu jako nędzarze. Oni wszakże się tym nie niepokoiili, zawsze bowiem było morze, na które można było wypłynąć, a na morzu okręty nieprzyjacielskie; kto przeto był przegrany, mógł się łatwo odegrać bądź w grze hazardowej, bądź też w grze wojennej. Bez obaw zatem uprawiano hazard pośród istic królewskich orgii.

Jedynie Guénolé nie brał w tym udziału, pozostając bezustannie na fregacie i pracując z wielką gorliwością nad uzbrojeniem statku.

Nadszedł wreszcie czas pożegnania z Tortue. Rok Pański 1677 dobiegał końca. Przed pięciu laty, jesienią Roku Pańskiego 1672, kapitan Trublet i porucznik Guénolé opuścili razem Saint-Malo, aby szukać szczęścia i sławy w krainie flibustierów. Szczęście i sławę znaleźli. Była to sprawiedliwa zapłata za tyle lat ciężkiej pracy.

Zbliżała się wreszcie oczekiwana godzina. Było to u schyłku pewnego pięknego wieczoru w październiku, który to miesiąc na Antylach jest sto razy piękniejszy i bardziej upalny niż we Francji czerwiec, lipiec i sierpień. W przeddzień Tomasz i Juana zaczęli żegnać się ze wszystkimi swym druhami i kompanami. Pożegnania te zaczęły się przedłużać. Ludwik Guénolé przerwał je z wielkim trudem po trzydziestu sześciu godzinach, gdyż uznał, że wyjście w morze nie może się już opóźniać.

Łódź w końcu odbiła od brzegu, unosząc na pokład okrętu kapitana i jego przyjaciółkę. Porucznik bardzo prędko wybrał kotwicę, wydał rozkaz postawienia wszystkich żagli i popłynął w kierunku północno-zachodnim. Zamierzał przepłynąć Cieśninę Bahama koło wysp Lucayes i skorzystać z pomyślnych wiatrów i prądów. Posłuszna żaglom „Piękna Łasica” zaczęła radośnie pruć spokojną wodę, podczas gdy na zachodzie słońce równikowe, mające zapasć zaraz za horyzont, zapaliło niebo, ziemię i morze najczernerwieńszymi płomieniami.

Tomasz i Juana, stojąc jedno przy drugim na rufie, patrzyli na ten wspaniały spoczynek Króla Gwiazd. W kierunku już zamglonego wschodu brzeg Tortue wydawał się bardziej zielony od szmaragdu. W dali, pośród pociemniałych lasów, błyszczące okna tu i tam porozrzucanych domów odbijały ku zachodowi ostatnie promienie słońca, lśniące jak błyskawice. Było to wspaniałe widowisko. Juana patrzyła pożądliwie płonącymi oczami.

Ludwik Guénolé, skończywszy manewrowanie, stanął obok kapitana – zadowolony, że jest w upragnionej drodze powrotnej – i uderzył go lekko w ramię. Tomasz Trublet zaczął się śmiać i wyciągnął rękę w kierunku oddalającego się brzegu:

– Czy uwierzysz, Ludwiku, mało brakowało, abym w chwili opuszczania tego wszystkiego uczuł żal!

Ale Juana, zapatrzona w malowniczą wyspę, zadrżała i zwróciła się do kochanka.

– Och! My tu jeszcze wrócimy!...

III

W ciągu piętnastu dni „Piękna Łasica” przepłynęła przez całą Cieśninę Bahama, która nie jest wcale szeroka ani zbyt bezpieczna, zważywszy, że od północy odgraniczają ją liczne skały podwodne i że wiatry w niej wiejące nie są regularne. Ludwik Guénolé, który ją już przepłynął od końca do końca, kiedy wiódł do Francji ongiś zdobytą galeonę, znał, na szczęście, każdą pułapkę i każdy zakręt. Był on dobrym pilotem i dzięki jego czujności zdołano uniknąć wszelkich groźących niebezpieczeństw. Ostatecznie dotarto do przylądka Sable, który stanowi zakończenie hiszpańskiego półwyspu Floryda. Ominięto go w siedemnastym dniu podróży. Ludwik Guénolé wziął niebawem kurs na północ, aby opłynąć ostatnie wyspy zachodnio-indyjskie: Wielkie Abaco i Mantanillas.

Wówczas morze zmieniło barwę i z zielonego stało się niebieskie. Dziwili się marynarze. Ale Ludwik Guénolé pokpiwał sobie z nich, wiedział bowiem dobrze, że jest to zapowiedź dogodnego ciepłego prądu, który przebiega Atlantyk od brzegów amerykańskich aż do wybrzeży hiszpańskich i angielskich¹⁴. „Piękna Łasica”, oczywiście, płynęła tam najspokojniej w świecie.

¹⁴ Chodzi tu o Prąd Zatokowy (Golfstrom), ciepły prąd Oceanu Atlantyckiego, płynący z Cieśniny Florydzkiej, początkowo wzdłuż Ameryki Północnej do ok. 40 stopnia szerokości północnej, a następnie skręcający na

Cztery dni później wiatr zmienił się nagle ze wschodniego na zachodni i dał ze świeżą siłą. Czyste niebo pokryło się gęstymi chmurami i nastąpiły gwałtowne szkwały. Ludwik Guénolé kazał zwinąć bramsle, ściągnął bezanżagiel, zrefował marsle. I nie martwił się jeszcze. Wszystkie te zmiany przyszły na czas i w porządku przez niego przewidzianym. Pod marszlami, żaglami dolnymi i żaglem bukszprytowym „Piękna Łasica” szła szybciej niż kiedykolwiek pod pełnymi żaglami w pościgu za bogatym okrętem hiszpańskim albo holenderskim. Żar powietrza wkrótce ustał, chłodne mgły pokryły całe morze. Marynarzom, oddychającym pełnymi piersiami w wilgotnej mgle, zdawało się, że Bretania już blisko.

Jednak upłynęło jeszcze wiele dni. Gwiazda Polarna błyszczała każdego wieczora odrobinę wyżej na horyzoncie...

Tymczasem Tomasz Trublet nie niepokoił się żadnym prądem ani żadnym wiatrem, a tym bardziej Gwiazdą Polarną. Otóż Tomasz Trublet – podczas gdy jego porucznik wraz z całą załogą pracowali gorliwie, aby fregatę utrzymać na właściwym kursie i uchronić ją przed wszelkimi grożącymi jej niebezpieczeństwami – zadowalał się piciem, jedzeniem, spaniem, a nade wszystko bawił się wybornie w towarzystwie swej przyjaciółki Juany. Ludwik Guénolé – dostrzegając z niepokojem i bólem zmianę, jaka zaszła w zwyczajach i charakterze tego, ongiś tak czynnego i tak żywego człowieka – był pewien, że przyczyną tej gwałtownej wielkiej zmiany są jakieś tajemne i mroczne siły. Nie omieszkał czynić znaku krzyża za każdym razem, gdy ujrzał Hiszpankę, poważnie podejrzaną przez niego o to, że jest przeklętą czarownicą.

Prawdę mówiąc, były to zaiste czary, ale czary boskie raczej niż diabelskie, skoro, bardzo zwyczajnie, chodziło o miłość: gorącą, żądną, chciwą i nienasyconą. Czarodziejem zaś był nie kto inny, tylko mały łucznik Kupido, który, bez lęku i szacunku, zapuszczał swe strzały straszliwie głęboko w niemal dziewicze serce korsarza, serce lepiej uzbrojone przeciwko całej eskadrze nieprzyjacielskiej aniżeli przeciwko czarnym oczom i białej płci pięknej dziewczyny, niedawno szyderczej, obecnie oddanej i kochającej – kochającej namiętnie, oplątującej go najbardziej wyszukanymi pieszczotami.

I znowu mijały dni...

Wreszcie Ludwik, który co godzina kazał rzucać log, uznał, że ląd nie może być bardzo oddalony. Mierząc wysokość Gwiazdy Polarnej twierdził nawet, dokonawszy obliczeń, że lądem tym będzie prawdopodobnie wyspa Ouessant, w gwarze dolnobretońskiej zwana Heussa. Wielu marynarzy zaczęło się zastanawiać, kto ma wejść do bocianiego gniazda, aby otrzymać płótno na koszule, które kapitan miał dać temu, kto pierwszy zobaczy wybrzeże francuskie. Ale żaden nie otrzymał przyrzeczonego płótna, ponieważ to nie wyspę Ouessant, a także nie Saint-Malo losy wyznaczyły „Pięknej Łasicy” na miejsce lądowania.

Rankiem pięćdziesiątego szóstego dnia, licząc od wyjazdu z Tortue, marynarz „na oku” zasygnalizował, że z prawej burty ukazały się liczne żagle, które zdawały się płynąć na pełne morze, w kierunku na wschód, tym samym kursem co „Piękna Łasica”. Ludwik Guénolé, ufając szybkości swej fregaty, nie wahał się zbliżyć do płynących żaglowców. Widząc to jeden z nich odłączył się od pozostałych i zatrzymał się jak gdyby w oczekiwaniu. Ludwik, spoglądając przez lunetę, szybko poznał okręt króla Francji. Na szczycie grotmasztu powiewała flaga z białej satyny, usianej kwiatami lilii. Przybliżywszy się bardziej, można było odczytać nazwę tego okrętu liniowego – „Hazardeux”. Na pokładzie kasztelu rufowego z tubą w rękę stał szlachcic o dumnej minie, który zdawał się dowodzić załogą króla.

„Piękna Łasica” stanęła w łopocie żagli. Tymczasem szlachcic z tubą zaczął stawiać pytania:

wschód i przepływający ocean, u wybrzeży Europy oddzielający się ku południowi; główne ramię Golfstromu, Prąd Kanaryjski, dociera do wybrzeży norweskich i Morza Barentsa (przyp. red.).

– Hej tam, wy z fregaty!... Kim jesteście? Skąd płyniecie? Dokąd podążacie?

Ludwik Guénolé na wszystko odpowiedział zgodnie z prawdą. Nazwisko Tomasza Trubleta wywołało pozytywny skutek; szlachcic zaczął rozmawiać o wiele grzeczniej, niż czynią to zazwyczaj oficerowie królewscy, kiedy rozmawiają ze zwykłymi korsarzami.

– Hej! – zawołał – jestem kawalerem d’Harteloire, kapitanem Jego Królewskiej Mości na okręcie o czterdziestu czterech j działach. Czy wiecie, że Saint-Malo jest ściśle zablokowane przez eskadry holenderskie, które zajmują cały kanał La Manche od Ouessant aż do Pas-de-Calais? My oto, dwaj kapitanowie królewscy i jeden dowódca eskadry, eskortujemy ten konwój składający się z trzydziestu dwóch statków kupieckich, aby mógł wejść do któregoś z portów francuskich.

Zdumiony i zbity z tropu, Ludwik Guénolé umilkł. Słowa kawalera d’Harteloire dzięki tobie brzmiały donośnie i wyraźnie; cała załoga „Pięknej Łasicy”, stłoczona za porucznikiem, nie uroniła ani jednej sylaby. Ludwik usłyszał niespokojne szept.

Kawaler d’Harteloire przyłożył znów tubę do ust:

– Hej! Nie wierzę, abyście mieli wielką szansę przerwania blokady nieprzyjacielskiej i dostania się bez przeszkód do Saint-Malo. Ale możecie dołączyć do naszego konwoju. Są tu trzy okręty Jego Królewskiej Mości: „Français”, który nosi flagę pana de Gabareta, naszego dowódcy eskadry, „Hazardeux” i „Maline”. Sto szesnastie dział. Możemy się zatem bronić, jeśli zajdzie potrzeba.

W tym momencie na ramieniu Ludwika Guénolégo zaciążyła jakaś dłoń. Tomasz Trublet, wywabiony niezwykłym hałasem, wyszedł z kasztelu rufowego. Stojąc twarzą do królewskiego kapitana zasalutował, a pióro jego kapelusza wspaniale falowało na wietrze. Potem zawołał tak donośnie, że usłyszano go świetnie na obydwu okrętach, pomimo sporej jeszcze odległości i pomimo że nie używał żadnej tuby:

– Hej tam! Panie kawalerze, ja, kapitan Trublet, przyjmuję całym sercem pańskie grzeczne zaproszenie i łączę się z panem, ale nie po to, aby mnie broniono, lecz aby bronić wraz z panem okrętów kupieckich, a także, aby bronić honoru naszego króla Ludwika. Będzie zatem sto trzydzieści sześć dział zamiast stu szesnastu. I z tym przejdziemy, jeżeli się Bogu spodoba.

Tomasz dumnie zdjął kapelusz, podczas kiedy kawaler d’Harteloire, salutując z kolei dość nisko, zdjął swój.

IV

Z zachodu wiała ostra bryza. Po morzu przebiegały długie fale barwy wodorostów, wstrząsając ostro okrętami, które kołysały się na wodzie od dziobu do rufy. Gęste obłoki pokryły niebo, nad wodą wznosiły się pasma mgły. Błada jutrzienka walczyła na wschodzie z ciemną jeszcze nocą.

– Mój Boże! – zamruczał Ludwik Guénolé, który nachylił się nad barierką nadburcia, badając horyzont. – Jeżeli pogoda się nie zmieni, holenderscy marynarze wachtowi „na oku” nie będą mieli wielkiej nadziei zobaczenia nas. Ale czy my możemy mieć nadzieję na wejście do Hawru, otoczonego ze wszech stron piaskami i mieliznami?

Wahał się jakiś czas, potem, decydując się nagle, zszedł z rufy aż do wielkiej kabiny i zapukał pięścią w drzwi kabiny kapitańskiej, gdzie spali Tomasz i Juana.

Był poranek Bożego Narodzenia. A od dwóch długich dni konwój w otoczeniu trzech okrętów królewskich i „Pięknej Łasicy”, jak stado owiec z czterema psami pasterskimi, płynął, gnany pełnym wiatrem, wdzierając się między krążowniki nieprzyjacielskie. A w tym Roku Pańskim 1677, który się właśnie kończył, eskadry francuskie pod komendą panów de

Vivonne i Duquesne wymiotły do cna wszystkie floty nieprzyjacielskie z całego Morza Śródziemnego. Morze Śródziemne zresztą już w roku 1676 otrzymało porządne trzępięcie miotłą dzięki francuskim zwycięstwom koło Agosty i Stromboli, gdzie nawet sam straszny Ruyter znalazł swój koniec. Hrabia d'Estrée, który dowodził flotą na Atlantyku, wygrał także na Antylach piękną bitwę koło Tobago. Ale właśnie te zwycięstwa ogołociły z okrętów wszystkie francuskie wybrzeża od zachodu do północy. Tymczasem admirałowie Zjednoczonych Prowincji, odniósłszy zwycięstwo nad Francuzami koło Walcheren jakieś cztery lata temu, skorzystali z tego, aby znów osiągnąć swą dawną przewagę. Sześćdziesiąt ich okrętów zajęło teraz kanał La Manche i dla panów de Gabareta, d'Harteloire'a i de Rosmadeca – tak się nazywał kapitan „Maline” – nie było sprawą łatwą przeprowadzić okręty handlowe w bezpieczne miejsce pod nosem nieprzyjaciela mającego tak wielką przewagę.

Dowódca eskadry, po odbyciu narady z kapitanami, wskazał drogę prosto na północny wschód, aby osiągnąć wybrzeża angielskiego i stanąć tam na odległość wystrzału działowego. Wiele przemawiało za tym, że nieprzyjaciel zacznie wkrótce krążyć po wodach francuskich. Manewrując w ten sposób okręty miały pewną nadzieję nie być dostrzeżone do ostatniej chwili; być może, udałoby się zaskoczyć wówczas Holendrów i przełamać nagle ich blokadę. Co do portu, w którym miano lądować, pan de Gabaret postanowił dotrzeć do Hawru, albowiem port ten istotnie jest dostępny, ma wiele miejsc bardzo głębokich; poza tym niezwykle dogodnie przypląwy częściej tam występują niż w każdym innym porcie kanału La Manche. Powiadomiony o tym Ludwik Guénolé uznał, że wybór portu jest trafny. Tomasz natomiast, nie wychodząc ani razu ze swej kabiny od czasu rozmowy z kapitanem „Hazardeux”, nie wiedział nic o postanowieniu pana de Gabareta. Pan de Gabaret tymczasem wydał rozkaz zmiany kursu.

Ludwik Guénolé nie chciał zwlekać ani sekundy, aby zawiadomić kapitana, który pomimo całej swej dotychczasowej beztroski, wziąłby przecież udział w walce, gdyby ona nastąpiła. Oto dlaczego Ludwik Guénolé pukał teraz do drzwi kabiny, gdzie spali Tomasz i Juana.

W zamkniętej kabinie Ludwik usłyszał jakiś hałas, po niecałej minucie drzwi się otworzyły i ukazał się Tomasz. Ubrany tylko w koszulę i w spodnie, wyglądał mimo to okazale w tym niezwykle wspaniałym negligu; koszula jego pstrzyła się od koronek, a spodnie były wyhaftowane jak chorągiew. Poznawszy Ludwika wyszedł z kabiny. Zamknął za sobą drzwi.

– Co się stało? – spojrzał pytająco na Guénolégo.

– Zbliża się walka.

– Ach, tak! – westchnął Tomasz.

Pozostał kilka sekund w zamyśleniu. Potem wzruszył ramionami, otworzył drzwi, wszedł z powrotem do kabiny i nie wychodził z niej więcej.

Wróciwszy na rufę, smutny z powodu swej samotności, Ludwik Guénolé zdusił w sobie gorzki ból, który mu rozpiekał serce. Podczas tej minuty nic się wokoło nie zmieniło. Statki handlowe płynęły w nieładzie pod pełnymi żaglami, a eskorta, w obawie ich wyminięcia, gdyż nigdy nie płyną one tak szybko jak okręty wojenne, zwinęła żagle górne. „Piękna Łasi-ca”, szybsza od każdego z trzech okrętów królewskich, płynęła tylko pod marslami.

W polu widzenia nie było żadnego masztu nieprzyjacielskiego ani wybrzeża. Pasma mgły nadal unosiły się nad morzem, a wiatr, jakkolwiek dmący z wielką siłą, nie rozpraszał ich; albowiem skoro tylko rozpędził jedno, gromadziły się natychmiast inne. Jednakże były rzadkie chwile, kiedy można było zobaczyć skrawek nieba, i trwały dostatecznie długo, aby odsłonić odrobinę horyzontu. Ludwik nie omieszkiwał skierować tam szybko swej lunety, którą prawie zawsze miał przy sobie.

– Tym razem jeszcze nic – zamruczał.

Wysilał wzrok, na przekór mgłom, przede wszystkim w kierunku zachodnim, z tej bowiem strony wiał wiatr, a Ludwik obawiał się, aby szczury holenderskie nie zaatakowały właśnie stamtąd.

Morze jest tam szersze – myślał – rozciąga się aż po kontynent, na jakieś ponad czterdzieści pięć mil. Czterdzieści pięć mil głębokiej wody – jest gdzie pomieścić kilka eskadr. Gdyby przybyło z tej strony dwanaście albo piętnaście okrętów, miałyby w dodatku korzystny wiatr.

Nagle przerwał sobie to wyliczanie.

– Ha! – rzekł donośnym głosem – co to ma znaczyć? Tyle płótna! Czyżby ci panowie z floty królewskiej nie potrafili przeżyć godziny bez ubierania flagami wszystkich linek flagowych.

Okręt pana de Gabareta, „François”, który szedł na czele eskadry – w położeniu około ćwierci mili pod wiatr od niej – pozawieszał, istotnie, moc flag, sygnałów dla swych dwóch towarzyszy, „Hazardeux” i „Maline”. Jednocześnie dał trzy armatnie wystrzały, których potrójny dym odcinał się białą jak śnieg plamą pośród burej mgły. Niewątpliwie musiał to być rozkaz bardzo naglący, Ludwik Guénolé zobaczył bowiem, jak obydwie statki natychmiast rozwinęły żagle i kierowały się prosto do dowódcy eskadry.

Niepewny, jakie miejsce sam powinien zająć, Ludwik w porę ujrzał „Maline”, która płynęła kursem tak, żeby ominąć rufę „Pięknej Łasicy” i ustawiła się dość blisko, aby otrzymać najlepszą szybkość. Na rufie stał kapitan we własnej osobie, kawaler de Rosmadec. Zobaczywszy Ludwika Guénolégo, przyłożył usta do tuby;

– Hej, tam! Korsarze... Holendrzy są po stronie zachodniej, przesuważ się ku południowemu zachodowi. Rozpoczynamy walkę, aby wygrać na czasie. Wy macie zabrać okręty handlowe i płynąć prosto na południe. Hawr jest niedaleko.

„Maline” szybko się oddaliła. Ludwik mierzył ją wzrokiem. Była to fregata znacznie mniejsza niż „François” albo „Hazardeux”, które były okrętami liniowymi. Pierwszy miał czterdzieści osiem, drugi czterdzieści cztery działa. „Maline” tylko dwadzieścia cztery – i to mniejszego kalibru. „Piękna Łasica” była warta tyle samo ze swymi dwudziestoma działami z brązu.

Za kogo bierze nas ten fircyk? – Ludwik poczuł się wielce obrażony. – Może widział więcej bitew niż my? I czy wie, dlaczego Tomasz Trublet zgodził się dołączyć „Piękną Łasicę” do królewskiej eskadry?

Po chwili podszedł do sternika, własnoręcznie odchylił rumpel i zakomenderował, aby obłożono szoty. W chwilę potem „Piękna Łasica”, skora do posłuchu, biegła z żaglami, ustawionymi ostrzej pod wiatr, i zbliżyła się szybko do okrętu admirałskiego.

Ludwik Guénolé, opuszczając rufę, raz jeszcze wrócił do wielkiej kabiny. Zbliżył się do kabiny kapitańskiej, ale nie śmiał zapukać i wkrótce, nie słysząc stamtąd żadnego szmeru, zrobił półobrót i oddalił się na końcach palców.

W chwili, kiedy wchodził po trapie kasztelu rufowego, usłyszał, jak w dali rozległo się coś w rodzaju uderzenia grzmotu. I Ludwik, skoczywszy jak koń pod uderzeniem ostrogi, stanął znów, w mgnieniu oka, na pokładzie kasztelu rufowego. Rozglądając się na wszystkie strony z początku nie spostrzegł nieprzyjaciół. Zobaczył natomiast okręt dowódcy eskadry, spowity w pióropusze dymu, a także wyłaniający się z dymu „Hazardeux”, który już się z tamtym połączył. Bez wątpienia Holendrzy zbliżali się i już ich spostrzeżono.

Na sześć kabli przed „Piękną Łasicą” „Maline” manewrowała dalej, aby stanąć poza obydwoma okrętami liniowymi. Ludwik nie zmieniał żagli, czekając na rozwój wypadków.

Wypadki potoczyły się szybko. Z falującej, w połowie przezroczystej, w połowie nieprzejrzanej mgły wyłoniły się okręty holenderskie. Ludwik naliczył ich dziewięć. Już pięć z nich, zrobiwszy zwrot w lewo, rzuciło się w stronę obydwóch okrętów króla Francji, podczas gdy cztery pozostałe odpadły w prawo aż do pełnego wiatru, szukając wolnej drogi, pogoniły za okrętami handlowymi.

Na drodze ścigających bezbronne statki kupieckie stanęła jednak przeszkoda w postaci małej fregaty „Maline”. Ale fregata wobec czterech okrętów znaczy tyle, co wąż dziecko z drewnianą szablą i kapiszonowym pistoletem wobec czterech żołnierzy, dragonów albo

muszkietierów, w pełnym rynsztunku. Cztery okręty holenderskie, wszystkie w pogotowiu wojennym, o potrójnych bateriach, mogły połączyć od razu kawalera de Rosmadeca wraz z jego łupiną.

Czy zatem „Piękna Łasica” miała się mieszać do takiej gry – z góry przegranej – i czy nie lepiej było połączyć się z okrętem dowódcy eskadry, który przynajmniej nie omieszka stawić silnego oporu przeciwnikom? Ludwik Guénolé wahał się.

Ale w tym momencie zawrzała bitwa zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Ludwik, dzielny jak zwykle, to znaczy ponad miarę, zapomniał naraz o całym wyrachowaniu i całej rozwadze i instynktownie podbiegł do najbliższego dział. „Français” i „Hazardeux” walczyły przez prawą burtę w odległości blisko półtora mili. „Maline” znalazła się wprost przed „Piękną Łasicą”. „Piękna Łasica”, pod pełnymi żaglami, udała się w kierunku fregaty królewskiej, która zdawała się ulegać przewadze swych straszliwych napastników.

V

– Naładować działa na prawej burcie! – rzucił komendę Ludwik Guénolé, zbliżywszy się na czterysta sążni od nieprzyjaciela.

Kanonierzy znajdujący się na lewej burcie opuścili działa i pobiegli z pomocą swoim druhom na prawej burcie. Pomagali im w ładowaniu.

– Cel: maszty! – zakomenderował Ludwik.

Strzelanie w kadłub okrętów liniowych znaczyłoby tyle, co rzucanie grochu o ścianę: marne kule „Pięknej Łasicy” mogłyby zaledwie zadrasnąć te kadłuby z grubego masywnego dębu, niezwykle solidnie zbudowane i obite metalem. Gdy tymczasem dobry ogień, wycelowany wprost w maszty, zrzuca na pokład same maszty, reje, żagle i liny, zamienia za jednym zamachem najpotężniejszy trójpokładowiec w szczątki, które morze wyrzuca na brzeg.

– A teraz, na wszystkich świętych pańskich, kanonierzy, celować dobrze!

Ludwik Guénolé zaklął się. Fakt był tak rzadki, że załogę przejęła groza.

Prowadzący okręt holenderski był już na odległość strzału.

– Ognia! – zawołał Ludwik.

Dziesięć wystrzałów działowych zlało się w jeden. Przez dwadzieścia sekund nic nie widziano, zapadły ciemności: gęsty dym spowił całą fregatę. Ludwik, dusząc się dymem, zaklął. Ale kiedy się wychylił przez burtę, wytrzeszczając oczy, aby ujrzeć manewr nieprzyjaciela, zaskrzypiały deski pokładu na rufie pod mocnym krokiem i potężny głos zapanował nad odgłosem dział:

– Niech idzie z wiatrem, do stu piorunów!

Ludwik, podskoczywszy z wielkiej radości, obrócił się i zobaczył Tomasza.

Na głos kapitana, pierwszego po Bogu – sternik i marynarz stojący przy bekanie instynktownie spełnili rozkaz. Płynąc pełnym wiatrem, „Piękna Łasica” w ciągu piętnastu sekund podwoiła, a potem potroiła prędkość. W chwili, która nastąpiła po tych piętnastu sekundach, wstrząsnęła powietrzem detonacja, spowodowana hukiem sześćdziesięciu wielkich dział, strzelających razem, i deszcz wielkich kul zaszumił, jakby zaszumiło sto tysięcy chrabąszczy, lecących rojem; okręt liniowy odpowiedział groźną salwą. Ale salwa chybiła i podziurawiła tylko powierzchnię morza, kule padały gęsto jak grad w sam środek wodnego toru fregaty, o jakieś trzydzieści sążni poza jej rufą. „Piękna Łasica” była jeszcze, na szczęście, zakryta własnym dymem, a kanonierzy holenderscy, którzy nie widzieli nic, nawet wierzchołka masztu, wycelowali w obłok gęstego dymu, sądząc w pośpiechu, że cel, na razie niewidoczny, ukaże się natychmiast. W ten sposób podstęp Tomasza zakończył się sukcesem.

„Piękna Łasica” wyszła nienaruszona z dymu, który ją tak dobrze osłaniał. Oczom Tomasa ukazało się pole walki. Patrząc z lewej burty dostrzec można było okręty kupieckie ucie-

kające w przerażeniu, aby się prędzej oddalić. Walcząc oddzielnie z prawej burty panowie de Gabaret i d'Harteloire zatrzymali wokół swych dwóch dumnych okrętów pięciu przeciwników. Holendrzy po wymianie dwudziestu czy też trzydziestu salw nie chcieli się rozpraszać. Obawiali się oddać choćby o krok jeden od drugiego, wiedzieli bowiem, że pojedynczy okręt zostanie natychmiast zmuszony do poddania się. Cztery pozostałe okręty holenderskie usiłowały jeszcze doścignąć francuskie okręty kupieckie. Ale największy z tych czterech zatrzymywała koło siebie dzielna „Maline”; ten, który niedawno dał salwę do Tomasza, zniknął wciąż w obłoku własnego dymu. Dwa ostatnie kierowały się w stronę dziobu „Pięknej Łasicy”.

– Cóż tam znowu te podłe psy zawiesiły na wierzchołku swego grotmasztu? – spytał Tomasz, podczas gdy jego kanonierzy ponownie nabijali działa.

Ludwik spojrział przez lunetę.

– Mój Boże!

– Mów! Co jest?

– Mój Boże!

– Rany boskie! Co tam jest?

– Miotła!¹⁵

Tomasz, pobladły z wściekłości, zakręcił się dwa razy na miejscu, poszukując jakiegoś sposobu szybkiej zemsty. Wreszcie, podnosząc oczy na własny grotmaszt, zawołał drżącym głosem:

– Na Chrystusa z Ravelinu! Flaga, gdzie jest moja flaga?

– Twoja flaga?

– Tak! Niech cię diabli porwą! Moja flaga szkarłatna, moja flaga czerwonokrwista ze złotym barankiem. Niech te łotry wiedzą, z kim mają do czynienia! Żeby mi ją natychmiast wciągnięto na maszt!

Dwóch młodych marynarzy, przerażonych spojrzeniem kapitana, rzuciło się do kufra. Za sekundę baranek, straszliwszy dla wszystkich Jedenastu Prowincji bardziej niż cholera albo nagła śmierć, łopotał na wietrze.

– Ster w lewo! – wrzasnął dziko Tomasz. – Przygotować się do zwrotu! Postawić bezan, zwinąć żagiel bukszprytowy!

Zdumiona załoga spełniła ten rozkaz. Ludwik Guénolé nie rozumiał z początku ani trochę celu tego osobliwego manewru, który na dość długą chwilę zatrzymał „Piękną Łasicę” stojącą pod wiatr, idącą powoli i źle sterującą – wszystko to w odległości jakiegoś jednego kabla od dziobu obydwóch holendrów. Zbliżały się właśnie, idąc burta w burtę pełnym wiatrem, który wydymał ich ogromne nowe żagle jak worki skórzane; ich kadłuby pruły wodę, odbijając za każdym zakołysaniem pianę fal. Można było odróżnić już czarne paszcze dział gotowych do strzału. Jeszcze minuta, a miną fregatę, biorąc ją w dwa ognie, miażdżąc potrójną salwą, cztery albo pięć razy silniejszą niż słaba salwa wątlej fregaty.

Ale Tomasz znowu rzucił komendę:

– Do dział, na prawej burcie! Kanonierzy, śmiało, walić celnie! Ciagle w maszty! Marynarze z lewej burty do manewrów! Cała na burtę! Podnieść żagiel bukszprytowy, opuścić bezan! Zwinąć grot! Kanonierzy, salwa z całej burty!

Tym razem załoga zrozumiała. Podniósł się wielki wrzask, zagłuszający huk dział. Tomasz i Agnelet tylko pozorował dokonanie zwrotu i jeszcze raz oszukał nieprzyjaciela! Holendrzy, widząc nieruchomą fregatę, nie szli ostrzej na wiatr, aby nie wywołać jej manewru, i w ten

¹⁵ Od roku 1653, podczas wojny angielsko-holenderskiej (1652-1654), Holendrzy, gdy odnieśli zwycięstwo nad jakąś flotą nieprzyjacielską, mieli zwyczaj zatykania miotły na wierzchołku grotmasztu na znak, że wymiotą całe morze. Zareagował na tę niesłychaną zuchwałość angielski admirał, Robert Blake, zatykając na grotmaszcie swego okrętu bicz, jakiego używają woźnice (przyp. aut.).

sposób nie odsłonili na czas swoich baterii. „Piękna Łasica”, po oddaniu salwy, wybrała żagle z prawej burty i rzuciła się pod bukszpryt jednego z okrętów, zamiast przejść między obydwojma. Dzięki dymowi okręt zobaczył tylko ogień – albo jeszcze mniej. I zderzył się z fregatą, nagle zatrzymaną w ruchu, tak gwałtownie, że złamał sobie o nią bukszpir, część dziobową, porwał żagiel bukszprytowy oraz liczne sztagi i wanty. Jego fokmarsel spadł pociągając za sobą bramsel i marsel na grotmaszcie i nawet górną część bezana. Można powiedzieć, że runęło całe omasztowanie, którego, jak wiadomo, bukszpryt jest prawdziwą podporą, bez niego cała reszta się wali. „Piękna Łasica” zresztą doznała również takiego uderzenia, że spadły jej trzy górne żagle. Tym niemniej przewaga była po jej stronie: uczepona teraz pod dziobem okrętu, mogła użyć dział z prawej burty, skoro tylko znów będą naładowane, a on nie mógł do niej strzelać z żadnego ze swych dział.

Tomasz, śmiejąc się, jak tylko on śmiać się potrafił, i wykrzywiając wargi w triumfującym grymasie, zwrócił się do Ludwika:

– Widzisz, jak ten okręt nam się poddaje? Pamiętasz galeonę pełną złota?

Ludwik potrząsnął głową.

– Tak! Ale złoto, które zrabujemy na tym okręcie, nie uczyni nas wcale bogatymi.

– Nie! – zaśmiał się Tomasz. – To on się raczej wzbogaci, jeżeli przypadkiem nas obrabuje!

Śmiał się coraz bardziej, a potem, wszedłszy w sam środek kanonierów, którzy kończyli ładować działa kartaczami, zawołał:

– Żywo! Ognia! Bierzcie topory, piki i szpady, chłopcy! Daję wam tego holendra! Weźcie go!

Mówiąc to był pewien, że przemawia do dawnych swych korsarzy, skorych do walki, zdecydowanych zawsze zginąć lub zwyciężyć. Ale jego obecna załoga była inna: poczciwi chłopcy z Saint-Malo, spokojni, dzielni jedynie wówczas, gdy byli do tego zmuszeni. Na propozycję Tomasza dokonania abordażu zareagowali wahaniem i niezdecydowaniem. Tomasz widział ich niepewność. Skoczył jednym susem do nadburcia i opierając się o nie plecami stanął twarzą w twarz do wszystkich swych ludzi. Dwa stalowe pistolety błyszczały w jego wyciągniętych rękach.

– Psy, leniwe psy! – zaryczał. – Słuchajcie! Jesteście biedni jak Hiob, a ja jestem bogatszy niż Krezus. Nie macie niczego, oprócz brudnych łachmanów, a ja mam siedemset tysięcy złotych liwrów w kufrze. Wasze żony i dziewczyny są bezpieczne w waszych wsiach, moja dziewczyna jest tutaj przy mnie, a kule przecież świszczą wokoło! Jednak to ja właśnie podjąłem tę walkę, w której nie mam nic do wygrania, a wszystko do stracenia. Ale teraz będziecie się bili, klnę się na moją krwistą flagę, która powiewa tam w górze! Psy, ospałe psy! Do abordażu! Do abordażu, albo was tymi oto rękoma...

Nie skończył. Rzucające błyskawice oczy mówiły za niego, a dwa wzniesione pistolety stanowiły dostatecznie groźne ostrzeżenie.

W tej samej chwili kilku żołnierzy holenderskich wygrzebawszy się z kupy lin i płócien, zwalonych na ich pokładzie, zaczęło się gromadzić w części dziobowej i otworzyło silny ogień muszkietowy przeciwko chłopcom z „Pięknej Łasicy”. Od pierwszych strzałów padło czterech marynarzy. Wzięci między muszkiety nieprzyjaciela a pistolety Tomasza, przekonani, że nigdzie nie ma ratunku i że trzeba odnieść zwycięstwo albo zginąć na miejscu, poczciwcy ci rozjuszyli się. Z pochylonymi głowami, mamrocząc coś ze strachu i wściekłości, zaczęli się wdrapywać na okręt, którego olbrzymia masa panowała nad fregatą jak katedra panuje nad prezbiterium dobudowanym do jej boku. Na szczęście obydwa omasztowania, zwalone i skotłowane, tworzyły przejście. Dla marynarzy nie było wcale rzeczą trudną przejść po tym nieoczekiwanym pomoście. Nie upłynęło jeszcze ćwierć minuty, kiedy Tomasz, który pozostał sam na środku opustoszałego pokładu, ujrzał swych chłopców na pokładzie nieprzyjacielskim, rzucających się z wściekłością i rozpaczą na żołnierzy holenderskich.

Uspokojony tym widokiem, wszedł na jakieś nagromadzone szczątki i spojrzął na pole walki.

Wszystko szło dobrze. Tomasz ujrzał naprzód okręty kupieckie, coraz bardziej oddalające się. Można je było uznać za ocalone. Walka trwała jeszcze wokół pana de Gabareta, który w dalszym ciągu zatrzymywał pięciu holendrów. Na szczęście żaden z czterech pozostałych okrętów nieprzyjacielskich, które zaatakowały „Maline” i „Piękną Łasicę”, nie był w stanie skutecznie ścigać uciekających okrętów handlowych. Nieszczęśliwa „Maline”, prawdę mówiąc, nie wiedziała, co dalej robić, gdyż jej kapitan nie potrafił się szepić z holendrem tak zręcznie, jak to uczynił Tomasz. Zwyciężona i rozbita, wytrzymał straszny ogień przeciwnika, królewska fregata z dobrą godzinę walczyła z nieprzyjacielem i mieszała mu szyki, tak że nie miał nadziei się od niej odbić i od nowa podjąć pościg.

– Wszystko przebiega jak najlepiej – zawołał rozchmurzony Tomasz do Ludwika, stojącego wciąż na stanowisku przed sterem.

Kiedy to mówił, otworzyły się drzwi kasztelu na rufie i ukazała się w nich Juana.

Juana, niezwykle piękna w swej najwspanialszej brokatowej sukni, uczesana, upudrowana, wymalowana, wyglądała jakby szła na bal, a nie znajdowała się w samym środku bitwy. Najspokojniej w świecie wyszła na pokład. Tu i tam rozlegały się strzały. Odłamki, kule muszkietowe i kartacze świstały wokoło. Już podczas oblężenia Ciudad-Realu dziewczyna bez wątpienia zasmakowała w tej muzyce; teraz również niczym się nie przejmowała i szła z pogardliwą miną w stronę Tomasza, który zamarł ze wzruszenia i niepokoju.

– A więc – odezwała się ze zniecierpliwieniem – jeszcze się nie skończyło? Nie zdobył pan tego okrętu, który tam widzę?

Tomasz, znieruchomiały i jakby skamieniały, wpatrywał się w nią uporczywie. A ona wzruszyła ramionami i zrobiła grymas jak dama, która się nudzi:

– To trwa już zbyt długo! Co na nędzna walka! A pan? Co pan tu robi sam jeden?

Zdjął swój kapelusz z piórami, uklonił się nisko, potem rzucił kapelusz na ziemię.

– Już idę – odrzekł.

I podszedł wprost do okrętu nieprzyjacielskiego. Wdrapał się na niego – bez pośpiechu, spokojnie, ze szpadą w pochwie.

Akurat w tej chwili Holendrzy zaczęli się znów gromadzić i przebiwszy sobie drogę poprzez leżący na pokładzie takielunek zaczęli, bijąc w bęben, napierać na trzy razy mniej licznych marynarzy Tomasza. „Piękna Łasica” mogła być wzięta.

Wówczas na dziobie pośród bliskich ucieczki marynarzy ukazał się Tomasz.

Krzyknął:

– L’Agnelet idzie z pomocą!

I ze spokojem, który natychmiast przemienił się w najgroźniejszy szal, wpadł w sam środek nieprzyjaciół, uderzał, siekł, dźgał szpadą w tak straszliwy sposób, że najzuchwalsi cofnęli się. Obraz walki uległ nagle całkowitej zmianie. Tomasz, pijany przelaną krwią, ciągnąc za sobą swoich ludzi, w mgnieniu oka wziął górę nad wrogiem. Jak ongiś na pokładzie galeony, zobaczono wkrótce pokonanych, pędzących od dziobu do rufy, potem zrzuconych z pokładu przez luk wiodący w głąb okrętu, gdzie runęli wszyscy, wyjąć z przestrachu.

Tomasz krzyczał wciąż na całe gardło:

– L’Agnelet idzie w sukurs! L’Agnelet! L’Agnelet!

VI

Tego samego wieczora o zachodzie słońca czcigodni mieszkańcy Hawru, zwabieni na wały i molo hukiem odległej kanonady, zobaczyli rzadkie i wspaniałe widowisko: fregatę, niemal pozbawioną masztów, która wchodziła do portu, z trudem, pod strzępami żagli, i holowała dwa okręty liniowe, obydwie płaskie jak pontony. Były to jakby potrójne wraki, płyną-

ce na pełnym morzu. Ale na tych wrakach powiewało trzydzieści flag, postrzępionych jak delikatne koronki, trzydzieści bohaterskich flag, którymi admirał zwycięzca ustroił dumnie swoje triumfujące gruchoty. Mieszczanie, krzycząc z zachwytem, zrzucali kapelusze, aby je pozdrowić. Były to królewskie flagi z białej satyny, usiane złotymi kwiatami lilii; ponadto flagi Saint-Malo z błękitnego płótna, w górnym polu krwawiące szkarłatem; i była tam też, wyżej niż wszystkie inne, a podobna do wielkiej chorągwi, łopocącej w wieczornym wietrze, dumna flaga ciemnopurpurowa, podziurawiona jak sito, na której widniało jakieś tajemnicze zwierzę heraldyczne, które mieszczanie hawrscy brali za lwa.

Tak oto przybyła do zaciszego portu, za ocalonymi okrętami handlowymi, pamiętna na zawsze eskadra, dowodzona przez dzielnego pana de Gabareta, któremu kula urwała prawą rękę. Dowódca nie miał jednak umrzeć od rany tak zaszczytnie otrzymanej.

Przy apelu, niestety, zabrakło „Maline”, która w końcu uległa w tym nierównym pojedynku, walcząc jednak długo z najpotężniejszym okrętem nieprzyjacielskim. Tak zatem zakończyła się bitwa. Zmęczeni i zmordowani czterema godzinami uporczywej walki, daremnie ścigający statki handlowe, które im umknęły, Holendrzy cofnęli się, zadowolając się fregatą o dwudziestu czterech działach, rozbitą przez trójpokładowiec o osiemdziesięciu! Ponieśli spore straty: okręt liniowy, który Tomasz wziął abordażem i potem spalił, obawiając się, aby nie został odebrany, a osiem pozostałych okrętów zostało bardzo poważnie uszkodzonych. Taki oplakany stan okrętów uniemożliwiał im prowadzenie dalszej walki. Panowie de Gabaret i d’Harteloire po odwołaniu eskadry nieprzyjacielskiej pozostali zatem zwycięzcami. Ale okręty ich, sto razy bardziej zrujnowane niż okręty holenderskie, nie mogłyby dotrzeć do wybrzeża Francji, gdyby Tomasz l’Agnelet, uwolniony od swej zdobyczy poprzez jej spalenie, nie ustawił kilku szczęśliwie ocalonych żagli i nie przyholował dwóch kapitanów królewskich.

W nocy, podczas przyływu, „Piękna Łasica”, a za nią „Hazardeux” i „Français” przekroczyły służbę portową. Kapitan arsenału kazał wszystkie trzy okręty przycumować w bezpiecznym miejscu, każdy czterema linami.

Ludwik Guénolé mógł nareszcie swobodnie odetchnąć i wypocząć. Od wczesnego ranka odrywał się od pracy, aby walczyć, i przestawał walczyć jedynie po to, aby znów pracować. Tomasz, gdy tylko nieprzyjaciel został pokonany, zamknął się w kabinie w towarzystwie swej przyjaciółki. Ani jej, ani jego nie dosięgnęło podczas całej bitwy najmniejsze nawet zadraśnięcie.

Podczas gdy Ludwik Guénolé, siedzący samotnie we własnej kabinie, spożywał skromny posiłek, nie jadł bowiem ani nie pił przez cały dzień, z wybrzeża można było usłyszeć jakieś głosy. Jeden z nich, dumnie brzmiący, skierowany był wyraźnie do „Pięknej Łasicy”. Ludwik otwierając iluminator, ujrzał zgrupowanych różnych ludzi, z których kilku świeciło sobie latarniami.

– Hej! – zawołał – kto tam jest? Czego chcecie?

Jakiś człowiek w wielkim kapeluszu podszedł do skraju nabrzeża:

– Jesteśmy oficerami i marynarzami z okrętu „Français”, który niedawno został przez was przyholowany. Dowódca eskadry chciałby natychmiast porozmawiać z panem Trubletem, zwanym l’Agnelet, kapitanem tej fregaty.

Ludwik, oswoiwszy się z ciemnością, zobaczył niewyraźnie coś w rodzaju noszy, które czterech chłopców z okrętu niosło na ramionach.

– Hej! – krzyknął. – Nic łatwiejszego. Chcecie łódź?

– Nie – odpowiedział człowiek w wielkim kapeluszu – albowiem nasz dowódca, poważnie ranny, nie mógłby z niej skorzystać. Prosi on kapitana Trubleta, zwanego l’Agnelet, aby mu wybaczył, że sam nie może przybyć, i ma nadzieję, że kapitan zechce osobiście zejść na ląd.

– Niech tak będzie! – rzekł Ludwik. I pobiegł zawiadomić Tomasza.

Tomasz, niezadowolony, że mu przerwano intymne igraszki, które bez wątplenia były mu droższe niż rozmowa ze starym dowódcą eskadry, uważał jednak, że grzeczność nie pozwala,

aby zwlekać z pójściem. Pośpieszył się przeto i z wielkim szacunkiem powitał dostojnego rannego, który spoczywał nieruchomo w głębi noszy. Tomasz ujrzał szlachcica o ostrym siwym wąsie i bladej twarzy. Mimo bladości twarz odznaczała się energią i stanowczością.

Szlachcic ów, którym był pan de Gabaret, uniósłszy się z wielkim wysiłkiem i opierając się na jednej ręce, przemówił:

– Panie, jakkolwiek jestem dopiero co po amputacji ręki, chciałem panu jeszcze dzisiajszego wieczora złożyć moje gorące podziękowania za pomoc, jaką pan okazał mnie i mojej eskadrze. Gdyby nie pan, gdyby nie pańska fregata, Bóg jeden wie, gdzie byłby teraz mój okręt!

Nie odpowiadając ani słowa, Tomasz zsalutował po raz drugi. Pomimo że nie był w humorze, takie pochwały mile go połaskotały, uderzając w jego najczulszą strunę.

– Otóż jestem, panie – podjął dowódca eskadry – do twoich usług i szcycę się, że mam dług wdzięczności wobec pana. Proszę, niech pan mówi, jestem do pańskiej dyspozycji. Mam pewne stosunki i będę się cieszył, jeśli będę mógł być użytecznym. Czy mogę?

Spojrzał Tomaszowi prosto w oczy. Ale Tomasz, na pół zdumiony, na pół zakłopotany, nadal milczał.

– Dobrze! – rzekł pan de Gabaret, chcąc się uśmiechnąć, ale uczynił tylko nieokreślony grymas, albowiem kikut jego prawej ręki sprawiał mu wielki ból. – Widzę pańskie straty. Jest pan korsarzem i fregata, którą pan niedawno tak szlachetnie oddał na usługi króla, przedstawia najwidoczniej całą pańską fortunę. Proszę jednak się nie obawiać! Jego Królewska Mość nie ścierpi, aby tak dzielny człowiek stracił w walce, podjętej dla uratowania honoru eskadry królewskiej, to, co stanowiło jedyny jego majątek. Na świętego Ludwika, mojego patrona, w imieniu króla kupuję pańską „Piękną Łasicę” i zapłacę panu za nią cenę dwa razy wyższą od tej, za jaką ją pan kupił.

Tym razem Tomasz musiał odpowiedzieć:

– Panie admirale – rzekł, zdejmując po raz trzeci kapelusz – jestem panu oddany całym sercem. Ale po pierwsze ta fregata nie jest moja, jestem tylko jej kapitanem. Właścicielem jest niezwykle zamożny pan Danycan. Po drugie – ja sam mam więcej pieniędzy, niż potrzebuję. Nie mówiąc o majątku, zdobytym ongiś na wojnie, mam tutaj, w kufrze znajdującym się w mojej kabinie, ponad siedemset tysięcy liwrów w brzęczącej, złotej monecie.

– Siedemset tysięcy liwrów! – wykrzyknął pan de Gabaret.

– Ni mniej, ni więcej – potwierdził dumnie Tomasz.

Dowódca eskadry pokręcił siwego wąsa.

– Siedemset tysięcy liwrów! – powtarzał półgłosem, jakby nie a wierząc. – Panie, skądże pan ma taki skarb?

Tomasz oparł lewą rękę na biodrze.

– Z Ciudad-Realu w Nowej Granadzie – odparł – z Ciudad-Realu, hiszpańskiego miasta, które niedawno zdobyłem wspólnie z różnymi flibustierami, moimi przyjaciółmi, i które zrabowałem doszczętnie. Teraz nie ma tam kamienia na kamieniu!

Słowo „flibustierzy” wywołało skutek. Pan de Gabaret przestał wątpić. Ale dziwił się coraz bardziej. Spoglądał na korsarza bacznie:

– Tak więc, panie – powiedział wolno poważnym tonem – miał pan na swej fregacie podczas walki siedemset tysięcy liwrów i nie zważając na to nie zawahał się pan wziąć udziału w strasznej walce, której mógł pan przecież uniknąć. Na miły Bóg! Jesteś pan dzielny, ryzykował pan wiele... Zwycięzony i wzięty do niewoli, straciłby pan wszystko, majątek razem z wolnością. Być może, ma pan w swym domu w Saint-Malo żonę i dzieci, które pana oczekują i liczą na bogactwo, które im pan przywozi?

– Zwycięzony? Wzięty do niewoli? – powtarzał Tomasz, śmiejąc się od ucha do ucha. – Ech, panie admirale, co pan za głupstwa wygaduje? Ani ja, ani moja załoga nie słyszeliśmy o klęsce czy niewoli co najmniej od pięciu lat, od czasu ścigania przez nas nieprzyjaciół króla

na wszystkich morzach!... Co się tyczy dzieci, nie mam ich wcale, jeśli zaś chodzi o posiadanie kobiety, mam jedną, daną od Boga, ale nie w domu w Saint-Malo. Śpi ona teraz w mojej własnej kabinie, a niedawno brała udział w naszej walce...

Stary dowódca eskadry podskoczył, jak gdyby chciał zejść z noszy na ziemię:

– Co takiego? Pańska kobieta znajdowała się wtedy na pokładzie? Zaatakował pan nieprzyjaciela, mając kobietę przy boku?

– Tak właśnie było – odparł Tomasz. – I aby okazać większe lekceważenie szczyrom holenderskim, włożyła ona najpiękniejszą suknię brokatową, wysypała na siebie z jakie dwa funty pudru i uróżowiła sobie policzki!

Pan de Gabaret opadł na nosze.

– Panie – zdołał wykrztusić – król będzie o tym wiedział.

VII

Minąwszy bramę pałacową, karetą potoczyła się po czystym piasku majestatycznej alei. Tomasz, nachylając się do drzewiczek, zobaczył wokół wysokie drzewa, огоłocone z liści, pokryte szronem. Tu i tam na ciemnej ziemi połyskiwały zamrożone kałuże. Splecione gałęzie drzew pokrywały niebo misterną koronką. W środku dziedzińca marmurowy basen pysznił się fontannami. Nieco dalej stały trzy oswojone łanie, które usłyszawszy zbliżające się konie przestały skubać trawę, ale nie uciekały. Wspaniały przepych królował w tym miejscu. I Tomasz, jakkolwiek odporny na rozmaite doznania z powodu tylu lat dzikiego włóczenia się po morzu, nie mógł się oprzeć teraz szczególnemu wrażeniu.

Milczał, gdyż nie wiedział, co powiedzieć, a właściwie nie śmiał mówić. I spokojnie patrzył na oszronione drzewa, bluszcz wiecznie zieleniejący i posągi, rozsiane wzdłuż samotnych alei parku.

Pan de Gabaret, dowódca eskadry, który się rozsiadł obok Tomasza w głębi karety, podjął wówczas rozmowę, przerwana dopiero przy wjeździe powozu do królewskiego parku.

– Panie – rzekł z niezwykłą kurtuazją, którą okazywał przez cały czas Tomaszowi – jest pan tutaj po raz pierwszy. Jestem uszczęśliwiony, że mam zaszczyt służyć panu jako przewielce oto jesteśmy w samym Saint-Germain i ujrzy pan niebawem pałac i taras, które każdy uznaje za prawdziwe cuda. W tym właśnie pięknym zakątku urodził się król; w dniu 3 września tego roku, 1678, będzie czterdzieści lat. Pamiętam, jakby to nastąpiło wczoraj, chociaż byłem wówczas smarkaczem. Niestety, panie, nasza epoka nie dorównuje tamtej! Nie mówię tego, oczywiście, aby krytykować sławne czyny, którymi zostało uświetnione obecne panowanie. Ale dzisiejsze wielkości nie mogą wymazać z mej pamięci łagodności dawnych czasów... Niech pan spojrzy na pałac, który się wylania spośród drzew, niech pan spojrzy na taras i niech mi pan powie, czy jest na świecie coś, co mogłoby się z tym równać! Otóż mówię to panu w zaufaniu, Jego Królewska Mość nie lubi Saint-Germain! O wiele bardziej lubi miejsce, godne pożałowania, jałowe i wilgotne zarazem, które się nazywa Wersal i dla którego wcześniej czy później Saint-Germain będzie opuszczone! Opuszczenie to będzie rzeczą smutną dla ludzi starych, takich jak ja, którzy wiążą z tym właśnie miejscem najdroższe wspomnienia młodości. Wkrótce nie znajdzie się już w tym pięknym zakątku przepychu i majestatu królewskiego, jaki pan jeszcze zdąży ujrzeć.

W tym momencie karoca, skręciwszy koło wspaniałej esplanady, zatrzymała się. Dowódca eskadry wyszedł z niej, opierając się jedną ręką na ramieniu Tomasza.

– Oto przybyliśmy, panie – rzekł pan de Gabaret, odprawiając karete. – Tutaj właśnie wkrótce nadejdzie król i tutaj – zgodnie z jego rozkazem – będę miał przyjemność przedstawienia mu pana. Nastąpi to niebawem, albowiem przybyliśmy zaledwie na chwilę przed stałą godziną audiencji, a nikt na świecie nie jest tak punktualny jak Jego Królewska Mość. Ani

deszcz, ani wiatr, mróz, ani upał nie stanowią dla niego przeszkody w codziennej przechadzce po tych ogrodach i budowlach. Zobaczymy orszak królewski z daleka, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby pan mógł stąd podziwiać ten widok.

Istotnie, z wysokości tarasu można było ogarnąć wzrokiem całą równinę, której wspaniałość i urozmaicenie trudno sobie wyobrazić. Rysowały się w oddali srebrzyste zakola szerokiej rzeki; Tomasz dowiedział się od pana de Gabaret, iż rzeką tą była Sekwana, która przepływa przez Paryż. Za rzeką widniały strzeliste wieże wiejskiego kościoła. A dalej – masywna góra zasłaniała wielkie miasto, do którego Tomasz przybył w przeddzień i którym był oszołomiony; wielkie miasto odurzało go swą rozległością, tłumem ludzi i hałaśliwym zgiełkiem. Zaiste, Indie Zachodnie mniej się różniły od Saint-Malo niż Paryż...

Nagle Tomasz poczuł, że w głowie mu się mąci, a wszystkie myśli pierzchają, tak jak pierzchają mewy usłyszawszy huk działa; pan de Gabaret dotknął jego ramienia, wypowiedziawszy tylko to jedno doniosłe słowo:

– Król!

Tomasz instynktownie zdjął swój pilśniowy kapelusz. Dowódca eskadry stał już z gołą głową.

Łśniący orszak spiesznie wyszedł z pałacu. Były tam konie, karoce, lokaje i wielka liczba stłoczonych hałaśliwych ludzi, otaczających grupkę wspaniale odzianych dostojników, którzy kroczyli na czele, pozostawiając za sobą oddziały muszkieterów i gwardzistów. Błyszczały czerwone opończe, wyszywane krzyżami, lśniło się złoto galonów i obszyć. Tomaszowi, który patrzył na to widowisko z bijącym sercem i otwartymi oczami, wydawało się, że nagle słońce przebiło szare sklepienie chmur i rozproszyło swe promienie nad całym parkiem i pałacem.

Orszak dotarł do tarasu. Tomasz zaczął rozróżniać twarze. W grupie, która szła na samym przedzie, wyróżnił się człowiek wyższy niż inni, postawniejszy i bardziej majestatyczny. Tomasz zadrzał, poznając wyniosłe rysy, przenikliwe oko, dumny nos. Był to król, całkiem podobny do wizerunku znajdującego się na medalach i portretach, które go przedstawiały i które Tomasz często oglądał, nie wyobrażając sobie nigdy, że mógłby kiedykolwiek mieć ten niezwykły zaszczyt spoglądania twarzą w twarz królowi, stającemu się już za życia przedmiotem kultu w legendach ludu.

Król zbliżył się. Pan de Gabaret stanął na brzegu tarasu i dawał znaki Tomaszowi, który ze wzruszenia pozostał akurat na samym środku królewskiej drogi. Głęboką ciszę zakłócał jedynie chrzęst piasku pod stopami ludzi. Nikt bowiem z dworzan nie otworzył ust i nawet ptaki w parku umilkły, jakby pod działaniem tajemniczej siły, jakby przez respekt dla króla.

Pan de Gabaret w odpowiednim momencie, sześć kroków od Jego Królewskiej Mości, wykonał skłon. Tomasz, który się tego wyuczył, również się skłonił. Zachował tyle zimnej krwi, aby pamiętać, że trzeba naśladować każdy ruch starego dowódcy eskadry, iżby nie uchybić etykietce. Król uprzejmym gestem podniósł dłoń do kapelusza i zatrzymał się.

Wszystko, co stało się potem, było dla Tomasza jak senne marzenie, które zostawia wspomnienie mgliste i niezniszczalne. Pan de Gabaret wygłosił powitanie, lecz Tomasz nie słyszał ani sylaby. Kiedy z kolei król zaczął odpowiadać, Tomasz bacznie słuchał, a wszystkie słowa królewskiej odpowiedzi wryły się na zawsze w jego pamięć. Król powiedział:

– Jestem niezmiernie zadowolony, gdy widzę dzielnych szlachciców, którzy z takim oddaniem bronią honoru mej armii podtrzymując sławę francuskiego imienia.

Nieco później król dodał:

– To jest zatem ten bohaterski korsarz, o którym mi pan mówił? O, ma dzielną minę! Ale czy istotnie dokonał on tych wszystkich cudów, o jakich mi pan donosił? Czy to jednak nie pańska skromność przypisuje mu te doniosłe czyny, które z całą pewnością należy przypisać panu samemu?

Tym razem Tomasz usłyszał głos starego dowódcy eskadry.

– Na krzyż Zbawiciela, sire! – zaprotestował. – Gotów jestem przysiąc! Kapitan jednej z najsłabiej uzbrojonych fregat, ten oto człowiek, uszkodził trzy wielkie okręty holenderskie, z których dwa wkrótce przed nim uciekły, podczas gdy trzeci zdobył abordażem, a potem spalił; następnie zachowując szczęśliwie takielunek własnej fregaty, uszkodzonej zresztą, jak może sobie Wasza Królewska Mość wyobrazić, nie zawahał się znowu rzucić w największy wir bitwy, aby przyjść nam w sukurs i ocalić, pana d’Harteloire i mnie. Niech mnie Bóg skarże, jeśli skłamał choć jednym słowem!

– Nie wątpię w pańską szczerłość – rzekł król – ale z wielką przyjemnością słucham pana, powtarzającego mi to wszystko po raz drugi.

Spojrzał na Tomasza. Tomasz, pod spojrzeniem tych królewskich oczu, poczuł, że kolana mu drżą, a wszystkie krew spływa z policzków do serca.

– Panie – podjął król, zwracając się do Tomasza – wiem, że pan posiada majątek i że nie kierował się interesem. Chciałbym jednakże okazać uznanie, jakie dla pana żywię. Proszę mi powiedzieć, czy do tej chwili był pan szlachcicem?

Tomasz daremnie usiłował odpowiedzieć. Słowa uwięzły mu w wyschniętym gardle. Zdołał jedynie poruszyć głową z prawa na lewo, kłaniając się tak, jak to widział u pana de Gabareta, gdy odpowiadał on królowi.

– Jesteś pan nim obecnie – oznajmił król.

Dał znak jednemu z dostojników stojącemu za nim z gołą głową. Ten zaś, wychodząc naprzód, skłonił się aż do ziemi, podając Jego Królewskiej Mości zwój pergaminu, który król wręczył Tomaszowi.

– Na kolana! – wyszeptał pan de Gabaret. I Tomasz z rosnącym drżeniem zgiął obydwie kolana.

– Trzeba, ażeby ludzie tak dzielni jak pan zostali szlachcicami. W dokumencie, którym pana obdarzam, dodaję tytuł kapitana, aby odtąd nie miał pan innego armatora prócz mnie. Reszta należy do pana. Proszę pamiętać, że teraz nie wypada panu zatrzymywać się na tak zaszczytnej drodze, nasza marynarka bowiem odczuwa wielką potrzebę dobrych dowódców.

Pan de Gabaret wyszeptał do wciąż klęczącego Tomasza:

– Dziękuj, pan!... dziękuj, pan, królowi!...

Tomasz poszukiwał rozpaczliwie słów, które zdołałyby wyrazić jego radość i dumę oraz niewypowiedzianą wdzięczność przepelniającą jego serce.

Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, a jednocześnie pragnąc wyrazić swoje uczucia, wykrzyknął tylko:

– Sire! Sire! Wasza Królewska Mość dobrze uczynił!...

KSIĘGA PIĄTA

ZBYT CIASNE GNIAZDO

I

Malo Trublet, zagłębiając się w nowym fotelu, wyciągnął rękę do dębowego stołu, aby ująć zapelniony do połowy kielich. Wino andaluzyjskie błyszczało barwą czystego złota i stary Malo, wypijając je, pomyślał, że to płynne złoto jest podobne do puszystego złota splotów Wilhelminy, siostry Tomasza, która szła czy też haftowała u boku ojca, i że przypomina ono złoto brzęczących talarów, których była pełna piwnica. Rozradowany niezmiernie, Malo Trublet uderzył opróżnionym kielichem o stół:

– Do licha, Wilhelminko! Czy byłabyś zadowolona, gdybyś się tak cała lśniła od złota, jak podszewka twego błyszczącego czepeczka?

Ale Wilhelmina spokojnie potrząsnęła głową, tak że nie można było odgadnąć, co chce przez to powiedzieć, i udawała, że jest całkowicie zajęta swą pracą.

Wówczas Malo Trublet zwrócił się do połowicy, która swoim zwyczajem przędła przy wielkim oknie z firankami:

– Matka! Zobacz no, która godzina.

Perryna Trublet podniosła się, aby lepiej odróżnić wskazówki na cyferblacie z poczerńniętego drewna:

– Dochodzi szósta.

– Dobra godzina! – rzekł stary, jeszcze bardziej ucieszony. – Tomasz na pewno się nie spóźni, a, jak mi Bóg miły, warto by się pośpieszyć z obiadem, bo jestem głodny.

Wilhelmina ironicznie potrząsnęła głową. Wielce wątpiła w to, aby Tomasz się nie spóźnił. I nie bez powodu ... Istotnie, Tomasz, który po powrocie przed czterema tygodniami do Saint-Malo, zajął znów swe miejsce w domu ojcowskim, zbyt często łamał obecnie dawne zwyczaje rodzinne, ściśle ongiś przestrzegane. Stary Malo, pełen pobłażliwości dla syna, powracającego do domu z tak wielką sławą i majątkiem, popuszczał mu chętnie cugli. Ale Wilhelmina, biorąca dawniej udział w figlach brata i patrzącą, przez palce na jego wybryki, zrobiła się teraz surowa i pogardliwa. Fakt, że Tomasz nie był już tak serdeczny i tak wylewny jak przed laty, rodzina i wszyscy mieszkańcy z Saint-Malo tłumaczyli w swej prostocie serca sześćdziesięcioletnią włóczęgą po morzach, obfitym w tyle różnych zwyczajnych bitew i potyczek.

Tomasz z początku nie zaniebował niczego, aby się pokazać w jak najkorzystniejszym świetle. Najwspanialszy był niewątpliwie dzień jego powrotu do miasta.

„Piękna Łasica” rzuciła kotwicę w porcie hawrskim w dzień Bożego Narodzenia 1677 roku, ale upłynęły pełne trzy miesiące, zanim uporano się z remontem omaszutowania i ożaglowania fregaty. Wszystkimi pracami naprawczymi kierował nieoceniony Ludwik Guénolé. W tym właśnie czasie Tomasz został wezwany na dwór, gdzie otrzymał najświetniejsze dowody królewskiej wspaniałomyślności. Po powrocie do Hawru Tomasz, zostawiając Ludwikowi naprawę fregaty, razem z Juaną doskonale się bawili w najlepszych oberżach tego najrozkoszniejszego miasta. W końcu kapitan i porucznik zgodnie postanowili, aby nie czekać na zawarcie pokoju z Holendrami, jakkolwiek uważano go za bliski, i aby śmiało wypłynąć na morze w celu dotarcia do Saint-Malo. Ludzie mniej dzielni byliby się zawahali, albowiem siedemdziesiąt okrętów holenderskich stało jeszcze w kanale La Manche, z synem starego

admirała Trompa na czele. Na domiar złego wmieszali się również Anglicy, wypowiadając Francuzom wojnę i łącząc swoje eskadry z holenderskimi, kierowani zawiścią i nienawiścią do Wielkiego Króla. Ale Anglicy czy Holendrzy, a nawet koalicja Anglików z Holendrami, to nie był wystarczający powód dla Tomasza Trubleta, zwanego Tomaszem 1'Agneletem, aby opóźnić jego powrót do rodzinnego miasta po sześciu latach nieobecności. A „Piękna Łasica”, świeżo odremontowana, lśniąca, idąca lepiej niż kiedykolwiek, nic a nic się nie przejmowała ciężkimi okrętami liniowymi.

Forty Collifichet i Eperon minęła bez zapalenia jednego lontu, chociaż dwa wielki krążowniki nieprzyjacielskie dawały salwy przed skałami Rance, aby zablokować wejście do Saint-Malo. Tomasz, pełen pogardy dla nich, nie raczył nawet pokazać swej groźnej purpurowej flagi.

Cała ludność Saint-Malo, która się wówczas zbiegła na znak dany przez strażę wieży Notre-Dame, mogła wreszcie z krańca Starego Nabrzeża, ciemnego od rozentuzjarmowanego tłumu, zobaczyć i podziwiać tę sławną „Piękną Łasicę”. Jej głośnie czyny, niemal już legendarne, były od dawna na ustach wszystkich. Oto ujrzano ją teraz strojną, ubraną flagami i – każdy o tym wiedział – pełną złota. Niebawem ukazał się sam Tomasz, przybijając w łodzi do wybrzeża na północ od Ravelinu. Wszystkich ogarnęła nieopisana radość, gdy ujrzeli go, jak tuż przy wejściu pod sklepieniem bastionu zatrzymał się u stóp wielkiego Chrystusa z brązu i modlił się dobrą chwilę, klęcząc na ziemi, z obnażoną głową, nie troszcząc się, że poplamia sobie delikatny aksamit spodni.

Czy można nie wybaczyć dobremu i dzielnemu chłopcu, przy tym pobożnemu, walecznemu i bogatemu, gdyby nawet stał się hulaką, pijakiem, rozpustnikiem? Panowie z garnizonu miejskiego zaniechali w stosunku do niego wszelkich dochodzeń, związanych ze śmiercią biednego Kerdoncuffa, zabitego ongiś w pojedynku, który odbył się bez świadków!

Co się zaś tyczy Malo Trubleta, nie był z pewnością usposobiony do okazywania swemu zuchowi niezadowolenia czy też rozżalenia. Oto dlaczego, bardzo cierpliwy – czerpiący tę cierpliwość z kilku kielichów dobrego hiszpańskiego wina, którego miał odtąd pełną piwnicę – słuchał z wielkim spokojem kukułki, wyśpiewującej obecnie szóstą godzinę, i wcale się nie irtował, chociaż Tomasz wciąż jeszcze nie przychodził. W pewnym momencie stary Malo odwrócił się i zawołał:

– Wilhelmino! Chodź no, odczytaj mi pergamin.

Wskazał palcem oprawiony i zawieszony na ścianie dokument szlachectwa nadany Tomaszowi przez króla. Malo Trublet upodobał sobie częste przypatrywanie się temu dokumentowi, który całą rodzinę okrył sławą. Znajdował wielką przyjemność w słuchaniu, gdy go głośno odczytywano. Nie omijał żadnej okazji usłyszenia po raz kolejny treści dokumentu. Teraz także Wilhelmina, rada nierada, musiała odczytać pismo w całości:

LUDWIK, z Bożej łaski Król Francji i Nawarry, pozdrawia wszystkich obecnych i potomnych.

Ostatnie wojny, jakie zmuszeni byliśmy prowadzić, ukazały w pełnym świetle wysoką wartość i talenty pana Tomasza Trubleta, kapitana korsarskiego, z naszego zacnego i wiernego miasta Saint-Malo. Pan Trublet od czasu, pełnienia zawodu marynarza zdobył zarówno na morzach Indii Zachodnich, jak i gdzie indziej więcej niż sto okrętów handlowych i korsarskich, płynących pod banderami nieprzyjacielskimi; zdobył ponadto kilka wojennych statków holenderskich i hiszpańskich; ostatnio zaś ocalił honor naszej floty, walcząc z trzema przeciwnikami. Bitwę stoczono w dzień Bożego Narodzenia Roku Pańskiego 1677 koło Havre de Grâce, a wygrano ją dzięki męstwu i zręcznym manewrom wyżej wymienionego.

Z tych to przyczyn, tudzież pragnąc okazać panu Trubletowi szczególne dowody naszego zadowolenia z powodu tak zacnych i lojalnych usług, a także, aby podać do powszechnej wiadomości naszą przychylną i uznanie dla takich poddanych, postanowiliśmy, iżby

wspomniany pan Tomasz Trublet należał do ludzi stanu szlacheckiego, z wszelkimi przywilejami temu stanowi należnymi, włączając w to wszystkie prawa i obowiązki szlacheckie etc., etc... I chcemy, aby rzeczony Tomasz Trublet był nazwany panem de L'Agnelet, od przydomku, który sam sobie zdobył i na który zasłużył rzadkimi cnotami łagodności i ludzkości, wyróżniającymi go w walkach nie mniej, niż to uczyniła jego waleczność.

Herbem wspomnianego Tomasza Trubleta, pana de l'Agnelet, będzie: tarcza w otoku szkarłatnym z trzema okrętami ładownymi złotem, idącymi z wiatrem na morzu lazurowym, a ponad nimi będzie widniał złoty baranek z dwoma kwiatami lilii po boku; jako podpory: dwaj Indianie oparci na maczudze lazurowej, usianej złotymi kwiatami lilii; tarcza zakończona jest koroną z piór lazurowych, złotych, zielonych, srebrnych i purpurowych, ze środka korony wychodzi pęk złotych kwiatów lilii.

Dajemy polecenie naszym kochanym i wiernym radcom, którzy stanowią Parlament w Paryżu, aby niniejsze odczytali, ogłosili, wciągnęli do rejestru i przestrzegali każdego słowa, jego formy i treści, pomimo wszystkich edyktów, rozporządzeń i innych pism przeciwnych. Takie jest bowiem życzenie Nasze.

I aby było to rzeczą trwałą i stałą na zawsze, kładziemy tu i przykładamy Naszą pieczęć.

Saint-Germain w miesiącu styczniu Roku Pańskiego tysiąc sześćset siedemdziesiątego ósmego, trzydziestego piątego roku panowania Naszego.

Podpisano:
LUDWIK

A niżej przez Króla, PHELIPPEAUX.

A z boku: widziane, BOUCHERAT.

A pod tym: zatwierdzono na radzie, PHELIPPEAUX.

I przypieczętowano wielką pieczęcią z zielonego wosku.

Wilhelmina umilkła.

– Niczego nie opuściłaś? – spytał ojciec.

– Niczego! – odpowiedziała oschłym tonem.

Malo Trublet zagłębił się w swoim fotelu. Kukułka wydzwoniła wpół do siódmej.

– Ci, którzy otrzymują takie pisma – rzekł stary, uderzając pięściami w rzeźbione poręczce fotela – mają prawo jadać, kiedy im się podoba!

II

Ludzie, którzy nie widzieli Tomasza Trubleta, obecnie pana de l'Agneleta, i nie mieli pojęcia, gdzie się podziewa, wyobrażali sobie, że pije, hula i uprawia rozpustę w odwiedzanych często szynkach Saint-Malo, od „Kulejącej sroki” aż do „Cynowego dzbana”. Ludzie ci jednak byli nieświadomi prawdy i pozostawali w błędzie.

Byli zresztą i inni, lepiej zorientowani. Ci mieli wiadomości bardziej dokładne – mianowicie od chłopców z fregaty.

Widzieli oni, że w nocy, która nastąpiła po dniu lądowania „Pięknej Łasicy” na Dobrym Morzu, jakaś tajemnicza łódź odpłynęła od fregaty i zatrzymała się przed Ravelinem. Strażnicy, bez wątplenia powiadomieni, nie czynili żadnych trudności przy wejściu do Wielkiej Bramy. A Tomasz, on to bowiem w ten niecodzienny sposób wchodził do miasta, wprowadził tamtędy jakąś milczącą i zamaskowaną damę, którą trzymał pod rękę. Owa dama – według opowiadań marynarzy – była hiszpańską czy mauretańską dziewczyną, którą korsarz zabrał ongiś nie wiadomo skąd i z której uczynił swą towarzyszkę, towarzyszkę tak gorąco miłowaną, że nie rozłączał się z nią nigdy, wiodąc ją ze sobą wszędzie, nawet w gwar bitewny, a w końcu przywiózł do Saint-Malo.

Co się następnie stało z ową Hiszpanką czy też Mauretanką, gdzie Tomasz ją umieścił i co zamierzał z nią uczynić w mieście niezbyt przychylnym dla cudzoziemców, tego nikt nie wiedział.

Było jednak całkiem pewne, że, wbrew ogólnemu mniemaniu, Tomasz wcale nie odwiedzał wesołych domków przy Głównej Ulicy, ongiś miejsca jego szczególnego upodobania, a pomimo to często wychodził z domu ojcowskiego, aby się samotnie przechadzać wzdłuż wałów. Przebywał do późna w miejscach najmniej zaludnionych, w okolicy Małych Murów – między wieżą Bidouane i wieżą Notre-Dame – a także w pobliżu Assiette – przy końcu ulicy Cheval Blanc, która znajduje się w połowie drogi między Bidouane i pałacem Quic-en-Groigne. Szedł tamtędy krokiem niespokojnym i przyspieszonym. Nikt dotychczas nie zaryzykował, aby mu przeszkadzać swą natrętną obecnością.

Tak, zaiste, pan de l'Agnelet nie był podobny do dawniejszego Tomasza Trubleta.

Tamten, wprawdzie szorstki i hardy, ale dobry kompan o wesołym usposobieniu, zostawił w Saint-Malo licznych wiernych przyjaciół. Ten, brutalny i ponury, bezustannie w złym humorze. Zmieniał nastrój jedynie na kilka godzin, które rad nierad musiał spędzać każdego dnia w domu przy ulicy Garbarskiej. Zaniedbywał wszystkich, którzy go niegdyś kochali; nie przejawiał także tkliwszych uczuć w stosunku do rodziców i krewnych, co w jego siostrze Wilhelminie zrodziło najpierw wielką troskę, potem smutek, a niebawem żywy gniew. Między nią, najmłodszą z rodzeństwa, a Tomaszem było zawsze gorące uczucie, spotęgowane zaufaniem, które wzajemnie sobie okazywali zarówno w sprawach ważnych, jak i zupełnie małych. Nie było tajemnicy, której by z sobą nie dzielili. I oto brat, wróciwszy po tak długiej nieobecności, zapomniał o dawnej zażyłości.

Już od pierwszego dnia powrotu unikał poufalitych rozmów i wszelkie indagacje Wilhelminy zbywał zdawkowymi odpowiedziami. Zwłaszcza kiedy dochodziło do szczegółowych pytań dotyczących całej sześciolatniej kampanii – z jej wszystkimi wypadkami, przygodami i zwycięstwami, Tomasz posepniał i zaciskał usta. W rezultacie Wilhelmina nie mogła nigdy wydobyć z niego ani słowa.

Daremnie wysiłała się, prosząc raz po raz, aby opowiedział przynajmniej o wzięciu tego bogatego i sławnego Ciudad-Realu, rozgłos o tym fakcie doszedł bowiem aż do Saint-Malo. Każde pytanie wznosiło tylko milczenie korsarza. Ciekawość skłoniła ją do zapytania o piękne damy zza oceanu, ale wówczas Tomasz wpadł w tak dziki gniew, zerwał się z krzesła, następnie szybkim krokiem wyszedł z domu, trzaskając drzwiami i klnąc bardzo głośno na kobiety, ich głupią gadaninę i wścibskość.

Wilhelmina była niepokieszona. Głuchy gniew napęlał jej serce i często, gdy Tomasz opuszczał mieszkanie, aby przechadzać się samotnie wzdłuż wałów, patrzyła za nim wzrokiem gniewnym, gorzej – nienawistnym.

III

Natychmiast po obiedzie Tomasz wymknął się chyłkiem z dolnej komnaty. Stary Malo, siedząc nadal przy stole, udawał, że nie widzi pospiesznej ucieczki syna, a Perryna, która smuciła się w głębi duszy, wystrzegła się powiedzenia choćby słowa. Jedynie Wilhelmina, powziawszy postanowienie, wstała z krzesła i podeszła żywo do drzwi, jakby przypadkiem zagradzając drogę bratu.

– Wychodzisz już? – spytała cicho. – Któż to cię tak wzywa, że co dzień jesteś poza domem?

Popatrzył na nią chwilę.

– Cóż to cię obchodzi? – rzekł wreszcie, również cicho, i tak samo jak ona nie chcąc niepokoić ojca ani matki.

Wilhelmina poruszyła niecierpliwie głowę.

– Dawniej – odparła – powiedziałbyś mi, zanim bym cię spytała!

Wzruszył ramionami.

– Inne czasy, inni ludzie! – rzucił oschle.

Tupnęła nogą. Pozostał spokojny, czyniąc wysiłek, aby się nie rozgniewać.

– Pomyśl – rzekł łagodniej – w ciągu sześciu lat byłem panem swej woli, nie musząc nikomu z niczego się tłumaczyć. Byłem tam, gdzie sam diabeł by nie poszedł! Wszystko robiłem sam, nie mając duszy przyjaznej, która by mi przyszła z pomocą. Dzisiaj nie mam już zwyczaju gadać ani przed kimkolwiek się spowiadać. Przysięgłem sobie iść sam i kroczyć prosto przed siebie. Nie potrafiłbym się już zmienić. Nie kłopotz się: ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy.

Powiedziawszy to, chciał otworzyć drzwi. Ale Wilhelmina jeszcze go zatrzymała.

– Posłuchaj – rzekła. – Nie tracąc wielu słów, czy nie moglibyśmy, jak dawniej, dzielić się naszymi tajemnicami i wspomagać się wzajemnie radą? Nie szydź! Nie jesteś tak bardzo mądry, abyś nie potrzebował się nauczyć jeszcze wielu rzeczy, ani na tyle sprytny, ażeby się nie dać oszukać.

Zmierzył ją wzrokiem, śmiejąc się szyderczo:

– Oho! Wiem dobrze! Gdybyś tylko mogła, porządnie byś mi dokuczyła!... Wierz mi jednak, dostałem już tyle razy w skórę, że mi zgrubiała. Gwiżdżę sobie na twoje cięgi!

– Dobrze! Dobrze! – zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

Otworzył drzwi i wyszedł. Patrzyła za nim milcząca, ze złym uśmiechem w kącikach ust.

Przy końcu ulicy Garbarskiej Tomasz skręcił w lewo w ulicę l'Orme, potem, doszedłszy do końca ulicy la Herse, która była przedłużeniem l'Orme, w prawo w uliczkę Petits-Chaux. Ktokolwiek śledziłby go na tej krętej drodze, odgadłby, że idzie przechadzać się według swego zwyczaju wzdłuż wałów. W istocie przybył tam niebawem. I, jak to czynił zawsze, zaczął chodzić wielkimi krokami, szybko i porywcz. Tego dnia, kiedy Tomasz, wszedłszy po schodach wieży Notre-Dame, skierował się w stronę Bidouane i Assiette, wielkie chmury o różnorodnych kształtach i odcieniach pokryły cały firmament, ich odbłask okrywał morze jakby połyskliwym i falującym jedwabiem, którego barwa mieniła się wszystkimi odcieniami szarego koloru. Chociaż widok ten był tak piękny, Tomasz nie spojrzął na wodę ani razu. Z głową opuszczoną i czołem spowitym troską szedł, jak gdyby bił się z jakimiś natrętnymi myślami. Minął wieżę Bidouane, nie zwracając uwagi na wartę, która z pikami w garści czuwała przy bramie prochowni. Ale pięćdziesiąt kroków dalej, nie dochodząc do Assiette, nagle zatrzymał się.

Dotarł do bardzo wąskiego zaułka, który mieszkańcy Saint-Malo nazywają ulicą Chat qui Danse. Ten wąski i prawie niezamieszkały zaułek kończył się tak blisko wału, że jego ostatni dom, krzywo zbudowany, miał główne wejście z bramy na ulicę i tylne na bulwar wojskowy. Tomasz, stanąwszy tyłem do morza, w bezruchu wpatrywał się uporczywie w okna tego ostatniego domu. Niewątpliwie doszedł do celu swej wędrówki, gdyż nagle, rzuciwszy wokoło szybkie spojrzenie, aby się upewnić, że nie śledzi go żaden natręt, wszedł po zakrytych schodach wału, przeciął bulwar i zapukał do małej bramy domu o dwóch wejściach.

IV

Juana milczała, siedząc przy oknie i patrząc na morze.

Mieszkanie jej wznosiło się ponad wałem. Oparta o brzeg szeroko otwartego okna, wpatrywała się w falujące chmury i odbijającą je wodę. Kiedy Tomasz wszedł, nie odwróciła głowy, aby go przywitać, jakkolwiek dobrze go słyszała.

Zbliżył się, zdjął kapelusz i kłaniając się po szlachecku ujął dłoń, którą mu podała, i pocałował ją. Juana skłoniła swego kochanka do nauczenia się tych wytwornych manier, których zresztą nie opanował jeszcze do końca.

– Jak się pani dzisiaj czuje, moja droga? – zapytał niepewnie.

Pozostała obojętna i poruszała głową, nie odzywając się ani słowem.

– Nie czuje się więc pani dobrze w tym miejscu? – spytał znowu, całując rękę, którą wciąż trzymał.

Mieszkanie było urządzone po mieszczańsku. Stały tam wygodne łóżka, głębokie fotele, szerokie szafy, pełne wytwornej bielizny. Znajdowało się w nim poza tym wiele rzadkich przedmiotów ogromnej wartości, które świadczyły o niezwykłym bogactwie. Na szczególną uwagę zasługiwały jedwabne obicia i moc drobiazgów z pięknie cyzelowanego srebra. Ale wszystko, nagromadzone bezładnie i zdekompletowane, zdradzało, iż zebrane zostało tu przypadkowo. Obok kanapy wprost z fabryki Gobelinów, którzy dostarczali obić dla króla, stało krzesło z kiepskiej słomy, a obok złotego rzeźbionego pucharu dzban ze zwykłej gliny.

Prawdę mówiąc, piękna Juana zdawała się mało troszczyć o ten zbytek. Podobna była pod tym względem do dam hiszpańskich, swych rodaczek, które zawsze dbają o stroje, a zaniedbują dom i kuchnię. Chodziła rozleniwiona po bezładnie umeblowanych pokojach, myśląc tylko o tym, aby się wspaniale ubrać, umalować jak należy i upudrować według ostatniej mody. Tomasz dziwił się niekiedy tym zwyczajom, tak różnym od wszystkiego, co widział w Saint-Malo, a zwłaszcza nie mógł się przyzwyczaić do tego, że jego kochanka wodziła bez celu oczami, mając ręce nie zajęte pracą, podczas gdy jego matka czy siostra zawsze były czymś zajęte.

Myśląc o tym, podjął rozmowę:

– Żywię obawę, że się pani nudzi podczas tylu godzin, kiedy muszę zostawić panią samą?

Wspaniale uczesana głowa poruszała się w dalszym ciągu. W końcu Juana odpowiedziała niedbale:

– Wcale się nie nudzę. Ale niech mi pan powie, czy w waszym kraju nigdy nie ma słońca?

– Cóż znowu! – zaprotestował Tomasz. – Wkrótce nadejdzie piękny miesiąc maj, który zawsze jest pełen słońca. Niech pani będzie cierpliwa, moja droga!...

Od czasu, kiedy miłość ich pogodziła, a potem silnie ze sobą związała, przestali sobie mówić po imieniu, jak gdyby zwracanie się w tej formie było dla nich możliwe i stosowne tylko podczas kłótni. Istotnie, między dwojgiem kochanków, nawet namiętnych, często jest mniej-sza zażyłość aniżeli między dwojgiem śmiertelnych nieprzyjaciół.

Juana po raz pierwszy przejawiała pewne ożywienie:

– Na cierpliwości mi nie zbywa! Od trzech z górą tygodni jestem w tym więzieniu, do którego mnie pan sprowadził, i nie wychodzę z niego ani w dzień, ani w nocy, aby pana zadowolić, czyż nie? Pan mi jednak przyrzekł, że to się przecież skończy, i to niedługo! Czy myśli pan chociaż o tym i robi cokolwiek, aby tę chwilę przyspieszyć?

Tomasz, bardzo zakłopotany i bojąc się wyraźnie odpowiedzieć, rozpląnął się w niejasnych protestach i słodkich słówkach. Potem przeszedł od słów do gestów. A gesty, które czynił, były tak wymowne, że zakochana Juana w przeciągu kwadransa zapomniała nie tylko o samotności, którą jej narzucił, ale nawet o stroju i uczesaniu, które nie ostały się porywającej namiętności korsarza, na co zresztą jego kochanka odpowiedziała równie namiętnym odaniem się.

Faktycznie, Tomasz przyrzekł, a nawet przysiągł swojej zeszłorocznej brance, że ta jej nowa niewola nie będzie trwała długo. Tyle tylko, by mieszkańcy Saint-Malo oswoili się z cudzoziemką i dobrze ją potraktowali, każda bowiem nieostrożność i pośpiech mogą ją narażać na przykrości i upokorzenia.

Tomasz, ostrzeżony przez Ludwika Guénolégo, od dawna uprzytamniał sobie to ryzyko. Dopiero jednak powrót do rodzinnego miasta z całą ostrością uświadomił mu ogrom trudno-

ści nie do pokonania. Istotnie, w jaki sposób pokazać i przedstawić zacnym mieszkańcom, dumnym ze swych cnót, obcą kobietę, której nie omieszkaliby nazwać nałożnicą, a nawet ladacznicą czy też nierządnicą? Szczerze mówiąc, Juana nie była nikim innym jak branką wojenną. Kobiet tego pokroju używają według swego upodobania żołnierze i marynarze; rzecz jest dozwolona i od dawna praktykowana. Ale żaden marynarz czy żołnierz nie pomyśli nawet o sprowadzeniu podobnych istot do swych miast czy domów.

Tomasz nie miał złudzeń co do tego, że afiszowanie się taką kochanką w jakimkolwiek towarzystwie, zwłaszcza na prowincji, byłoby istnym szaleństwem. On sam, oczywiście, w najbardziej wybrednym towarzystwie byłby gościem mile widzianym i przyjmowanym z najwyższym szacunkiem. O wprowadzeniu hiszpańskiej dziewczyny do domu rodzinnego nie było co marzyć. Nawet poślubienie jej nic by tu nie zmieniło. Co zatem robić?

Tomasz, miotany sprzecznymi myślami, nie decydował się. I nie bez goryczy myślał o znikomości dóbr tak przez wszystkich mężczyzn pożądaných: fortuny, sławy, szlachectwa, wyjątkowej przychylności władcy. On, Tomasz, posiadał to wszystko, on, pan de l'Agnelet, którego król Ludwik XIV chciał poznać osobiście i obdarzyć pochwałą w swoim pałacu w Saint-Germain. I jakaż korzyść z tych zaszczytów? Nie można nawet mieć kochanki, by nie kłopotać się tym, co będą mówili ludzie.

– Pocałunek nie jest odpowiedzią! Tomasz, kochany chłopcze, zostaw moje usta w spokoju i powiedz mi, bez wykrętów i kłamstw, czy rzeczywiście chce mnie pan wkrótce stąd wyciągnąć?

Mówiąc to Juana siedziała przed pięknym weneckim lustrem i z niezwykłą starannością poprawiała kunsztowną fryzurę.

Tomasz zakasłał.

– Hm! – zawahał się. – Czy ja wiem? Przede wszystkim trzeba znaleźć lepsze mieszkanie. Chcę pani wyszukać, moja droga, piękny dom, całkiem nowy i wygodny, potem luksusowo go umeblować. Następnie pomyślimy o służbie. Wszystko w swoim czasie. Nic nas nie nagli. Pałac Quic-en-Groigne nie był postawiony w ciągu jednego dnia...

Czyniąc te obietnice Tomasz był zadowolony, że znalazł tak gładką wymówkę. Czy może być lepszy sposób, by uspokoić kobietę, niż przyrzec jej to, co kobiety cenią najwięcej: konie, karoce, służbę w liberii i piękny dom? A złotych talarów nie brakowało, aby obietnicy dotrzymać.

Juana jednak wzruszyła ramionami. Weneckie lustro odbijało niewzruszone oblicze, a grzebień i puszek od pudru pracowały wciąż z tą samą gorliwością pośród wdzięcznie ułożonych hebanowych włosów.

– Phi! – rzekła pogardliwie. – Zostawiani panu to wszystko. Jeśli sprawia to panu przyjemność, proszę z tego korzystać. Ale ja mam inne potrzeby. Jestem spragniona pociechy religijnej, ponieważ dusza moja jest teraz z pewnością czarniejsza od węgla. Czy są u was kościoły? Chciałabym w niedzielę udać się razem z panem na mszę świętą, pragnę uklęknąć obok pana, mój kochany!

Tomasz zerwał się na równe nogi.

Chociaż sam był bardzo pobożny, nie przyszło mu nigdy do głowy, że jego przyjaciółka mogłaby odczuwać potrzebę kościoła, spowiedzi, mszy. Kochał ją bardzo namiętnie, ale pomimo to – albo może właśnie dlatego – widział w niej istotę w każdym calu pogańską, zaprzędaną obcym bóstwom... I ta jej wiara w jakąś Brunette, tyle razy wzywaną i tyle razy przeklinaną... Tak, bez wątplenia – Juana była poganką, czy raczej – co było znacznie gorsze i niebezpieczne – jakimś półdemonem. Demonem rozkosznym i gorącym. Obcowanie z istotą tak ognistą, niestrudzoną w miłosnych igraszkach, każdego chrześcijanina doprowadziłoby do uczuć skrajnych i gwałtownych. Niepohamowana żądza i śmiertelny grzech. Biczowanie ciała, żeby ostudzić rozpasane zmysły. Czyż Ludwik Guénolé, człowiek rozważny, nie żegnał się, przechodząc koło tej, którą nazywał po cichu czarownicą? I oto naraz ta czarownica czy

póldemon żąda księży i mszy, spowiedzi i komunii, jak jaka przyzwoita niewiasta, która w każde święto przystępuje do Stołu Pańskiego!

– Cóż to znowu? – spytała Juana. – Dlaczego pan mi nie odpowiada?

Myślał o tym, że sprawa jest nie tylko niezwykła, ale z całą pewnością niebezpieczna. Dokąd ma zaprowadzić tę cudzoziemkę, nikomu jeszcze nie znaną? Do którego proboszcza? Do którego kościoła? Na pewno nie do katedry, gdzie na sumie zgromadzone są wszystkie miejscowe plotkarki, mające języki ostre jak brzytwy. Ani do małych kapliczek znajdujących się w różnych klasztorach, gdzie zapraszana jest tylko szczupła garstka uprzywilejowanych wiernych... A więc dokąd?... Na mszę na Zamku? Mszę dostępną wprawdzie dla wszystkich, ale gdzie spotyka się tylko żołnierzy garnizonowych, gdyż zabroniono im pokazywać się na innych mszach. Zażądali tego zazdrośni mężowie, obawiając się podniecającego działania królewskich uniformów.

– No? – powtórzyła Juana niecierpliwie. – O czym pan tak myśli z otwartymi ustami?

Nie wiedział jeszcze, co odpowiedzieć. Wówczas rozgniewała się:

– Co to ma znaczyć? Wstydzisz się mnie? Czy jestem za brzydka albo zbyt nisko urodzona, żeby się ukazać u boku takiego złodzieja jak ty? Nie chcesz ze mną stanąć przed tą twoją Panią Wielkiej Bramy czy Wielkiej Drogi, Panią rozbójników i złodziei? Ty psie, zapamiętaj sobie, w najbliższą niedzielę albo zaprowadzisz mnie pod rękę do twojej świątyni, albo, zaklinam się na duszę mego ojca, któregoś zdradziecko zabił – pożałujesz tego!

V

Tego dnia, a był to piątek, brama górnego cmentarza została otwarta, zgodnie z poleceniem księdza biskupa, pragnącego, by raz w tygodniu, i to właśnie w piątek, dzień uświęcony przez mękę Syna Bożego, pobożni mieszkańcy Saint-Malo mieli możliwość odprawiania modłów na grobach swych zmarłych. Otóż przez tę otwartą bramę weszła jakaś kobieta, prowadząc za rękę dziecko. Kobieta była ubrana nader skromnie. Na głowie miała czarny wdowi czepek. Mały chłopiec, rażno idący, żywy i dość już rozgarnięty, nie śmiał się ani nie skakał, trzymając się boku matki. Oboje w milczeniu kroczyli pośród grobów starych i nowych, jak kroczą ludzie, którzy dobrze znają drogę, wreszcie uklękli przed prostym, drewnianym krzyżem, na którym było wypisane nazwisko Wincentego Kerdoncuffa.

Kobietą była Anna Maria Kerdoncuff, siostra zmarłego, a dzieckiem własny syn Tomasza Trubleta, zrodzony z Anny Marii, tej dziewczyny-matki.

Było to Roku Pańskiego 1673, w drugi piątek wielkiego postu, jakieś pięć miesięcy po śmierci nieszczęsnego Wincentego, a także pięć miesięcy po odejździe Tomasza, kapitana „Pięknej Łasicy”, kiedy nieszczęsna Anna Maria powiła nieślubne dziecko.

Każda dziewczyna, która zejdzie z drogi cnoty, zawsze drogo płaci za swoją słabość czy też szaleństwo. Ale Anna Maria zapłaciła stokroć więcej; zewsząd sypały się na nią grubiaństwa i obelgi. Znieważana i maltretowana, wielokrotnie była bliska śmierci. Jak zdołała wyjść z tyłu opresji, nie umarła z chłodu i głodu, jak żywiła swe dziecko, uczyła je i wychowywała, Bóg tylko jeden wie.

Gdy okazało się, że ma urodzić dziecko, ojciec i matka, ludzie cnotliwi, wyrzucili ją na ulicę. Mieszkała, gdzie popadło i powiła dziecko niemal na bruku – jak czynią to suki i bezpańskie kotki – szpital nie jest przecież dla nierządnic! Nawet w tej ostatecznej sytuacji nikt jej nie pomógł. Jedynie dwie zakonnice z klasztoru Matki Boskiej Zwycięskiej okazały wówczas cnotę miłosierdzia i raczyły otoczyć opieką tę jakby zapowietrzoną. Dziecko ksiądz ochrzcił w drodze wielkiej łaski; oczywiście, bez zwykłych ceremonii. Po czym nikt więcej nie zainteresował się ani matką, ani synem.

Ale matka i dziecko – wbrew wszystkim przeciwnością losu – żyli. Nie zbywało Annie Marii na energii ani na dzielności i gdyby życie nie poskąpiło jej swego uśmiechu, to mogłaby zostać najuczciwszą z kobiet i najlepszą z żon. Samotnie wychowywała syna – kto wie, czy nie lepiej niż wiele owych dumnych prawowitych mieszczańskich żon, których mężowie szybko po ślubie stają się rogaczami. Chociaż tak sponiewierana przez los, dawna kochanka Tomasza Trubleta potrafiła dzielnie zdobywać swój chleb codzienny, który całe miasto bezustannie zaprawiało goryczą.

Tak przeszło pięć lat najstraszniejszej samotności. Anna Maria Kerdoncuff nie miała już ani rodziców, ani przyjaciół, ani znajomych. Rodzina jej się wyparła, zabroniła nawet używać rodzowego nazwiska w obawie, iżby go nie zbrukała. Panowie z garnizonu miejskiego wydali wyraźny rozkaz, aby używała tylko swego imienia, Anna Maria. Krótko mówiąc, nie miała żadnej rodziny i wszyscy się od niej odsunęli. Wbrew sprawiedliwemu gniewowi uczciwego ojca nie było sprawą ludzi obojętnych interesować się albo opiekować dziewczyną upadłą.

Taka surowość rodziny nikogo zresztą nie dziwiła. W przeciwieństwie do Trubleatów, prostych rybaków, Kerdoncuffowie byli starymi mieszczanami, których piękna niegdyś fortuna chyliła się z wolna ku upadkowi. Otóż, jak to się często zdarza, duma i próżność w tym bliskim ruiny domu rosła, w miarę jak zmniejszała się potęga i bogactwo. Upadkiem Anny Marii poczuli się dotknięci do żywego. Jakby rozpalonym do czerwoności żelazem dźgnięto ich w samo serce. A przecież i tak różnie się mówiło w Saint-Malo o Kerdoncuffach.

Kerdoncuffowie z góry patrzyli na Tomasza Trubleta, syna rybaka, który zaczął zalecać się do Anny Marii. Wkrótce znajomość młodych stała się bliższa i bardziej zażyła. Lecz pogarda, jaką okazywali Tomaszowi rodzice jego kochanki, doprowadziła bez wątpienia tego dumnego chłopca do powzięcia decyzji o przerwaniu całej przygody. Kerdoncuffowie ucieszyli się z takiego obrotu sprawy, chociaż – z drugiej strony – przykro im było słuchać plotek, że chłopiec Trubleatów porzucił dziewczynę Kerdoncuffów. Powtarzali każdemu, kto chciał słuchać, że taka dziewczyna, jak ich Anna Maria, tak dobrze urodzona, nie związałaby się nigdy z takim hołyszem, który i tak już wykazał wiele zuchwałości próbując podnieść oczy na ich córkę. Wobec czego sami wpadli w pułapkę, albowiem gdy Anna Maria zaszła w ciążę, nie śmieli przeczyć rzeczy tak widocznej i nie oskarżyli Trubleta, nie żądali również odszkodowania. Córka ich upadła, nie jest przeto już ich córką. Co do Tomasza – zemsta Kerdoncuffów chciała go dosięgnąć w inny sposób. Wincenty został zabity, a czyż Tomasz nie był jego mordercą?

Tak uważali Kerdoncuffowie. Na szczęście panowie z garnizonu miejskiego sądzili inaczej.

Sprawa była zagmatwana, toteż przeciągała się. Tymczasem Tomasz, zdobywając sławę i bogactwo za oceanem, zasłynął jako tak mężny człowiek, że wszystkie oszczerstwa ucichły. Wincenty został zapomniany. Tylko stare plotkarki, spotkawszy czasem Annę Marię, mamrotały coś pod nosem. Anna Maria wychodziła ze swojej nory głównie po to, żeby przespacerować się z malcem, którego kochała tym goręcej, im więcej kosztował ją łez. Pięcioletni chłopiec stawał się małym człowiekiem, dzielnym i rozsądnym.

Powrót pana de l'Agneleta nie przyniósł dotychczas żadnych zmian.

Przed grobem Wincentego Kerdoncuffa Anna Maria modliła się żarliwie i z wielką skrucą. Ona jedna z całego Saint-Malo, z wyjątkiem Tomasza, wiedziała, że spoczywający tu brat umarł właściwie za nią. Przed owym śmiertelnym spotkaniem Wincenty zapewniał swą siostrę chępliwie, że zmyje jej hańbę i że niezwłocznie przyprowadzi jej mężczyznę, którego ona zaraz poślubi. Niestety, rzeczy przybrały całkiem inny obrót.

Anna Maria, jak co tydzień, modliła się teraz gorąco, błagając Boga Najwyższego i Jego Matkę Przenajświętszą o przebaczenie dla nieszczęśliwego brata, który zginął w pojedynku. Dziecko modliło się także na swój dziecięcy sposób, czyniąc moc znaków krzyża bądź prawą,

bądź lewą rączką. Jednakże nadeszła chwila, że chłopiec nie wiedział, co dalej mówić, powtórzył bowiem dwa razy od a do z wszystkie swoje modlitwy. Zamilkł. Matka, widząc to, złoczyła jego ręce ze swymi i zaczęła mu szeptem podawać słowa modlitwy, którą bez wątpienia wymyśliła w tej właśnie chwili i którą malec posłusznie powtarzał:

– Dobre Dzieciątko Jezus, zmiłuj się nade mną, który urodziłem się jak Ty bez tatusia. Święta Mario Panno, wstaw się za mną i powiedz dobrej Bozi, aby mi zesłała ojca żywiciela, jak to zrobiła niegdyś dla Twego chłopczyka. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

VI

– Jak to, Tomasza jeszcze nie ma? – spytał Ludwik Guénolé nieco zakłopotany.

– Dalibóg, nie ma! – odpowiedział Malo Trublet, wyciągając do wchodzącego rękę na powitanie. – Tomasz jeszcze nie przyszedł. Ale przyjdzie, to pewne, przyjdzie na kolację. Jeśli nie zaczekasz, Wilhelmina się na ciebie śmiertelnie pogniewa, bo nie może się doczekać chwili pogawędzenia z tobą. Zostań, chłopcze, i połóż tam swój kapelusz, którego brzegi pobrywasz, obracając go w ten sposób w palcach. Zostań, powiadam ci! I będziesz wieszerał z nami, aby nas wszystkich rozweselić. Matka ugotowała koguta. Dalibóg! Mój chłopcze, zostaniesz albo się pogniewam!

Ludwik Guénolé wobec tego usilnego nalegania pozostał.

Odwiedziny w domu przy ulicy Garbarskiej nie były częste. Chociaż stali się teraz ludźmi bogatymi, ani Malo, ani Perryna nie zmienili dawnego trybu życia, uważając zgodnie, iż są zbyt starzy, aby ulegać nowościom, chociażby były nie wiem jak dobre i korzystne. Urodzili się rybakami i rybakami umrą. Z bogactwa, które otrzymali późno, wyciągnęli dla siebie korzyść najważniejszą i właściwie jedyną: jak najwięcej wygody i odpoczynku, z najlepszym mięsem do jedzenia, najlepszym winem do picia i najlepszymi łózkami do spania. Nic ponadto. Zarówno Malo, jak i Perryna nigdy nie troszczyli się o to, aby ich odwiedzano; teraz, kiedy mieli zapas talarów, tym bardziej nie chcieli podejmować tej wygalowanej zgrai, zwanej wyższym towarzystwem, która oczywiście nigdy nie zaszła na ulicę Garbarską wtedy, gdy Malo i Perryna byli biedni.

Jedynie dla prawdziwych przyjaciół z dawnych czasów drzwi stały otworem. A Ludwik Guénolé, uważany przez każdego za serdecznego druha Tomasza, sprawiał zawsze wielką i szczerą radość, gdy pukał do drzwi Trubletów.

Stary Malo, zgodnie ze swoim zwyczajem, siedział senny w fotelu, oczekując godziny, kiedy będzie można zjeść rosół z koguta, Wilhelmina i Ludwik gwarzyli z ożywieniem.

– Czyżby? – zapytała Wilhelmina po długiej rozmowie obracającej się wciąż wokół tej samej sprawy – czyżby pan naprawdę nie wiedział, dokąd chodzi Tomasz podczas tygodzinnych samotnych przechadzek?

– Nie wiem – powtarzał uparcie Ludwik.

Domyślał się, ale wrodzona prawdomówność nie pozwalała mu mówić tego, czego nie był całkowicie pewny. Skądinąd czuł wielką odrazę do zdradzenia tajemnic Tomasza, nawet w dobrej intencji.

Podejrzliwa Wilhelmina nalegała:

– Czyż panu, swemu porucznikowi, bratu i Bratu Wybrzeża nic nie opowiada?

– Nie! – odparł Ludwik z pewną goryczą, która nie uszła baczości Wilhelminy i przekonała ją, że nie kłamał.

– Nich pan – podjęła znowu – porozmawia z nim jak najprędzej, niech pan go wypyta szczegółowo i dowie się prawdy. Przysięgam, że odczuwam wielki niepokój i żaręcam, że jakieś bardzo złe rzeczy kryją się na dnie tej tajemnicy.

Ludwik nie powiedział wprawdzie Wilhelminie, z kim się spotyka jej brat, ale był przekonany, że Juana jest w Saint-Malo. Czyż trzeba więcej, aby wróżyć najgorsze nieszczęście?

Tomasz sprowadzając Juanę do miasta nikomu się nie zwierzał. Nikogo nie pytał o radę, nie prosił o jakąkolwiek pomoc. Sam jeden, kryjąc się nawet przed Guénolém, wysadził Juanę na ląd pod Ravelinem i przeszedł z nią przez Wielką Bramę. Jakkolwiek w głębi duszy urażony tym brakiem zaufania, w gruncie rzeczy Ludwik był zadowolony, że nie ma nic wspólnego z tą niegodziwą sprawą.

Wilhelmina nie przestawała mówić:

– Dawniej Tomasz nie ukrywał przede mną niczego. O każdej, nawet najmniejszej, nawet najskrytszej jego sprawie wiedziałam wszystko. I sam może panu oświadczyć, czy kiedykolwiek tego żałował. Nigdy nie robiłam mu wymówek ani nie rozgłaszałam plotek. Czy dowiedziano się czegoś o różnych wybrykach, których sprawców poszukiwały daremnie władze miasta, a nawet sam biskup? Czy dowiedziano się czegoś o sprawie Anny Marii Kerdoncuff, o którą Tomasz niepokoił się tak bardzo, że nie chciał zeszłego roku wrócić z Ameryki razem z panem i postanowił wysłać naprzód pana, aby się dowiedzieć, co się stało z matką, dzieckiem i z zabitym?

Ludwik Guénolé, słuchający uważnie, nagle podniósł głowę:

– Co to za matka i co to za dziecko, o których pani mówi w związku z Wincentym Kerdoncuffem?

Nie wiedział, że Tomasz był ojcem chłopca, którego powiła Anna Maria. Na Tortue Tomasz istotnie opowiedział mu wszystko o dawnej kłótni, nie podał tylko jej prawdziwej przyczyny. A Ludwik, który nie zataił nigdy najmniejszej części prawdy, nie wyobrażał sobie, aby Tomasz mógł być inny.

Wilhelmina spojrzała na niego z otwartymi ustami.

– Cóż to? – rzekła wielce zdziwiona. – Po cóż pan się pyta i udaje, że o niczym nie wiedział? Myśli pan zatem, że ja nie znam całej tej historii i że nie wiedziałam o niej nawet wcześniej od pana?

Ale Ludwik Guénolé był bardziej zdziwiony od niej.

– Zupełnie pani nie rozumiem.

– To niemożliwe!... Naprawdę? Czyżby pan nic nie wiedział?

– Czego miałbym nie wiedzieć?

– No... o tej matce i o dziecku... Pan sobie żartuje ze mnie! Skoro Tomasz przez ostrożność wysłał pana pierwszego zeszłego lata!...

– Wysłał mnie – wyjaśnił Guénolé – abym się dowiedział, czy zemsta Kerdoncuffów już wygasła, czy też nie. Zemsta za ten pojedynek sprzed sześciu lat. Nie chodziło wtedy o żadną matkę ani o żadne dziecko.

– Ależ ten pojedynek – krzyknęła Wilhelmina – wywołał Wincenty z powodu swojej siostry Anny Marii, która była w ciąży!

– W ciąży! – powtórzył w osłupieniu. – W ciąży... za sprawą Tomasza?

– Dalibóg! – odparła Wilhelmina. – A za czyjąż by, jeśli nie jego?

Zamilkli na minutę.

– Oto jak się rzeczy mają! – rzekła znów Wilhelmina. – A czy wie pan chociaż o Annie Marii, wypędzonej przez swych rodziców?

– Tak, oczywiście! – odpowiedział Ludwik. – Ale nie wiedziałem, że dziecko jest Tomaszem.

– No, tak! Jeśli Tomasz nic panu nie powiedział, nie mógł pan o niczym wiedzieć, tajemnica bowiem była pilnie strzeżona! Jest pan pierwszym człowiekiem, któremu o tym mówię, sądziłam po prostu, iż pan wie o wszystkim...

– A ona? – przerwał nagle Guénolé – ona, Anna Maria, czy również zachowuje tajemnicę? I dlaczego, na Pannę Najświętszą?

– Czy ja wiem? – odpowiedziała obojętnie Wilhelmina. – Bez wątpienia przez głupotę... Być może, obawia się, że narobi sobie nowych kłopotów przez nieoględne gadanie. Chociaż... kto wie?... Może przez miłość... Tomasz zapewniał mnie ongiś, że ona go kocha gorąco... W każdym razie Tomasz nie wątpił nigdy, że dziecko przyszło za jego sprawą...

Ludwik Guénolé wstał i wziął swój kapelusz, leżący na dzieży.

– Ludwiku – zaniepokoiła się Wilhelmina – co pan zamierza uczynić?

Pójdę naprzeciw Tomasza, aby jak najprędzej z nim pomówić.

VII

– Tak więc – rzekł Ludwik Guénolé poważnie – dziewczyna ta w ciągu sześciu lat znosiła straszliwe cierpienia i udęczenia, żywiła i wychowywała twego syna, a mimo to nie zdradziła tajemnicy. Wiesz o tym, prawda?

– Tak! – potwierdził Tomasz, wbijając wzrok w ziemię.

– Czy myślisz – ciągnął Guénolé – że wiele kobiet byłoby zdolnych do takiego poświęcenia? Czy choć jedna z naszych mieszczek byłaby godna, jak siostra nieboszczyka Wincentego Kerdoncuffa, zostać wprowadzoną pod rękę do katedry, aby przy dźwięku dzwonów, przy wielkim ołtarzu poślubić Tomasza Trubleta, pana de l'Agnelet?

– To prawda – potwierdził znowu Tomasz bez żadnego wahania.

– Czemu zatem nie idziesz natychmiast prosić ją o rękę?

– Dlatego, że już jej nie kocham.

Podniósł głowę i spojrzął na Ludwika Guénolégo, który zdumiony i nic nie rozumiejący stał w milczeniu.

Ludwik Guénolé był całkiem niepodobny do innych chłopców. Syn uczciwych ludzi, dość zamożnych – ojciec jego, kowal, nie narzekał nigdy na brak roboty i rozbudowywał swoją kuźnię – w wieku dziecięcym częściej pilnował kowadeł i młotów swego ojca, aniżeli ganiał się, bawił i zbytkował, co jest przecieź właściwsze temu wiekowi. Później, kiedy miał czternaście czy piętnaście lat i kiedy dziewczyny zwróciły uwagę na jego ładną twarz, białą cerę i włosy czarne jak świeże czernidło, nie zwracał uwagi na ich zaloty. Żarliwie pobożny, wielce lękający się diabła i piekła, szczerze przekonany, że jedna niewinna kobieta może zgubić więcej dusz chrześcijańskich niż dwudziestu przeklętych szatanów, młodzieniec unikał dziewcząt. I podczas gdy jego druh Tomasz, mniej gorliwy w wierze, ale za to o wiele bardziej gorąckrwisty, uganiał się za spódniczkami, wliczając teź spódniczkę Anny Marii, Ludwik, gdy tylko miał czas wolny od modlitw, spowiedzi i innych pobożnych praktyk, chodził na pokład okrętów, stojących w porcie. Młodość ich wielce się różniła. Kiedy kawaler Dancan zamustrował ich na swoją „Piękną Łasicę” – mieli wówczas około dwudziestu lat – Tomasz był już wtedy rozpustny i rozwiązły, a Ludwik całkiem niewinny.

Roku Pańskiego 1678, kiedy ponownie znaleźli się w Saint-Malo, ten stan rzeczy nie zmienił się. Ludwik nadal pozostał dziewiczy i czysty w sprawach miłosnych i ciągle nie wiedział, co to znaczy kochać. Kiedy zatem spytał Tomasza: „Dlaczego nie poślubisz Anny Marii?” – a Tomasz mu odpowiedział: „Dlatego, że już jej nie kocham” – nie zrozumiał jego odpowiedzi, jakby Tomasz dał mu ją nie w języku ojczystym, ale w języku Irokezów.

Po daremnych wysiłkach przeniknięcia znaczenia tych tajemniczych słów: „Nie kocham jej już” – Ludwik znów zaczął nalegać:

– Cóż to szkodzi? Czyż nie robi się codziennie w życiu rzeczy, których wcale nie chce się robić? Twoim obowiązkiem uczciwego człowieka jest poślubić tę dziewczynę.

– Być może – zgodził się Tomasz. – Ale co zrobić, kiedy już jej nie kocham?

Ludwik przypomniał sobie zdanie, które często słyszał:

– Zaślub ją najpierw, a potem pokochasz.

– Ach – westchnął Tomasz, wznosząc ręce do nieba. – Rzeczywiście, niegdyś Anna Maria i ja byliśmy kochankami. Łączyła nas wówczas miłość. Skończyła się i nigdy nie zdoła wrócić. Poza tym kocham inną kobietę, i to tak silnie, tak namiętnie, że gdyby matka mojego syna dowiedziała się o tej miłości, sama nie chciałaby mnie poślubić i wolałaby raczej umrzeć.

Że na dnie całej tej sprawy była Juana, Ludwik nie zdziwił się zbyt. Ukraść męża żonie, ukraść ojca synowi to było sprawą tej czarownicy. Tomasz na pewno został przez nią zaczarowany. Ludwik cichaczem zmówił modlitwę łacińską. Po czym zawołał z oburzeniem:

– Tomaszu! To ta przeklęta Mauretanka nie pozwala ci posłuchać głosu honoru i naraża w ten sposób twoją duszę na poważne niebezpieczeństwo!

Tomasz opuścił znów wzrok ku ziemi i nie powiedział ani słowa.

Szli tak obok siebie po pustych ulicach bacząc, aby się nie zbliżyć przedwcześnie do mieszkania Trubletów, gdyż nie mogliby tam teraz wejść, ponieważ dawno już minęła godzina wieczery, obydwaj zaś chcieli wyczerpać rozmowę, aby nie wracać już nigdy do tej sprawy.

Ludwik jednak wrócił znowu do Mauretanki.

– Na Boga, Tomaszu, odpowiedź! Powiedz, czyż nie byłem zawsze twym wiernym przyjacielem i czy w różnych niebezpiecznych sytuacjach nie radziłeś się mnie, nawet wbrew mojej woli? Zaprzecz, jeśli kłamię! Błagam cię i zaklinam! Na świętą Annę z Auray! Czy wiesz, co znaczy dla dziewczyny dobrze urodzonej i godnej wszelkiego szacunku być wypędzoną z domu rodzicielskiego, lżoną przez każdego mieszkańca, wytykaną palcami na ulicy, obrzucaną kamieniami przez każdego nicponia i hultaja? Tomaszu, czyś nie pomyślał o tym, że twój syn – podczas gdy jego matka, zacna kobieta, będzie go usypiała w kołysce – zostanie obudzony wrzaskiem, jaki tłum zwykł czynić u drzwi nierządnic? Aby zapłacić za to wszystko zło, co dobrego zamierzasz uczynić? I czy chcesz, aby twój syn, który jest kością z kości i krwią z krwi twojej, pozostał bękartem i nie wiedział nigdy, że jest synem Tomasza l'Agneleta?

– Jest znacznie gorzej – wyszeptał Tomasz.

Przypomniał sobie przysięgę, daną ongiś bliskiemu skonania Wincentemu Kerdoncuffowi. On, Tomasz, przysiągł na Chrystusa z Ravelinu i na Najświętszą Panią Wielkiej Bramy, że poślubi Annę Marię, jeśli stała się brzemienna przez niego. I tak było, zaszła w ciążę za jego sprawą. Nie wątpił w to ani przez chwilę. Jeśli jej nie poślubi, co powie Wincenty Kerdoncuff z głębi swego grobu? I co powie groźna Paniąka, i co powie Chrystus, straszny dla krzywoprzysięzców?

– Tak... jest znacznie gorzej! – powtórzył Tomasz drżąc.

– Boże mój! – wykrzyknął Ludwik Guénolé, otwierając usta ze zdumienia. – Jakim sposobem może być jeszcze gorzej?

Ale Tomasz uważał za zbyt cenne odpowiedzieć. Bił się z własnymi myślami. Czy nie było żadnego wyjścia? Czyż złoto nie jest najlepszym lekarstwem na wszelkie choroby? Sprawa Anny Marii, zważywszy wszystkie okoliczności, nie była tak dramatyczna w porównaniu ze sprawą Juany. Może da się znaleźć korzystne rozwiązanie, jeżeli się sypnie w porę wiele talarów. Trzeba ich bez wątpienia niemało, aby uczynić z siostry Wincentego szanowaną mieszczankę, a z bękarta chłopca, który byłby uznawany przez innych. Prawdę mówiąc, pozostawali Chrystus i Jego Matka Przenajświętsza... Czy zadowolą się, jeśli w wielkiej skrusze ofiaruje im bez miary świec, mszy, jałmużny i innych nabożnych uczynków?...

– Niestety! – przerwał te rozmyślania wielce zasmucony Ludwik. – Tomaszu, widzę, żeś zatroskany i posepny, ale jeszcze nie podjąłeś ostatecznej decyzji. Czy możliwe, aby jakaś samica?... Szatan stanął na pewno na naszej drodze w dniu, kiedyśmy rozpoczęli pościg za tą przeklętą galeoną, na której pokładzie była ta Juana...

– Tę właśnie kocham – z determinacją rzekł Tomasz.

VIII

W niedzielę Zielonych Świątek zebrał się w katedrze na uroczystej sumie wielki tłum znacznych i pobożnych mieszkańców Saint-Malo. Ksiądz kanonik, dożywotni wikariusz katedry¹⁶, wszedłszy na ambonę ogarnął rozradowanym wzrokiem licznie zgromadzonych wiernych. Wprawdzie mieszkańcy Saint-Malo, dobrzy chrześcijanie, gorliwie wypełniający swoje obowiązki religijne, nie opuszczali nigdy mszy niedzielnej, ale suma, odprawiana z pompą, z towarzyszeniem organów i długim kazaniem, trwała często dwie godziny, toteż wiele gospodyń, szykujących niedzielny obiad, wołało wysłuchać mszy porannej, tej dla służących, o godzinie szóstej, albo tej z kazaniem o siódmej. Jednakże w dni szczególnie uroczystych świąt bardziej myślano o duchu niż o przyjemnościach stołu.

Wśród przybyłych znalazła się również rodzina Trubleatów. U boku rodziców, Malo i Perryny, stał Tomasz wraz z siostrą Wilhelminą oraz braćmi Bertrandem i Bartłomiejem, którzy przypłynęli akurat z Afryki. Trubleatowie zachowywali się z wielką godnością, jak przystoi ludziom bogatym i dostojnym, na których najwięksi oszczercy nie odważą się powiedzieć jednego złego słowa.

Tomasz, dyskretnie się rozglądając, rozpoznał swego ojca chrzestnego, Wilhelma Hamona, a także pana de la Tremblaye, Jana Gaultiera i jego brata Iwona, Piotra le Picard, nie opodal stał pan Danycan, prawdziwy król korsarstwa i handlu; za nim siedział Julian Gravé, którego skapstwo nie doprowadziło do fortuny, wręcz przeciwnie. Krótko mówiąc, w katedrze było całe Saint-Malo. Wikariusz dożywotni mógł się zaiste chlępić wielkim i świetnym audytorium.

Uczyniwszy znak krzyża, aby zmówić krótką modlitwę, kanonik rozpoczął kazanie. Na wstępie donośnym głosem przytoczył przykazanie: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno”, którego rozwinięcie miało być przedmiotem rozważań dzisiejszego kazania.

Ci, którzy w tej chwili spojrzeli przypadkowo na Tomasza Trubleata, pana de l'Agneleta, mogli zobaczyć, jak wstrząsnął nim nagły dreszcz, bez wątpienia z powodu chłodnego wiatru, który się wdarł przez źle przymknięte drzwi albo przez stłuczoną szybę witraża.

Z dała od ambony, z dała również od dostojnych mężów, obywateli dumnego miasta, i cnotliwych niewiast: małżonek, sióstr, córek, matek – klęczała jakaś biedna istota, cała w czerni, w czepku wdowim na głowie, która starała się ukryć w cieniu filara. Tą nieszczęsną istotą była Anna Maria, niegdyś Kerdoncuff. Trzymała przy sobie dziecko, dziecko bez ojca, którego zrezygnowana matka wcale już nie oczekiwała.

Tymczasem kaznodzieja głosił z przejęciem:

– Oto, bracia najdrożsi, przykazanie boskie potępia nie tylko fałszywe przysięgi, te potworne zbrodnie, otoczone pogardą nawet przez pogan, którymi, jestem przekonany, żaden mieszkaniec Saint-Malo nie zbrukałby swej duszy... Są jeszcze wszystkie te zakłęcia i bluźnierstwa, z których najmniejsze ciąży na sumieniu chrześcijańskim bardziej niż pałac Quic-en-Groigne i Generalski na piaskach Sillonu! Pamiętajcie o tym, bracia moi, bez ustanku. Wypowiedzenie imienia Boga nadaremnie naraża was na najokropniejsze męki czyśćcowe! Ktokolwiek zaś wezwałby świadomie Pana Naszego Jezusa Chrystusa albo Matkę Jego Przenajświętszą, albo któregokolwiek chwalebnego mieszkańca Jego rajy na świadectwo fałszywe, ten – kłamca podwójny, ponieważ popełnia kłamstwo wobec bliźniego i wobec Boga – zaraz po śmierci pójdzie prosto do kotła diabelskiego. W kotle tym przelewa się płonąca siarka, roztopiony ołów i tysiąc innych podobnych materii. O, bracia moi, wyobraźcie sobie

¹⁶ Kanonik prześwietnej kapituły nosił wprawdzie tytuł dożywotniego wikariusza, ale faktycznie pełnił funkcję proboszcza katedry w Saint-Malo. Z tej racji nazywano go niekiedy dożywotnim proboszczem (przyp. aut.).

okropność tego trwania, które się nigdy nie skończy i wobec którego tysiące wieków nie trwają dłużej niż jedna sekunda! Oby ten zbawienny lęk był dla was hamulcem, by nie grzeszyć więcej, i aby chronił was przed pokusami wypowiedzenia słów nierozważnych i oszukanych.

Wszyscy zebrani w katedrze z nie słabnącą uwagą i przejęciem słuchali słów wikariusza, który wykazywał nie byle jaki kunszt oratorski, przekonująco odwołując swe owieczki od grzechu. W pewnym momencie ta cisza i skupienie zostały zakłócone. Niezwykły ruch poruszył audytorium wokół drzwi bocznych, przez które wchodzi ludzie świeccy, wejściem głównym wchodzi tylko biskup oraz prześwietna kapituła. Tłum, do niedawna nieruchomy i milczący, zaczął nagle szemrać i szeptać, ponieważ do tego świętego miejsca, w którym suma trwała już od ponad trzech kwadransów, weszła jakaś zuchwała kobieta. Nie bacząc na to, że dawno już odśpiewano *Introibo ad altare dei*, ta bezczelna istota odsuwając skrzydła drzwi z drewna i skóry szła prosto ku środkowej nawie. Poruszenie było duże; wiele osób odwracało się z ciekawością w kierunku miejsca, skąd wychodził ten nieobyczajny tumult. Tomasz, odwróciwszy się również, zadrżał nagle od stóp do głów i stał się blady jak całun, poznał bowiem Juane.

Mimo życzenia, wyrażonego przez nią w jasny sposób, i rzuconych przy tej okazji pogrózek, Tomasz nie myślał nigdy o tym, aby zaprowadzić kochankę „pod rękę”, tak jak chciała, do najświętobliwszego z kościołów Saint-Malo. Ufając – jak się okazało niesłusznie – staremu powiedzeniu: kobieta zmienną jest, wystrzegał się pilnie w ciągu całego tygodnia powracania do niebezpiecznego tematu: nabożności, spowiedzi i modłów. Zresztą sama Juana nie wracała do tego. Kiedy minął tydzień, Tomasz poczuł się znów wolny i swobodny. Uznał, że Juana z wszelką pewnością zapomniała o swym jednodniowym kaprysie.

Ale Juana niczego nie zapomniała, rzadko bowiem zapomniała o tym, co było. Wielce dotknięta wahaniem kochanki i przekonana w głębi duszy, że się jej wstydzi, postanowiła sprawę postawić jasno, idąc sama tam, dokąd nie myślał jej zaprowadzić. Na nic nie zważając, zdecydowała się stanąć publicznie u jego boku.

A teraz była w samym środku katedry, wypełnionej dostojnymi i uczciwymi mieszkańcami Saint-Malo. Wszyscy ją spostrzegli, przyglądali się tej nieznannej kobiecie i potępiali jej hałaśliwe wejście. Wikariusz z wysokości ambony przerwał na chwilę wywód, rzucając gniewne spojrzenia. Zakończył prędko kazanie, gdyż roztargnione audytorium nie było dość skupione, aby słuchać swego pasterza.

Stojąca obok Tomasza Wilhelmina również spojrzała i zrozumiała. Od pierwszej chwili zwierzyła w tej obcej dziewczynie – zbyt szczupłej i zbyt smagłej, o ustach zbyt czerwonych i oczach zbyt błyszczących – złodziejkę, która zagarnęła dla siebie przyjaźń i zaufanie Tomasa oraz zmuszała go, aby codziennie na całe godziny opuszczał dom rodzicielski.

Blada z wściekłości Wilhelmina spoglądała ukradkiem na brata. Tomasz z zaciśniętymi ustami i ściągniętymi brwiami nie odrywał wzroku od wielkiego ołtarza. W dzikim i upartym wyrazie jego oczu Wilhelmina wyczytała lepiej niż w książce zakłopotanie, gniew, udrękę i śmiertelny niepokój.

Tymczasem suma się skończyła. Celebrans, twarzą do wiernych, zaintonował *Ite missa est*. Potem przechodząc, zgodnie z rytuałem, ze strony lekcji na stronę ewangelii, rozpoczął modlitwę końcową: *In principio erat Verbum*. Tomasz, pogrążony w myślach, usiłował sobie wyobrazić, co będzie po wyjściu z katedry: co uczyni Juana, jaki wywoła skandal.

Kapłan zaintonował teraz, a wraz z nim całe zgromadzenie, *Domine, fac salvum Regem*.

I tylko jeden Tomasz milczał; tak bardzo był roztargniony, że zapomniał, z pewnością po raz pierwszy w życiu, błagać Boga o zdrowie i sławę dla króla Ludwika XIV, którego przecież on, Tomasz, gorąco kochał.

Straszliwa chwila wreszcie nadeszła. Wyszedszy ze świątyni Tomasz – w otoczeniu Bertranda, Bartłomieja i Wilhelminy, zmuszonych postępować za Malo i Perryną, którzy kroczyli

bardzo powoli – nie mógł zrobić nic innego, jak zejść na ulicę de la Blatrerie i posuwać się w kierunku sklepionego łuku. Otóż pod tym właśnie sklepieniem zatrzymała się Juana, by ocze-kiwać swego kochanka. Miejsce było dobrze wybrane. Wszyscy mieszkańcy zebrali się wła-śnie tutaj. Nigdzie nie mógłby wybuchnąć większy skandal. Liczni ciekawscy zatrzymali się przy tej osobliwej dziewczynie, której nikt nigdy nie widział i o której dotychczas nic nie wiedziano. Zastanawiano się, co ona tu robi, stojąca nieruchomo jak słup narożny i czatująca Bóg wie na co. Wkrótce i inni, oprócz Tomasza, dowiedzieli się, po co tu przyszła.

Trubletowie dochodzili do sklepienia. Juana szybko zrobiła cztery kroki, odsunęła ręką Bartłomieja i chwyciła za ramię Tomasza, zwracając się do niego dostatecznie głośno, aby wszyscy słyszeli na całej ulicy:

– Chcesz mnie odprowadzić, kochanie?

Powoli przesuwający się przez wąskie wyjście pod sklepieniem tłum, z którego dochodził szmer nic nie znaczących rozmów, nagle zamilkł. Nastąpiła całkowita cisza. W tym momencie nie było ani jednego mieszkańca Saint-Malo, który by nie pojął, kim była Juana, jakie stosun-ki łączyły ją z Tomaszem i jaka hańba spada z tego powodu na wszystkich Trubletów – od Malo i Perryny aż do Wilhelminy i jej braci. Wszyscy nagle stanęli jak wryci, jak ludzie, któ-rych dosięgnął piorun z nieba. Nikt spośród obecnych nie wymówił ani słowa. Ośmielona tym Juana nie puszczając ramienia Tomasza zaczęła mówić:

– No i co, nie idziesz?!

Wtedy Tomasz, który dotąd nie wyszeptał ani słowa, tak jak jego ojciec i matka, i podob-nie jak oni nieruchomy i skamieniały, nagle doszedł do siebie. Wszystko było stracone. Skan-dal stał się publiczny. Nic nie można już było naprawić. Nie pozostawało mu nic innego jak stawić czoła, tak jak to robią korsarze w chwili nierównej walki. Tomasz Trublet, pan de l'Agnelet wyprostował się i rzucił ponad tłumem spojrzenie pełne błysków. Następnie zwró-cił się do kochanki:

– Dość tego! – głos jego zabrzmiał sucho i władczo, tak jak na pokładzie „Pięknej Łasicy” podczas bitwy. – Dość tego! Kto ci pozwolił tu przychodzić? I odkąd to postępujesz zgodnie z własnymi zachciankami, a wbrew moim rozkazom?!

Juana, bardzo blada, cofnęła się o krok i otworzyła usta, by odpowiedzieć. Ale zanim to uczyniła, Wilhelmina, ucieszona odprawą, jaką otrzymała jej nieprzyjaciółka, wybuchnęła nerwowym śmiechem. Tomasz zareagował natychmiast.

– Uspokój się! Nie próbuj się wtrącać! I nie waz się jej dotknąć, jeśli nie chcesz, aby cię pobiła do krwi.

Obie dziewczyny, stojąc twarzą w twarz, z paznokciami w pogotowiu, zdawały się być bli-skie rzucenia się jedna na drugą. Tłum, łaknący skandalu, zbił się wokół nich. Stara Perryna, przerażona, powstrzymywała Wilhelminę obiema rękoma. Ale Malo Trublet, po chwili za-skoczenia, zebrał siły, by odzyskać całą powagę ojca i głowy rodziny.

– Chodź! – odciągnął połowicę.

Spojrzał na Tomasza, swego najukochańszego syna, i wielki ból zatargał jego starym oj-cowskim sercem. Pomimo to nie zawahał się. Powtórzył, chcąc jak najszybciej zakończyć tę scenę:

– Chodź, żono! Nasze miejsce jest w naszym domu! I rozkazuję wszystkim moim dzie-ciom, aby poszły za mną.

Wyprostował się i rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Ci, którzy za mną nie pójda, przestaną być moimi dziećmi! Bertrand i Bartłomiej usłu-chali od razu. Wilhelmina zazgrzytała zębami, ale również poszła za rodzicami.

I wszyscy odeszli, nie odwracając się. Tomasz pozostał sam. Spojrzał na Juane.

Tłum stojący przed katedrą był przekonany, że Tomasz nie odważy się podejść do niej. Zaczęto się śmiać i szydzić z Juany, a także obrzucać ją wyzwiskami. Ale nie trwało to długo. Gdy tylko Tomasz, wbrew wyraźnemu rozkazowi ojca, stanął obok niej, ludzie spoważnieli i

ucichli. Trzymając się za ręce, kochankowie przeszli razem pod sklepieniem i oddalili się w stronę przeciwną tej, w którą poszli Trubletowie.

Sądzone było Tomaszowi tego dnia doznać innych jeszcze przykrości. Gdy minął sklepienie i skręcił na lewo w ulicę de la Croix du Fief, aby najkrótszą drogą dotrzeć na ulicę Chat qui Danse, do mieszkania Juany, ktoś zagroził mu drogę. Był to Ludwik Guénolé, który, wmieszany w tłum, widział całą scenę i zrozumiał, iż Tomasz ostatecznie zerwał z rodziną. Instynktownie powziął pewien zamiar.

Podszedł do Tomasza i rzekł mu:

– Spójrz!

Tomasz ujrzał stojącą za Guénolém jakąś kobietę w czerni i dziecko, które trzymało się sukni tej kobiety. Była to Anna Maria z synkiem. Cała trójka stała w milczeniu, oczekując jakiegoś przyjaznego słowa czy gestu ze strony Tomasza. On zaś poczuł, jak mocno serce łomocze w jego piersi.

Oto przed chwilą oddaliła się jego rodzina i być może nigdy już jej nie odnajdzie. Ale czy teraz nie odnajdywał rodziny, która mogła być jego, jak tamta, stracona, i czyż w tej nowej rodzinie nie mógłby znaleźć szczęścia?

Rozterki Tomasza przerwała nagle Juana. Swymi delikatnymi palcami, stworzonymi do rozpustnych pieszczot i zdolnymi ugnać wolę męską tak, jak huragan ugina trzciny, ścisnęła ramię swego kochanka, aby go pociągnąć za sobą. I nie trzeba było więcej. Tomasz brutalnie odepchnął Ludwika Guénolégo i nie patrząc ani na matkę, ani na dziecko, cicho płaczące, szybko odszedł.

IX

Zaczął się dla Tomasza Trubleta, pana de l'Agneleta, życie osobliwe, jakiego nie doświadczył przed nim z pewnością żaden mieszkaniec Saint-Malo. Tomasz Trublet, poczynając od owej niedzieli, nie był już Trubletem, jak jego dawna kochanka, Anna Maria Kerdoneuff, od sześciu lat nie nazywała się Kerdoneuff. Zamieszkał otwarcie i z niczym się nie kryjąc w domu przy ulicy Chat qui Danse. Nikt odtąd nie widział, aby kiedykolwiek odwiedził dom przy ulicy Garbarskiej. Wiedział on bowiem, że nie zostałby tam w ogóle wpuszczony, gdyż stary Malo ze swoim charakterem i usposobieniem przebaczyłby synowi wszystko, ale nie skandal i publiczne nieposłuszeństwo. Powiedział zresztą dobitnie w chwili śmiertelnego zgorszenia, że „ci, którzy za nim nie pójną, przestaną być jego dziećmi”.

Przepaść była wykopana. Ta przepaść, która oddzielała Tomasza od jego rodziny, oddzieliła go niebawem od przyjaciół i od całego miasta.

Oczywiście, sprawy Tomasza nie przybrały takiego obrotu, jak ongiś w przypadku Anny Marii. Czy tego chciano, czy nie, pan de l'Agnelet pozostał osobistością ważną. Ulicznicy nie śmieli go prześladować. A każdy mieszkaniec, który go spotkał, uważał zawsze za honor uchylić przed nim kapelusza. Ale na tym kończyła się uprzejmość. I nie było zacnego męża ani niewiasty, którzy by kiedykolwiek zapukali do drzwi domu przy ulicy Chat qui Danse, gdzie Tomasz z Juaną nadal zamieszkiwał. Przez cały czas wspólnego życia przy Chat qui Danse Tomasz usiłował kupić prawdziwie luksusowy dom i nie opuszczała go nadzieja, że dzięki swemu wielkiemu bogactwu przełamie wkrótce wszelkie uprzedzenia mieszkańców i będzie żył według własnego upodobania pośród współrodaków oraz zostanie pełnoprawnym obywatelem miasta. Przede wszystkim jednak był głęboko przekonany o tym, że zmusi każdego do okazywania Juanie szacunku.

Juana zaś z początku triumfująca z powodu odniesionego niemal bez wysiłku zwycięstwa nad całą rodziną i, można by powiedzieć, nad całą ojczyzną swego kochanka, spostrzegła niebawem, że korzyść z tego sukcesu była właściwie żadna. Położenie jej nic a nic się nie

zmieniło przez to, że Tomasz zamieszkał przy Chat qui Danse, zamiast przychodzić tam tylko z codzienną wizytą, jak to czynił dawniej. Mogła teraz co prawda wychodzić z mieszkania, gdy tylko zapragnęła. Ale nie jest wcale przyjemnie przechadzać się po ulicach, kiedy spotkani ludzie okazują wzdarcę, przechodzą na drugą stronę, obrzucają obelgami. Kilka takich przykrych spotkań prędko pozbawiło Juanę chęci odbywania samotnych przechadzek. Między innymi dwa razy spotkała się przez złośliwy przypadek oko w oko z Wilheiminą. A rozwścieczona Wilhelmina nie straciła tak wybornej sposobności, aby nie naubliżyć na oczach zgromadzonych gapiów obrzydliwej cudzoziemce, która ukradła rodzinie syna i brata. Niewiele brakowało, aby doszło do rękoczynów. Juana, niecierpliwa, bardziej wojownicza niż Wilhelmina, rzuciłaby się z całą pewnością na nią pierwsza, gdyby nie było otaczającej je gawiedzi, wrogiej wobec cudzoziemki. Tłum by nie ścierpiał, żeby pobita została mieszkanka ich miasta. Juana zdawała sobie z tego doskonale sprawę; gdyby doszło do walki, ona na pewno by nie zwyciężyła. Siostra Tomasza nienawidziła teraz zarówno dzikiej Hiszpanki, jak i swego brata. Przysięgła sobie, że posłuży się metodami najbardziej brutalnymi i zdradzieckimi, by okazać swoją wrogość i pogardę.

Tomasz, uprzedzony w porę o zamiarach siostry, wołał czuwać z bliska nad przyjaciółką i zawsze, gdy tylko mógł, wychodził razem z nią. Juana miała wówczas obronę przed wszelkimi napaściami i obelgami, a ponadto imponowało jej to, że ma u swego boku najdzielniejszego mężczyznę, jakiego można było znaleźć w całym mieście. Mimo to, kiedy kochankowie przechodzili przez najludniejsze dzielnice, tworzyła się przed nimi tajemnicza pustka, żaden mieszkaniec nie myślał stawić zuchwale czoła korsarzowi, ale żaden też nie decydował się przywitać z jakąś tam przybyłą nie wiadomo skąd dziewczyną.

Juana pędziła zatem życie jakby zapowietrzony. A na dodatek przebywała w kraju, którego ani klimat, ani niebo nie miały w sobie nic, czym by się mogła zachwycać, nic, co by jej przypominało wspaniałe słońce Sewilli czy Ciudad-Realu, płonące żarem i światłem, całe z ognia, gdyby je odmalować w dwóch słowach.

Juana – odtwarzając w marzeniach i wspomnieniach te dwa olśniewające miasta, swoje dawniejsze ojczyzny, przypominające jej młodość i dzieciństwo, równie wspaniałe i tym żywiej jawiące się w pamięci, że były tak odległe – porównywała czas miniony z czasem obecnym. Przeszłość pod każdym względem przewyższała teraźniejszość.

Zakochała się w korsarzu, widząc go zwycięzcą. Tomasza, kapitana i wodza, otoczonego sławą tak groźną, że monarchowie nie mają podobnej, pokochała miłością namiętą i gwałtowną. Zachwyt jej łączył się z przerażeniem. Pociągał ją i jednocześnie odpychał ten straszliwy człowiek, który zabił wszystkich jej krewnych i który sam jeden zdołał wypełnić miejsce przy jej boku. Sądziła w pierwszej chwili, że jako towarzyszką takiego króla, króla dzięki swemu męstwu i potędze, wszędzie będzie królową. A oto teraz, daleka od zasiadania na tronie, znajdowała się tutaj, sprowadzona do takiej roli, na jaką nie zgodziłyby się najpospolitsze mieszczki! Tomasz, co prawda, kazał jej się spodziewać szczęśliwej zmiany, ale nie widziała bynajmniej, aby ta zmiana nadchodziła. W każdym bądź razie prędko ona nie nastąpi. A cierpliwość nie była cnotą Juany!

Tomasz cierpiał, widząc przyjaciółkę niezadowoloną i nieszczęśliwą. Po okresie względnej zgody nastąpił czas sporów i kłótni. Zaczęli się znów zwracać do siebie po imieniu, ale nie wynikało to z gorącej miłości. Nie dlatego, aby się przestali kochać! Namiętność, zawsze despotyczna i mocniejsza, niż wszystkie ich gniewy, rzucała wciąż jedno drugiemu w ramiona. Ich miłosne szaleńcze zmagania odbywały się pośród najdzikszych kłótni. Miłość ta, płomienna i posępna, objawiająca się poprzez wstrząsy i spazmy, była głównie namiętnością, namiętnością bardzo potężną, i oczywiście nie miała w sobie nawet odrobiny czułości.

X

Minął kwiecień, potem maj i czerwiec, pełne blasków i barw, następnie lipiec i sierpień, miesiące, których obezwładniający skwar spowodował znużenie i wyczerpanie całego miasta wraz z jego mieszkańcami: mężczyznami, kobietami, dziećmi, a nawet psami pilnującymi bram i wybrzeży Saint-Malo. Stanom tym nie poddawała się jedynie Juana dzięki swemu tropikalnemu niemal pochodzeniu. Podczas gdy każda bretońska skóra zlewała się rześcicie potem i smażyła w słońcu jak indyk obracany na rożnie, przyjaciółka Tomasza poczuła się w swoim żywiole, stała się na pewien czas zgodna i dobrze usposobiona. Chodziła z największą przyjemnością półnaga, rozkoszna i leniwa, oddawała się Tomaszowi bez oporu, obsypując go najgorętszymi pieścizkami, których sama nigdy nie miała dosyć.

Ale przyszła jesień, a z nią deszcze, mgły i dokuczliwe zimno. Podczas pierwszych gradów i deszczów bijących w szyby mieszkania Juana sponiewiała równie prędko, jak niebo przeszło z błękitnego w czarne. A Tomasz, aby się ustrzec ciągłych wybuchów gniewu, zaczął coraz częściej uciekać z domu i przechadzać się samotnie wzdłuż wałów, jak to czynił ongiś, kiedy Saint-Malo nie wiedziało jeszcze o tej gwałtownej Juanie.

Pewnego wieczora w drugiej połowie października Tomasz spotkał Ludwika Guénolégo, który również odbywał samotną przechadzkę. Było to nieopodal wieży Notre-Dame, na Małych Murach, wzdłuż fasady, która rozciąga się nad wybrzeżem, zwanym Wybrzeżem Dobrej Pomocy, na którym to miejscu są pogrzebani złodzieje, mordercy i inni zbrodniarze, straceni ręką kata. Tomasz, spoglądający w roztargnieniu na ten smutny cmentarz, nie widział zbliżającego się Ludwika, który podszedłszy niespodzianie wziął w objęcia swego byłego kapitana i czule go uściśnął. Pomimo wszystko, co się stało i co jeszcze mogło się stać, Ludwik kochał nadal gorąco Tomasza, a Tomasz odpłacał mu równie szczerym uczuciem.

Widywali się często, jedynie bowiem Ludwik Guénolé ze wszystkich znacznych mieszkańców Saint-Malo, lekceważąc opinię publiczną, nie przestawał nigdy odwiedzać mieszkania przy ulicy Chat qui Danse. Nie lękając się nic a nic potępienia ze strony swych współziomków, Ludwik Guénolé nie wątpił jednak, że odwiedza dom istoty podejrzanej, mającej niewątpliwie konszachty z diabłem. Był przekonany, że nawet rozmowa z Juaną naraża jego duszę na największe w świecie niebezpieczeństwo. Jakkolwiek lękał się tego niebezpieczeństwa, nie mógł przecież zostawić Tomasza samego. Chciał go ratować za wszelką cenę. Juane uważał za złowrogi przeznaczenie Tomasza, z każdym dniem coraz bardziej zgubne.

Ludwik i Tomasz rozmawiali, spoglądając na morze pokryte wełnistymi falami. Szare chmury zasnuwały jesienne niebo. Aby zacząć rozmowę, Ludwik rozprawił o pogodzie.

– Tak – westchnął Tomasz. – To właśnie takie wieczory melancholijne i ponure każą mi gorzko żałować naszych dawnych pięknych dni i tego tropikalnego słońca Antyli, które zawsze w chwili zachodu kładło na całe niebo i morze jakby ogień i krew!...

Ludwik Guénolé uczynił dłońmi znak, że cudownie wszystko sobie przypomina. Ale nic nie powiedział. Tomasz po pewnym namyśle ciągnął dalej.

– Tak, tak! – jakby odpowiadał samemu sobie – to zrozumiałe, że nie można się przyzwyczaić do naszego ostrego klimatu, przykrego i dokuczliwego, tak różnego od klimatu jej kraju...

Nie wymienił Juany, ale Ludwik Guénolé nie miał złudzeń, że o nią chodzi. Milczał jak przedtem. Tomasz zamilkł również, choć było widać, że chce powiedzieć coś ważnego. W końcu rzekł z wyraźną determinacją:

– Wcześniej czy później będę musiał tam wrócić albo wyjechać gdzie indziej. Myślę bowiem, że to nie jest życie dla mężczyzny z Saint-Malo, który jeszcze nie osiągnął trzydziestki, pleśnieć w czterech ścianach domu, choćby był wielki i bogaty!...

Ludwik Guénolé zadrżał i spojrział Tomaszowi prosto w twarz:

- Chcesz więc wrócić do korsarstwa?
- Tak! – usłyszał cichą odpowiedź.

Tomasz chciał tego istotnie. Juana, otoczona wzdargą mieszkańców Saint-Malo oraz zmuszona znosić surowość klimatu bretońskiego, pragnęła jak najszybciej uwolnić się od tego wszystkiego. Żywiła niechęć czy wręcz nienawiść do tego kraju i bardzo stanowczo dążyła do jego opuszczenia.

A czego chciała Juana, tego chciał i Tomasz. Czy mógłby zresztą chcieć czego innego? Był przykuty do tych nienasyconych ust, piorunujących, ale i uległych oczu, teraz przygaszonych i zwiędłych, które mogły zakwitnąć na nowo tylko pod gorącymi promieniami południowego lubieżnego słońca.

– Żyć tutaj – rzekł Tomasz z całą szczerością – dłużej nie mogę! Przypomnij sobie, Ludwiku, nasze wyprawy z tamtego czasu, przypomnij lata śmiałych walk i zdobyczy, przypomnij sobie naszą ówczesną wolność, tak wielką, że sam król na swym tronie, z berłem w dłoni nie był w połowie nawet tak wolny jak my! Powiedz, czy nie było tak? Czyż nie byliśmy tam, między niebem a wodą, ponad wszelkimi prawami, żyjąc jak tylko chcieliśmy? Czyż nie byliśmy tam panami zaraz po Bogu? Ci, którzy zaznali tak pełnej swobody, nie mogą się już przyzwyczaić ani zadowolić przyziemnym i nudnym życiem, jakie się prowadzi w murach pośród mieszczuchów.

Ludwik Guénolé potrząsnął głową. Argumentów przeciwko racjom Tomasza nie brakowało. Ale dyskusja z nim była bezcelowa. Tomasz należał do tych ludzi, którzy nigdy nie mówią bez postanowienia działania i prędzej robią, niż mówią. Także w tym wypadku wszelkie słowa spełzłyby na niczym.

I Ludwik Guénolé, uznając, że nie ma nic do powiedzenia, zapytał:

- Dlaczego już teraz chcesz wyjechać?

Długo trwało wyjaśnianie. Tomasz, zwierzywszy się z najważniejszej rzeczy, poczuł w sercu ulgę. Uważał Guénolégo za bardzo dobrego doradcę, dlatego też nie chciał pominąć żadnego ze swych projektów. Otóż kawaler Danycan, zaskoczony nagle pokojem, który przed pięcioma tygodniami został podpisany między królem a większością jego nieprzyjaciół, znalazł się teraz z sześcioma lekkimi, rozbrojonymi fregatami na Dobrym Morzu. Ponieważ fregat tych już nie potrzebował, chciał je koniecznie sprzedać, nawet ze stratą. Wśród nich była „Piękna Łasica” i Tomasz zamierzał ją kupić, pewny, że szlachcic mu ją tanio sprzeda, Danycan bowiem był porządnym człowiekiem i zawsze pragnął oddać jakąś przysługę tym, którzy ongiś mu dobrze służyli.

Ludwika dręczył jakiś niepokój i odezwał się:

– Pokój z Anglikami, Holendrami, a także z Hiszpanami został podpisany, co będziesz zatem robił z fregatą, jeżeli zuchwały szlachcic, jakim jest Danycan, nie ośmiela się żeglować, lecz chce sprzedać swoje statki za cenę starego drewna? Pomyśl o tym, Tomaszu, admirał odmówi ci teraz wydania patentu korsarskiego.

– Faktycznie – zaśmiał się dufnie Tomasz. – Król jest królem, ale flibustierzy są flibustierami. Czy myślisz, że nasi starzy Bracia Wybrzeża, Rudobrody i jego przyjaciółka Rackam, jak i wszyscy inni: Francuz z Dieppe, Wenecjanin, Awanturnik z Oléron – podpisali pokój z kastylskimi małpami? Daj spokój, Ludwiku, porzuć swe wątpliwości i nie bój się. Jeśli admirał nam odmówi, pan d'Ogeron znajdzie jakiś sposób, aby nam dać zezwolenie, choćby w imieniu króla Portugalii.

Na takie kategoryczne oświadczenie Ludwik nie mógł znaleźć odpowiedzi. Czyż, istotnie, przed siedmioma laty sprawy nie poszły tym samym trybem? Czyż było prawdopodobne, aby w Nimégue, gdzie pokój został podpisany, ambasadorowie Jego Królewskiej Mości, zajęci tyłoma wojującymi ze sobą królestwami i prowincjami, mogli pamiętać, że istnieje gdzieś tam jakaś Tortue?

Rozradowany Tomasz ciągnął dalej:

– A wtedy znowu rzucimy kotwicę w porcie tej utęsknionej Tortue i z wielkim ceremoniałem złożymy wizytę gubernatorowi. Udaję się tam w charakterze zwierzchnika i pana, który sam sobie jest zarazem armatorem i dostawcą i może iść w parze z tymi najślawniejszymi flibustierami, co nie słuchają nikogo, a często nawet i króla!

Po wysłuchaniu Tomasza Ludwik był zatroskany i melancholijny. Wiedział, że nic już się nie da zmienić. Wszystko zostało przewidziane i nie było odwrotu. Nadeszła noc. Wiatr nie osłabł, a słona mgła unosiła się wielkimi pasmami ponad wybrzeżem i opadała na fasadę wału. Tomasz i Ludwik spacerowali w milczeniu ramię w ramię. Nagle Ludwik, zwrócony twarzą do morza, otworzył szeroko usta i zaczął oddychać pełną piersią, jak gdyby chciał wypełnić płuca orzeźwiająjącym i zbawczym oddechem tego bretońskiego morza, które bardziej jeszcze niż ziemia było jego prawdziwą i uwielbianą ojczyzną.

Gdy zrobiło się całkiem ciemno, dotarli do murów wieży Notre-Dame. W tym miejscu zamierzali opuścić wały i zejść do miasta po stopniach, wyżłobionych w granicie budowli. Doszedłszy do stopni, zatrzymali się na chwilę, aby rzucić okiem na dwie wysepki: Grand Bey i Petit Bey, które otaczało podwójne kolisko śnieżnobiałej piany.

Ludwik, puszcżając ramię przyjaciela, zwrócił ręce w kierunku widnokregu.

– Tomaszu! – wykrzyknął, a głos jego, zazwyczaj zimny i spokojny, drżał i wibrował jak głos zakochanej kobiety. – Tomaszu! Kiedy spojrzysz po raz ostatni na to wszystko, co jest naszą ojczyzną bretońską, a co jest mojej bretońskiej duszy miłsze i piękniejsze niż wszystkie amerykańskie Tortue z ich niebem lazurowym i słońcem ognistym... kiedy zatem spojrzysz na to wszystko po raz ostatni, czyż serce ci nie pęknie i nie rozerwie piersi z bezgranicznego żalu?

Tomasz otarł czoło, na którym zaperliły się drobne kropelki zimnego potu.

– Bretonia – rzekł stanowczym głosem – czyż nie będzie dla nas jeszcze bliższa i piękniejsza, kiedy wrócimy do niej tak sławni, bogaci, potężni i dumni, że każdy zegnien kark przed nami i przykleknie, gdy będziemy przechodzili? Ujął ramię Guénolégo i przyciągnął go do siebie ruchem władczym a zarazem niezwykle czułym.

– Ludwiku – powiedział – wiesz o tym, że dzisiaj wszyscy, i z którymi byłem złączony więzami krwi czy przyjaźni, wszyscy, którzy dzięki mnie stali się ważnymi, bogatymi, honorowanymi obywatelami miasta, porzucili mnie i gardzą mną! Ty, któryś mnie nigdy nie opuścił w ciągu sześciu strasznych lat wojny i wypraw korsarskich, ty, któryś zawsze był przy mnie i zasłaniał własnym ciałem, gdy spadał na nas gęsty deszcz ołowiu i żelaza, ty, który teraz sam jeden w całym mieście nie porzucasz mnie ani nie gardzisz mną, przeciwnie, kochasz mnie jeszcze bardziej i czuwasz nade mną z większą czujnością i miłością, wiedz o tym, że odtąd jesteś dla mnie ojcem i matką, braćmi i siostrą. Jesteś nimi wszystkimi razem i nie chcę już innych krewnych. Ty jeden, Ludwik Guénolé, mój porucznik, pomocnik, mój brat prawdziwy i Brat Wybrzeża!

Porywczy i gwałtowny, zamknął go w mocnym uścisku:

– Wyruszam znów na morze, aby popłynąć daleko i odsunąć się od złych ludzi. Zabieram stąd kochankę, którą miłuję. Ludwiku, czy zostawisz mnie samego?

Ludwik westchnął, z wysokości wieży Notre-Dame ujrzał bowiem ponad Placitres i uliczką Petites-Chaux dach domu rodzinnego przy ulicy de la Herse. Dom ten był bardzo drogi sercu uległego syna i prawego mieszkańca Saint-Malo. Mimo to nie zawahał się ani sekundy, aby odpowiedzieć:

– Wiesz dobrze, że cię nie opuszczę. Czyż mógłbym ci odmówić?

Teraz wszystko już między nimi zostało powiedziane. I nigdy więcej nie wracali do tej sprawy. Na którejś stronicy Wielkiej Księgi Boga było zapisane, że Ludwik Guénolé w ciągu całego życia, aż do zgonu, nie opuścił swego dawnego kapitana, zaś Tomasz l'Agnelet, wyruszając znów na wyspy w poszukiwaniu korsarskich przygód weźmie Ludwika Guénolégo jako swego porucznika, brata i Brata Wybrzeża.

XI

Jak czynił to już wiele razy, Ludwik Guénolé zaczął przygotowywać „Piękną Łasicę” do bliskiego opuszczenia Saint-Malo. I jakkolwiek nie zaniedbywał najmniejszej rzeczy, a przede wszystkim zamustrowania starannie dobranych, śmiałych i odważnych chłopców z miasta, to jednak wykonywał wszystko tak dyskretnie, że nikt o tym z początku nic nie wiedział. Zbrojenie fregaty korsarskiej w pełni pokoju mogło zaniepokoić ludzi z admiralicji, a należało unikać wszelkich kłopotów aż do dnia, kiedy papiery „Piękną Łasicę”, doprowadzone do porządku dzięki staraniom zacnego pana d’Ogeron, dadzą Tomaszowi i jego ludziom prawo żeglowania, z dwudziestoma osiemnastofuntowymi działami, dobrymi kulami świeżo lanymi i okazałą liczbą pięknie ułożonych beczulek prochu, po wszystkich morzach.

Żaden mieszkaniec nie wiedział zatem o postanowieniu Tomasza l’Agneleta. Tylko Juana dowiedziała się o tym z ust samego korsarza, ale tajemnicy tej nikomu nie ujawniała. Guénolé nie powiedział ani słowa nawet ojcu i matce, chociaż kosztowało go to wiele, był bowiem wyjątkowo przykładnym synem. Chłopcy, wciągnięci na listę załogi, mieli zakaz mówienia czegokolwiek na temat wyprawy pod karą skreślenia ich z listy. Jeżeli szepotali między sobą, to tylko w cztery oczy i jedynie w szynku przy szczelnie zamkniętych drzwiach. Rozmowy zatem nie wychodziły początkowo poza gospody i tonęły na ogół w winie. Trubletowie, tak samo jak inni mieszkańcy, niczego się nawet nie domyślali.

Stary Malo wraz ze swoją połowicą Perryną nie żywili najmniejszych podejrzeń, że ich syn, którego nadal kochali, tak jak ojciec i matka nie przestawali kochać syna marnotrawnego, był gotów porzucić ich i podróżować z dala od nich jak biblijny syn marnotrawny. O niczym nie wiedząc, nie uczynili żadnego gestu, aby go zatrzymać, przekonani oboje, że wcześniej czy później ich zuch porzuci niegodziwą dziewczynę i wróci do domu z prośbą o przebaczenie, którego by mu udzielili bez wahania. Łudzili się w ten sposób, a później odczuwali wielki ból i gorycz, że nie byli bardziej przewidujący i wielkoduszni. Tomasz bowiem tak cierpiał z powodu swego odosobnienia i nienawiści, demonstrowanej przez całe miasto, że okazanie przez rodzinę najmniejszego choćby znaku czułości byłoby go może powstrzymało w ostatniej chwili przed opuszczeniem Saint-Malo i przywiązało na powrót do ziemi rodzinnej, drogiej sercu Bretończyka. Ale żadne oznaki wyrozumiałości do niego nie dotarły.

Wilhelmina, bez przerwy śledząca swego brata i ładacznicę mauretańską – jak nazywała Juanę – zwęszyła jednak cokolwiek. Służące, którym za informacje dawała stare wstążki, chusteczki i różne błyskotki, doniosły jej o sprzedaży Tomaszowi przez kawalera Danycana „Piękną Łasicę” oraz o zbrojeniu jej przez Ludwika Guénolégo. Dziewczęta dowiedziały się o tym od swych gachów: marynarzy, urzędników dostawcy albo skrybów od notariusza, który sporządzał akta. Wilhelmina nie wątpiła, że wiadomości te razem wzięte oznaczały bliski odjazd korsarza. Mogła powiadomić rodziców. I byłaby może to uczyniła, gdyby, przechodząc pewnego dnia ulicą Entre les Deux Marchés, nie natknęła się na piękną budowlę, świeżo wzniesioną z granitu, na której dachu murarze zawiesili trzy gałęzie kwitnącego janowca na znak ukończenia roboty. Dowiedziała się wówczas, że dom ów, jeden z najokazalszych w mieście, zmienił właściciela i że nabywcą i nowym jego panem nie był nikt inny jak pan de l’Agnelet we własnej osobie, który zapłacił zań cztery tysiące talarów gotówką, czemu dziwiła się gawiedź, suma bowiem była wielka. Ta wiadomość wprawiła Wilhelminę w niebywałą wściekłość.

Rozjątrzona w zazdrości pomyślała, że oto teraz ta małpa, ta prawie Murzynka będzie zamieszkiwać pałac. Zacznie odgrywać księżnę, podczas gdy jej kochanek, głupiec i rogacz, Tomasz, będzie swą siostrą nadal pogardzał do woli! Niechby już jutro odpłynął na swej

przeklętej fregacie, zabierając ze sobą tę mauretańską ładacznice i niechby wyniósł się tak daleko, ażeby już nigdy nie usłyszała ani o nim, ani o niej!

Uczyliła niezwłocznie ślubowanie, przyrzekając Matce Boskiej Nieustającej Pomocy ofiarować świecę z białego wosku wagi szesnastu funtów, jeżeli zarówno Tomasz, jak i Juana w ciągu ich życia nie przestąpią progu wspaniałego domu przy ulicy Entre les Deux Marchés.

Ten powód sprawił, że Wilhelmina nie rozgłaszała wieści o przygotowywanej w tajemnicy wyprawie brata. Obawiała się, że coś stanie na przeszkodzie i, nie daj Boże, Tomasz ze swoją kochanką zostaną w mieście. Dlatego właśnie Malo i Perryna Trublet, a wraz z nimi ich synowie: Bertrand i Bartłomiej oraz Jan, który dopiero co przybył z kampanii do Indii, do końca nie wiedzieli o zamiarach Tomasza. Nic i nikt nie mógł mu zatem przeszkodzić w opuszczeniu rodzinnego miasta.

Do podniesienia kotwicy pozostał jeszcze tylko tydzień. Ludwik Guénolé przebywał cały czas na pokładzie fregaty, aby dopilnować wykonania najdrobniejszych nawet prac i przekonać się, czy wszystko jest we wzorowym porządku. Tomasz postanowił wypłynąć w dzień świętej Barbary, patronki bombardierów i w ogóle ludzi, którzy mają do czynienia z prochem. Dzień ten, 4 grudnia, wypadł w roku 1678 w niedzielę.

Wcześniej trochę, w piątek 25 listopada, Tomasz, który dokonał starannego przeglądu fregaty i zapoznał się ze stanem przygotowań do wyjścia w morze, wracał do miasta w towarzystwie Ludwika Guénolégo. Szli wzdłuż wału bez pośpiechu, jak ludzie, których czas nie nagli. Tomasz opowiedział o ostatnim złośliwym wybryku tej żmii Wilhelminy. Otóż szła ona ukradkiem za Juaną, wracającą do mieszkania, a kiedy ta wchodziła do domu, oblała ją pomyjami, tak że satynowa suknia została splamiona i jest do wyrzucenia.

Ludwik Guénolé milcząco pokiwał głową i opuścił czoło. Tomasz wówczas przeciął powietrze ręką jak szpadą.

– Zresztą – wyrzucił z siebie – mało mnie to obchodzi. Ta przeklęta Wilhelmina jest dla mnie teraz nikim, a jej dzika i śmieszna wściekłość nie zdoła mnie więcej wzruszyć, gdyż powiedziałem ci: nie chcę być Trubletem, jestem od tej chwili wyłącznie l'Agneletem. Wypierają się mnie, ja się ich także wypieram. Jeśli mnie kochasz, nigdy odtąd mi o nich nie mów. Doszli do furty Croix du Fief. Ludwik Guénolé zatrzymał się nagle i spojrzał na Tomasa.

– A o innych ludziach – spytał głosem jakby błagalnym – też mam ci nie mówić? O pewnej kobiecie czarno odzianej i ojej dziecku, które jest także twoim dzieckiem?

Tomasz bez najmniejszego wahania spojrzał mu prosto w oczy, a potem położył obie dłonie na ramionach Ludwika.

– Bóg nie chce – rzekł – abym odpłacał bliźnim złem za dobro ani bym nie odróżniał dobrych od złych. Co do Anny Marii i dziecka powziąłem postanowienie i powiem ci o nim. Ten dom, który zamierzałem kupić dla siebie i mojej przyjaciółki, nabyłem istotnie i robię teraz wszystko, aby go pięknie umeblować. Chcę, żeby znalazły się w nim dobre i wygodne meble, wykwintna bielizna oraz wspaniałe naczynia w szafach. Gdy urządzenie domu będzie zakończone, uczynię donację zarówno dla syna, jak i dla matki, dla niej dożywocie, dla niego własność. Dokumenty będą sporządzone przed notariuszem nie później niż jutro. Anna Maria będzie odtąd z synem tam właśnie mieszkała, a talarów jej nie zabraknie, aby zaspokajać wszelkie fantazje i zachcianki. Będzie mogła czynić, co jej się spodoba, a przede wszystkim będzie mogła się wszędzie pokazać z dumnym obliczem, tak samo jak inni zacni obywatele miasta.

Tomasz zdjął dłonie z ramion Ludwika. Odstąpił trzy kroki i odwracając się wyszeptał sam do siebie:

– I oby nade wszystko za tę cenę Chrystus z Ravelinu, jak też Najświętsza Panna Wielkiej Bramy, której wzywałem tak zuchwale przy zwłokach konającego Wincentego Kerdoncuffa, odpuścili mi grzech krzywoprzysięstwa!

Wzruszony Ludwik Guénolé rzekł:

– Jesteś wielce szlachetny, Tomaszu, ale doceniając całą twą wspaniałomyślność Anna Maria z pewnością wołałaby mieć męża i ojca dla dziecka...

Tomasz wzdrygnął się, jakby przyjaciel dotknął świeżej rany i ruchem ręki nie dopuścił do dalszego przekonywania.

– Ja jej nie kocham! – powiedział to, co tyle razy powtarzał. Sprawiał wrażenie człowieka uginającego się pod zbyt ciężkim brzemieniem.

Minęli furte i kroczyli po bruku ulicznym. Deszcz bretoński padał drobniutkimi kropelkami. Tomasz, który szedł jakby odruchowo, poślizgnął się kilkakrotnie, i Ludwik musiał go podtrzymywać.

Dotarli do rogu ulicy Trzech Króli, kiedy jakaś nędzarka, zgrzybiała i wychudła, że litość brała, wyciągnęła ku nim zabloconą rękę i poprosiła o jałmużnę w imię świętej Katarzyny, której święto przypadało w tym dniu. Tomasz, szczodry jak zwykle, wrzucił w tę rękę talar sześcioletni. Wtedy okryta łachmanami nędzarka, jakby rażona słońcem, zgięła się, aby się pokłonić, tak że czoło jej dotykało błota, a potem pospiesznie uchwyciła korsarza za połą płaszcz.

– Bóg z tobą, mój dobry panie! – zawołała baranym głosem. – Oby Bóg panu stokrotnie wynagrodził hojną jałmużnę! Bóg z tobą, panie kochany! Niech no pan pokaże rękę Marii Chienperdu, która postara się przepowiedzieć panu przyszłość, aby pana przestrzec, jeśli się da, przed wrogami... Daj swoją rękę, aby pocziwa Maria wyczytała pańskie przeznaczenie od początku do końca: złe, dobre, dzień, noc, gog i magog – jak mnie nauczyli Egipcjanie!

Tomasz, zdziwiony i zaniepokojony, zatrzymał się:

– Egipcjanie?

– Egipcjanie, tak, tak! – powtórzyła nędzarka. – Egipcjanie, Cyganie i Saraceni, podłe plemię wszystko, ukradli mnie rodzicom, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Ale Najświętsza Maria Panna opiekowała się mną, bo była moją patronką i dlatego że modliłam się do niej, jak tylko umiałam. A ci przekłęci bezbożnicy, co mnie zatrzymali, poumierali wszyscy, jedni na suchej gałęzi, inni spaleni, ja zaś żyję, mój dobry panie!

Tomasz, nie wahając się dłużej, dał jej lewą rękę. Imię Matki Bożej uspokoiło go na tyle, że zarzucił myśl o bezbożności takich pogańskich praktyk. Guénolé, przeciwnie, wrogi wszelkim wróżbom i przepowiedniom, cofnął się szybko pod okap sąsiedniego domu i spoglądał na staruchę niepewnymi oczyma.

– To jest naprawdę – rzekła stara, badając z bliska szeroką dłoń korsarza – ręka dumna i szlachetna, mój dobry panie!

Dotykała jej końcami palców, wychudłych jak palce trupa. Obracała i ustawiała rękę Tomasza po to, aby móc ją dokładnie obejrzeć.

– Widzę tu wiele bitew, wiele zwycięstw i sławy, a także wiele złota i wiele srebra. Czy to możliwe być tak szczęśliwym i takie mieć powodzenie we wszystkich poczynaniach?... Ach! Czasami... tak... musi się pan strzec ciemnego mężczyzny... obcego mężczyzny... i tak samo strzec przed nim pańską małżonkę...

Tomasz ściągnął brwi i zapytał:

– Obcego mężczyzny?

– Tak, tak! Złodzieja, Egipcjanina, Cygana, Saracena, jeszcze jakiego!... A przecież przystojny szelma, z pewnością... Strzeż się go, panie. Jest tu wypisane wyraźnie.

– A potem?

– Potem... tak... Potem... No... Cóż to tu jest, że nie mogę zobaczyć?

Puściła nagle dłoń, odskoczyła nieco i podniosła na Tomasza zapadłe oczy, które stały się niespokojne.

– Cóż to jest? – zdziwił się Tomasz.

– Łaski i przebaczenia proszę, jeżeli się mylę. To wcale nie z mojej winy... jest tam przecież wyraźnie... Niech pan sam spojrzy: obłok, czerwony obłok.

– Ale czego?

– Krwi...

Zgięła plecy i zasłoniła bojaźliwie głowę łokciem. Tomasz, który oczekiwał czegoś gorszego, wybuchnął śmiechem:

– Krwi? Obłok krwi na mojej dłoni? Do stu diabłów! Byłabyś ślepa, gdybyś jej tam nie znalazła. Przeląłem jej bowiem więcej, niż należało, aby służyć królowi. Chodźże i powiedz, co jeszcze widzisz?

Starucha poruszyła głową.

– Inna krew, inna, niż ta, o której pan mówi.

– Jaka więc?

Wzięła znów dłoń, nachyliła ją ukośnie:

– Krew... krew kogoś... kogoś, kto jest tu blisko przy panu... całkiem blisko...

Tomasz mimo woli rzucił okiem na pustą ulicę. Nie zauważył ani psa, ani kota. Jedynie Guénolé stał pod pobliskim okapem. Tomasz przelknął ślinę, nabrał odwagi i znowu wybuchnął śmiechem:

– Tutaj całkiem blisko? Tutaj całkiem blisko nie ma prawie nikogo. Jazda, stara! Co jeszcze widzisz?

Uspokojona, spojrzała znowu na wielką szeroką dłoń.

– Och! – mamrotała, drżąc cała – krew miesza znaki... Wiele się jednak tu wyjaśnia... Niech pan zobaczy, niech pan zobaczy sam: ta kręta bruzda, bardzo głęboka i czerwona, co idzie stąd aż tam, to jest jakby całe pańskie przeznaczenie...

Pochylił głowę na bok i zmrużył powieki, aby dostrzec tę tajemniczą bruzdę.

– Zobacz no, stara, dokąd mnie w końcu zaprowadzi ta diabelska czerwona bruzda?

Gdy wyrzekł te słowa, starucha, która wciąż patrzyła z bardzo bliska na podaną rękę, zadrżała, potem skrzywiła się, jakby przerażona jakąś straszną i niespodzianie ukazującą się wizją. Tomasz ponowił pytanie. Zabełkotała coś, zanim odpowiedziała, a jej zmieniony głos stał się całkiem niski i ochrypły.

– Bardzo wysoko...

– Bardzo wysoko? – Tomasz instynktownie spojrzał na dachy domów. – Gdzież jest to miejsce?

Powtórzyła bez żadnego wyjaśnienia:

– Bardzo wysoko.

Spytał żartobliwie:

– Na tronie może?

Stara skurczyła się w sobie, wtulając głowę w ramiona.

– Wyżej – rzekła. – Wyżej niż to...

Zdziwiony tą odpowiedzią, Tomasz skierował pytający wzrok w stronę Ludwika. Ale w tej właśnie chwili wróżycha, która szczekała zębami z prawdziwego czy też udanego strachu, zaczęła nagle umykać. Biegła tak prędko, jakby ją niósł Lucyfer.

Tomasz nie miał najmniejszego zamiaru jej gonić.

– Głupie gadanie – rzekł tylko mocno rozczarowany.

Z całą braterską czułością ujął ramię milczącego Ludwika. Szli przez miasto ramię przy ramieniu i jakby zupełnie zapomnieli o starej żebraczkę z ulicy Trzech Króli i o jej niepokojących przepowiedniach. Obydwaj zdawali się nie myśleć więcej o całym tym niecodziennym zdarzeniu.

KSIĘGA SZÓSTA

RYCERZE FORTUNY

I

„Piękna Łasica” zawinęła do portu na Tortue. A nie opodal niej stała na kotwicy brygantyna o nazwie „Flying King”, której kapitanem był flibustier Edward Bonny, zwany Rudobrodym. Zdawać by się mogło, że nic nie uległo żadnej zmianie od czasu przybycia Tomasza do Indii Zachodnich po raz pierwszy, jakkolwiek od tej chwili upłynęło dobrych siedem lat. Tomasz, gawędząc jak ongiś w swej wielkiej kabinie z Rudobrodym, łudził się, że wszystko zastał w dawnym stanie i czuł się w jakiś magiczny sposób przeniesiony w czas miniony. Ale Rudobrody szybko rozproszył jego romantyczne iluzje i złudzenia. Zakomunikował swemu staremu kompanowi, że wiele się zmieniło na niekorzyść w porównaniu z Rokiem Pańskim 1672. Tomasz sądził z początku, że Rudobrody ma na myśli fakt, iż obaj się postarzel, i dlatego gwałtownie zaoponował:

– Na takich jak my nie znać wieku. I przysięgam ci, że czuję się teraz tak samo jak dawniej, silny, sprawny, pełen energii i żądny przygód.

– Hola! – zawołał Rudobrody, uderzając go po kolanach – hola, kamracie! Lubię cię takim! Niech mnie piekło pochłonie, jeśli wkrótce nie wypłyniemy stąd razem, aby dobrać się do skóry jakiegoś Hiszpana! Ale jednak, wierz mi, dzisiaj już nie jest tak, jak dawniej, sam się o tym przekonasz. Znałem Tortue wtedy, kiedy czymś była, a społeczeństwo flibustierów coś rzeczywiście znaczyło. Teraz widzę, że jest ono niczym, a Tortue znaczy jeszcze mniej! I niech diabli wezmą tych wszystkich, którzy to sprawili!

Tomasz, nic na nic nie rozumiejąc, zapytał:

– A kto to sprawił? Na wszystkich szatanów z piekła, mów, o co chodzi. Czyż to możliwe, aby ktoś ośmielił się drwić z ludzi takich jak my, jak ty i ja?

Na te pytania Rudobrody odpowiedział bardzo szczegółowo i wyczerpująco.

Było rzeczą ogólnie znaną, że groziła flibustierom całkowita ruina, której można było uniknąć tylko za cenę prawdziwej rewolucji, wprowadzającej tysiące radykalnych zmian we wszystkie zwyczaje i prawa panujące na wybrzeżu. Przyczyną całego zamieszania było nie co innego, jak zawarcie powszechnego pokoju, osiem czy dziewięć miesięcy temu, przez króla Francji z królem Hiszpanii i Republiką Zjednoczonych Prowincji. W przeciwieństwie do tego wszystkiego, co zawsze było czynione poprzednio, obydwaj pogodzeni władcy, a wraz z nimi Stany Generalne Holandii, powzięli myśl, aby rozciągnąć zawarty pokój na wszystkie części świata, a szczególnie na Amerykę, Niemcy i Flandrię. W wyniku tego porozumienia gubernatorzy francuscy na Antylach, a przede wszystkim pan de Cussi Tarin, który nastąpił po niedawno zmarłym panu d’Ogeron, całkowicie odmawiali teraz opieki i pomocy każdemu flibustierowi we wszystkich wyprawach i przedsięwzięciach. Flibustierzy mogli liczyć zaledwie na to, że patrzono przez palce na ich sprawki i że zezwalało im na pobyt w portach i przystaniach francuskich, bez czego sama egzystencja awanturników stałaby się wkrótce niemożliwa.

– No i co z tego – przerwał Rudobrodemu Tomasz. – Czy flibustierzy nie mogą się obyć bez tych wszystkich zezwoleń, jak i bez wszelkiej pomocy? A ty sam – czyś mnie nie wciągał w wyprawy przeciwko naszym nieprzyjaciołom, bez względu na to, czy są, czy nie wrogami mojego albo twojego króla? Dlaczego teraz ma być inaczej?

– Do licha! Dlatego że wówczas zarówno mój król, jak i twój wcale się nie wzruszali tym, czy ich za morzami słuchają, czy też nie. Odtąd nasi królowie – przekłeci niech będą obydwaj! – będą żądali, aby ich rozkazy były respektowane nawet tutaj. Zapewniał mnie o tym ten cholerny Cussi, rządzący teraz naszą Tortue, kiedy mi odmówił wydania przywileju korsarskiego, o co go prosiłem dwa miesiące temu, chcąc wziąć udział w pewnej wyprawie, którą kierował jeden z naszych braci nazwiskiem Grammont. I tenże Cussi nie krył wcale przede mną, że niebawem eskadry królewskie będą krążyły tu i tam po morzach i zmuszały nas, choćby siłą, do poniesienia naszych wypraw i do porzucenia życia, którym dotąd żyliśmy. Tak! Wszystko tak się właśnie przedstawia.

Tomasz, skrzyżowawszy ramiona i zmarszczywszy brwi, rzekł nagle:

– Bądź dobrej myśli, bracie. Pamiętasz ten dzień, kiedy stąd odjechałem, wracając do ojczyzny?

– Tak – odparł Rudobrody – było to zaledwie miesiąc po wzięciu Ciudad-Realu. Kupiłem sobie wtedy nowego „Flying Kinga” za udział, jaki otrzymałem ze zdobyczy, będzie to ze dwa lata temu.

– Dwa lata – powtórzył Tomasz. – Dwa lata mija od czasu, gdy opuściłem naszą Tortue, syt złota żeglując do mojego rodzinnego miasta Saint-Malo. Czy myślisz, że nie mógłbym tam żyć nadal bardzo wygodnie i dostatnio? Wróciłem jednak tutaj. Wróciłem, dlatego że uprawiając ongiś rzemiosło korsarskie, nie mógłbym dłużej żyć jak mieszczuch. Ale, na Boga! Jeśli tak się stało, to nie chcę pędzić tutaj żywota mieszczucha, chcę nadal uprawiać rzemiosło korsarza. Wierz mi, ani Cussi, ani jego eskadry królewskie, ani nawet rozkaz samego króla nie przeszkodzą mi, Tomaszowi, panu de l’Agnelet – bo jestem teraz szlachcicem – zwalczać, kogo będę chciał, z przywilejem korsarskim czy też bez niego!

Przerwał na chwilę, był bowiem zdyszany, mówiąc tak długo jednym tchem. Rudobrody wykrzyknął „hurra!”, a Tomasz, zachęcony tym okrzykiem, zaśmiał się na całe gardło.

– Do stu diabłów! – zawołał – posłuchaj tego, co ci powiem. W zeszłym roku ten, którego tak dzielnie wysyłaś do diabła, mój król Ludwik Wielki, dlatego właśnie, że zdobyłem i zrabowałem, zbombardowałem, zatopiłem albo spaliłem jaką setkę albo dwie okrętów nieprzyjacielskich – wśród których znalazło się wiele nie uprzedzonych o wypowiedzeniu im wojny, czego pewnie nie zapomniełeś – król Ludwik zatem wezwał mnie na dwór i swymi własnymi królewskimi ustami wielce mnie chwalił, honorował, komplementował, składał życzenia. A potem, na zakończenie wszystkiego, mianował prawdziwym panem i szlachcicem, z pergaminami, dokumentami, malowanymi herbami i wszelkimi innymi szykanami. Tak, tak! A cała ta heca zdarzyła się przed niespełna rokiem! Nie chce mi się wierzyć, tobie czy komukolwiek innemu, aby ten sam król, który mnie tak nagroził w zeszłym roku, miał mnie teraz karać za te same czyny. Nie! Zupełnie tego nie rozumiem. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić.

Rudobrody, przekonany wywodami Tomasza, podszedł do niego i tryskając radością, odzyskując dawną pewność siebie, mocno go poklepał po ramieniu.

– Wszystko zostało teraz powiedziane! – oznajmił z satysfakcją. – Aby działać szybciej, nie pójdę wcale do pana Cussi Tarin. Nie będę go o nic prosić, skoro i tak by mi odmówił. Jak tylko zaopatrzę się w żywność i w słodką wodę, wypływam. Jeśli chcesz, dołącz do mnie. A skoro król Francji nie chce mieć nieprzyjaciół, będę się kierował zasadą taką, że moimi wrogami są odtąd wszystkie okręty z wyjątkiem francuskich, angielskich i korsarskich. Oto krzyż i Biblia. Zaprzysięgnijmy sobie wzajemną wierność, jak to jest w zwyczaju.

Rudobrody wyciągnął zza pasa toporek abordażowy i ujął go lewą ręką ostrzem do góry:

– Oto na co chcę przysięgać. Odtąd nasze przysięgi składamy na ostrze topora. Byliśmy flibustierami, nazywano nas też korsarzami i awanturnikami, a teraz, ponieważ nas do tego zmuszają, wszyscy zostaniemy Kawalerami Pełnego Morza i Rycerzami Fortuny!

– Rycerzami Fortuny, niech tak będzie! – oświadczył Tomasz. I pierwszy przysięgł na ostrze topora.

II

W ten oto sposób Tomasz l'Agnelet ponownie podjął wyprawy korsarskie na „Pięknej Łasicy” i zaczął przemierzać morze amerykańskie, jak to czynił ongiś, niepomny na to, że czasy się zmieniły.

Tak samo jak on gonili po morzu wszyscy dawniejsi flibustierzy a ściślej, ci wszyscy, którym udało się uniknąć do tej pory niezliczonych, czyhających zewsząd niebezpieczeństw.

Ci zuchwali ludzie o rogatych duszach, podobnie jak Tomasz, bardzo mało przejmowali się nakazami i zakazami, jakie przeciw nim usiłowali wydawać władcy królestw Europy. Zmuszeni przemianować się na Rycerzy Morza, zdwoili ruchliwość i brawurę, jak gdyby kpiąc z tych dalekich królów, tak zarozumiale chcących ograniczyć wolność flibustierów. Od przylądka Catoche do Portu Hiszpańskiego i od Florydy do Wenezueli Tomasz raz po raz spotykał tych, których kiedyś już poznał. Wielokrotnie zawierał z nimi sojusze w celu wspólnego dokonania licznych przedsięwzięć. Wśród dawnych kompanów Tomasza znaleźli się: Francuz z Dieppe, tęższy i zuchwalszy niż kiedykolwiek; Awanturnik z Oléron, z rodziny hugenockiej; korsarka Mary Rackam, która jeszcze nie zerwała z Rudobrodym, choć zdradzała go wiele razy, jak utrzymywano, z Wenecjaninem Lorédanem, który pomimo to nie przestawał żeglować i bić się w towarzystwie Anglika na jego statku „Flying King”. Spotykał Tomasz także innych, niektórych znał mniej, niektórych wcale, ale o wielu z nich sława dotarła już do niego. Do tych sławnych należał Francuz Grammont, który zdobył miasto Puerto Cabello na wybrzeżu Cumana, o czym Rudobrody mówił Tomaszowi z nieklamany podziwem; znany był również Ostendczyk, nazwiskiem Van Horn, bardzo zręczny żeglarz; pewien Holender (czy też chcący za takiego uchodzić), który kazał się nazywać Wawrzyńcem de Graaf i który był doskonałym artylerzystą. Krótko mówiąc – wszyscy flibustierzy, zagrożeni zbyt pokojową wolą potężnych monarchów, gorączkowo używali życia i zwielokrotniali swoje wojownicze czyny.

Różni gubernatorzy i wojskowi wysłannicy królów Francji i Anglii, obciążeni przez swych władców specjalną misją tępienia wszelkich wypraw niezgodnych z prawem i zmuszenia korsarzy do pokoju, nie mogli się jednak oprzeć podziwowi dla nadzwyczajnego męstwa tych samych awanturników, których byli obowiązani karać. Ci właśnie gubernatorzy i wojskowi, przysłani, by zaprowadzić porządek, zwlekali długi czas z wykonaniem rozkazów i sprzyjali potajemnie flibustierom. Doszło nawet do tego, że jeden z nich, pan Cussi Tarin, wydał kilku francuskim kapitanom przywileje korsarskie, których z początku im odmawiał. Był on bowiem, tak jak nieboszczyk pan d'Ogeron, człowiekiem przychylnym dla ludzi walecznych. W ten sposób, myślał, za cenę mniejszego zła uniknie się zła gorszego, gdyż ci zbyt wojowniczy kapitanowie z pewnością nie omieszkaliby się upierać przy swoim i prowadzić wojny wbrew wszelkim edyktom i rozporządzeniom. Nie mogąc ich przekonać, aby tego nie robili, uznał, że lepiej będzie, jeśli pozostaną korsarzami, niżby mieli uprawiać swój proceder jako zwykli piraci. W ten sposób zachowuje się dla Jego Królewskiej Mości dzielnych poddanych, z których będzie dumny w dniu, kiedy jego nieprzyjaciele zmuszą go do ponownego wyciągnięcia szpady.

Od kwietnia 1679 roku do maja 1682 Tomasz, przemierzając morze utartymi szlakami i dawnym zwyczajem rabując wszystkie napotkane okręty, bez zwracania uwagi na ich bandery albo pochodzenie, zdobył dwadzieścia statków hiszpańskich, osiem holenderskich, trzy portugalskie, dwa ostendzkie, jeden duński, pięć różnych innych narodowości i trzy, które nie przyznawały się do żadnej narodowości. Do tych czterdziestu dwóch statków, uważanych za nieprzyjacielskie, należy dodać cztery, wzięte z początku za sojusznicze (trzy z nich bowiem miały banderę angielską, a czwarty francuską), z którymi „Piękna Łasica”, z powodów god-

nych pożałowania, była zmuszona walczyć. Pokazna zdobycz sprzedana została korzystnie na samej Tortue, część łupów spieniężono na Jamajce, na San Domingo i Wyspie Świętego Krzysztofa. Juana zatrzymała dla siebie moc drogich kamieni i najpiękniejszych pereł, którymi nie omieszkała się przyozdobić do tego stopnia, że cała była pokryta kosztownościami, stając się podobna do owej Brunetty de la Macarena, przedmiotu jej coraz gorliwszej pobożności.

Juana, miłowana bezgranicznie przez kochanka, dumna i obojętna, wiodła teraz beztroskie życie na „Pięknej Łasicy”, która obecnie zastępowała jej ojczyznę i na której była rzeczywistą panią i właścicielką.

Zbliżała się obecnie do dwudziestego roku życia. A wiek ten, który dla dam andaluzyjskich jest tym, czym dla dam francuskich wiek lat dwudziestu pięciu albo trzydziestu – w krajach południowych bowiem słońce przyspiesza dojrzałość wszelkich istot żyjących – rozwinął wspaniale wszystkie niebywałe piękności jej ciała, które Tomasza doprowadzały do szaleństwa. Bez przesady można powiedzieć, że przez cały czas, kiedy trwały te wyprawy, będące ostatnimi wyprawami flibustierów, Juana była tak śliczna i tak pożądana przez wszystkich, iż szła za nią prawdziwa fala gorących i dzikich namiętności, fala z dnia na dzień szersza i coraz bardziej wrząca. Hamował i powstrzymywał te namiętności jedynie głęboki lęk, jaki odczuwano przed samym tylko imieniem Tomasza l’Agneleta.

Tomasz zaś, człowiek coraz groźniejszy w miarę, jak rosła liczba jego bitew, z których żadna nigdy nie była przegrana, pozostawał nadal ujarzmionym przez kochankę i z każdym dniem coraz bardziej oddanym jej duszą i ciałem. Nie było to spowodowane jedynie jej pięknnością, pięknnością bez zarzutu. Było znacznie gorzej. Juana, niebywale teraz roznamiętniona, spragniona użycia, w pełni świadoma swej dojrzałej kobiecości, z niebywałym wprost mistrzostwem pogłębiła i zwielokrotniła przez tysiące tajemnic i rozkosznych praktyk tę despotyczną władzę, którą od dawna rozciągała nad korsarzem i którą czyniła z każdym dniem bardziej tyrańską.

Tak więc faktycznym dowódcą „Pięknej Łasicy” była Juana, a nie Tomasz. Ona decydowała, co robić, w jakim kierunku płynąć, czy ścigać okręt dostrzeżony na południu, czy na północy – jednym słowem kierowała wszystkim aż do momentu naładowania dział i rozpoczęcia walki. Ludwik Guénolé, który nie mógł się przyzwyczaić do takich dzikich fantazji, drżał zawsze, aby nie posunęła się za daleko i nie zechciała pewnego pięknego poranku rozkazywać i prowadzić walki.

Prawdę mówiąc – rzecz nie była tak bardzo nieprawdopodobna. Juana bowiem nie należała do tych strachliwych panien, które wystrzał z pistoletu wprawia w lęk, a nawet w omdlenie. Przeciwnie – osobliwa dama najlepiej się czuła w samym środku najdzikszego zgiełku walki. Kiedy zaczynał padać deszcz kul, każdy mógł ją widzieć, ubraną we wspaniałe szaty i przechadzającą się bardzo spokojnie na kasztelu rufowym. Wystawiała z pogardą odsłoniętą pierś na śmiertelne pieszczoty kul i wdychała pełnymi nozdrzami ostrą woń prochu.

Poza tymi niebezpiecznymi przechadzkami przyjaciółka Tomasza nie wychodziła prawie z kabiny. Czasami pogrążała się w marzeniach. Głównie jednak spędzała czas na strojeniu się i przebieraniu oraz na uprawianiu miłości. Oboje kochankowie, tak samo silnie opanowani władczą żądzą, znęcali się jedno nad drugim aż do znużenia, bez wytchnienia i litości, rozdrapując sobie ciało do krwi podczas lubieżnych stosunków, bliższych nienawiści niż jakiegokolwiek czułości. Chłopcy z fregaty dziwili się wiele razy, widząc kapitana, udającego się rankiem na chwiejnych nogach na rufę. Stał tam błądy, z podkrążonymi oczami, jeszcze wilgotnymi od pocałunków kochanki.

Ponad trzy lata „Piękna Łasica” żeglowała pośród tysiąca przygód, perypetii, niebezpieczeństw, unosząc kapryśną parę tych zapamiętałych kochanków, nie troszczących się zupełnie o to, co nie było nimi samymi. Nic a nic nie obchodził ich poważny i nabożny Guénolé, który

przy ich boku wyglądał jak święty, zabłąkany w piekle. Nie dbali o kilkusetosobową załogę złożoną z dzielnych chłopców z Saint-Malo, których dziesiątkowała złośliwa gorączka i ogień nieprzyjaciół. Luki w załodze Tomasz l'Agnelet był zmuszony uzupełniać; nowych kompanów zdobywał w posiadłościach angielskich, holenderskich, hiszpańskich, a także, oczywiście, francuskich.

III

Po upływie owych trzech lat, w maju 1682 roku, zaszło wydarzenie, na pozór całkowicie zwyczajne, nie różniące się od tylu innych, które jednak okazało się brzemienne w groźne skutki.

Tomasz powracając wówczas z Cayes koło Kuby, gdzie dokonał grabieży okrętu, zawarł z kilkoma kapitanami flibustierskich okrętów stosowną umowę dotyczącą wspólnego ataku na miasto Puerto Bello. To posunięcie było wywołane chęcią naśladowania słynnego angielskiego pirata Morgana, który zdobył to miasto kilkanaście lat temu, nałożył na nie olbrzymi okup i całe dziesięć miesięcy przebywał tam pod bokiem prezydenta Panamy, don Juana Pereza de Guzmána. Tak wspinały przykład zasługiwał na to, aby go naśladować, a ponadto liczone na zdobycie sławy i bogactwa.

Puerto Bello było rzeczywiście główną atlantycką bazą wszystkich krajów południowoamerykańskich. Najważniejszą zaś i najbardziej godną uwagi sprawą było to, że tu właśnie gromadzono niesłychanie bogate ładunki, przede wszystkim pochodzące z Meksyku i Peru złoto i srebro, które następnie na galeonach katolickiego króla przewożono do Hiszpanii.

Umowa została zawarta na Wyspie Krowiej, co było rozsądniejsze niż zawarcie jej na Tortue, albowiem gubernator Cussi, jakkolwiek złagodził nieco swoje pierwotne ustawy, ciągle jednak czynił wszelkim przedsięwzięciom flibustierów tysiące utrudnień. Najlepiej było działać bez jego wiedzy. Jako punkt zborny akcji wyznaczono wysepkę Providencia, położoną w zatoce przy wybrzeżu Nikaragui, czyli akurat naprzeciwko Puerto Bello. Kiedy już wszystko zostało najrozważniej ułożone, Tomasz wypłynął 19 maja pod opieką dobrego świętego Iwona, którego święto przypadało akurat tego dnia, i pożegłował prosto na wyznaczone miejsce, przekonany, że znajdzie tam Braci Wybrzeża, którzy wypłynęli trzy albo cztery dni wcześniej.

Kiedy 22 maja, po trzech dniach sprzyjających wiatrów, „Piękna Łasica” skierowała się do przejścia, gdzie miano rzucić kotwicę, istotnie dostrzegła tam dwa duże okręty, powiewające białymi flagami. Tomasz, beztroski jak zwykle, nie wątpił, że są to okręty Wawrzyńca de Graafa i Van Horna, którzy brali udział w wyprawie i rzeczywiście dowodzili potężnymi statkami. Był zatem całkowicie zaskoczony, kiedy nagle obydwie statki, ściągnawszy białe flagi, zawiesiły na ich miejsce bandery Kastylji i w tej samej chwili rozpoczęły walkę. Na szczęście rozważny Guénolé, ostrożniejszy niż jego dowódca, zwęszył podstęp i pod pozorem przygotowań do strzałów powitalnych otworzył parki amunicyjne i zwołał wszystkich ładowniczych na miejsca. Dzięki temu „Piękna Łasica” odpowiedziała szybko na ogień hiszpański. Rozpoczęła równą walkę, choć znajdowała się w wąskim przejściu, gdzie prawie nie mogła manewrować.

Zasadzka została przygotowana na rozkaz prezydenta Panamy, będącego zarazem wodzem wszystkich wojsk hiszpańskich, stacjonujących w Peru. Złożył on uroczystą przysięgę swemu panu, królowi Hiszpanii, że uwolni Amerykę od flibustierów albo zginie. Powiadomiony przez szpiegów o przedsięwzięciu podejmowanym przeciwko Puerto Bello, powziął myśl o udaremnieniu wyprawy. W tym celu wysłał na wysepkę Providencia wielką eskadrę, mającą zniszczyć albo rozproszyć wszystkich korsarzy, którzy się tam ukażą. Wawrzyniec de Graaf i Van Horn zmuszeni byli uciekać przed kilkoma okrętami liniowymi. Z tego też powodu To-

masz został zmuszony podjąć walkę przeciwko tylnej straży eskadry, czyli przeciwko dwóm okrętom, mającym razem sześćdziesiąt sześć dział, podczas gdy „Piękna Łasica” miała ich tylko dwadzieścia.

Ale walka z kilkakrotnie silniejszym przeciwnikiem nie była niczym nadzwyczajnym dla flibustierów. Dziesiątki już razy Tomasz wydobywał się z gorszych tarapatów. Pułapka, w jaką teraz wpadł, nie przeszkodziła mu w skrupulatnym wykonywaniu korsarskiego rzemiosła. Hiszpanie szybko się zorientowali, że zaatakowali zbyt zuchwale i że bez większej liczby okrętów nie zwyciężą tak groźnego nieprzyjaciela. Walczyli rozpaczliwie, strzelając kartażami i oddając potężne salwy. Czasu mieli zaledwie tyle, żeby nabić działa. Celny ogień Francuzów walił w nich tak ostro jak uderzenie topora. Daremnie wrzeszczeli na całe gardło, wyrzucając wściekle okrzyki „hurra”, aby dodać sobie animuszu. A z burty „Pięknej Łasicy” strzelano spokojnie i zarazem bezlitośnie, bo tego właśnie wymagał poważny Guénolé. W końcu, większa z fregat kastylskich, pozbawiona masztów i mocno uszkodzona, z wielkim trudem broniąca się, odcięła liny kotwiczne i zdryfowała na skały podwodne, gdzie utknęła, kończąc w ten sposób walkę. Jej samotna teraz towarzyszka uznała bitwę za całkowicie przegraną, ściągnęła swą żółto-czerwoną banderę i poddała się.

I wtedy zdarzyło się coś, co nie było przewidziane.

Chłopcy z „Pięknej Łasicy” spuścili już łódź na wodę i stawiali stopę na pokładzie Hiszpana. Cały okręt był pokryty rannymi i umierającymi. Zwyczaj chce, aby w podobnych okolicznościach każdy jeńiec został dobity, co miało oszczędzić kłopotów zwycięzcom. Francuzi zaczęli zatem zabijać swych nieprzyjaciół, wyrzucając trupy za burtę. Nagle jeden spośród rannych, których miano zatłuc, podniósł się i wymykając się zwinnie trzymającym go ludziom, rzucił się na kolana przed Tomaszem.

– Señor capitan – zawołał rozpaczliwie – no me mateis! Yo os dire la verdad!

Było to, słowo w słowo, to samo zdanie, jakie wyrzekł podczas wzięcia Ciudad-Realu jeńiec Mulat, który ostatecznie służył za przewodnika. Tomasz przypomniał to sobie, a ponadto zaintrygowany był słowem „verdad”, które znaczyło prawda. Domyślał się w tym jakiejś tajemnicy i chciał ją natychmiast poznać. Proszono jeńca o wyjaśnienie, ale on obejmował nadal stopy korsarza i nie mógł wykrztusić słowa, jakby przerażony tym, co ma powiedzieć. Był to Mulat o pięknej sylwetce, który otrzymał ranę z muszkietu w prawe ramię. Drżał od stóp do głów.

– Do diabła! – krzyknął Tomasz, szybko tracąc cierpliwość. – Żeby mi go natychmiast zabito, jeśli nie ma nic do gadania. Dać mi tu pistolet!

Człowiek tym razem przemówił, a to, co powiedział, wprawilo wszystkich w niezmierne zdumienie. Gdy na jego błagania darowano mu życie za cenę tej prawdy, jaką objawi, oznajmił, że nazywa się Mohere, jest z zawodu katem, mieszka w Panamie, został zabrany z flotą hiszpańską na wyraźny rozkaz prezydenta, który, nie wątpiąc ani przez moment, iż flota ta odniesie zwycięstwo nad flibustierami, przykazał surowo, aby nie okazywano rozbójnikom żadnej łaski i aby ich wszystkich powieszono, zaś pana de l’Agneleta wyżej od innych.

Chłopcy podnieśli dziki wrzask. Tomasz, bardzo spokojny, nagle zbladł. Nakazał wszystkim milczenie, po czym, spoglądając na kata wciąż zgiętego u jego stóp, rzekł:

– Daruję ci życie! Daruję ci nawet wolność, ale pod tym warunkiem jedynie, że zaniesiesz list do swego prezydenta, chcę bowiem, aby dostał ode mnie wiadomość. Tymczasem patrz uważnie na to, co się tutaj dzieć będzie, abys mu zdał dokładny raport.

Mówiąc wyciągnął cudownie ostrą szpadę z doskonałej stali. Chłopcy, którzy pilnie śledzili ruchy Tomasza, zobaczyli, jak podszedł do luku. Cali i zdrowi Hiszpanie, jak to zwykle bywa, ukryli się w głębi okrętu.

– Na górę wszyscy! – wydał rozkaz Tomasz.

Gdy pierwszy z nich wielce przerażony stanął na pokładzie, Tomasz straszliwym ruchem odciął mu głowę. Wyszedł następny i głowa jego również padła. Kolejno wyszło jeszcze kil-

kudziesięciu Hiszpanów; żaden z nich nie podejrzewał, że spotka się na górze ze śmiertelnym cięciem szpady, ociekającej krwią towarzyszy. Tomasz niestrudzenie ciął jedną głowę po drugiej. W końcu spadła pięćdziesiąta trzecia głowa – ostatnie były raczej oderżnięte niż odcięte – a Tomasz wciąż z tą samą wściekłością wymachiwał swą szpadą, stępioną teraz i poszczerbioną. Wszystko już było skończone – ostatni jeniec został zabity.

Korsarze przyglądali się w milczeniu tej straszliwej egzekucji. I jakkolwiek zahartowani, przywykli do najokrutniej szych rzezi, zbledli ze zgrozy. Mimo to na skinienie swego pana bez żadnego sprzeciwu rzucili do morza całe to pocięte mięso ludzkie. Potem jeden z korsarzy, którego nazywano Proboszczem, studiował bowiem niegdyś teologię, zbliżył się na rozkaz Tomasza, aby napisać list, który Mulat-kat, jedyny ocalały z załogi nieprzyjacielskiej, miał zanieść swemu prezydentowi. Nikt z całego towarzystwa nie miał, oczywiście, ani atramentu, ani papieru, ani pióra. Ale dawny słuchacz teologii wcale się tym nie zmartwił i odłupał z kawałka drewna drzazgę w formie sztyletu, którą umoczył w rozlanej krwi. Żaden skryba nie miał nigdy tak wielkiego kałamarza ani tak pięknego czerwonego atramentu. Szukając papieru chłopcy przetrząsnęli kufer zabitego kapitana hiszpańskiego i na jego własnym patencie kapitańskim słuchacz teologii napisał list, podyktowany mu przez Tomasza.

„My, Tomasz, z łaski Boga i Jego Królewskiej Mości Króla Francji pan de l’Agnelet, a oprócz tego kapitan flibustierów i Rycerz Fortuny, do pana prezydenta Panamy.

Niniejszym podajemy do wiadomości, że flota przez Pana wysłana na wysepkę Providencia, aby nas rozbić i wyciąć do ostatniego – wbrew wszelkim prawom i zwyczajom uczciwej wojny – sama została rozbita i zwyciężona przez nas w sprawiedliwej walce. Może o tym zaświadczyć niewolnik puszczony na wolność, którego odsyłamy, aby doręczył Panu to orędzie.

Rzeczony niewolnik zeznał przed nami, że był opłacanym przez Pana katem. Na statku Pańskiej floty znalazł się po to, by czynić swą katowską powinność. Jego zadaniem było powieszenie wszystkich francuskich korsarzy, których miała ująć Pańska flota. Gdyby Bóg dał wam zwycięstwo, wszystkich ujętych byście zamordowali, zamiast traktować jeńców z honorem, jak powinno być między chrześcijańskimi nieprzyjaciółmi. Z tego powodu my sami, naszymi rękoma i naszą szpadą ścięliśmy głowy wszystkim Hiszpanom przez nas ujętym. Uznaliśmy to za sprawiedliwy odwet, zgodny z wolą Boga, który nam dał zwycięstwo, Panu go odmówiwszy, chociaż flota Pańska była potężniejsza i liczniejsza.

Odtąd tak samo będziemy czynili w przyszłości. Mamy zamiar odmawiać Pańskim ludziom łaski i zabijać wszystkich. Również Pana samego, jeśli Bóg pozwoli, zabijemy, jak Pan zamierzał pozabijać nas i co by Pan uczynił, gdyby tylko mógł. Ale nigdy to się nie stanie, albowiem żaden z nas nigdy nie wpadnie żywy w wasze pogańskie ręce.

Niech tak będzie, gdyż taka jest nasza wola i niech Bóg będzie z Panem.

Tomasz l’Agnelet”

List ów prezydent Panamy przesłał później królowi katolickiemu „jako przerażający dowód zuchwałości i barbarzyństwa francuskich flibustierów”. Król Hiszpanii złożył list w swojej bibliotece w Eskurialu, gdzie każdy ciekawy podróżnik może go do dzisiaj oglądać.

IV

Poczynając od tego ponurego maja 1682 roku Tomasz l’Agnelet wolą swych nieprzyjaciół raczej niż własną pasowany został naprawdę na Rycerza Fortuny. Wrogowie zmusili go do tego, że prowadził przeciwko nim wojnę bezwzględną zamiast wojny uczciwej, to znaczy odmawiał łaski zwyciężonym. Wieształ, topił, rozstrzeliwał i ścinał wszystkich, którzy wpadli w jego ręce. Wówczas to „Piękna Łasica”, okręt ongiś bardzo uczciwy, okręt dobrych chrze-

ścijan, praktykujących, w miarę możności, cnotę miłosierdzia i przebaczenia, stała się jakby siedzibą szatańską, gdzie panowały najstraszliwsze występki, a ponad wszystko bezprzykładna dzikość, nigdy nie syta krwi.

Żadna choroba bowiem nie jest tak zaraźliwa, jak ta gorączka, która pali i pożera ludzi nawykłych do okrucieństwa. Ci chłopcy, niedawno tak szlachetni i łagodni, w zetknięciu z ztwardziałyymi zbrodniarzami oswoili się szybko ze zbrodnią i czuli rozkosz w dręczeniu i torturowaniu swych ofiar. Doszło do tego, że bez zmrużenia oka rozdzierali żywcem bezbronne ofiary i ćwiartowali je własnymi rękami. I ktokolwiek widziałby latem 1682 roku załogę fregaty Tomasza, złożoną głównie z chłopców z Saint-Malo, czułych i troskliwych synów i braci, ludzi uczciwych i pochodzących z zacnych rodzin, ktokolwiek zatem zobaczyłby ich obecnie, podobnych do najgorszych rozbójników, najstraszliwszych dzikich zwierząt, najkrwawszych łupieżców, byłby w stanie uwierzyć jedynie w to, że ta niewyobrażalna wprost przemiana była dziełem perfidnego uwodziciela i truciciela dusz – szatana.

Tylko Guénolé nie uległ tej obłąkańczej zarazie. Zbyt słaby był jednak, aby ją powstrzymać lub choć trochę złagodzić. Przewodził tym wszystkim zdeprawowanym bestiom sam Tomasz, a Ludwik nie miał w sobie takiej siły, by zmiękczyć jego serce lub wolę. Tomasz wprawdzie ciągle zapewniał Ludwika, że kocha go jak brata, ale nie pytał go już o radę ani nie rozmawiał z nim poufale. Wciąż między nimi była Juana. Ludwik Guénolé zamknął się w swojej enocie i żył samotnie pośród dzikiej bandy, której, rad nierad, był nadal porucznikiem. Żył tak, jak żyją pośród świata mnisi i kapłani, co nigdy nie odrywają pobożnych spojrzeń od Krzyża.

Niemal cały dzień spędzał w swej kabinie, wychodził z niej tylko, by sprawdzić, czy wszystko na okręcie jest w należyтым porządku. Codziennych przeglądów dokonywał z właściwą sobie sumiennością. Pilnował rygorystycznie tej dyscypliny, bez przestrzegania której okręt byłby narażony na utonięcie czy rozbicie. Po spełnieniu tego obowiązku wracał do siebie i zamykał szczelnie drzwi, aby nie słyszeć bezustannego wrzasku, kłótni, bluźnierstw, plugawych słów i innych hałaśliwych bezecności, które mu przeszkadzały w modlitwach. Zamknięty w swej izbie, Ludwik Guénolé nie czynił teraz nic innego, tylko się modlił. Modlił się przez cały dzień, a ściślej – w ciągu tych godzin dnia, kiedy nie miał służby. Również w nocy wstawał dwa razy, aby odśpiewać godzinki i jutrznię. A wszystko to czynił po to, aby ubłagać Pana Jezusa – za wstawiennictwem Matki Jego Przenajświętszej, Świętych Aniołów i Archaniołów, Apostołów, Męczenników, krótko mówiąc, Wszystkich Świętych – iżby był litościwy i miłosierny dla tych ludzi, kapitana i marynarzy, którzy jak szaleni rzucali swe dusze na pastwę szatana. I dla zbawienia tych dusz, a także dla zbawienia swej własnej duszy Ludwik Guénolé nie przestawał odmawiać bezustannie żarliwych modlitw. Zawsze czynił to we włosienicy, wielokrotnie się bicząc.

Przy całej swojej pobożności, gorliwości w wykonywaniu praktyk religijnych pozostał Ludwik wzorowym oficerem i groźnym wojownikiem. Nikt bardziej od niego nie przyczyniał się, zarówno w przeszłości, jak i teraz, do wygrywania wszystkich bitew. Gdy tylko bitwa była wygrana, znikał nagle, uciekając ze zgrozą przed straszliwym widokiem mordów i rzezi. Biegł szybko, aby paść na kolana przed krucyfiksem i błagać Pana o zmiłowanie dla katów i dla ofiar.

W przeciwieństwie do Ludwika, Juana w chwilach najkrwawszych walk przechadzała się po pokładzie wśród najgęstszego deszczu kul i kartaczy, lubując się w oglądaniu agonii pokonanych. Uśmiechała się wówczas i przesuwała cienkim językiem po misternie wymalowanych wargach, podczas gdy umierający pławili się we krwi i wyli z bólu.

Kroczyła między kałużami krwi oraz rozrzuconymi szczątkami ludzkimi i stawiała ostrożnie stopy w wytwornych pantoflach, aby nie zawałać satyny lub złotolitej materii. Zbliżała się do któregoś z konających, nachylała się, ażeby lepiej widzieć jego mękę i niekiedy żądała broni, aby mu zadawać ciosy własną ręką. Była bardzo zręczna i silna; jeśli chciała, zabijała

jednym uderzeniem. Najbardziej jednak gustowała w działaniu mniej szybkim i wymyślała nowe męczarnie, pomysłowe, powolne, wyrafinowane w swym okrucieństwie.

Tak też uczyniła, ku wielkiej ucieśze załogi, kiedy zdobyto okręt kupiecki z Kadyksu, nalożony indygo i koszenilą. Okręt ten nie stawiał wcale oporu, ale mógł stać się niebezpieczny, gdyby choć jeden znajdujący się na nim marynarz został przy życiu. Juana, śmiejąc się, rozkazała piratom przeciągnąć na zewnątrz przez wnękę trapową okrętu kupieckiego długą deskę na kształt mostku, który, oczywiście, o nic się nie opierał, zwisając jedynie nad wodą. Następnie rozkazała jeńcom wchodzić na ten mostek. Gdyby się wahali, miano ich niezwłocznie żywcem obedrzeć ze skóry i zanurzyć w roztopionym ołowiu. Jeden wahający się został poddany torturom. Inni pobiegli spiesznie ku furcie, wybierając śmierć w morzu. A tonięcie ich przedstawiało paradny widok, albowiem ludzie z Kadyksu, umiejąc dobrze pływać, pływali długo, zanim poszli na dno i, jak dobrze przewidziała Juana, pływały razem z nimi rekiny.

Nieco później – kiedy skończono walki i zabójstwa, kiedy zdobyte okręty zrabowano do cna, zatapiano wszystko, co im służyło jako ekwipunek. W końcu podpalano resztki okrętów, które zniknęły wśród nocy, oświetlając morze, zanim je pochłonęło. Wówczas dopiero Juana, pijana krwią, w porywie niecierpliwości wracała szybko do kabiny, rzuciwszy Tomaszowi ogniste spojrzenie, będące wołaniem i zarazem rozkazem.

A Tomasz zawsze słuchał tego rozkazu.

W takie wieczory zwycięska „Piękna Łasica” mknęła żywo po morzu, gdzie nie trzeba było obawiać się żadnej rafy. Potem, jeśli pogoda była piękna, fregata wypływała na ocean, żeglując pod pełnymi żaglami, z trzydziestoma latarniami zawieszonymi u masztów w obawie abordażu, ze sterem uwiązany, aby żaden członek załogi nie martwił się o drogę, czuwanie ani manewrowanie. I jeśli jakieś okręty, przepływające obok, ujrzęły wynurzający się z mroków nocy lub mgły ten osobliwy i szalony statek – cały w powodzi światła, skąd wydobywały się krzyki, śpiewy, śmiechy, bluźnierstwa stu dwudziestu pijanych rozbójników – zawracały w przerażeniu i umykały jak najprędzej, wierząc, że zobaczyły Okręt Widmo Przeklętego Holendra i jego zatraconą załogę, której, jak wiadomo, nawet piekło przyjąć nie chciało.

V

Pod koniec wiosny Roku Pańskiego 1683 kapitanowie flibustierów Grammont, Van Horn i Wawrzyniec de Graaf powzięli zamiar zaatakowania miasta Veracruz, położonego w Zatoce Meksykańskiej. Było ono stolicą królestwa Nowej Hiszpanii. Całe zbudowane z ciosanego kamienia, z wielką liczbą pałaców, domów, ogrodów, obficie zaopatrzonego piwnic, magazynów i różnych składów, gdzie bogaci Hiszpanie trzymają swoje skarby. Zdobycie tego wspaniałego miasta wynagrodziłoby flibustierom z nawiązką nieudane ubiegłoroczne przedsięwzięcie – a mianowicie niedoszły do skutku atak na Puerto Bello.

I tym razem umowa była zawarta na Wyspie Krowiej. Gubernator Cussi, tak jak poprzednio, czynił energiczne wysiłki, aby uniemożliwić flibustierom większe wyprawy. Odmawiał nawet wydawania wszelkich patentów korsarskich, a surowość swą posunął do tego stopnia, że nie wydawał teraz zwykłych zezwoleń na połów ryb, które mogłyby ułatwić awanturnikom zakup prochu, ołowiu i wszelkiej amunicji.

W obawie przed atakiem wzmocniono poważnie garnizon w Veracruz. Liczył obecnie cztery tysiące żołnierzy, a piętnaście tysięcy żołnierzy piechoty i kawalerii, rozlokowanych wokoło, w ciągu dwóch najwyżej godzin mogło przyjść w sukurs zagrożonemu miastu, gdyby tylko zaszła potrzeba. Kapitan Grammont, głównodowodzący wyprawy, zgromadził na Wyspie Krowiej wszystkich najzuchwalszych i najważniejszych flibustierów. Byli tam wszyscy

w komplecie, a mianowicie trójca: Grammont, Van Horn i Wawrzyniec de Graaf, oraz Tomasz l'Agnelet, Rudobrody, Francuz z Dieppe, hugenot z Oléron, Mary Rackam, ubrana, jak zawsze, po męsku. Ze wszystkich czołowych korsarzy, których Tomasz poznał, zabrakło na odprawie jedynie Wenecjanina Lorédana. Nie widziano go zresztą od roku. I nikt nie wiedział, Mary Rackam również, co się stało z tym osobliwym człowiekiem, jednym z najbardziej tajemniczych, jaki kiedykolwiek należał do flibustierów.

Wodzowie flibustierów przed wyruszeniem na wyprawę zebrali się na naradę, utrzymaną w najściślejszej tajemnicy, a zwołaną po to, by omówić i ocenić niezbyt korzystną obecnie dla nich sytuację. Podczas najbardziej ożywionych debat uczestnicy narady zostali niezmiernie zaskoczeni przybyciem na miejsce obrad kogoś zupełnie nieoczekiwanego. Tym niespodziewanym przybyszem okazał się pan Cussi Tarin we własnej osobie. Bóg raczy wiedzieć przez kogo został powiadomiony. W każdym bądź razie opuścił nagle swoją rezydencję na Tortue i zjawił się na Wyspie Krowiej, by jeszcze raz poinformować korsarzy, że jest przeciwny ich nowej wojennej wyprawie. Powiedział dobitnie, że wolą króla jest zaniechanie wszelkich korsarskich wypadów, a brak subordynacji spotka się tylko z królewskim gniewem. Pan Cussi Tarin prawił wymownie i z przekonaniem. Wspomniawszy o usługach, jakie oddawał w ciągu tylu lat Braciom Wybrzeża, oraz o tym, jakie wymyślał sposoby, aby odwlec wykonywanie rozkazów Paryża, wyjaśnił, iż odtąd sprawy nie będą mogły iść dotychczasowym trybem i że król, zdecydowany skończyć z niesubordynacją i nakazać wszędzie respektowanie pokoju – zawartego przezeń ze swoim kuzynem królem Hiszpanii – powziął groźny zamiar wysłania do Indii Zachodnich kilku fregat, które w wypadku, gdyby perswazja nie pomogła, mają rozkaz działać siłą.

Słuchając tego przemówienia kapitanowie spojrzeli po sobie. Wahali się z odpowiedzią. Nie śmieli buntować się otwarcie, ale zdecydowani byli nie odstępować od swego zamiaru. W końcu kapitan Grammont uznał, iż znalazł odpowiedni wybieg:

– Jakim sposobem król może wiedzieć, że chcemy zdobyć Veracruz, kiedy nie wszyscy nasi druhowie o tym wiedzą? To przecież niemożliwe. Domyślam się, że jedynie pańska zachoć, która jest nam znana, skierowała pana tutaj z ostrzeżeniem. Nie mógł pan znieść myśli o okrucieństwach, jakie mogły być dokonane na Hiszpanach w tej akcji. Ale przyrzekam panu, że żadne okrucieństwo nie zostanie popełnione. Plan nasz bowiem jest tak dobrze pomyślany, że zwyciężymy bez jednego wystrzału, a Hiszpanie będą obrabowani i wzięci do niewoli, zanim się w ogóle spostrzegą. Przyzna pan, że lepiej działać nie można.

Wszyscy wybuchnęli hałaśliwym śmiechem. Ale gubernator pozostał poważny.

– Żarty na bok – odparł chłodno. – Król nie chce już ani wypraw korsarskich, ani podbojów. Pokój musi być pokojem. A ci, którzy ośmieliliby się go zakłócić, mogą mieć kłopoty. Pamiętajcie o tym!

Kapitanowie ucichli. Nawet Grammont, zawsze bardzo elokwentny i skory do odpowiedzi, zmieszał się. Prawdę mówiąc, życzenie króla nie należało do tych argumentów, które się dowolnie obala czy zupełnie pomija. Przez chwilę, jakiej trzeba do nabicia muszkietu, pan de Cussi Tarin sądził, że wygrał już batalię.

Ale wówczas podniósł się Tomasz l'Agnelet. I każdy spojrział na niego zdumiony, albowiem Tomasz zabierał głos tylko w wypadkach nadzwyczajnych. Ponadto od roku usposobienie jego, które nigdy nie było wesołe ani skore do żartów, bardzo się zmieniło. Dziwnie jakoś sposepniał. I on jeden podczas całej narady nie otworzył dotąd ust.

Mówił teraz swym ostrym i nieco chrapliwym głosem. Nikt nie ośmielił się mu przerwać, rozgłos jego bowiem był obecnie ogromny. Żaden ze znajdujących się tu dowódców flibustierów nie myślał nawet o tym, aby się z nim równać.

– Król – powiedział Tomasz – przyjął mnie ongiś w swym pałacu w Saint-Germain, aby obsypać łaskami. Oświadczam zatem tutaj, że jestem jego najwierniejszym poddanym i z całego serca chciałbym za niego umrzeć. I dlatego właśnie, aby mu dać prawdziwy dowód mo-

jej wierności i gotowości do przelania za niego krwi, chcę jak najprędzej zatknąć jego sztandar w mieście Veracruz, które powinno być francuskie, a nie hiszpańskie, zważywszy, że tak wielki król urodzony jest z pewnością po to, iżby panował wszędzie.

Zgromadzenie, zachwycone tą odpowiedzią, i piękną, i dyplomatyczną, wyraziło jednogłośnie wielkie uznanie. Tylko pan de Cussi wstrzymał się z pochwałą. Zwrócił się ku Tomaszowi i spoglądał na niego ciekawie, pozdrowił go gestem ręki. Nie chcąc przedłużać ponad miarę dysputy, ostatnią swą wypowiedź skierował do wszystkich flibustierów:

– Panowie, nie jest moim zamierzeniem rozprawiać się z wami. Wystarczy, że zawiadomiłem was o woli Jego Królewskiej Mości. Poprzestańmy na tym. Pozwólcie tylko, że zapeluję raz jeszcze do waszego rozsądku. Sami musicie dokonać wyboru. Od tej chwili, mogę to już przewidzieć, gniew królewski będzie ciążył nad waszymi głowami. A wiecie o tym, że piorun nawet nie jest tak szybki ani tak straszny, jak gniew monarchy. Żegnajcie, panowie.

Włożył kapelusz i odszedł, zostawiając wszystkich zebranych bardziej niż kiedykolwiek umocnionych w swym zamiarze, a przecież zaniepokojonych pogroźką. Kiedy znów znaleźli się sami po odejściu pana de Cussi, Tomasz, nie myśląc wiele o całym zdarzeniu, raczej instynktownie wzniósł głośny okrzyk: „Niech żyje król!”, a potem, niemniej dobitnie: „Naprzód! Do Veracruz!”

I te przemieszane okrzyki tak dobrze usposobiły całe towarzystwo, że zdecydowano się pożeglować natychmiast w kierunku przylądka Catoche, który należy minąć, aby dotrzeć do Veracruz.

W siedem dni później zostali panami miasta, które zdobyli tak, jak to kapitan Grammont przyrzekł był gubernatorowi de Cussi Tarin – niemal bez wystrzału. Jedynie sforsowanie twierdzy nie obyło się bez pewnych kosztów i strat. Siedmiu flibustierów zostało zabitych, a jedenastu rannych. Rezultat niewiarygodny, jeśli wziąć pod uwagę ryzykowość i skomplikowanie całej operacji. Na najwyższe pochwały zasłużył dowodzący akcją kapitan Grammont, który umiejętnie pokierował tyloma dzielnymi i mężnymi ludźmi. Nie mniejsze, a kto wie, czy nie większe zasługi w zdobyciu miasta położył Tomasz l'Agnelet, którego bogate doświadczenie, zdobyte w wielu wyprawach, w szczególności pod Ciudad-Realem w Nowej Granadzie, przyczyniło się w wielkim stopniu do dobrej organizacji ataku. Ponadto, co nie jest bez znaczenia, Tomasz, kiedy postanowił się bić, walczył tak zaciekle, tak wściekle, że można by powiedzieć, iż szukał raczej śmierci niż zwycięstwa.

VI

Po zdobyciu i złupieniu Veracruz flibustierzy pośpiesznie szykowali się do odwrotu, zdobycz bowiem była znaczna i należało ją ukryć w bezpiecznym miejscu. Straże sygnalizowały już ukazanie się floty hiszpańskiej w sile siedemnastu dużych okrętów wojennych. Flibustierzy posiadali ich osiem, w tym trzy barki bez żadnej artylerii.

Mimo takiej nierównowagi sił okręty flibustierów nie były w ogóle atakowane i przeszły niemal pod boki floty hiszpańskiej. Admirał hiszpański z całą pewnością widział zgromadzony na pokładach łup, ale wolał uniknąć bezpośredniego starcia z flibustierami.

Na masztach okrętów zdobywców dumnie łopotała na wietrze groźna biała flaga, będąca zarówno flagą flibustierów jak i flagą Francji, oraz pewien krwawy sztandar, w środku którego pysznił się złoty baranek. I jakkolwiek byli dzielni ci kastylscy żołnierze, przezorność nakazywała im wystrzegać się bitwy z tymi okrętami, zbyt nawykłymi do zwycięstw.

W ten sposób eskadra flibustierów wróciła bez przeszkód na Wyspę Krowią, skąd wypłynęła kilka dni wcześniej. Odbył się tam podział zdobyczy, dokonany z całą sprawiedliwością. Tam również każdy z napastników zaczął beztrudnie trwać swój udział na hulanki, zabawy i

piękne dziewczęta. Od tego czasu na Wyspie Krowiej, wprawdzie pod każdym względem mniej atrakcyjnej od Tortue, zapełniły się wszystkie szynki i burdele. W sklepach można było kupić wszystko, czego zapragnęli marynarze i żołnierze: piękne stroje, klejnoty i inne zbytkowne drobiazgi. Kupcy robili doskonale interesy, sztuka marnej satyny, kupowana we Francji za srebrnego talara, kosztowała na Wyspie Krowiej dziesięć albo piętnaście złotych luidorów. Handlarze wzbogacali się prędzej niż piraci. Ten błyskawiczny sposób bogacenia się tubylców wywoływał niekiedy gniew flibustierów. I kończyło się zawsze tym, że kilku kupców zabijano albo brutalnie pobito.

Przez piętnaście dni i nocy trwała pijatyka. Po czym, zmęczeni opilstwem i znękani rozpuścią, zwycięzcy z Veracruz przypominali wyglądem własne cienie.

Dowódcy, oczywiście, nie stronili od tych prostackich uciech. Upodobaniami nie różnili się od swoich podwładnych. W tych samych szynkach i w tych samych burdelach, gdzie bawili się marynarze, zasiadali bez wstydu najznakomitsi kapitanowie, pijąc na umór tę samą wódkę z trzciny cukrowej i pieszcząc te same dziwki. Spotykali się w tych miejscach Grammont, Rudobrody i Wawrzyniec de Graaf, a także Juana, która kazała Tomaszowi się tam prowadzić, on zaś, spełniając każdą jej zachciankę, nie protestował przeciwko temu kaprysowi.

Juana chętnie brała udział w najordynarniejszych zabawach. Wcale niezrażała się tym, że otoczona jest przez hołotę. Nigdy nie przestawała czuć się królową pośród tego hałaśliwego pospólstwa, pogrążonego w pijackim amoku. Nade wszystko zaś doznawała jakiejś tajemnej, fizycznej niemal rozkoszy, czując, jak wokół niej wznosi się i wre fala namiętności i pożądania, wywoływana jej pięknnością, teraz już doskonałą w każdym calu. Klótnie i bijatyki nic a nic jej nie przerażały. Kochała barwę krwi. I przyszło jej samej ją przelać – co prawda nie na pokładzie zdobytego okrętu i nie podczas bitwy...

Wypadek ten zdarzył się w okolicznościach niezwykłych. Tomasz zawsze wspominał go z bólem i niepokojem.

Podczas ataku na Veracruz nastąpiło nieoczekiwane wydarzenie, które przyczyniło się do ostatecznego zwycięstwa flibustierów. Podczas gdy po bezskutecznej kanonadzie w ciągu dwunastu godzin szykowali się do ponownego uderzenia na twierdzę, flaga Kastylji została z niej nagle ściągnięta, a na jej miejscu zawieszona flaga Francji. Zdumieni dowódcy flibustierów zbliżyli się ostrożnie, obawiając się zasadzki. Ale na moście zwodzonym powitał ich ktoś, kto samym swym widokiem od razu ich uspokoił, a nawet nappełnił radością. Nie był to bowiem nikt inny, tylko Wenecjanin Lorédan, ich dawny towarzysz, który z górą rok temu przepadł gdzieś bez śladu i który wracał teraz na łono flibustierów.

Kiedy zaczęto go wypytywać, co było powodem tak długiej nieobecności, wyjaśnił, że pewna prywatna sprawa skłoniła go do przebywania przez cały ostatni rok w Veracruz. Uważany był przez ogół mieszkańców za spokojnego mieszczanina. Ta roczna zmiana trybu życia nie przeszkodziła mu w tym, by wspomóc swych Braci Wybrzeża natychmiast, gdy zaszła potrzeba. Na pierwszy odgłos ataku, po rozpoznaniu swych kompanów, szturmujących bezskutecznie mury twierdzy, Wenecjanin zakradł się do cytadeli i wpadł ze szpadą w rękę w sam środek garnizonu. Przerażeni żołnierze zaczęli krzyczeć „zdrada” i w popłochu opuszczali twierdzę. W ten oto sposób Lorédan sam jeden zawładnął twierdzą wraz z jej czterdziestoma działami. Mało było prawdopodobne, by bez pomocy Wenecjanina twierdza została tak szybko opanowana przez flibustierów. Nic więc dziwnego, że ten śmiały wyczyn przyniósł mu zasłużoną chwałę, a także wielki udział w zdobyczy.

Lorédan wrócił wraz z pozostałymi na Wyspę Krowią. Popłynął na pokładzie „Pięknej Łasicy”, gdyż porzucił tymczasem „Flying Kinga”. Na wyspie wesoło się bawił, prowadził bez troskie, hulaszczę życie, często w towarzystwie Juany. Już podczas podróży z Veracruz na wyspę Juana zwróciła uwagę na zwycięskiego Wenecjanina. Utkwił jej mocno w głowie, bo po przybyciu na wyspę od razu zaczęła szukać jego towarzystwa. Chodzili razem do położo-

nych w najpiękniejszych zakątkach wyspy gospód, gdzie wino, rum i wszelkie inne trunki płynęły strumieniami. Trzeba dodać, że w wyprawach tych uczestniczył również Tomasz. Cieszył się, że jego przyjaciółka stała się znów wesółą i roześmianą. Rzeczywiście – w obecności pięknego i dzielnego Wenecjanina Juana zmieniała się nie do poznania. Była rozradowana i uszczęśliwiona. Tomasz nie podejrzewał niczego złego.

Aż przyszedł dzień, kiedy przestał się cieszyć. Tego dnia pili i hulali w gospodzie pod „Szarym bramslem”. Po jakimś czasie przyszli tam zabawić się także inni ich towarzysze, między którymi byli: kapitan Grammont oraz Rudobrody i jego kobieta korsarka Mary Rackam. Z początku wszystko było w najlepszym porządku, na pół pijani biesiadnicy gawędzili ze sobą po przyjacielsku. Na nieszczęście w pewnej chwili obie pijane kobiety pokłóciły się. Kłótnia szybko zaogniła się z jakichś tajemnych powodów, a także dlatego, że korsarka dumna ze swych męskich szat, zaczęła nazywać przeciwniczkę samicą, z różem na policzkach i brokatową suknią na grzbiecie, zdolną jedynie do uprawiania fachu ladacznicy. Juana gwałtownie zareagowała, odpowiadając, że ladacznica ladacznica, ale ta, która żyje z jednym kochankiem, warta jest więcej niż taka, co się ubiera po męsku aby móc swobodnie puszczać się z każdym, kto się nawinie.

– Ty suko! – zawołała na to Mary Rackam. – Łżesz jak najęta.

Zerwały się obie, przewracając stołki. Stojąc do siebie twarzą w twarz lżyły się nawzajem, nie szczędząc słów. I na próżno Tomasz, Rudobrody, Lorédan i Grammont chcieli je uspokoić. Nadmierna zapalczliwość spowodowała szybkie wytrzeźwienie, toteż obie stanowczo zażądały dla siebie tego samego prawa, które przysługuje mężczyznom, kończącym kłótnie tak, jak im się podoba. I nikt nie śmie się nigdy wtrącać.

– Do diabła! – zakłęła Mary Rackam, wyciągając puginał – puszczaście mnie albo któremu brzuch rozpruje!... Tomaszu l’Agnelet, zbyt cię lubię, abym miała zabić twoją gorącą kochankę. Nie obawiaj się! Chcę jej tylko wyciąć mój znaczek na tyłku, żeby się odzwyczaiła od pyskowania!

Juana, która swymi małymi ostrymi ząbkami kąsała aż do krwi dolną wargę, wyciągnęła długi hiszpański sztylet o złotej rękojeści, który zawsze nosiła u pasa jako ozdobę raczej niż broń. Zamilkła teraz, błyskając czarnymi oczami. Tak błyszczy słońce, odbite w roztopionej smole. Zamknięta w sobie, z naprężonymi mięskami wyglądała jak jaguar gotów do skoku.

Zaiste, był to osobliwy widok ten pojedynek dwu kobiet, z których jedna była w spodniach, a druga w sukni z trenem! Obydwie nieprzyjaciółki różniły się zresztą od siebie o wiele bardziej niż ich ubiory. Hiszpanka, słaba i delikatna, z włosami niemal granatowymi, wspaniale uczesanymi w bardzo wysoki kok, Angielka – silna, zdolna skręcać w palcach najgrubsze sztuki złota, z ciężkimi blond włosami rozrzuconymi na ramionach, szerokich jak u mężczyzny. Walka między tym postawnym „kawalerem” a tą wysmukłą, wątłą dziewczyną była, oczywiście, nierówna. Tomasz l’Agnelet, widząc to, chciał się znowu wtrącić. Ale tym razem odradził mu to bardzo rozsądnie Grammont:

– Czy myśli pan, że jeśli przeszkodzi im dzisiaj, nie pobiją się jutro? Lepiej niech to zrobią na gorąco niż na chłodno!

Ze wszystkich kątów gospody zbiegli się pijacy, utworzyli koło i wołali: „Wolna gra!”, co miało znaczyć, iż żądali, aby uszanowano prawo flibustierskie i aby pozwolono przeciwnikom zrobić to, co im się spodoba, nie pomagając ani jednej, ani drugiej i dopiero po ostatecznym ciosie podnosząc pokonaną.

– Z drogi! – krzyknęła Mary Rackam, cofając się trzy kroki, aby wziąć rozpęd.

I rzuciła się na Juanę, trzymając puginał nad jej twarzą i usiłując ją schwytać drugą ręką tak, aby ją przewrócić. Jak to przyrzekła Tomaszowi, nie myślała bowiem zabijać, ale jedynie krwawo naznaczyć swą rywalkę. Istotnie, były rywalkami, jak się to okazało w chwilę potem.

Juana, która trzymała w lewej ręce plisy trenu, aby się nie plątać w walce, biła się tylko prawą ręką. Odkoczywszy w bok w celu uniknięcia ostrza, skierowanego ku jej oczom, za-

dała sztyletem cios ukośny, który rozdarł lewe ramię przeciwniczki od łokcia aż do dłoni. Zdumiona i oszalała z bólu i wściekłości, Mary Rackam wydała okrzyk, jak gdyby była ranna śmiertelnie. Rzuciła się znowu ku Hiszpance i dała jedno po drugim trzy wściekłe pchnięcia, których Juana uniknęła, cofając się zwinnie.

– Zatrzymaj się! – wyła korsarka, która nacierała coraz ostrzej wysuniętym puginałem – zatrzymaj się, tchórzliwa ladacznico! Stój, ty złodziejko cudzych mężczyzn! Chodź tu, niech ci wypruję flaki! Podejdz, niech ci wyrwę z brzucha to wszystko, co ci tam posiał ten rozpustnik wenecki, który był moim...

Byłaby z pewnością powiedziała o wiele więcej. Trzej mężczyźni, Tomasz, Rudobrody i Lorédan, spojrzeli po sobie, ściągnawszy brwi. Ale rozwścieczona Juana zamknęła jej usta, rzucając się na nią całym ciałem.

Zarzut zdrady i wiarołomstwa szczepił nagle te dzikie rywalki jak parę namiętych kochanek. Schwyciły się za włosy, a dwie klingi spragnione krwi zgrzytnęły żelazem o żelazo, podczas gdy rozdarte ramię Mary Rackam skropiło obydwie splecione ciała czerwonym deszczem. Uścisk ten nie trwał długo. Juana, słabsza o połowę, ugięła się nagle jak trzcina pod tchnieniem wiatru i padła na wznak, pociągając Angielkę. Tym razem żadna nie krzyczała, leżały nieruchomo na podłodze, tak że sądzono, iż obie nie żyją. Ale kiedy rozłączono je z uścisku, okazało się, że tylko Mary Rackam naprawdę jest martwa, mając sztylet hiszpański wbity pod lewą piersią. Juana, wyczerpana i osłabiona wskutek uderzenia głową o podłogę, była lekko ranna, gdyż zadrasnął ją pugiinał pokonanej.

Wracając po upływie chwili do zmysłów, Juana zobaczyła pochylonego nad sobą Tomasa. Gospoda była teraz pusta, ponieważ wszyscy umknęli, a Rudobrody i Lorédan pierwsi.

Tomasz spoglądał uporczywie na Juanę zamyśloną i ponurą wzrokiem. Juana, podnosząc się z wysiłkiem, rozejrzała się wokół siebie. I spytała głosem pełnym nienawiści:

– Zabita?

– Tak – odparł Tomasz.

Zobaczyła wtedy jego i jego oczy. I przypomniała sobie. Fala krwi spurpurowiła jej policzki, czoło, a nawet szyję. Wyprężyła się i stanęła.

– Ty przecież nie uwierzyłeś? – zawołała.

Ale on nie rzekł ani słowa i ciężkim ruchem odwrócił głowę. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej i stała przez kilka sekund, wahając się, co uczynić. Po czym, śmiejąc się bardzo głośno, dotknęła Tomasa palcem, a następnie wyniośle i pogardliwie rozkazała.

– Podnieś mój sztylet!

Podniósł. Dotknęła lekko językiem jeszcze mokrej od krwi klingi i wsunęła sztylet do pochwy. Skierowała się w stronę drzwi.

– No! Wracamy na pokład. Jestem zmęczona. Chodź!

Wyszła nie odwracając głowy. Poszedł za nią.

VII

W ciągu następnych tygodni Tomasz i Agnelet żył na okręcie, zaszyty w kabinie jak ranny odyniec w kniei. Nikt go nie widział, ani chłopcy z załogi, ani nawet Ludwik Guénolé, który w ciągu dwóch miesięcy nie otrzymał od swego kapitana i brata żadnego znaku życia. Nie przenikały z zewnątrz żadne wiadomości do tej kabiny jakby zamurowanej. Tomasz nie wiedział, że Rudobrody i Lorédan walczyli w pojedynku i że Weneccjanin kulą z muszkietu przestrzelił Anglika na wylot, nie zabijając go jednak. Ci nadzwyczajni ludzie oswojeni byli z ołowiem, żelazem, stalą, i trawili kule oraz kartacze jak śliwki i jabłka. Tomasz nie bił się z nikim i bez wątpienia wcale o tym nie myślał.

Żył w zupełnym zdziczeniu, sam na sam z Juana, którą zmusił, aby żyła podobnie. W tym czasie nie widziała ona żadnej ludzkiej twarzy, z wyjątkiem swoich trzech niewolnic Mulatek. Na domiar złego Tomasz w porywie gniewu zabił pewnego dnia jedną z owych trzech niewolnic i odmówił stanowczo kupienia innej.

Przez osiem tygodni „Piękna Łasica” stała wciąż na kotwicy koło Wyspy Krowiej. A Ludwik, który zawsze błagał Boga o zbawienie dla wszystkich, nie wiedział, czy cieszyć się z tak długiej przerwy w krwawych praktykach poprzednich tygodni, czy lękać się przyszłości. Niepokoił się także tą ponurą samotnością, w jakiej pograżył się Tomasz, był bowiem niemal pewien, że któregoś dnia ją porzuci, a wówczas stanie się groźniejszy i bardziej krwiożerczy niż dotychczas.

Wydarzenia, istotnie, poszły tym trybem i stało się tak, jak to przewidział Ludwik Guénolé. Pewnego wrześniowego wieczora – chcąc odróżnić wrzesień od stycznia trzeba było spojrzeć w kalendarz, gdyż wszystkie pory roku w Indiach Zachodnich są jednakowo piękne i pogodne – pewnego zatem wieczora marynarze zdziwili się wielce, słysząc rozlegający się nagle władczy głos kapitana. Tomasz w dzikim i gwałtownym pośpiechu rozkazał, by natychmiast podnieść kotwicę, rozwinąć żagle i przebrasować reje. Ruszono w drogę. W trzy dni później na drodze z Cayes do Les Doce Leguas spotkano trójmasztowiec ostendzki, płynący z Cartageny z ładunkiem przeznaczonym do Europy. Zaatakowano go i zdobyto. Tomasz własną szpadą zabił wszystkich ludzi z żaglowca. Było ich piętnastu. Uczynił tak, ponieważ jeden z piętnastu przed poddaniem się dał ognia z pistoletu.

Tego wieczora załoga, śpiewająca na pokładzie w świetle księżycy, zobaczyła znowu, jak widziała to tyle razy dawniej, kapitana i jego przyjaciółkę. Jakkolwiek nikt nie był pewny, czy po tym wszystkim nigdy się już nie pokłócą, w tej chwili wydawali się pogodzeni, opierali się o nadburcie i patrzyli na morze. Ciała ich tak ściśle przylegały do siebie, że zdawały się być jednym.

Zaczęło się życie tułacze.

Jak to już było poprzednio, prawdziwym kapitanem znów stała się Juana. Jedyna zmiana sprowadzała się do tego, że Tomasz stał się teraz mniej uległy niż dawniej i niekiedy myślał o buncie.

Poza tym był to ten sam Tomasz, tyle że mówił jeszcze krócej bardziej ochryple, ograniczał się do wydawania rozkazów, nigdy nie wdając się w gawędy albo rozmowy. Nie widziało już, aby się zbliżał do Ludwika Guénolégo i rozmawiał z nim tak poufale jak ongiś. Tylko jeden raz, wczesnym rankiem, Tomasz podszedł do steru, gdzie stał Ludwik wpatrzony w kompas, wziął przyjaciela w ramiona i powtarzał przez cały czas uścisku słowa: „Ludwiku, bracie mój!” Było to tak niezwykle, że marynarze obserwujący tę scenę dobrze ją zapamiętali.

Zmuszona zaopatrzyć się w żywność i wodę, „Piękna Łasica” nie mogła zawijać do portów. Znajdowała odpoczynek w kilku ujściach rzecznych na kontynencie, gdzie pod osłoną wielkich mahoni amerykańskich kryła się wygodnie i chroniła w ten sposób przed wzrokiem nieprzyjaciół. Mieszkały tam pewne plemiona indiańskie, wrogie Hiszpanii, a więc przyjazne awanturnikom. Indianie ci chętnie dostarczali wiktuałów, dziczyzny, ryb i owoców i pozwalali flibustierom napełniać słodką wodą beczki i baryłki. Ale jest wiele rzeczy niezbędnych na okręcie, których nie można dostać u dzikich; żagle i liny, różne przyrządy, solone mięso, suszone jarzyny, tudzież kule, śrut, kartacze i proch do dział. Wskutek tego Tomasz zmuszony był pożeglować do jakiegoś cywilizowanego kraju. Wybór był niewielki, flibustierów witano niekiedy ogniem dział. Reputacja ich bowiem wśród ludów pokojowych i spokojnych była nader zła. Tak więc „Piękna Łasica” wróciła raz jeszcze na Tortue – było to jedyne schronienie, którego była pewna. Kiedy tam zawijała, upłynęło akurat trzynaście tygodni od śmierci Mary Rackam, zabitej przez Juane.

Większość awanturnicznych kapitanów, którzy brali udział w wyprawie na Veracruz, znajdowała się teraz na Tortue. Jedni przebywali tam dlatego, że zbiednieli wskutek nadmiernego uctowania; oczekiwali teraz nowych wypraw i nowych zdobyczy, inni dlatego, że znudziła im się Wyspa Krowia i chcieli się pochwalić ostatnimi pieniędzmi przed gubernatorem Cussi Tarin, który tak usilnie odwodził ich od ataku na Veracruz. Przyplływając na Tortue Tomasz ujrzał stojącą na kotwicy całą eskadrę flibustierów, która żeglowała wraz z „Piękną Łasicą” cztery miesiące temu.

Na łodzi wszystko było jak dawniej. Ci sami ludzie pili, w tych samych oberżach, śpiewając te same piosenki, rzucając te same przekleństwa. Mówiono tylko o zdobyczach, wyprawach, umowach. Biedna Mary Rackam był już pogrzebana w pamięci każdego głębiej niż w ziemi. I nikt się nie przejmował pogroźkami pana de Cussi ani fregatami, które król miał wysłać przeciwko flibustierom.

Tomasz i Juana znaleźli się znowu w tłumie tych ludzi beztroskich, żyjących z dnia na dzień, nie pamiętających dnia wczorajszego oraz nie lękających się jutra. A Juana, piękniejsza niż kiedykolwiek, jak dawniej kazała się prowadzić swemu kochankowi do wszystkich najweselszych szynków i królowała pośród najhałaśliwszych pijatyk. Tomasz wszędzie szedł za nią i pił razem z nią. Ci, którzy ich spotkali, dziwili się niekiedy, że tak uporczywie milczy, nie miesza się do rozmów i nie śpiewa razem ze wszystkimi. Co prawda nie było się czemu dziwić, zważywszy, że nigdy nie był gadułą. Dla każdego był zawsze grzeczny i uprzejmy, chociaż często sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo przypominał sobie rozmówców.

VIII

Fregaty króla Francji, tyle razy zapowiadane, przybyły wreszcie. Którejś z tych pogodnych nocy indyjskich, tak rozświetlonych gwiazdami, że widać było lepiej niż w jasny dzień, eskadra królewska wpłynęła do cieśniny, która oddziela Tortue od San Domingo. O wschodzie słońca okręty były na miejscu, ustawione przed portem w równej od siebie odległości, jak przystoi okrętom wojennym. Tomasz ujrzał je przez okno swej kabiny, zeskakując z łóżka. Było ich pięć, największa fregata miała czterdzieści dział, najmniejsza – czternaście. Baterie ich były skierowane w stronę miasta i portu. Na rufie powiewała bandera Francji z białego płótna, usianego kwiatami lilii, a na grotmaszcie flaga królewska w otoku lazurowym i złotym.

Kiedy Tomasz przez lunetę patrzył na tę falującą na wietrze władcą flagę, którą widział tak wyraźnie, jak widział ją ongiś na frontonie pałacu w Saint-Germain-en-Laye, wielka szalupa o czternastu wiosłach odbiła od fregaty admirałskiej i skierowała się prosto w stronę lądu. Przy sterze stał oficer królewski. A przed nim na nadbudówce siedziały na karmazynowych poduszkach dwie postacie w wielkich perukach, mające miny ważnych dygnitarzy. Łódź przedefilowała w odległości jakichś pięćdziesięciu sążni od „Pięknej Łasicy”. Jeden z dygnitarzy podniósł się z siedzenia, aby przyjrzeć się okrętowi korsarza. Siadając z powrotem, wskazał okręt ręką i wymówił kilka słów których Tomasz nie mógł dosłyszeć.

Już po południu dowiedziano się, że dwie przybyłe osobistości to panowie de Saint-Laurent i Begon. Obaj byli komisarzami Jego Królewskiej Mości, obarczonymi misją przywrócenia porządku i ładu na całym obszarze Indii Zachodnich należącym do Francji, a szczególnie na wyspach: Tortue, Świętego Krzysztofa i San Domingo. Zaczęły się zatem urzeczywistniać groźne przepowiednie gubernatora Cussi. Przede wszystkim chciano się rozprawić z zakłócającym spokój flibustierskim zwyczajem ciągłego napadania i nakładania okupów na wszelkich rzeczywistych nieprzyjaciół albo ludzi samowolnie uznanych przez flibustierów za wrogów. Nie było wątpliwości, że komisarze króla byli oburzeni i chcieli raz na zawsze z tym skończyć.

Nazajutrz po przybyciu fregat królewskich odbyła się na pokładzie „Pięknej Łasicy” rada wojenna. Zebrał się tam sam kwiat flibustierów, mianowicie Edward Bonny, zwany Rudobrodym, jego przyjaciel Lorédan Wenecjanin, Awanturnik z Dieppe, hugenot z Oléron, kilku wybitniejszych Anglików i jeden głośny Francuz, o nazwisku Grogner. Wszyscy bardzo szanowali Tomasza l’Agneleta, uważając go za jednego z najdzielniejszych i najszcześniejszych z całego bractwa. Chcieli zatem na początku usłyszeć jego zdanie i rozważyć razem plan, jaki należało przedsięwziąć. Czy decyduje się ustąpić, czy też wcale nie ma takiego zamiaru. Tomasz przyjął ich z honorami, postawił przed nimi w salonie kapitańskim najpiękniejsze dzbany pełne najlepszego wina i udał się kabiny po Juanę, aby również wzięła udział w naradzie. Nikt zresztą nie brał mu tego za złe, albowiem w oczach wszystkich Juana była prawdziwą flibustierką, zwłaszcza od czasu, kiedy przekonano się, że umiała władać sztyletem i zadawać nim straszliwe ciosy.

Gdy już wszyscy opróżnili pierwsze dzbany, aby jak należy oczyścić sobie gardło, zabrał głos Rudobrody, przedstawiając położenie, które, bezsprzecznie, było trudne. Komisarze króla, gdy tylko zeszli na ląd, udali się niezwłocznie do gubernatora Cussi Tarina i rozmawiali z nim przez bite dwie godziny w tym celu jedynie, aby mu przekazać niezadowolenie Jego Królewskiej Mości i postanowienie, jakie król powziął: za wszelką cenę skończyć z tym wszystkim, co się wiązało z bractwem flibustierów. Dowiedziano się o tym od samego gubernatora, który o wszystkim opowiedział szczegółowo wielu ludziom, w widocznym zamiarze, ażeby najmniejsze nawet słowo nie uszło niczyjej uwagi. Trzeba dodać, że nie leżało w intencji komisarzy królewskich dochodzić dawnych spraw ani prześladować któregokolwiek korsarza za jego dawne wyprawy, chociaż ambasadorzy całej Europy zamęczali króla żalami i skargami na dawną i obecną działalność korsarzy. Król, wzięwszy pod uwagę usługi oddane niegdyś państwu przez korsarzy, przebaczał im wszystkim winy, a nawet zbrodnie, których dopuścili się w przeszłości. Teraz jednak, gdy ci sami korsarze zamienili się w zwykłych piratów, nie miał zamiaru okazywać im łaski i poparcia. Rozkazał, aby postępowano bezwzględnie z każdym, kto ośmieliłby się wystąpić przeciw jego woli.

– I ten łajdak król – zakończył Rudobrody, uderzając pięścią w stół – chce nas zmusić, abyśmy natychmiast złożyli broń, opuścili nasze statki i poszli prosić pokornie pana Cussi, iżby wydzielił nam grunta, które odtąd wolno by nam było karczować i uprawiać jako spokojnym rolnikom.

Skończywszy mówić zamilkł i opróżnił kolejną szklanicę. Wypowiedziawszy słowo „rolnicy” zapalał tak gwałtownym oburzeniem, że o mało się nie udusił.

Zresztą wszyscy obecni kapitanowie, łącznie z Tomaszem, byli poruszeni. Jedni śmiali się wzgardliwie. Inni się wściekali. Hugenot z Oléron, który od jakiegoś czasu naradzał się cicho z kilkoma Anglikami, zawołał nagle bardzo głośno, że jeśli chodzi o niego, odmawia posłuszeństwa i, na dodatek, przestaje być Francuzem, nie chcąc się dłużej zaliczać do poddanych, a prawdę mówiąc, raczej niewolników, tak podłego despoty i tyrana, który się myli uważając, że jego fregaty są na tyle silne i na tyle liczne, aby siedmiuset albo ośmiuset Braci Wybrzeża nie mogło za jednym zamachem znieść całej tej eskadry.

Zaległa cisza, albowiem słowa były śmiałe. Kapitanowie angielscy potrząsali głowami na znak zgody, kiedy Tomasz l’Agnelet, miażdżąc szklanicę w kurczowo zaciśniętych palcach, wstał i zaczął uroczyście przemawiać:

– Na Chrystusa z Ravelinu! Francuzem jestem i Francuzem chcę zostać, a przeto pozostałą wiernym sługą naszego króla, jaki by on nie był! Co do tych łajdaków, którzy ośmieliliby się napaść w mojej obecności na jego fregaty albo targnąć się na jakikolwiek inny statek pod jego banderą, to nie uniknęliby z całą pewnością spotkania ze mną. Gdyby zaistniała potrzeba, broniłbym króla ze szpadą w garści.

Niewolnice Juany, które usługiwały przy stole, pośpieszyły tymczasem przynieść swemu panu nową szklanicę. Jednym haustem wychylił ją do dna. Po czym, stojąc twarzą do wszystkich swych gości, zawołał na całe gardło:

– Niech żyje król!

Na takie oświadczenie nikt nie potrafił nic odpowiedzieć.

Po tym okrzyku, stanowiącym dowód lojalności, Tomasz l'Agnelet usiadł znowu, nie mówiąc ani słowa więcej. Zdawał się pogrążony w jakichś osobliwych i ponurych marzeniach, które go teraz nigdy nie opuszczały. Awanturnik z Dieppe, który wraz ze wszystkimi powtórzył okrzyk: „Niech żyje król!”, uważał jednak, że potrzebne jest jakieś wyjaśnienie. Zwrócił się zatem do Tomasza z pytaniem nie pozbawianym logiki:

– A więc ty, Tomaszu l'Agnelet, zgadzasz się z wolą króla i chcesz posłuchać jego rozkazów, czyli rozbroić „Piękną Łasicę”?

– Ja? Nie! – odparł zdumiony Tomasz, jakby spadł z księżyca.

Połapał się jednak i zdawał się namyślać. Potem spojrzał na Juanę, jakby chcąc od niej zasięgnąć rady, i wytłumaczył, że, przeciwnie, zachowując cały szacunek dla króla, jest jak najbardziej zdecydowany opierać się jego wszelkim rozkazom, przeszłym, teraźniejszym i przyszłym, a zresztą, będąc dobrym poddanym króla, lojalnym i wiernym, jest jednocześnie swobodnym Rycerzem Fortuny, czyli człowiekiem wolnym.

– Wolnym – potwierdziła bardzo spokojnie Juana.

Po raz pierwszy otworzyła usta. I wszyscy flibustierzy spojrzeli na nią z pożądaniem, wyglądała bowiem prześlicznie; wystrojona, upudrowana, z różem i muszkami na policzkach, opierająca podbródek na dłoni, błyszczącej od klejnotów. Słuchała bardzo uważnie każdego słowa, raczej jako wojownik lub wódz niż kobieta. Z oblicza jej, delikatnego i do szaleństwa rozkosznego, można było wyczytać niezwykle siłę charakteru i niezłomną wolę.

Tymczasem zabrał głos kapitan Grogner.

– Francuzem jestem i Francuzem chcę pozostać jak ty – oświadczył, zwracając się do Tomasza l'Agneleta. – Francuzem, a tym samym lojalnym poddanym króla Francji, albowiem jedno nie może iść w parze bez drugiego. Dlatego właśnie nie myślę się buntować, a nie chcę tego tym bardziej, że wszelki bunt prędzej czy później skończyłby się dla nas fatalnie. Skąd możemy wiedzieć, że ten nieszczęsny pokój, który nas tak ogranicza, nie ustąpi wkrótce miejsca wojnie? Król Ludwik jest wielkim królem i myślę, że najdalej za trzy albo cztery lata zaatakują on znów swoich nieprzyjaciół, którzy są naszymi nieprzyjaciółmi. Jeśli czas ten nadejdzie, ci z nas, którzy potrafią cierpliwie czekać i nie ryzykować, będą wygrani. Mamy zatem do przeczekania najwyżej cztery lata. A przez ten czas, jak mi się zdaje, wcale nie musimy być rolnikami. Chciałbym was zapoznać z innym projektem, sądzę, że jest on ciekawy.

Przerwał i wodził wzrokiem po pilnie słuchającym go zgromadzeniu. Wtedy Juana z właściwą kobietom żywą ciekawością spytała:

– Jakież to projekt?

– Oto on – rzekł Grogner, nie chcąc rzeczy owijać w bawełnę i śpiesząc zaspokoić ciekawość damy. – Bracia Wybrzeża, wszyscy, ilu nas tu jest, wiemy, że za Puerto Bello i za Panamą rozciąga się morze niezmierzone, niemal bez granic, które my nazywamy Morzem Południowym¹⁷ i które, oprócz królestw ogromnie bogatych, Meksyku i Peru, a także kilku innych prowincji amerykańskich nie mniej bogatych, omywa kraj dotąd dziewiczy, kraj bajeczny, a jednak rzeczywiście istniejący. Kraj ów bardzo słusznie nosi nazwę Eldorado¹⁸, wytwarza bowiem złoto w takiej obfitości, że jego mieszkańcy zarówno w rolnictwie, jak i w prze-

¹⁷ Morzem Południowym nazywano wówczas Ocean Spokojny (przyp. red.).

¹⁸ Eldorado, hiszp. *El Dorado* – pozłocony człowiek; fantastyczna kraina obfitująca w złoto, którą konkwistadorzy hiszpańscy i portugalscy umiejscawiali między Amazonką i Orinoko. Liczne ekspedycje daremnie poszukiwały Eldorado w Amazonii (Nowej Granadzie), Wenezueli i Gujanie aż do połowy XVIII w. (przyp. red.).

myśle używają sprzętów i narzędzi całych z masywnego złota. Tak! Nie mają oni innych sprzętów, tylko złote. Złote talerze, złote garnki, złote kotły, złote kilofy, motyki, rydle, topory i kosy, a może nawet złote pługi, wszystko z najlepszego, czystego kruszcu. I nie jest to wcale jakaś bajeczka dla dzieci, ale fakt rzeczywisty, sprawdzony. A teraz, Bracia Wybrzeża, słuchajcie uważnie, co wam powiem. To Morze Południowe, które omywa Eldorado, król Hiszpanii od najdawniejszych czasów uważa za swoją szczególną własność, a traktaty pokojowe – te same traktaty, których król Francji chce tak ściśle przestrzegać – określają to morze morzem hiszpańskim i kastylskim. Na mocy wyjątkowego przywileju rezerwują je wyłącznie dla okrętów o banderze żółto-czerwonej. Nie ma zatem żadnej obawy, aby fregaty z kwiatami lilii mogły się kiedykolwiek zapuścić na te wody, tak bardzo przed innymi chronione. Nie istnieje żadne prawdopodobieństwo, aby król Ludwik, a tym bardziej jego komisarze czy gubernatorzy usiłowali przeszkodzić wyprawom, jakie my tam poprowadzimy, my, którzy niebawem, w co gorąco wierzę, podpiszemy umowę na tyle korzystną, że zmieni nas z prostych flibustierów w zdobywców złota!

Powstał. Prawą ręką uderzył w stół. Szczęknęły szklance i rozlało się wino, co najstarsi z bractwa uznali za bardzo dobry prognostyk.

Podniosła się natychmiast wielka wrzawa. Kilku zachwyconych kapitanów, krzycząc głośno, żądało atramentu, pióra i papieru, aby podpisać niezwłocznie wspomnianą umowę. Należał do nich ruchliwy i energiczny Francuz z Dieppe. Inni, mniej skorzy do podpisu, żądali dodatkowych wyjaśnień. Dowiadywano się zatem o drogi, wiatry, o najstosowniejszą porę wyjścia w morze. Jeden z Anglików uczynił słuszne spostrzeżenie, że według jego wiadomości żadna droga nie łączyła Morza Północnego¹⁹, gdzie się znajdowali, z Morzem Południowym, dokąd się miano udać. Ale na wszystkie pytania i wątpliwości kapitan Grogner miał gotowe odpowiedzi, które brzmiały niezwykle przekonująco.

– Ci spośród nas – zapewniał – którzy mają tak dobry statek jak ten oto, mogliby dzielnie pozełgować na południe poza przylądek Orange i Przylądek Świętego Rocha i dotrzeć w ten sposób do Cieśniny Magellana, znajdującej się na szerokości około pięćdziesięciu stopni. Po czym popłynęliby na północ, wzdłuż kraju o nazwie Chile. Mógłbym się spotkać z nimi pod murami samej Panamy w kwietniu lub maju przyszłego roku. Ale dla ludzi mniej majątnych, do których i ja należę, krótko mówiąc dla tych, którzy mają zamiast okrętów stare balie, będzie rozsądniej szybko się ich pozbyć. Przejdziemy bowiem na piechotę z północy na południe. Tak, tak! Na piechotę, ze szpadą u boku i z muszkietem na ramieniu. A następnie eskadry obydwu wicekrólów postarają się zabrać nas na nowe statki, świeżo zbudowane przez cieśli króla katolickiego.

Tymczasem ktoś pochwalił plan przyszłego wodza: był to Wenecjanin Lorédan, który do tychczas nie powiedział ani słowa. Świetna znajomość wszystkich spraw amerykańskich nadawała jego wypowiedzi szczególną wymowę.

– Od Morza Północnego do Morza Południowego – rzekł – należy liczyć najmniej dwanaście wielkich mil hiszpańskich, co równa się piętnastu wielkim milom francuskim, czyli trzydziestu do trzydziestu pięciu naszym milom morskimi. Oczywiście, nie jest to dużo. Jednakże droga ta jest najeżona przeszkodami takimi, jak rzeki, które trzeba przejść w bród, gęste bory, strome góry, a przede wszystkim Indianie Bravos²⁰, diabelnie zręczni w puszczeniu z wielkiej odległości zatrutych i śmiertelnych strzał. Co do innej drogi, myślę o okrętach, próbowałem jej ongiś; wcale nie jest uciążliwa, wyjątek stanowi sama cieśnina, gdyż wieją tam zwykle przeciwnie wiatry, które dmą z wielką gwałtownością.

Wysłuchawszy go kapitan Grogner zapytał:

¹⁹ Morzem Północnym nazywano wówczas Ocean Atlantycki (przyp. red.).

²⁰ Hiszpanie nazywali *Indios Bravos* tych Indian, którzy nigdy nie uznali ich władzy i zaciekle zwalczali wszystkich białych ludzi, spotkanych na swych terytoriach (przyp. aut.).

– A ty sam, bracie Lorédanie, którą z tych dwóch dróg wybierzesz, aby dotrzeć po południe?

Wenecjanin powolnym ruchem podniósł obie dłonie, a następnie je znowu opuścił.

– Niestety – rzekł. – Południe jest daleko, a mnie staremu nie chce się opuszczać tego naszego morza, gdzie spędziłem całą młodość.

Uśmiechał się, a ci, którzy go usłyszeli mówiącego o starości, zrozumieli szybko, że sobie żartuje; miał bowiem niewiele więcej niż trzydzieści lat, zaś włosy jego były jeszcze czarne jak sadza. Wenecjanin był człowiekiem bardzo tajemniczym i widocznie nie chciał ogłaszać powodów, które go zatrzymywały w Indiach Zachodnich i nie pozwalały przyłączyć się do wyprawy na południe.

Stojąc teraz w grupach kapitanowie rozprawiali z wrzaskiem i hałasem. Projekt Grognera zyskał większości głosów, jednakże niektórzy kapitanowie jeszcze się nie wypowiedzieli. Tomasz 1'Agnelet należał do nich. Sam jeden pozostał przy stole i pił w milczeniu, spoglądając wokół siebie roztargnionym wzrokiem. Juana opuściła go i pólżąc we framudze okiennej rozmawiała z Lorédanem Wenecjaninem, pytając go, bez wątpienia, o przyczynę jego odmowy, zaskakującej zgromadzonych tu flibustierów.

W pewnej chwili Grogner zbliżył się do Tomasza i położył mu dłoń na ramieniu.

– Kapitanie 1'Agnelet – rzekł do niego z wielkim szacunkiem – oto największe zamierzenie, jakie było kiedykolwiek podjęte jak flibustierzy flibustierami! Czy nie sądzi pan tak samo? Co do mnie, jestem przekonany, że wyprawa zakończy się sukcesem, tak wielki wysiłek musi być uwieńczony powodzeniem. Jest wszakże jeden warunek, należy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, w niczym nie zdając się na przypadek. No więc, czy zechce mnie pan wysłuchać? Ja, Grogner, będę dowodził armią lądową i poprowadzę ją z północy na południe poprzez mokradła i przepaście, obok Hiszpanów oraz Indian. A to z pewnością nie jest zabawka. Flota, która będzie płynęła zarówno pośród żarów Panamy, jak i lodów Cieśniny Magellana, musi być także prowadzona z wielką energią i wprawą. Chciałbym funkcję głównodowodzącego powierzyć najzręczniejszemu i najdzielniejszemu człowiekowi, jaki kiedykolwiek znalazł się na morzu. Otóż – po co owijać w bawełnę? – znam tego człowieka. To pan, bracie 1'Agnelet. Zgoda? Będzie pan moim marynarzem w tej wyprawie. Rozumiem to tak, że będzie pan wodzem jak ja, równym mi pod każdym względem. Obydwaj, działając ręką w rękę, zdobędziemy najpierw stolice Panamy i Limę, a w końcu wejdziemy do wymarzonego królestwa Eldorado!

Mówił dość cicho, nie chciał bowiem być usłyszany przez ludzi zazdrosnych i podejrzliwych. Tomasz, wyprowadzony ze swego zamyślenia, patrzył mu przez chwilę w twarz, potem wstał i przeszedł kilka kroków, jakby wahając się przed powzięciem decyzji i udzieleniem odpowiedzi. Grogner, który śledził go oczami, ujrzał, jak przechodził nie opodal Juany, rozmawiającej w dalszym ciągu z Wenecjaninem i śmiejącej się nie bez zalotności. Tomasz przechodząc obok nawet nie podniósł głowy, aby na nich spojrzeć.

Ale wówczas, jakby rozmyślnie, głos Juany stał się donośny, wyraźnie się wybił spośród ogólnego wrzasku, jaki czynili flibustierzy, mówiący wszyscy naraz. Juana, która pochwalala Lorédana Wenecjanina, iż nie chciał się udać na Morze Południowe w poszukiwaniu Królestwa Złota, powiedziała:

– Myślę o tym podobnie jak pan, sir Lorédan, trzeba być bowiem szaleńcem, nicponiem albo tchórzem, aby wlec się, Bóg wie gdzie, w obawie przed pięcioma głupimi fregatami.

Usłyszawszy te słowa, Grogner wzruszył tylko pogardliwie ramionami. Ale Tomasz właśnie w tej chwili powziął postanowienie i dał odpowiedź. A odpowiedź ta, jakimś dziwnym trafem, zarazem tajemniczym i ironicznym, była niemal słowo w słowo powtórzeniem tego, co niedawno powiedział Wenecjanin, a czego z pewnością Tomasz, pogrążony we własnych myślach, wcale nie słyszał:

– Dziękuję, bracie Grognier. Dalibóg, czyni mi pan zbyt wiele zaszczytu. Ale mnie, staremu, nie chce się tak daleko podróżować ani opuszczać tego Morza Północnego, z którym się tak zżyłem.

IX

Niemal na oczach królewskich komisarzy i w obecności dział fregat królewskich zaczęto przygotowywać wyprawę na południe, która była najpoważniejszą ze wszystkich wypraw flibustierów. Ani panowie de Saint-Laurent i Begon, ani gubernator Cussi Tarin nie stawiali żadnych przeszkód. Jak to trafnie zauważył kapitan Grognier, Morze Południowe znajdowało się poza wszelką władzą prawną, poza wszelką kontrolą francuską. Tym samym eskadra awanturników, która się szykowała do popłynięcia tam na własne ryzyko i bez przywileju korsarskiego, unikała wszelkich represji ze strony francuskiej. Królowi Francji wystarczało, iż eskadra ta przez cały okres żeglugi po Morzu Północnym nie da ani jednego wystrzału, od Tortue aż do Cieśniny Magellana. A z tamtej strony – Boże drogi! – była to już przecież sprawa króla Hiszpanii, monarchy dość potężnego, aby oczyścić Morze Południowe ze złodziei i piratów. To, że ci złodzieje i piraci byli Anglikami i Francuzami, nie miało znaczenia, albowiem obydwie rządy, londyński i wersalski, powtarzały wielokrotnie, iż wyrzekają się raz na zawsze takich samowolnych krnąbrnych poddanych. Zresztą, aby całkowicie uspokoić panów de Cussi, Begon i de Saint-Laurent, kapitan Grognier przyrzekł wszystkim trzem w tajemnicy, że skoro tylko minie cieśninę, nie będzie się przyznawał do narodowości francuskiej, zdejmie białą banderę i zawiesi inną.

– Jakaż to bandera? – spytali zdziwieni komisarze królewscy.

– Ta oto! – odparł, wyciągając z kieszeni kawał zwiniętego płótna, które rozwinął na ich oczach.

I wszyscy, oprócz zuchwałego Grogniera, zadrżeli ze zgrozy – płótno było barwy czarnej, a w jego czterech rogach bieleły się cztery trupie głowy.

Tak oto między flibustierami a komisarzami króla zawiązały się z konieczności tajemne układy. Ci komisarze byli przecież tymi samymi agentami, którym król powierzył specjalną misję ukarania i wytępienia flibustierów. Ale mimo całej uprzejmości i pozornego złagodzenia pierwotnej surowości, panowie Begon i de Saint-Laurent nie zamierzali zrezygnować ze swych pacyfikacyjnych zamiarów i usiłowali wciąż z jednakową energią przemienić korsarzy w rolników. Poblążliwość okazywali jedynie Awanturnikom uległym, szanującym rozkazy królewskie, Awanturnikom, którzy podporządkowali się z całą pokorą nakazowi opuszczenia Antyli i odpłynięcia tak daleko, ażeby echo ich wypraw nie mogło dochodzić do uszu króla. Awanturnicy nie tak skorzy do posłuchu nie mogli korzystać z podobnej łagodności.

Do tych właśnie należał Tomasz l'Agnelet.

Jakimś szczególnie i zarazem nieszczęsnym trafem król Ludwik nie zapomniał o kapitanie korsarskim, którego sześć lat temu przedstawił mu pan de Gabaret, obecnie marszałek Francji. Nie będzie to żadnym pochlebstwem, gdy się stwierdzi, że król Ludwik XIV był naprawdę wielkim królem. I nigdy nie omieszkał sownie wynagrodzić tego, kto zasługiwał na nagrodę, jak i należycie ukarać tego, kto zasługiwał na karę. Kiedy więc do Wersalu zaczęły napływać liczne skargi hiszpańskie, które w ostrych słowach piętnowały winy i występki flibustierów i Rycerzy Morza, król, przewracając pliki papierów i dyktując rozkazy panu Colbert de Seignelay, ministrowi marynarki, wykrzyknął nagle głośno i jakby z bólem, przypominając sobie nazwisko tego l'Agneleta, ongiś uszlachconego przez niego w Saint-Germain, a obecnie występującego wśród najbardziej obwinionych.

– Czyż to możliwe!? – rzekł posmutniały, ale nieugięty w swym postanowieniu. – Człowiek tak dzielny miałby z bohatera przeobrazić się w rozbójnika i grabieżcę? Jeśli tak jest

faktycznie i jeśli nie okaże on natychmiast skruchy za swe zbrodnicze czyny, rozkazuję, żeby nie dawać mu żadnego pardonu! Łaska nasza minęła i nie myślimy wcale opiekować się niepoprawnym winowajcą. Przeciwnie, gniew nasz musi się zwrócić przeciwko niemu i tym dotkliwiej należy go ukarać!

Na marginesie „Instrukcji dla panów komisarzy Jego Królewskiej Mości, wysłanych w misji specjalnej do Indii Zachodnich” znajdowało się nazwisko Tomasza l'Agneleta, wypisane własną ręką sekretarza stanu, markiza de Seignelay. Oto dlaczego zaraz w dniu przybycia na Tortue, kiedy łódź admirałska wiozła panów Saint-Laurent i Begon na ląd, ujrzawszy stojącą na kotwicy „Piękną Łasicę” i rozpoznawszy w niej osławioną fregatę równie słynnego Tomasza l'Agneleta, nie mogli powstrzymać odruchu zdziwienia i ciekawości. Tomasz, który przypadkowo zobaczył ten odruch, zupełnie nie przeczuwał, że był to gest oznaczający groźne dla niego w przeszłości wydarzenia i przeżycia.

A tymczasem wyprawa na południe była przygotowywana bez przeszkód i pod życzliwym okiem komisarzy królewskich; w obecności milczących dział fregat królewskich Tomasz mógł ze swej „Pięknej Łasicy” przyglądać się do woli temu osobliwemu widowisku. Ale mimo wszystkie głosy rozsądku, wcale się z tym nie chciał pogodzić; upierał się nawet, aby cokolwiek z tego zrozumieć. Jakże to? Panowie de Cussi, de Saint-Laurent, Begon i cała reszta, po rzuceniu na wszystkich flibustierów gromów pełnych świętego oburzenia, teraz stali się łagodni i nad podziw spokojni, traktują przychylnie to przedsięwzięcie i nawet je popierają?... Nie było bowiem co do tego żadnej wątpliwości! Codziennie przybijały, zupełnie się nie kryjąc, do okrętów, które miały wziąć udział w wyprawie, całe eskadry łodzi i tratw, naładowanych bronią, ołowiem, prochem kartaczowym w baryłkach.

Zbity z tropu, Tomasz nie wytrzymał i pewnego dnia porzucił wreszcie milczenie. Ludwik Guénolé, nie mniej zdziwiony, musiał przerwać jedną ze swych długich popołudniowych modlitw, aby porozmawiać z przyjacielem.

– Najświętsza Panno! – grzmiał Tomasz. – Najświętsza Panno Wielkiej Bramy! Wszystko zatem miałyby być dozwolone tym ludziom, a mnie nie? Cóż, u diabła! Czyż oni, jak i ja, nie są Braćmi Wybrzeża i Rycerzami Fortuny? Ludwiku, jak ci się zdaje? Czy król nie jest zbyt niesprawiedliwy, jeśli może ścierpieć taką nierówność?

Guénolé nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Obawiał się jednak najgorszego. I chwytając tę sposobność, która mogła okazać się jedyną, uściśnął z całej siły swego ukochanego przyjaciela i zaklinał go, płacząc i szlochając, aby się wyrzekł wszystkiego i służył królowi, a tym samym – Bogu, który surowo karze morderców i okrutników.

– Ty sam, mówiąc słowami świętego Piotra, powiedziałeś: „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Nie zapominaj o tym.

– Słuchać się? Nie, nie mogę! – rzekł Tomasz, spuszczać wzrok ku ziemi.

Za chwilę, poruszywszy się nagle, powrócił do dręczącego go pytania:

– Powiedz mi jednak! Czy rozumiesz, dlaczego wolno uprawiać rzemiosło flibustiera w Limie czy Panamie, a nie wolno w Puerto Bello i w Ciudad-Realu?

– Czy ja wiem? – odparł Guénolé. – Czy to jednak prawda, że my nie popłyniemy do Panamy i Limy? I czemu nie podpisałeś umowy z Grognerem, który ci zaofiarował tak wspaniały udział?

Tomasz znowu opuścił głowę. Prawda, nie zwierzał się Ludwikowi zbyt często, ale przecież nie mógłby go okłamać.

– Ona nie chciała – wyszeptał.

Guénolé zrozumiał i nie pytał więcej.

Wtedy Tomasz rzucił mu się na piersi i zaczął go ścisnąć.

– Niestety! – mówił bardzo cicho, jakby odczuwając wielki wstyd – Niestety, kocham ją! Kocham ją! A ona... Ludwiku, zostałeś mi tylko ty jeden... Nie opuszczaj mnie nigdy, nigdy!...

Tego popołudnia, zszedłszy z Juana na ląd i biegnąc od szynku do szynku, gdyż Juana chciała odszukać niezwłocznie wesołych kompanów, do których zaliczał się też Wenecjanin Lorédan, Tomasz szalenie się zirytował. Zobaczył kilku osobników o twarzach dość ponurych, idących za nim krok w krok – bez wątpienia w zamiarze podsłuchiwania jego rozmów i śledzenia jego zamiarów.

Wyciągnął szpadę i natarł na nich. Hołota rozpierzchła się jak stado wron, kiedy spadnie na nie orzeł.

– Co to ma znaczyć? – zawołał wściekły z gniewu. – Czy jestem zdrajcą albo buntownikiem? Przebóg! Zostanę nim, jeśli mnie doprowadzą do ostateczności!

Juana, nie ruszając się z miejsca, zaczęła wzgardliwie szydzić:

– Nie! Nie zostaniesz nim, a znam cię dobrze, ty psie ospały, który masz tylko pysk do wycia, a kąsać nie potrafisz!

Żywiła teraz niebywałe upodobanie w jawnym pomiataniu Tomaszem, znajdowała przyjemność w okazywaniu mu pogardy. Zarzucała, że jest zbyt uległy wobec panów Cussi, Saint-Laurent i Begon. A wszystko dlatego, że od czasu, jak fregaty króla strzegły Tortue, nie wypłynął na morze.

Bładł zawsze, gdy lżyła go w ten sposób. Ale jeszcze tym razem nie chciał ukrócić jej gadania, co powinien był zrobić, dając jej kilka policzków albo garbując porządnie skórę, żeby ją doprowadzić do ładu.

Usiadł zatem spokojnie obok niej i rozprawiał jak adwokat, który sprzecza się o drobiazgi, aby wygrać kiepską sprawę.

– Kto jest psem? – pytał. – Ja, którego dwudziestu szpicłów wciąż ma na oku w obawie, abym nie poszedł, gdzie mi się podoba? A może ci ludzie, których dobrze znasz, a którzy wciąż nadskakują i schlebiają wszystkim gubernatorom i komisarzom naokoło?

Ale ona odwróciła się od niego plecami i nie chciała dłużej słuchać. W tej chwili wszedł do gospody Wenecjanin Lorédan, usiadł nie opodal Juany. Podeszła do niego i ocierała się o jego ramię jak kotka, co się pożądlawie ociera o kocura.

– Sir Lorédan – odezwała się w końcu – pan zapewne nigdy nie schlebiałby ani nie nadskakiwał gubernatorowi czy komisarzom!... A muchy nie śmiałyby brzęczeć zbyt blisko pańskiej szpady, która z pewnością jest dłuższa niż pańska cierpliwość...

Przechyliła głowę, aby pośpiesznie rzucić okiem na Tomasza. Tomasz nie uchwycił jednak jej spojrzenia. Pił w milczeniu, obsunawszy się na ławę i poruszając się ociężale. Widziała, jak wychylał jeden po drugim cztery wielkie puchary rumu. Stała się jeszcze zuchwalsza i bezwstydniejsza. Śmiała się hałaśliwie, śmiechem urywanym i nerwowym. W pewnym momencie nachyliła się szybko i pocałowała Wenecjanina prosto w usta.

Tomasz, opuściwszy głowę, patrzył uporczywie w ziemię.

X

W ciemnej kabinie o zamkniętych drzwiach i szczelnie zamkniętym oknie było śmiertelnie gorąco. Zlany potem, nie mogąc zasnąć, dusząc się nieomal Tomasz zeskoczył w końcu ze swego łoża i w ciszy dotarł do salonu kapitańskiego, potem po schodkach wszedł na rufę. Był na wpół nagi i bosy. Wietrzyk nocny igrał z jego szeroko rozchyłoną koszulą i spodniami z żaglowego płótna. Tomasz przeszedł od prawej do lewej burty, wystawiony na powiew wiatru, twarzą do morza.

Niebo lśniło gwiazdami, a morze rozświetlone było dziwnymi ognikami, których drżące promienie rozchodziły się daleko, gasnąc i zapalając się w miarę poruszania się fal. Noc była wyjątkowo piękna.

– Do licha! – zamruczał Tomasz sam do siebie – trzeba być wariatem, żeby spać w tej piekielnej kabinie, kiedy tutaj powietrze tak łagodne i czyste.

Oddychał pełną piersią, a powietrze morskie, przesycone solą rozpryskującej się piany i zapachami z pobliskiego lądu, chłodziło wspaniale jego spoconą skroń, kark, piersi. Orzeźwiony, nie ruszał się z miejsca, wodząc oczami po widnokręgu.

Fregaty króla stały na kotwicy w odległości około mili. Nie można było jednak niczego odróżnić, ani kadłubów, ani masztów. Błyszczały jedynie drżące latarnie bukszprytu, rzucając żółte światło. Zresztą można je było łatwo wziąć za gwiazdy nieco przyćmione, zatopione w lekkiej mgłę, która unosiła się nad wodą. Tomasz, spoglądając na morze mętym wzrokiem, nie zauważył z początku tych fregat. Ale niebawem nadeszła północ i dzwon na okręcie admirała wybił osiem szklanek, a cztery inne dzwony poszły jego śladem. Tomaszowi, gdy usłyszał to ciche i nikłe dzwonięcie, wydawało się, że słyszy dzwony ojczystej Bretanii.

Jednakże marzenie to nie trwało długo, gdyż wachtowi przy kotbelkach i przy lukach wyśpiewywali czas zmiany wachty, zgodnie z regulaminem okrętów Jego Królewskiej Mości. Powtarzane długie wołanie szło od fregaty do fregaty, ginąc daleko na morzu. Tomasz przypomniał sobie wtedy o znajdującej się tam eskadrze, którą tyle razy wysyłał już do diabła. Podrażniony, zawołał głośno:

– Te przekłete pudła nie dają mi spokoju nawet w nocy!...

Wzruszywszy niecierpliwie ramionami, oderwał się od barierki i odwrócił, aby nie widzieć owych latarni bukszprytowych, które natarczywie wdzierały się do jego oczu. Klnąc przeszedł kasztel rufowy. W pewnej chwili natknął się na kratownicę luku wielkiej kabiny. Przeszedł przeklinać w obawie, aby go nie usłyszano; kabiny pod rufą bowiem znajdowały się niemal prostopadle pod kratownicą. Z czterech kabin, wychodzących na salon kapitański, Juana zajmowała najobszerniejszą, z trzech pozostałych jedna należała do Tomasza, druga do Ludwika Guénolégo, a ostatnia przeznaczona była dla Mulatek, niewolnic Juany. Juana chciała je mieć blisko siebie, by mogły natychmiast przybiec na każde jej zawołanie, żądała od nich nieustannej gotowości do spełniania najbardziej ekscentrycznych rozkazów.

Natknąwszy się zatem na kratownicę, Tomasz instynktownie zatrzymał się i machinalnie nachylił, aby rzucić okiem w otwarte drzwiczki. Oczywiście, niczego nie zobaczył. Ale nozdrza jego podrażnił powiew zgęszczonego powietrza, wyprostował się gwałtownie. Wśród duszących wyziewów, rozchodzących się ze śpiącego okrętu, wybijał się zapach drażniący – perfumy Juany, które Tomasz odróżniłby pośród tysiąca innych zapachów. Cofnąwszy się szybko, odsunął się od kratownicy, zawrócił i oparł się znowu o barierkę, tym razem od strony nawietrznej, twarzą do lądu.

Nie było tam żadnego światła. Wybrzeże zlewało się z pociemniałym widnokręgiem. Morze, już spokojniejsze, wydawało się mniej rozświetlone. Nie opodal „Pięknej Łasicy” stała mała, zaledwie widoczna łódź. Kołysała się dość mocno i tańczyła na fali z powodu zbyt krótkiej liny kotwicznej. Gdyby Tomasz, mający wzrok bystry i przenikliwy, ujrzał tę łódź, z pewnością byłby zdziwiony, nie widząc w niej ani rybaka, ani wioślarza, w ogóle nikogo. Pusta łódź, pozostawiona w odległości mili od brzegu, wyglądała tajemniczo.

Ale Tomasz nie patrzył ani na ląd, ani na niebo, a tym bardziej na jakąś tam łódź na morzu. Ze wzrokiem tak nisko opuszczonym, że nie mógł widzieć niczego prócz stromej burty fregaty, omywanej przez fale, pograżył się znowu w zamyśleniu, wypowiadając przez zaciśnięte usta jakieś bezładne słowa. Raz tylko powiedział nieco głośniejsz:

– Sześć, siedem, osiem...osiem nocy...

Liczył widocznie, od ilu nocy Juana postanowiła sama spać w swej kabinie i zamykać się – mimo jego próśb i pogróżek – na żelazną zasuwę. Zdarzało się to zresztą nie po raz pierwszy. Ale Tomasz nigdy jeszcze nie czuł tak głuchej wściekłości ani tak dojmującego bólu. Były to istne męki potępieńca, taka jest bowiem straszna sprawiedliwość Boga, który często jeszcze w

tym życiu zsyła na grzeszników przedsmak okrutnych mąk, na jakie zostaną skazani w dzień Sądu.

– Osiem nocy... – powtarzał uporczywie Tomasz, pochylony nad ciemną wodą.

Dłonie zacisnęły się na łokciach. Siła uścisku była tak wielka, że paznokcie rozdarły skórę. Zaperliły się krople krwi.

Nagle rozluźnił zaciśnięte palce, a z ust, otwartych ze zdumienia, nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Uchwycił się obiema rękoma drewna nadburcia i całe ciało pochylił do przodu, wyglądało, jakby się chciał rzucić do morza. Nie upadł jednak, zgiął się tylko, aby zobaczyć lepiej burtę okrętu.

Akurat pod nim, prostopadle do jego oczu, otwierało się okno jednej z czterech kabin pod pokładem rufy – okno kabiny ostatniej z lewej strony. Była to kabina Juany. Okno to było zamknięte tylko do połowy, mając zasłonę górną opuszczoną, dolną zaś odsłoniętą... Tomasz odróżniał teraz przy świetle gwiazd czerwony kolor tej opuszczonej zasłony. Co prawda żadne podejrzane światło nie wydostawało się z kabiny, ale dochodził stamtąd jakiś lekki szmer, szmer, który nie był oddechem śpiącego człowieka, pogrążonej we śnie kobiety. Trzymając się stopami i kolanami dwóch podpór barierki, przechylił się jeszcze bardziej. A gdy podejrzany szmer nie ustawał, wielkie drżenie wstrząsnęło całym jego zawieszonym ciałem, tak że barierka również zadrżała i zaskrzypiała. Dźwięki te mieszały się z bezustannym żalonym skrzypieniem takielunku, poruszanego przez wiatr.

Szmer, który usłyszał, był odgłosem pocałunku. Jeden pocałunek, potem drugi, trzeci...

Tomasz tymczasem przestał drżeć. Z gardła jego dobywał się jakiś chrapliwy szept. Jego wyschnięte wargi wybełkotały trzy razy to samo słowo: „Tutaj!” Był to rodzaj lęku, zmieszanego ze zdumieniem i zgrozą. I Tomasz nasłuchiwał dalej, całkiem znieruchomiały, wyprężony w tym strasznym spokoju, w jaki ustawiczna gotowość bitewna wyposażała jego nerwy. Słuchał z dziwnym zapamiętaniem. Pocałunki głośne, namiętne mnożyły się i zdawały się nie kończyć. Niebawem dołączyło się do nich jakieś rżenie nieskończenie słodkie i rozkoszne, które Tomasz dobrze znał. Przestał nasłuchiwać. Powoli wyprostował się, stanął znów na deskach pokładu, oderwał się od barierki i po cichu posunął się ku schodkom, po czym zszedł do wielkiej kabiny. Unoszący się w powietrzu zapach perfum Juany drażnił i niepokoił. Tomasz zadrżał, ale nie zatrzymał się. Drzwi jego własnej kabiny pozostały półotwarte. Wsunął się do niej cicho jak cień. Po omacku, wciąż bez najmniejszego hałasu, poszukał krzesiwa, nabił strzelbę, zapalił świecę w latarni. Płomień oświetlił jego twarz szarą jak popiół i gorejące jak rozpalone węgle oczy. U wezłowania łóżka obok obnażonej szpady znajdowały się dwa nabite pistolety, Tomasz wziął je, opatrzył, jeden włożył za pas spodni, drugi ujął w prawą rękę, trzymając palec na spuście, w lewej ręce ścisnął latarnię, którą podniósł na wysokość ramienia, aby sobie lepiej oświecać drogę. Wyszedł i przecinając salon kapitański skierował się do kabiny Juany. Bez słowa runął na drzwi i tak wściekle uderzył nogą, że drzwi, roztrzaskane od razu, wpadły do środka wraz z zawiasami, zamkiem i zasuwą.

Na krótką jak błyskawica chwilę ukazało się wnętrze kabiny.

Tomasz ujrzał starmoszone łoża, a na nim nagą Juanę w objęciach jakiegoś mężczyzny. Ciało tego mężczyzny było delikatne i muskularne, skóra biała jak skóra kobiety. Głowa i twarz tonęły w cieniu. Tomasz podniósł pistolet.

Ale człowiek ten w oka mgnieniu uwolnił się z uścisku i zeskoczył z łoża. Tomasz nie nacisnął spustu, chcąc dać strzał całkiem pewny. Mężczyzna rzucił się na niego i uderzył pięściami w obydwie ręce Tomasza, usiłując go rozbroić. Nie udało mu się to, ręce Tomasza bowiem trzymały broń jak w kleszczach. Rozległ się brzęk stłuczonej latarni i świeca upadła na podłogę. W tej właśnie chwili nieznajomy skoczył znowu, osunął się, aby uniknąć strzału, przemknął błyskawicznie między nogami Tomasza i wybiegł z kabiny. Ale Tomasz, odwróciwszy się, ujrzał go w słabym świetle, przenikającym przez kratę. Uciekający człowiek za-

trzymał się przy drzwiach kabiny Guénolégo. Tomasz dał ognia. Człowiek ów zwał się z wielkim hałasem.

A Tomasz, oślepiiony ogniem strzału, nic przez chwilę nie widział.

Świeca, leżąca u jego stóp, nie zgasła jeszcze. Podniósł ją w górę. Wtedy z piersi jego wydarł się okrzyk zdumienia. Mężczyzna stał wciąż w tym samym miejscu, pod drzwiami Guénolégo. Stał znieruchomiał, zwrócony twarzą do Tomasza. Tomasz ujął swój drugi pistolet i podszedł. Gorejąca świeca rzucała żółte błyski. Nagle Tomasz krzyknął i zatoczył się, przeżony, oszalały, bezgranicznie zdumiony. Tym człowiekiem był Ludwik Guénolé! Tak, Ludwik Guénolé. Nie było żadnej wątpliwości. To Ludwik Guénolé stał tam w koszuli, jego biała delikatna skóra połyskiwała w świetle świecy.

Tomasz podszedł bliżej. Ludwik nie ruszał się. Jego spokojne rysy nie zdradzały żadnego lęku ani wstydu. Tomasz, nieprzytomny z wściekłości, patrzył na niego przez kilka sekund, a potem cichym, urywanym głosem rzekł:

– I ty, Ludwiku, tak samo jak inni?... – i szybkim ruchem dał strzał.

Ludwik Guénolé otworzył szeroko usta, rozwarł zdumione oczy i padł martwy. Kula przeszła mu ponad sercem, przesywając aortę. Krew wytrysnęła tak silnie, że Tomaszowi, stojącemu o jakieś trzy kroki, zboczyła całą prawą rękę. Opuścił dymiący jeszcze pistolet i stał w miejscu jak skamieniały.

Szmer cicho stawianych kroków przerwał złowieszczą ciszę. Tomasz ujrzał wychodzącą z kabiny całkiem nagą Juaną. Zbliżyła się. Oczyma szukała trupa. Zobaczyła go. I szybko podniosła głowę. Jej twarz wyrażała niewyobrażalne wprost zdumienie. Wyszepiała jak gdyby nie wierząc własnym oczom:

– Guénolé?...

I rozejrzała się wokoło. Tomasz wpatrywał się w nią uporczywie. Patrząc tak, żałował gorąco, że nie ma za pasem trzeciego pistoletu.

Podczas kiedy tak stali, twarzą w twarz, jakiś inny dźwięk, wyraźny, chociaż daleki, przypisał oboje o dreszcz; był to odgłos ciała skaczącego z dość wysoka i zanurzającego się w wodę. I kiedy Tomasz usłyszał ten dźwięk, poczuł naraz jakby tępe uderzenie w głowę; rozwarł ramiona, obrócił się dwukrotnie na miejscu i upadł obok ciała Guénolégo, twarzą ku ziemi...

Juana wybuchnęła nagle śmiechem triumfującym, straszliwym, dzikim.

Mimo to nie zabił jej. Ciągle się śmiejąc, zawróciła do swej kabiny. Od drzwi zawołała:

– Chodź!

Kłęcząc i opierając się na jednej ręce podniósł się, by natychmiast iść za tym głosem kuszącym. Nie poszedł jednak od razu, ponieważ jego zmacony wzrok padł na drugą rękę, która była zboczona krwią. I nagle, za sprawą jakiejś siły tajemnej, przypomniał sobie staruchę z Saint-Malo, spotkanie przed pięciu laty na ulicy Trzech Króli, obok bramy Croix du Fief. Ogarnięty lękiem i rozpaczą, powtarzał tę przepowiednię: „Krew na tej ręce... krew kogoś, kto jest tutaj blisko... całkiem blisko...”

XI

Nie zabił jej ani tego wieczora, ani potem. Nie zabił jej nigdy.

Nałożyła nań jakby jarzmo, trzymała go przy sobie jak psa na łańcuchu. A było to jarzmo i łańcuch nieopanowanych żądź cielesnych. Więzy rozkoszy i pożądania, których wola ludzka rozerwać nie potrafi.

Kiedy wołała: „Chodź!” – szedł posłusznie. Skrwawione ciało Ludwika Guénolégo, który był dla Tomasza bratem, druhem, lojalnym podwładnym – więcej: był dla niego ojcem i matką, zastępował mu krewnych, braci, siostry, przyjaciół, krótko mówiąc, był dla niego wszyst-

kim, nie na długo rozdzieliło Tomasza i Juaną. Powiedzmy wyraźnie – pierwszej nocy, która nastąpiła po morderstwie, Juana, otwierając drzwi swojej kabiny, zawołała zuchwale do Tomasza: „Chodź!” i zaraz tej pierwszej nocy Tomasz przyszedł.

Skrwawione ciało Ludwika dręczyło Tomasza w snach. To straszliwe widmo zjawiało się każdej nocy. Tomasz płakał i szlochał, odczuwał nieopisany ból i ogromne wyrzuty sumienia. Mimo tego koszmaru, na każde skinienie Juany przybywał do jej kabiny. Kiedy przekraczał próg tej kabiny, którą ona nadal często zamykała na zasuwę z nadmiaru zuchwałości albo z innych powodów, kiedy wszedł wreszcie, zdawała się z początku nie zauważać jego obecności. Nie patrzyła na niego, tylko śpiewała albo stroiła się.

Niekiedy była ubrana we wspaniałą suknię, ciągle bowiem kochała się nade wszystko w pięknych materiałach i zbyt kownych drobiazgach. Usiłowała i tutaj na morzu naśladować zmienną modę dworu wersalskiego. Przez całe swe życie wydawała wiele pieniędzy na puder, róż, muszki, kremy i perfumy. Ale najczęściej Tomasz znajdował ją nagą, spoczywającą na tym samym łożu, gdzie tak niewiele dni temu widział podobnie nagą... w czyichś objęciach.

Napawała się widokiem tego człowieka, który był niegdyś jej panem, a teraz stał się pożałobnym niewolnikiem. Leżąc na wznak wśród poduszek z rozrzuconymi rękami i nogami, ssła powoli jakąś pralinę albo wachała chusteczkę, skropioną wodą fiołkową. Po upływie chwili porzucała perfumy i słodycze, ale jedynie po to, by ziewać lubieżnie, ukazując całe swoje usta: gorące i ruchliwe wargi, ostre zęby, gładki i giętki język. Następnie, kiedy skończyła ziewanie, przeżyła się i przeciągała, powolne ruchy stopniowo odsłaniały łono, plecy, ramiona, piersi, uda. Tomasz, rozgorączkowany, lecz panujący nad sobą, patrzył na to wszystko, stojąc bez ruchu, nie mrugnawszy nawet powieką, dopóki go, sama podniecona, wreszcie nie zawołała, jak się woła psa, ruchem szybkim i rozkazującym.

Dopiero wtedy splatali się w uścisku.

Uściski jej były gwałtowne, brutalne, dzikie, a zarazem świadome wszelkich najbardziej wyrafinowanych pieszczot. Z uścisku tych ramion jedwabistych i tak wątłych, tych rąk słabych o paznokciach podobnych do płatków róży, dumny Tomasz l'Agnelet, najdzielniejszy ongiś korsarz Jego Królewskiej Mości, wychodził rozbity, omdlały, wyczerpany, znużony śmiertelnie. Na skopanym i starmoszonym łożku leżał jak żołnierz powalony wystrzałem.

Ona zaś, Juana, nachylała się nad nim, przyglądając mu się szczególnym wzrokiem.

Będąc skończoną egoistką, kobietą zbyt dumną i władczą, aby kiedykolwiek w ramionach mężczyzny udawać rozkosz, której nie doświadczała, pozostawała niekiedy zimna i nieczuła, a na płacze i spazmy kochanka odpowiadała wybuchami śmiechu. Ale znacznie częściej sama rozpalała się podczas tej zacieklej walki, oddawała się całkowicie, zatapiając palce w uciskających biodrach, kąsając, drapiąc, wyjąc i padając wreszcie ze szczytu rozkoszy aż na dno tej otchłani milczącej i ponurej, w którą Tomasz w tej samej chwili się pograżał i w którą zsuwała się jak on wyczerpana.

Kochała Tomasza za tę rozkosz, jaką od niego otrzymywała i jakiej żaden mężczyzna jej nie dał, jakkolwiek próbowała wiele razy. Żaden mężczyzna – nawet Wenecjanin, który był kochankiem doświadczonego i pomysłowego, jak wszyscy ludzie jego rasy. Ale dla niej żadna delikatna pieszczota nie znaczyła nic wobec siły, wobec władczej siły. Kochała zatem Tomasza całą swą gwałtowną naturą. Ale i nienawidziła go za tę samą miłość, która ją opanowała i której musiała się poddać. Cierpiała jej duma branki, która została kochanką i panią. I niekiedy czyniła sobie wyrzuty z powodu każdego uścisku, któremu się poddawała, każdego otrzymanego pocałunku, każdej doznanej rozkoszy.

Wówczas, aby upokorzyć Tomasza, a także usprawiedliwić się we własnych oczach, zdawiała swoją nieczułość i pogardę, usiłując przekonać samą siebie, że pomimo wszystkie dzielone wspólnie namiętności i żądze, ona jest królową, a on niewolnikiem. I chwytła się gorączkowo każdej sposobności, aby wykazywać swą królewskość wobec niewolnika Tomasza.

Tak więc kilka dni po zabójstwie Ludwika Guénolégo zmusiła Tomasza do podniesienia kotwicy i opuszczenia Tortue. Uczyniła to tylko dlatego, żeby unieważnić postanowienie Tomasza wypłynięcia w tym czasie, kiedy miała wyruszać eskadra flibustierów na Morze Południowe. Tomasz bowiem uznał słusznie, że w zamieszaniu i tumulcie nie będzie dostrzeżony przez agentów królewskich.

Ale skoro Juana postanowiła inaczej, nie protestował. „Piękna Łasica” wypłynęła sama na długo przed wyprawą na południe i wcale się nie ukrywała.

XII

Trzy tygodnie później, w dniu powrotu na Tortue, „Piękna Łasica” była zaszczycona wizytą szczególną i wielce nieoczekiwaną.

Było to wieczorem. Kiedy słońce zanurzyło się w morzu, wyruszyła z portu łódź i popłynęła cicho w kierunku fregaty Tomasza. Była to mała łódź o dwóch wiosłach, poruszanych przez jednego tylko Murzyna. Przewoziła jakiegoś człowieka, który wyraźnie starał się o to, aby nie dostrzeżono jego twarzy, zakrył ją bowiem prawie całą spuszczonego szerokiego kapelusza. Noc, która zapadała szybko, jak wszystkie noce tropikalne, pokryła już świat ciemnością, kiedy łódź przybiła do „Pięknej Łasicy”. Tomasz, który przypadkowo przechodził się wzdłuż kasztelu rufy, usłyszał nagle swoje nazwisko, wymówione cichym głosem. Spojrzał. Człowiek w kapeluszu rozmawiał z marynarzem wachtowym. Tomasz wyszedł naprzeciwko tego człowieka w chwili, kiedy ten wchodził po trapie. Spotkali się pośrodku pokładu. I wówczas Tomasz, wielce zdziwiony, poznał pana de Cussi Tarin, gubernatora Tortue i San Domingo.

Pan de Cussi Tarin położył palec na ustach. Marynarzowi wachtowemu nie podał swego nazwiska. Tomasz odgadł bez trudu jakąś tajemnicę i nie mówiąc słowa zaprowadził gubernatora do salonu kapitańskiego. Po wymianie grzeczności usiedli obydwoj i przyglądali się sobie w milczeniu. Tomasz nie mógł uwierzyć własnym oczom. On sam nigdy nie składał wizyty panu de Cussi, przeto obecność na pokładzie osobistości tak poważnej wydawała mu się tym bardziej niezwykłą. Wszystko miało się niebawem wyjaśnić.

Wahając się z początku jak człowiek, który nie wie, w jaki sposób rozpocząć ważną rozmowę, gubernator króla zdecydował się nagle i bez żadnych wstępów zapytał Tomasza, co robiła „Piękna Łasica” na morzu podczas ostatniego swego rejsu: czy, broń Boże, nie zrabowała jakiegoś okrętu wbrew wyraźnym rozkazom Jego Królewskiej Mości.

Gubernator badawczo wpatrywał się w twarz gospodarza. Tomasz poczerwieniał i chciał się podnieść.

– Niech pan się nie obraża! – zawołał gubernator chwytając Tomasza za rękaw. – Niech się pan nie obraża i, zaklinam pana, kapitanie l’Agnelet, racz chwilę pomyśleć, sama obecność na tym pokładzie powinna pana przekonać o mojej dobrej woli i pokojowych zamiarach. Na honor! Przychodzę tutaj jedynie dla pańskiego dobra. I proszę mi wierzyć, że chcę panu oddać wielką przysługę.

Tomasz, zdziwiony, zagłębił się w swym krześle. Pan de Cussi przysunął swoje i wyciągnął dłoń do Tomasza:

– Niech mi pan poda swoją dłoń, a potem posłucha! – podjął znów żywo. – Niech mnie pan wysłucha, a wtedy nie będzie wątpił w to, co powiedziałem.

Zaczął najpierw wychwalać niezwykle talenty Tomasza oraz wyliczać długą listę niewiarygodnych wprost, doniosłych czynów, które przyniosły mu nieznównaną sławę w całej Ameryce. Byłoby rzeczą nie do pomyślenia – prawil – aby człowiek tak dzielny jak kapitan l’Agnelet naraził się na to, iżby pewnego dnia został źle oceniony za swe ogromne męstwo. I

on sam, Cussi Tarin, uczciwy szlachcic i dobry żołnierz, przysiągł sobie, że nie może do tego dopuścić.

– Czyż tak? – spytał Tomasz, nic jeszcze z tej perory nie rozumiejąc.

– Tak jest! – potwierdził pan de Cussi. – I chcę natychmiast przystąpić do rzeczy.

Zaczął szperać po kieszeniach, jakby czegoś szukał.

– Kapitanie l'Agnelet – ciągnął dalej – przypomina pan sobie, być może, że widzieliśmy się już na Wyspie Krowiej, w wigilię tej wyprawy, sławnej i zarazem nieszczęsnej, w której pan ze swymi towarzyszami flibustierami brał udział zeszłego roku przeciwko Veracruz. Tego dnia przybyłem na wasze zgromadzenie, aby oznajmić stanowcze rozkazy Jego Królewskiej Mości króla Francji. Przypominam sobie, że pan... tak, pan we własnej osobie, odpowiedział mi nader uprzejmie, ale nie wierząc w moje słowa. Czyż tak nie było? Zaklinam, niech mi pan odpowie bez obawy i całkiem szczerze.

Słowo „obawa” należało do tych, których Tomasz nie mógł słuchać bez uczucia wściekłości.

– Dalibóg! – rzekł porywczo – niczego w świecie się nie obawiam i pamięć pana nie myli. Nazwał mnie pan dzielnym człowiekiem. Jestem nim istotnie. I król jest nim tak samo jak ja. Mówię to dlatego, ponieważ go znam. Otóż nie wierzę i nie uwierzę w to nigdy, aby taki człowiek jak król chciał grozić, i to grozić najgorszym, o czym już słyszałem, tak oddanemu mu człowiekowi jak ja z powodu kilku głupich zatopionych Hiszpanów albo powieszonych Holendrów. Zwłaszcza po tym, co dla niego uczyniłem.

Wyprężył się dumnie na krześle i oparł ściśniętą pięść na biodrze.

Ale pan de Cussi potrząsnął głową.

– Kapitanie l'Agnelet – rzekł powoli i tonem poważniejszym. – Król, oczywiście, jest dzielnym człowiekiem i byłoby grzechem śmiertelnym w to wątpić. Mimo to jednak wydał rozkazy, podpisał edykty, w które pan nie wierzy, i naprawdę zagroził śmiercią każdemu, kto działałby wbrew jego woli. Nie mówię tego gołosłownie. Istnieje na to dowód. I właśnie po to tylko przybyłem na pański pokład, aby przynieść ów dowód, tak aby pan go ujrzał na własne oczy i dotknął własnymi rękoma!

Wyciągnął z kieszeni jakiś papier złożony we czworo. Była to dokładna kopia „Instrukcji dla panów komisarzy Jego Królewskiej Mości, wysłanych w misji specjalnej do Indii Zachodnich”. Zaciekawiony Tomasz zaczął sylabizować pierwsze słowa nie bez trudu, pismo bowiem było dość drobne.

– Kiedy pan przeczyta – powiedział gubernator z najszczerzym smutkiem – uwierzy pan. Chcę pana ostrzec i dlatego pokażę panu jego własne nazwisko, wypisane ręką samego pana Colbert do Seignelay, a więc, bez wątpienia, podyktowane przez króla.

Tomasz skoczył jak ranny byk i wykrzyknął:

– Moje nazwisko?

– Tak jest, pańskie nazwisko! – odparł gubernator. – Nazwisko pańskie w całej rozciągłości: Tomasz Trublet pan de l'Agnelet...

Wziął z rąk Tomasza kopię i wskazał palcem adnotację na marginesie, istotnie podyktowaną przez króla Ludwika. Tomasz mógł jej się przyglądać do woli.

– A więc? – odezwał się gubernator po dość długiej chwili.

Ale Tomasz, przeczytawszy raz, odczytywał i odczytywał ten fragment. Ostatnie zdanie zwłaszcza przyciągało jego oczy jak magnes:

„Jeśli nie okaże natychmiast skruchy, nasze dawne względy zwrócą się sprawiedliwie przeciwko zbrodniarzowi, który winien być ukarany ze zdwojoną surowością”.

– Sądzę – rzekł de Cussi – że obecnie już pan nie wątpi? Tomasz opuścił głowę. Nie odpowiedział. Cóż zresztą mógł odpowiedzieć? Oczywiście, teraz już nie wątpił, ale z pewnością mało rozumiał.

Tymczasem gubernator królewski powstał.

– Panie de l'Agnelet – oznajmił uroczyście – mam zaszczyt pana pożegnać. Stąd do gubernatorstwa jest bardzo daleko.

Tomasz podniósł się i bez słowa, machinalnie się odklonił.

Pan de Cussi Tarin przekraczał już próg wielkiej kabiny. Zatrzymał się jednak, jakby uświadomił sobie, że nie powiedział wszystkiego, i zakończył dość niespodziewanie:

– Niech pan pozwoli, że będę go prosił, aby pamiętał o tym: tu chodzi o głowę! Ci, którzy nadal będą dokonywać grabieżczych wypraw, nie będą już uważani za korsarzy, ale za zwykłych rozbójników, piratów! Tak, piratów! Podkreślam to bardzo mocno, żeby pan nie zapomniał o moim ostrzeżeniu. Żegnam pana.

Tomasz odprowadził swego gościa do wnętrza trapowej i gdy znów znalazł się sam w wielkiej kabinie, drzwi od dłuższego czasu uchylone otworzyły się na całą szerokość i wyszła z nich podsluchująca Juana.

Podeszła do zamyślonego Tomasza i uderzyła go po ramieniu:

– No tak! – rzekła szyderczo – teraz jesteś poważny i zimny jak posąg, bo taka jest wola króla. Tomaszu, mój chłoptasiu, gdzie jest twój pług?

– Mój pług?

– Dalibóg! Twój pług! Przecież chcesz zostać rolnikiem?

Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Znów zaczęła kpić, łącząc go słowami i gestem:

– Chodzi tu o głowę, mój Tomaszu! Czego się nie robi, aby uratować taką głowę jak ta, zaiste, piękną głowę! No, dalej! Bierz grabie, bronę, rydel, motykę! Kiedy opuszczamy okręt?

Tupnął nogą.

– Milcz! Kto mówi o opuszczeniu okrętu?

Udała wielce zdziwioną:

– Cóż to, kochanie? Nie chcesz słuchać tego poczciwego gubernatora Cussi Tarin, twego wiernego druha? Chcesz mu narobić kłopotów? Czyżbyś chciał wypłynąć wbrew własnej chęci?

Odwrócił głowę, pochylając ją na ramię.

– No nie... – odparł – nie natychmiast.

Wybuchnęła pogardliwym śmiechem.

– Tchórze! – wołała śmiejąc się. – Tchórze! Dobrze o tym wiedziałam!

Podszedł do niej z zaciśniętymi pięściami.

– O czym wiedziałaś?

Przestała się śmiać, spojrzała na niego, a jej czarne oczy rzucały płomienie:

– Śmiesz się o to pytać?

Szybkim ruchem skinął głową:

– Odpowiedz! O czym wiedziałaś?... Ty ladacznico!

– Tchórze! – powtórzyła z wściekłością. – Wiedziałam o tym, że się ulękiesz i że będziesz posłuszny rozkazom króla. Że będziesz się wylegiwał, ty psie ospały! Wiedziałam o tym, że byłbyś szczęśliwy, mogąc unikać na zawsze wojny i walki, tak jak zawsze unikałeś wszelkich niebezpieczeństw, ludzi groźnych, jak unikałeś...

Umilkła, gdyż mimo całej swej zuchwałości przeraziła się strasznego spojrzenia korsarza. Ale w chwilę potem zawstydzila się swego wahania i wykrzykiwała:

– Jak unikałeś zawsze wszystkich moich kochanków, jak unikałeś...

Nie dokończyła. Po raz pierwszy podniósł na nią rękę. Uderzył. A uderzenie to powaliło ją na ziemię.

Rzucił się na leżące ciało. Uderzył znowu, dziki, wzburzony, gotów ją zabić.

– Milcz! – ryczał. – Milcz!

Ale ona wyprężyła się na wspartych łokciach.

– Tchórze! Tchórze! – krzyczała głośniejsz od niego. – Tchórze! Mnie mordujesz, bo innych nie śmiesz! Tchórze! Idź, ratuj się, uciekaj! Uprawiaj pole, które ci da twój Cussi za cenę twego tchórzostwa!

Bił ją nieprzytomnie. Upadła wreszcie i umilkła, wyczerpana całkowicie. Nagle zaczęła szlochać z bólu i wściekłości. Wtedy ją puścił, kopnąwszy nogą bezwładne ciało.

Ale ona wcale nie była nieprzytomna. I usłyszała go, jak wyszedłszy z wielkiej kabiny, rzucał załodze rozkazy głosem podobnym do huku grzmotu lub działa:

– Wszyscy na pokład! Gwizdać na manewry! Do stu diabłów! Każdy na swoje miejsce i szykować się do wyjścia w morze!

Jakkolwiek noc była bardzo ciemna, bez księżycy, w pół godziny potem „Piękna Łasica” płynęła już pod pełnymi żaglami.

XIII

W siedem dni później „Piękna Łasica” wróciła na Tortue.

Tego dnia odbywało się przyjęcie na pokładzie fregat królewskich. Dowódca eskadry, wielki dygnitarz, podejmował gubernatora de Cussi Tarin, tudzież obydwóch komisarzy Jego Królewskiej Mości, panów do Saint-Laurenta i Begona, jakkolwiek byli oni ludźmi niższego stanu, ale o tysiąc pięćset wielkich mil od Wersalu etykieta zezwalała na pewne uchybienia. Zaproszono na to przyjęcie wszystkich miejscowych notabli. Fregata admirałska, ubrana flagami, tonąca w kwiatkach i zieleni, miała wygląd pływającego pałacu. Na kasztelu rufowym ustawiono namiot z czerwonego aksamitu o złotych frędzlach, pod którym zgromadzili się zaproszeni panowie wokół długiego stołu, zastawionego doskonałymi winami oraz piwem, cydrem, lemoniadą i różnymi innymi płynami, a także wielką ilością czekolady, owoców i ciast. Od wczesnego popołudnia bawiono się doskonale, opróżniając puchar za pucharem i pijąc za zdrowie króla. Na długo przed zachodem słońca wszystkich ogarnęła głośna wesołość, słyhać było śpiewy, śmiechy i radosny gwar.

Mimo to nie zaniedbano postawić wachty, marynarze wachtowi badali lunetami widnokrąg z całą skrupulatnością, jaką regulaminy pana Colberta wprowadziły w zwyczaj na okrętach Jego Królewskiej Mości. Toteż pośród największego rozgwaru zabawy dowódca wachty nie wahał się zawiadomić dowódcy eskadry, znajdującego się w aksamintym namiocie, że ukazał się jakiś okręt i kieruje się do portu.

Dowódca eskadry trzymał puchar w dłoni. Wiadomość sama w sobie nie przedstawiała niczego nadzwyczajnego. Przyjął ją z uśmiechem.

– Do licha! – rzekł – podnosząc puchar – oto okręt, który przybywa w szczęśliwą godzinę! Niech będzie pozdrowiony! Panowie, wypijmy zdrowie tego okrętu!

Wszyscy wypili. Ale starszy wachty, z czapką w garści, stał na baczność i nie odchodził. Dowódca eskadry zapytał go:

– Cóż tam jeszcze? Po co tam sterczysz, chłopcze, jakbyś kij połknął? Mówże, do licha!

– Admirale – rzekł marynarz – ten okręt to jest...

– No?

– Ten okręt, zdaje mi się, jest podobny do okrętu groźnego pirata, który wypłynął stąd ostatniego tygodnia...

– Czyżby!?! – wykrzyknął admirał poważniejąc. – „Piękna Łasica” Tomasza I’ Agneleta?

– Tak – odpowiedział starszy wachtowy.

Nazwisko to podziałało jak dzban zimnej wody. W jednej chwili śmiechy i śpiewy ucichły. Pan de Cussi Tarin zbladł. Panowie de Saint-Laurent i Begon zbliżyli się, nadstawiając ucha.

Dowódca eskadry jednak pozostał spokojny. Wzruszył ramionami:

– Tomasz l'Agnelet czy kto inny, mało nas to obchodzi. Niech przybywa, jeśli to on. Czyż to pierwszy raz „Piękna Łasica” krąży osiem albo dziesięć dni po morzu, aby wyszkolić swą młodą załogę?

Przy słowie „młoda” gubernator Cussi potrząsnął głową. Marynarz tymczasem stał na wprost dowódcy eskadry z otwartymi ustami, jakby nie powiedział jeszcze wszystkiego.

– Skończyłeś już? – rozgniewał się admirał. – Czego chcesz jeszcze, szelmo? Żeby ci podał szklankę wina? Albo może dał ci kopniaka?

W taki jowialny sposób oficerowie zwracali się często do marynarzy. Rozwiązało to język starszego wachty.

– Oczywiście, nie! – odpowiedział. – Ale chciałem jeszcze dodać, że fregata piracka nie wraca tym razem do portu tak jak zwykle.

– A zatem jak? – zapytał zdziwiony dowódca eskadry.

Marynarz wyprężył się na progu aksamitnego namiotu. Wyciągnął ramię w kierunku zachodnim.

– Wasza dostojność raczy sam zobaczyć...

Kilku zaciekawionych gości admirała wyszło wraz z nim z namiotu.

Zobaczyli.

„Piękna Łasica” była już niedaleko. Pływała pod pełnymi żaglami, gdyż morze było spokojne i wiał słaby wiatr południowy. Kierowała się wprost do portu. Oficerowie króla widzieli tylko żagle przednie, które zakrywały żagle na rufie.

Ale nie trzeba było więcej, aby łatwo odróżnić cztery reje fregaty, mianowicie: reję żagla bukszprytowego i trzy reje fokmasztu. Otóż na ośmiu końcach tych czterech rei wisiały jakieś osobliwe ozdoby. I kiedy dowódca eskadry skierował tam lunetę, którą mu skwapliwie podano, z piersi jego wydarł się nagle okrzyk grozy i przerażenia.

Wisiały tam bowiem ciała skazańców. Na wszystkich blokach olinowania fregaty zawieszono były po dwa, po trzy, po cztery trupy Hiszpanów. Poznawano je po ubiorach, a nawet po rysach twarzy.

Zuchwałstwo, butne i dzikie, skłoniło Tomasza do tego uczynku. Ponadto chciał raz na zawsze zamknąć usta ciągle lżącej go Juany. Juana bowiem, w większym stopniu niż dawniej, nie szczędziła swemu kochankowi wszelkich możliwych zniewag i obelg. Stała się zajadła, oddawała mu z nawiązką każdy z razów, jaki od niego otrzymała podczas ich ostatniej strasznej kłótni, i to oddawała w formie najbardziej wzdurliwych szyderstw. Tomasz postanowił położyć temu kres i dać jej dowód, dowód ostateczny, że ani rozkazy Jego Królewskiej Mości, ani przekonywania gubernatora de Cussi, ani wreszcie potęga pięciu królewskich fregat nic nie znaczą wobec jego woli, jego, Tomasza l'Agneleta!

Wyszedłszy zatem z Tortue przez cieśninę zachodnią, „Piękna Łasica” obrała kurs na Santiago de Cuba z zamiarem dokonania tam napaści, a gdyby zaszła potrzeba, dotarcia aż do portu pod ogniem hiszpańskich baterii. Ale przypadek zrzucił inaczej, gdyż nagle zerwał się wiatr północny, który poniósł fregatę pod przylądek Tiburon, stanowiący zachodni cypel wyspy San Domingo. I w tym właśnie miejscu – gdzie przed ośmiu laty, pokonawszy galeonę płynącą z Ciudad-Realu, Tomasz Trublet zaczął zdobywać sławę i fortunę – okręt kupiecki z Sewilli, wracający do Europy z pełnym ładunkiem drzewa kampezesowego i różnych korzeni, wpadł, na swoje nieszczęście i swoją zgubę, w ręce Rycerzy Fortuny. Tomasz atakując ten okręt wywiesił, zamiast bandery Saint-Malo, ponury sztandar, który stał się teraz naprawdę jego własnym. Ponad purpurową flagą ze złożonym barankiem na szczycie grotmasztu powiewała czarna flaga z czterema trupimi głowami. Hiszpan, ogarnięty strachem, rzucił się w panice do szaleńczej ucieczki, dając ognia z małej armatki. Zwycięski Tomasz nie zawahał się za karę wymordować nieszczęsnej załogi – od pierwszego do ostatniego człowieka – potem zaś, ciągle pod świszczącym biczem szyderstw Juany, wpadając w szal i dziką wście-

kłość, powiesił wszystkie trupy na górnych i dolnych rejach. Postanowił wrócić na Tortue i przedelfilować tuż przed oczami komisarzy królewskich z tym przerażającym ładunkiem.

„Piękna Łasica” poszła ostrzej na wiatr, by wybrać dogodniejsze miejsce do rzucenia kotwicy. Manewry te spowodowały, że zgromadzeni przy namiocie admiralskim oficerowie królewscy raz po raz wydawali okrzyki pełne grozy i nietlumionej trwogi. W takt kołysania się okrętu pośród wydętych białych żagli kołysało się czterdzieści trupów powieszonych na rejach.

Nagle rozległ się brzęk stłuczonego szkła. To dowódca eskadry rzucił na podłogę pełny jeszcze puchar. Wyniosły i groźny, wydał rozkaz:

– Sygnał dla „Astrée!”

„Astrée” to była najmniejsza z pięciu fregat królewskich, uzbrojona tylko w czternaście dział, tak delikatna, że była raczej podobna do tych niewielkich okrętów angielskich, które wówczas zaczęły się pokazywać na morzu. Nazywano je korwetami.

Głos dowódcy eskadry brzmiał tak silnie i czysto, iż żaden z czterystu marynarzy fregaty admiralskiej nie uronił ani jednej sylaby:

– Dać sygnał dla „Astrée”, aby natychmiast wybrała kotwicę, wypłynęła, ujęła pirata i przywiodła go tutaj, na mój pokład. Całą tę przeklętą załogę zakuć w dyby!

Pan de Cussi Tarin jakby mimo woli uczynił krok w kierunku dowódcy eskadry i zagadnął go:

– Markizie...

Drżąc jeszcze z gniewu, wysłannik króla, dumny i wyprężony, zwrócił się do pytającego:

– Panie gubernatorze?

Ale gubernator, z pochyloną głową i zatroskanym czołem, zdawał się ważyć słowa, które z początku zamierzał powiedzieć.

Odezwał się dopiero po upływie dość długiej chwili zupełnie innym tonem:

– Czy „Astrée” nie jest statkiem za słabym, by wykonać takie zadanie?

Ale dowódca eskadry, zachnąwszy się, skrzyżował gwałtownie ręce na piersi:

– Co chce pan przez to powiedzieć? Czyżby pan przypuszczał, że ci nędznicy ośmielą się wystąpić przeciwko nam, ludziom Jego Królewskiej Mości?

Flagi i chorągiewki sygnałowe łopotały już na wietrze. Usłyszano bęben i gwizdki manewrów na pokładzie „Astrée”.

A na pokładzie „Pięknej Łasicy” panował nastrój beztroski. Tomasz wraz z Juana siedzieli w wielkiej kabinie. Juana tego dnia włożyła suknię z tafty barwy fiołków, bogato wyszywaną złotem, oraz stanik z białej satyny, przepyszenie przybrany najpiękniejszym haftem. Wyglądała imponująco i wspaniale.

Pili razem – przez rzadki przypadek będąc w zgodzie – wino zabrane z ostatnio napadniętego okrętu, gdy jeden z chłopców załogi przekazał kapitanowi wiadomość, że „jakaś przeklęta fregata królewska płynie jak szalona, aby przeciąć im drogę”. Usłyszawszy to Tomasz niezwłocznie wszedł na rufę, a Juana podążyła za nim.

Rzeczywiście, „Astrée” kierowała się ku nim, tak jak to powiedział marynarz. Idąc z wiatrem rozwinęła maksymalnie żagle i szła baksztagiem tak, że „Piękna Łasica” miała skrepowane ruchy. Odległość, która dzieliła obydwie statki nie była większa niż trzysta, czterysta sążni.

– Coś podobnego – zamruczał jeden z kanonierów, spoglądając na Tomasza. – Może by tak obciąć skrzydła temu ptaszкови?

Zbliżył się do działa, przygotowując je do strzału. Inni poszli w jego ślady. Park amunicyjny był już otwarty.

Tomasz, zmarszczywszy brwi, spoglądał uważnie na fregatę królewską. Juana, stojąc u jego boku, śmiała się szyderczo.

Wówczas po morzu przebiegł długi okrzyk. Kapitan „Astrée”, przyłożywszy usta do tuby, obwoływał fregatę korsarską. Rycerze Fortuny słuchali bacznie. Tomasz odpowiadał.

– Hej, wy, z „Pięknej Łasicy”!

– Hej?!

– W imieniu króla! Ściągnijcie flagę!

– Hej?!

– Ściągnijcie waszą flagę! Poddajcie się!

Zdumiony Tomasz, który oczekiwał wszystkiego oprócz rozkazu poddania się, podniósł oczy na grotmaszt, potem spojrział ku rufie. Tutaj powiewała jeszcze czarna flaga z czterema trupimi głowami, tam – czerwona flaga ze złotym barankiem.

Oficer królewski, wąpiąc, czy dobrze był usłyszany, powtórzył tymczasem:

– Poddajcie się! Ściągnijcie flagę!

I w tej samej chwili wśród załogi pirackiej powstał nagły tumult. Ci chłopcy, którzy dotąd nie wiedzieli, co to jest klęska, a tym bardziej wzięcie do niewoli, wybuchnęli gromkim śmiechem i pośpieszyli na swoje stanowiska. Uczynili to tak szybko, że Tomasz, napatrzywszy się na obydwie łopoczące flagi i przenosząc następnie wzrok na pokład fregaty, ujrzał naraz wszystkich w całkowitej gotowości bojowej. Zresztą nie było wątpliwości, że trzy salwy „Pięknej Łasicy” zmiażdżyłyby „Astrée” doszczętnie. Walka między obydwojma okrętami byłaby bowiem podobna do pojedynku mistrza dzielnie władającego bronią z adeptem po raz pierwszy próbującym szpady.

– W imieniu króla, poddajcie się! – krzyczał wciąż kapitan „Astrée”.

Wówczas Tomasz, śmiejąc się jak cała jego załoga, dobył szpady i wyciągnął ją w kierunku tamtej fregaty. Otwierał już usta, aby nakazać ogień, gdy fregata, gotowa również do walki i spełnienia swego obowiązku, rozwinęła nagle na grotmaszcie i rufie barwy królestwa Francji, mianowicie satynę białą, usianą kwiatami lilii z lazuruowo-złotym herbem Jego Królewskiej Mości pośrodku. Taki właśnie herb Tomasz Trublet, pan de l’Agnelet, widział był ongiś, witał i czcił, klęcząc na ziemi, kiedy ten herb powiewał na wietrze, pośrodku królewskiego sztandaru, dumnie rozwiniętego ponad pałacem w Saint-Germain-en-Laye.

Wszyscy chłopcy wpatrywali się uporczywie w kapitana, oczekując jego najdrobniejszego choćby skinienia, rozkazu, aby rozpocząć walkę.

Nagle wytrzeszczyli oczy i zaczęli je sobie przecierać, byli przekonani, że wzrok ich myli.

Tomasz l’Agnelet, dostrzegłszy banderę króla Francji, zatrzęsł się nagle od stóp do głów, opuścił prawe ramię wzdłuż ciała, pochylił boleśnie głowę na piersi, a następnie upuścił obnażoną szpadę, która upadała na płask, wydając ponury brzęk. I wówczas, podczas gdy kapitan królewskiej fregaty wołał po raz ostatni: „W imieniu króla!”, podczas gdy osłupiała Juana wydała głośny krzyk, zakończony wściekłym wybuchem szyderczego śmiechu, Tomasz l’Agnelet, uchylając się od walki przeciw Kwiatom Lilii, podszedł stanowczym krokiem do swej flagi i pociągnął własną ręką za linę. Podał się.

KSIĘGA SIÓDMA

WIELKA REJA

I

Wyciąg z protokołów kancelarii Sądu Królewskiego Admiralicji Francuskiej, sekcji specjalnej, przydzielonej na wyspie Tortue.

Wyciąg z aktów śledztwa, zaprzysiężonego przez głównych oficerów i przywódców, wziętych na lekkiej fregacie pirackiej, zwanej „Piękna Łasica”, z Saint-Malo, uzbrojonej dwudziestoma działami, która to fregata została opanowana przez okręt Króla, „Astrée”, z eskadry pana markiza de Plessis Corlay, dowódcy eskadry. – Które to śledztwo zostało dokonane przez nas, kawalera Guy de Goët-Quintin i pana de Losquet, radcę cywilnego i karnego Sądu Admiralicji Francuskiej, sekcji przydzielonej na Tortue, z rozkazu panów de Saint-Laurenta i Begona, komisarzy Króla, wysłanych w misji specjalnej.

W tym celu zebraliśmy się – w obecności wyżej wspomnianych komisarzy Króla, w obecności zastępcy radcy prawnego, mając za przysięgłego sekretarza mistrza Józefa Korcufa, kierownika kancelarii, prowadzącego protokół – w mieszkaniu pana Trebabu, naczelnika marynarki w tym porcie, gdzie został uwięziony kapitan, czyli główny przywódca wyżej wymienionego statku pirackiego, zakuty w podwójne kajdany na rękach i nogach. Następnie udaliśmy się wszyscy do ciemnicy rzeczonyego pirackiego kapitana, człowieka wysokiej postaci, noszącego blond brodę i perukę, poddaliśmy go badaniu, jak poniżej; po podniesieniu ręki i złożeniu przysięgi, że będzie mówił prawdę, tego dnia trzydziestego listopada roku tysiąc sześćset osiemdziesiątego i czwartego zeznał:

Zapytany w przepisowej formie, jakie jest jego nazwisko? etc., etc.

Odpowiedział, że nazywa się Tomasz Trubleł, stanu szlacheckiego, świętej religii katolickiej, lat około trzydziestu czterech, kapitan okrętu floty Jego Królewskiej Mości Króla Francji, pochodzi z Saint-Malo, przebywał na pokładzie własnej fregaty, zwanej „Piękna Łasica”.

Zapytany etc.

Odpowiedział, że Jego Królewska Mość Król Ludwik Wielki raczył mu wręczyć akt szlachectwa w pałacu Królewskim w Saint-Germain-en-Laye, roku tysiąc sześćset siedemdziesiątego i ósmego, według którego to aktu rzeczony pan de l’Agnelet miał za herb tarczę w otoku purpurowym z trzema okrętami ładownymi złotem, idącymi z wiatrem na lazurowym morzu, tudzież w górnym polu z barankiem złotym, mającym po boku dwa kwiaty lilii; że Jego Królewska Mość raczył mu podobnie nadać stopień kapitana okrętu.

Zapytany, jak człowiek stanu szlacheckiego mógł się dopuścić czynów, które są mu zarzucane, czynów hańbiących zarówno przez najstraszniejsze okrucieństwo, jak i przez nieposłuszeństwo Królowi, naszemu władcy, a przeto stać się winnym zdrady?

Wypiera się tego i protestuje, jakoby miał być zdrajcą. Oświadcza, iż jakkolwiek wierny sługa Króla, jest Rycerzem Fortuny, czyli, rzekomo, wolnym od wszelkiego posłuszeństwa.

Zapytany etc.

Odpowiedział, że dwudziestego pierwszego listopada obecnego miesiąca – według stylu francuskiego – około godziny piątej po południu został zaatakowany przed wejściem do portu Tortue przez okręt Króla Francji w sile jednej bardzo małej, lekkiej fregaty albo korwety, który to okręt, bez żadnego wyjaśnienia, wezwał go, aby się poddał, następnie wywiesił i umocował barwy królewskie. Na co on, Tomasz l'Agnelet, jakkolwiek bez porównania silniejszy od wymienionego okrętu Króla, odrzucił wszystkie prośby swych towarzyszy, którzy, wielce obrażeni tak nieuprzejmym postępowaniem, chcieli stawić opór i walczyć, i sam usłuchał wezwania, ściągając swe barwy, jak mu to było nakazane, wobec barw królewskich – a to jedynie przez uległość i rewerencję dla Jego Królewskiej Mości.

Zapytany etc.

Odpowiedział, że zawsze i we wszystkich innych podobnych okolicznościach okazywał całkowite poddanie i najgłębszy szacunek dla Króla Francji, którego gorąco kocha żywą miłością.

Zapytany, jakiego rodzaju dowód mógłby dać tego rzekomego poddania, podczas kiedy każdemu jest doskonale wiadome, że, przeciwnie, oskarżony i jego zbrodniczy towarzysze wraz z nim uprawiali pirackie rzemiosło, dokonywali wypraw i myszkowali po morzach tak samo po wydaniu edyktów Króla, jak i przedtem?

Odpowiedział, że ostatni fakt dopiero co wymieniony mówi dość wyraźnie i jasno – on, Tomasz l'Agnelet, poddał się bez wystrzału takiemu nędznemu stateczkowi, jak rzekomy okręt, zwany „Astrée”, gdy tylko tenże stateczek wywiesił flagę Króla.

Zapytany, etc.

Odpowiedział, że jego okręt został przyprowadzony do portu przez kapitana wymienionego okrętu „Astrée”, na którego pokład został wzięty jako jeniec dwudziestego pierwszego tego miesiąca.

Zapytany, etc.

Odpowiedział, że skoro tylko ściągnął flagę, wydał rozkaz wszystkim swoim ludziom, aby złożyli broń i nie buntowali się przeciw Królowi ani przeciw rozkazom Króla, choćby niesprawiedliwym. Co zresztą potwierdza raport kapitana okrętu „Astrée”, dołączony do akt. Że skutkiem tego on, Tomasz l'Agnelet, nie czuje się odpowiedzialny za strzelaninę z muszkietów i pistoletów, powstałą nie wie z czyjego rozkazu, bez wątpienia na skutek rozgoryczenia, które jest wytłumaczone wielką wyżej wspomnianą niesprawiedliwością. W każdym bądź razie on, Tomasz l'Agnelet, zdobywszy w swoim życiu około czterdziestu albo pięćdziesięciu okrętów w abordażu, protestuje i oświadcza, że należy uznać, iż poddanie się „Pięknej Łasicy” okrętowi „Astrée” nastąpiło bez żadnego oporu, zważywszy, że gdyby opór taki miał miejsce, „Astrée” znajdowałaby się na dnie morza lub byłaby niezdolna do pływania, a „Piękna Łasica” wolna i na pełnym morzu.

Zapytany, kto może być tym buntownikiem, który nakazał dać ognia i w ten sposób stał się winnym śmierci trzynastu dobrych sług Króla?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i. Przeprowadzony następnie do izby, przeznaczonej do tortur, w y t r w a ł w s w e j o d m o w i e.

Zapytany, kim jest pewna kobieta, nazywająca się Juana, którą wzięto do niewoli na pokładzie „Pięknej Łasicy” po tym, jak stawiała ludziom Króla najzawziętszy i najbardziej zbrodniczy opór, tudzież zabiła albo zraniła ciężko wystrzałami z pistoletu i ciosami puginału trzech pierwszych, którzy chcieli ją ująć?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i. Przeprowadzony, etc., i torturowany trzykrotnie, w y t r w a ł w s w e j o d m o w i e.

Zapytany, czy ta kobieta, jak to sama utrzymywała i chełpiła się, należała istotnie do pirackiej załogi „Pięknej Łasicy” i służyła oskarżonemu w charakterze pierwszego porucznika albo drugiego kapitana?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i. Przeprowadzony i torturowany, etc. W y t r w a ł j a k p o w y ż e j.

Zapytany, etc.

Odpowiedział, że w ciągu swego życia zdobył tak wielką liczbę okrętów, że nie jest w stanie przypomnieć sobie wszystkich. Dokonując tych wszystkich zdobyczy w jedyny jak to mógł czynić sposób, miał głębokie przekonanie, że służy dobrze Królowi i okazuje swą wdzięczność za łaski i zaszczyty, jakimi był obsypany w Saint-Germain-en-Laye i gdzie indziej przez rzeczonego Króla, którego najuniżej uznaje za swego Pana i Władcę. Że wyżej wspomniane zdobycze zostały dokonane na mocy stosownych przywilejów korsarskich, które były wydane oskarżonemu bądź w imieniu Króla Francji, bądź w imieniu innych mądrze rządzących monarchów. Wprawdzie wspomniane przywileje korsarskie są dzisiaj przedawnione, lecz oskarżony nie mógł się zaopatrzyć w inne. Nie ma w tym bynajmniej jego winy, zważywszy, iż nigdy by nie zaniedbał prosić o nowe przywileje, gdyby go z góry nie powiadomiono, że gubernatorzy już ich nie wydają i że wszyscy flibustierzy odtąd obywają się bez nich.

Zapytany, jakie były ostatnie z jego tak licznych zdobyczy, mianowicie: te, które stały się udziałem oskarżonego podczas jego ostatnich wypraw?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i, twierdząc, że sobie już nie przypomina. Przeprowadzony i torturowany, etc., o d m ó w i ł t a k s a m o i w y t r w a ł w s w e j o d m o w i e.

Zapytany, czy wiele okrętów hiszpańskich, holenderskich, nissyngeńskich, duńskich, portugalskich, niedawno zaginionych, w istocie nie padło ofiarą oskarżonego, który jakoby zatopił ich kadłuby, a ludzi powystrzeliwał lub potopił?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i na powyższe pytanie, twierdząc, że nie potrafi powiedzieć naprawdę ani tak, ani nie, a nie chce kłamać. Przeprowadzony i torturowany, etc., w y t r w a ł j a k p o w y ż e j.

Zapytany, przez jakie to dzikie i pogańskie okrucieństwo wrócił z ostatniej wyprawy z czterdziestoma ciałami nieprzyjaciół, albo ludzi uważanych za takich, powieszonymi na rejach jego okrętu jak straszne owoce pośród gałęzi sadu?

O d m ó w i ł o d p o w i e d z i. Przeprowadzony i torturowany, etc., w y t r w a ł j a k p o w y ż e j.

Zapytany, czy wie, że dokonując wypraw bez przywileju korsarskiego, rabując i mordując podczas pokoju, postępował jak grabieżca i dziki pirat?

Odpowiedział (obrażony i z gniewem), że teraz jak zawsze jest korsarzem i Rycerzem Fortuny, ale nie piratem, dlatego że pirat to znaczy rabuś i łotr, podczas gdy on, Tomasz l’Agnelet, i również wszyscy jego towarzysze, a zwłaszcza kobieta Juana, o którą niedawno pytano, nigdy nie omieszkali być ludźmi uczciwymi z pomocą Bożą.

Oto wszystkie pytania i odpowiedzi rzeczowego kapitana, czyli przywódcy pirackiego – które zostały mu odczytane przez naszego wyżej wymienionego sekretarza przysięgłego – uznane przez niego za zgodne z prawdą, w czym nic nie dodał ani nie ujął i na co się zgodził.

Podpisano:

Tomasz l'Agnelet, Goët-Quintin, de Losquet, Saint-Laurent, Begon, Harvut, J.Korcuf.

ANEKS

Raport Ludwika Konstantego de Malestroit, kapitana okrętu czwartej klasy, komendanta okrętu Jego Królewskiej Mości zwanego „Astrée” do pana markiza de Plessis-Corlay, dowódcy eskadry, głównodowodzącego.

Panie Admirale!

Stosownie do pańskich rozkazów mam zaszczyt przedłożyć panu niniejszy raport w sprawie dokonanego przeze mnie w imieniu Króla opanowania statku pirackiego zwanego „Piękna Łasica”, lekkiej fregaty o dwudziestu działach, prowadzonej przez pana Tomasza l'Agneleta i płynącej pod czarną flagą z trupimi czaszkami oraz pod sztandarem czerwonym, wyszywanym złotem.

Dwudziestego pierwszego listopada niniejszego roku otrzymawszy pański rozkaz, dany sygnałem, natychmiast wypłynąłem z portu w zamiarze przystąpienia do tej akcji. Wezwałem załogę, iżby była gotowa do boju i tak manewrowałem, by mieć nieprzyjaciela po zawietrznej w celu szybszego zbliżenia się do niego. Udało mi się to zrobić, zanim nieprzyjaciel przeniknął mój zamiar. Wydało mi się jednak, że wówczas wydał on jakieś zarządzenia w celu obrony, ale bezładnie i bez bicia w bęben oraz bez użycia gwizdka.

Znalazłszy się niebawem na odległość strzału z pistoletu, wywiesiłem moją białą flagę, potem podszedłem bliżej i postawiłem żagiel bukszprytowy w celu dokonania abordażu. Czyniąc to, wołałem do pirata, aby się poddał, wątpiąc zresztą, czy usłucha, albowiem jego kanonierzy, ludzie wielce zaprawieni w rzemiośle wojennym, już naładowali działa. Myliłem się przecież, bo oto na mój rozkaz kapitan Tomasz l'Agnelet – którego w tejże chwili ujrzałem i poznałem stojącego na kasztelu rufowym – własną ręką pociągnął linkę swego czerwonego sztandaru i ściągnął rzeczony sztandar. Bez wątplenia uważał on, i wielce rozsądnie, walkę za przegraną z góry, albowiem tego rodzaju załoga, złożona z rozbójników, męźnych jak Cezar, kiedy chodzi o atakowanie nieszczęsnych bezbronnych kupców, snadnie podaje tył w obliczu ludzi rzemiosła wojennego i walczy wówczas słabo, jedynie dla osłonięcia odwrotu, choćby była trzy razy liczniejsza. Co do mnie, pomimo to pozorne poddanie się, nakazałem, przez nadmiar ostrożności, szepić się z tamtym statkiem i wezwałem moje oddziały abordażowe, podejrzewając jakiś podstęp. Nie omyliłem się.

W istocie, kiedy w chwilę potem przechodziłem ze szpadą w ręce na piracki okręt, aby go zgodnie z pańskimi rozkazami obsadzić moimi ludźmi, piętnastu albo dwudziestu szaleńców rzuciło się przeciw mnie. Nastąpiła dość gorąca utarczka, w trakcie której – z żalem muszę o tym panu donieść – ponieśliśmy dotkliwe straty, wyrażające się w jedenastu zabitych i dwudziestu jeden rannych. Prawda zmusza mnie również do oświadczenia, że straty te byłyby jeszcze znaczniejsze, a nawet groźne, gdyby wspomniany wyżej kapitan Tomasz l'Agnelet nie przyszedł nam w sukurs, wpadając w sam środek rebeliantów, nakazując im złożyć broń i usłuchać wysłanników Króla, co w końcu uczynili.

I wówczas to zaszedł szczególnie wypadek, którego relacja wyjaśni panu, być może, zbytnią rozwlekłość niniejszego raportu.

Przytoczony powyżej wypad przebiegał zbyt planowo, aby go można było przypisać jedynie ślepej wściekłości bandytów, wziętych w pułapkę i buntujących się przeciw swemu losowi. Tych piętnastu czy dwudziestu szaleńców, którzy rzucili się przeciw mnie i moim ludziom, znajdowało się pod rozkazami jakiegoś niewidocznego z początku przywódcy. Ale po tym, jak ostatni rebeliant się poddał, rzeczony przywódca ukazał się, wychodząc nagle z pokładu kasztelu rufowego i krocząc wprost na nas z pistoletem w każdej ręce. Wystawił pan sobie moje zdziwienie, kiedy panu powiem, że tym przywódcą była jakaś młoda i piękna dama, wspaniale ubrana, i którą, wszędzie zresztą, wziąłbym z pewnością za osobę z towarzystwa. Niepewny, kim na fregacie mogła być ta istota, uczyniłem dwa kroki naprzeciw niej i chciałem ją prosić o wyjaśnienie. Nie miałem jednak na to czasu, albowiem ta osobliwa heroina, nic nie mówiąc, zanim otworzyłem usta, pierwszym wystrzałem z pistoletu strzaskała mi kolano, potem oddała drugi do jednego z moich chorążych, pana Doulevanta, kładąc go trupem. Ludzie moi rzucili się niezwłocznie na tego kobiecego demona, z taką groźną zęczością władającego bronią, i opanowali go niebawem, co jednak kosztowało życie jeszcze jednego marynarza, ugodzonego śmiertelnie puginałem, którego nie zdołano wyrwać na czas z tak niebezpiecznej ręki.

Skoro sprawa wreszcie była zakończona i rzeczona dama skrepowana jak należało (pan Tomasz l'Agnelet okazywał jej najtkliwsze zainteresowanie i prosił, aby chociaż nie wiązać zbyt mocno, na co się nie zgodziłem), mogłem, jakkolwiek cierpiąc dość boleśnie z powodu rany, nakazać konieczne manewry i wpłynąć znowu do portu, z obsadzoną zdobyczą – dawszy uprzednio zwykły sygnał: rozkaz Admirala wykonany.

Podpisano:

Ludwik Konstanty de Malestroit

Wyciąg z aktów wyroku, zapadłego przeciw piratom, wziętym na lekkiej fregacie zwanej „Piękna Łasica”, zdobytej przez okręt Króla, którzy to piraci byli oskarżeni – a ich winę udowodniono – o to, że napadali zbrojnie liczne statki kupieckie, uśmiercali załogi, zagarniali ładunki, etc., etc., wbrew wszelkiemu prawu i wbrew posłuszeństwu należnemu edyktom Króla, naszego pana, jego władzy królewskiej i jego dostojeństwu.

A zatem – w tym, co dotyczy pana Tomasza Trubleta, zwanego l'Agneletem, pirata i grabieżcy:

W imieniu Jego Królewskiej Mości Arcychrześcijańskiej, Ludwika, Króla Francji i Nawarry, wyrok powzięty przeciw rzeczonemu Tomaszowi Trubletovi, zwanemu l'Agneletem, za jego zbrodnie, i który przeto Sąd ogłasza, jest:

Że pan, Tomasz Trubleć, zwany l'Agneletem, wróci stąd do swego więzienia i że stamtąd będzie zaprowadzony na miejsce egzekucji, gdzie zostanie pan powieszony, dopóki nie nastąpi śmierć.

Oby Bóg nieskończenie miłosierny zlitował się nad pańską duszą.

W tym, co dotyczy kobiety Juany, piratki i morderczyni: W imieniu Jego Królewskiej Mości Arcychrześcijańskiej, Ludwika, Króla Francji i Nawarry, wyrok powzięty przeciw rzeczonej Juanie, za jej zbrodnie, i który przeto Sąd ogłasza, jest:

Że pani, Juano, wróci stąd do swego więzienia i że stamtąd będzie pani zaprowadzona na miejsce egzekucji, gdzie zostanie pani powieszona, dopóki nie nastąpi śmierć...

Adnotacja na marginesie.

Skazana, wyżej wymieniona Juana, zażądała obecności akuszerki w celu, aby stwierdzono jej stan odmienny, do czego wyznaczona została przez nas pani Maria Joanna Becat, akuszerka przysięgła; rzeczona akuszerka w następstwie tego sprawdziła i zaświadczyła pod przysięgą, że skazana istotnie jest brzemienna od blisko dwóch miesięcy. – Sąd przeto zarządza o d r o c z e n i e egzekucji wyroku.

Która to egzekucja zgodnie z prawem będzie wykonana po połogu, wykarmieniu i odstawieniu od piersi dziecięcia – z wyjątkiem późniejszej łaski Jego Królewskiej Mości²¹.

(Sześć ostatnich słów – bez wątpienia dodanych już po ukończeniu protokołu – wydawało się być napisanych innym atramentem i inną ręką).

II

Wyszedłszy z domu pana Trebabu, Tomasz, jakkolwiek zakuty w kajdany i oślepiiony pierwszym silnym blaskiem słońca, szedł mimo to mocnym i dumnym krokiem. Kapelan, który, jak zwyczaj nakazuje, podawał mu ramię – był to osobisty kapelan gubernatora Cussi – nie potrzebował wcale go podtrzymywać ani pomagać iść temu skazańcowi, tak wspaniale gardzącemu zarówno śmiercią jak i życiem. Wszelka hołota, tłumnie zgromadzona i gotująca się towarzyszyć hałaśliwymi okrzykami ponuremu orszakowi, tudzież drzwi okrutnie z człowieka, dla którego niedawno miała wielki i pełen lęku szacunek, hołota dzika i tchórzliwa, stała osłupiała i milcząca na widok tak zaiste wyniośle, niemal z triumfem znoszonego nie-szczęścia.

Tak więc Tomasz Trublet, pan de l'Agnelet, rycerz pasowany przez króla i Rycerz Fortuny, kroczył ku szubienicy. A ci, którzy go ujrzeli w tej ostatniej godzinie, przypominali sobie, że gdy widzieli go niedawno – jak po zwycięskiej wyprawie wychodził na ląd, ażeby na progu pierwszej knajpy zarzucić kotwicę uciechy – był bardziej niż kiedykolwiek spokojny i pewny siebie.

Stu dwudziestu łuczników tworzyło szpaler. Czterdziestu innych otaczało skazanego. Dwunastu pachołków ze szpadami i muszkietami stanowiło eskortę komisarza króla, którzy szli na czele. Ośmiu strażników więziennych, uzbrojonych w pistolety i kordelasy, otaczało kata, kroczącego na końcu orszaku. Wreszcie czterech podoficerów, każdy z szpadą w garści, szło obok chorążego, który podnosił w górę jak tylko mógł najwyżej proporzec egzekucji. Wszystko razem składało się na prawdziwą armię. Tak bowiem zarządził pan Goët-Quintin, radca cywilny i karny, w obawie przed jakimś buntem lub spiskiem, który by przyjaciele skazanego mogli uknuć, aby go wyrwać z rąk sprawiedliwości. Jeśli chodziło o osobę Tomasza l'Agneleta, dwustu uzbrojonych żołnierzy do obstawy, to nie było wcale za dużo.

Poza tym dwudziestu mnichów, bosych, ze sznurami na szyi, z gromnicami w rękach i ponurą zasłoną pokutników na twarzy, odmawiało psalmy i modlitwy za konających. Tak również zarządził radca Goët-Quintin w tym celu, aby lud czuł wielką zgrozę i przerażenie oraz aby tak uroczysta egzekucja posłużyła odstrasżającym przykładem, który by każde rozbójnicze serce napęlił zbawiennym i słusznym lękiem wobec króla i sprawiedliwości. Za tę cenę mógł być wreszcie w całych Indiach Zachodnich zaprowadzony pokój, z którego Jego Królewska Mość w swej monarszej szczodroblewości chciał uczynić światu dar.

A tymczasem ofiara, można by powiedzieć ofiara błagalna, Tomasz Trublet, pan de l'Agnelet kroczył ku szubienicy. Kapelan, podając mu ramię, wysiłał się, aby prowadzić z nim pełną namaszczenia rozmowę i przygotowywać go na śmierć chrześcijańską, przez którą Bóg wszechmocny najgorliwszego grzesznika, oczyszczonego z jego zdrodni, może uwolnić od mąk czyścowniczych i wziąć z drabiny szubienicznej prosto do raju.

²¹ Nie było prawie przykładu, aby król nie darował życia skazanym na śmierć, które otrzymały z początku odroczenie z powodu ciąży. Tak więc w trzydzieści siedem lat później (1721) dwie kobiety-piratki, Mary Read i Anna Bonny, wzięte do niewoli przez angielskiego kapitana Barneta, skazane na śmierć, otrzymały podobne odroczenie, i ostatecznie ani jedna, ani druga nie były uśmiercone (przyp. aut.).

Tomasz, uprzejmie okazujący skruchę, słuchał duszpasterza, co jednak nie przeszkadzało mu rzucać dokoła żywych spojrzeń człowieka, który widzi wszystko po raz ostatni. Otóż, w tej samej chwili, kiedy spowiednik prawił mu szeroko o najwyższych rozkoszach, jakie w niebie oczekują wybranych, Tomasz, wciąż spoglądając na prawo i lewo, spostrzegł, iż właśnie przechodzi koło oberży „Pod tańczącym zółwem”, gdzie ongiś zażywał rozkoszy całym ziemskich, zasługujących jednak na jaki taki żal. Oberżysta, pocziwy człeczyna, widząc swego dawnego gościa i kompana w smutnym stroju skazańca, wyniósł puchar doskonałego wina i chciał go, zamiast słów pociechy, podać Tomaszowi. Ale łucznicy, przez złośliwość czy też zbytnią surowość, sprzeciwili się temu, co spragnionego Tomasza bardzo rozgniewało.

– Synu mój – odezwał się łagodnie kapelan – ofiaruj to Bogu, a będzie ci policzone na Sądzie!

Przycisnął ramię Tomasza, który czując ten uścisk niemal tkliwy, zrobił wysiłek, aby zduścić gniew.

– Niechże tak będzie, skoro tego chcecie, mój ojcze! – odrzekł po chwili. I pomyślał: Co mi szkodzi zachować na później pragnienie – wino, które piją w raju, z pewnością nie jest gorsze od tego, które piją w „Pod tańczącym zółwem”!

Spowiednik tymczasem wygłaszał w dalszym ciągu swoje budujące słowa:

– Przebaczyłeś, synu, temu łucznikowi. Niechże Bóg okaże ci łaskę, lecz powiedz mi, czy przebaczasz tak samo wszystkim bez wyjątku twoim nieprzyjaciołom krzywdy, jakich od nich doznałeś?

– O, tak – rzekł Tomasz szczerze. – Łatwo mi to uczynić – pomyślał – jeśli moi nieprzyjaciele również mi przebaczą! Krzywdy, jakich od nich doznałem, są żdźbłem, a te, które ja im wyrządziłem – grubą belką...

Uśmiechał się teraz melancholijnie, widząc znów w myślach siostrę Wilhelminę i swoją dawną kochankę Annę Marię, dalej mieszczan z Saint-Malo, następnie Hiszpanów z Ciudad-Realu, z Veracruz i z tyłu okrętów spotkanych na morzu. A także Juane...

Pogrążony w rozmyślaniach Tomasz szedł wciąż tym samym równym, spokojnym krokiem. Podziw zaiste zdejmował, gdy się patrzyło na tego człowieka – niedawno tak dumnego i porywczego – do tego stopnia uspokojonego wobec bliskości śmierci i jakby już pogrążonego w majestatycznej powadze grobu.

Pomimo tej obojętności, jaką okazywał teraz dla wszystkich rzeczy światowych, Tomasz zdziwił się, kiedy jego eskorta, opuszczając ulice miasta, minęła składy i magazyny portowe, i wkroczyła na drogę, która okala wybrzeże. Szubienica była zazwyczaj ustawiana z dala od tej drogi, na szczycie wzgórza panującego nad okolicą. Zdumiony Tomasz zwrócił się do kapelana:

– Co, u diabła, czyż będę powieszony na gałęzi, mój ojcze?

Ale spowiednik uścisnął mu znów przyjaźnie ramię, mówiąc:

– Daj sobie spokój, mój synu! Myśl jedynie o Bogu, którego niebawem ujrzysz w chwale niebieskiej... I nie patrz wcale tam! – dodał żywo w chwili, kiedy Tomasz spojrział ku morzu, aby rozpoznać okręty, stojące na kotwicy.

Zacny kapłan chciał w ten sposób odwrócić jego wzrok od miejsca, gdzie była szubienica. Ale Tomasz zrozumiał to, dostrzegając wprost przed czołem orszaku swoją własną „Piękną Łasicę”, stojącą na czterech cumach tuż przy brzegu.

– Ha! – zawołał mimo woli i głośniejszym głosem niż chciał – a więc to na mojej własnej rei zatańczę niebawem taniec hugenotów, jak tyłu Hiszpanów zeszłego tygodnia?

– Tak jest, mój panie – odpowiedział kat, odzywając się po raz pierwszy.

Sądził, że skazaniec skierował do niego pytanie, a jako uprzejmy z natury, nie widział powodu, dla którego nie miałby mu odpowiedzieć. Tomasz zresztą podziękował mu. skinieniem głowy.

– Dalibóg! – mruknął, patrząc bez lęku na reję, do noku której pachołkowie kata zakładali już talię linową – to mi się nawet wcale podoba. Wybiorę się zatem w tę ostatnią podróż jak zwykły podróżnik: z mojego własnego domu!

Spoglądał wciąż na reję grotmasztu, mimo iż kapelan starał się go od niej odwrócić.

– Dalibóg! – powtórzył i zaśmiał się z wyniosłą wzgardą – nigdy w życiu, na żadnych uroczystościach z okazji wielkiego święta, nie udałoby mi się zająć miejsca tak zaszczytnego ani tak wysokiego...

Ale kiedy wymawiał to ostatnie słowo, zadrżał nagle, a oczy jego rozszerzyły się. W najdalszym zakątku swych wspomnień ujrzał znów wróżychę z Saint-Malo, której jedna straszna przepowiednia już się była spełniła. Zdawało mu się, że słyszy znowu starczy beczący głos, który przekuśtykał jakoś poprzez czas i przestrzeń, aby teraz w obliczu szubienicy powtórzyć mu raz jeszcze te słowa, ongi niezrozumiałe, dziś jasne i straszne:

„Skończysz bardzo wysoko, bardzo wysoko, wyżej niż na tronie...”

Od tej chwili siedł aż do końca zamyślony i z oczami opuszczonymi ku ziemi. Kilka razy z bolesną goryczą wyszeptał imię Ludwika Guénolégo...

Trap przerzucony z lądu na pokład tworzył przejście na ujętą fregatę. Tomasz zręcznie po nim przeszedł, jakkolwiek nogi jego były dość silnie skrepowane. Znajdując się znów na tym pokładzie, gdzie tyle razy stapał jako zwycięzca, odetchnął głęboko.

Wreszcie przepisowe ceremonie zmierzały ku końcowi. Zastępca radcy prawnego odczytał wyrok. Skazany został oddany w ręce kata.

Tomasz, zupełnie obojętny, dał się prowadzić. Na chwilę przed egzekucją zjawił się ktoś, przed kim wszyscy z respektem się usunęli. Tomasz, podnosząc wzrok, poznał pana de Cussi Tarin, którego szlachetne współczucie skłoniło do spędzenia ostatnich chwil ze swym niedawnym gospodarzem. Gubernator zawsze czuł wielki podziw dla Tomasza za jego niezwykle męstwo, tak niezwykle, że on, Cussi Tarin, dzielny żołnierz, doskonale umiejący ocenić odwagę, uważał je wprost za nieludzkie.

Rozsunęli się pachołkowie kata. Tomasz grzecznie powitał bladego ze wzruszenia pana de Cussi, który ujął obydwie związane ręce skazańca i uściśnął je.

– Czemuż mi pan nie wierzył, kiedy mówiłem...

Nie mógł skończyć. Z trudem panował nad sobą. Ale Tomasz, znacznie mniej przejęty niż zacy gubernator, skończył za niego.

– Kiedy mi pan mówił, że narażam głowę? Niechże tak będzie! Niech pan jednak niczego nie żałuje, widocznie nie urodziłem się po to, aby mnie utopiono! Czuję zresztą wobec pana zawsze tę samą wdzięczność, niech pan w to nie wątpi.

Zbliżył się kapłan i wyciągnął miedziany krucyfiks:

– Synu mój – zwrócił się do Tomasza – pocałuj ten krzyż i ufaj w jego miłosierdzie. Da ci on przebaczenie, jeśli przebaczasz bliźnim twoim.

– Z całego serca! – rzekł Tomasz, spoglądając na gubernatora. – Przebaczam nawet królowi, chociaż mnie tak bardzo oszukał!...

Kat uznał, że nie można przedłużać ceremonii. Chrząknął.

– Żegnajcie, panowie – rzekł Tomasz, zrozumiałwszy to chrząkanie.

Ale pan de Cussi ujął go znów za ręce.

– Boże miłosierny! – zawołał nie mogąc powstrzymać łez – oto ja boleję bardziej niż pan, który nie odczuwasz żadnego żalu ani lęku!... Kapitanie 1'Agnelet, proszę mi wyznać, może ma pan jakieś życzenie... przed śmiercią?... Jakem Cussi, oto moja prawica, że życzenie pańskie będzie spełnione!

Tomasz spojrział mu w oczy, potem powoli skinął głową:

– Tak... Pragnąłbym...

– Czegóż zatem? – spytał gubernator.

– Zobaczyć ją!...

Powiedział to tak cicho że pan de Cussi sądził, iż źle usłyszał.

– Kogóż? – spytał znowu.

– Zobaczyć ją! – powtórzył Tomasz wciąż tym samym cichym głosem i niemal pokornie. – Zobaczyć ją, Juanę, moją kochankę... matkę mojego dziecka...

Wiedział, że była brzemenna.

– Na zbawienie mojej duszy! – wykrzyknął zacny gubernator – tylko to? Zobacz pan ją, moja w tym głowa! Jej więzienie jest stąd o niecałe pięćset metrów...

Pośpieszył wydać rozkazy. Jeden z podoficerów, zabierając ze sobą dwóch łuczników, pobiegł do więzienia po Juanę.

Tymczasem kat zrzędził z powodu opóźnienia. Serce Tomasza było przepełnione prawdziwą radością na myśl, że jeszcze zobaczy tę, z którą ma być rozdzielony aż po dzień Sądu Ostatecznego. Tomasz chciał ułatwić zadanie katu, toteż – bez czczego gadania – oddał się w jego ręce i nakazał mu przystąpienie do przedwstępnych ceremonii.

– W ten sposób – rzekł do kata, śmiejąc się jak gdyby chodziło o żart w dobrym guście – będzie mnie pan mógł wyprawić na tamten świat zaraz po tym, jak uścisknę moją pięknótkę. Ale niech się pan nie obawia, że to zbyt długo potrwa. Jak tylko zaczniesz płakać, nie będę jej już chciał widzieć!

Zażądał, aby mu założono na szyję śmiertelną pętlę i aby go ustawiono obok poręczy drabiny szubienicznej. Po czym stanął i spokojnie oczekiwał przybycia Juany.

Wkrótce drgnął i mimo swego nadzwyczajnego męstwa zbladł jak śmierć. Podoficer powracał, a wraz z nim dwaj łucznicy. Lecz Juany pośród nich nie było.

– Co to ma znaczyć? – wykrzyknął Tomasz l'Agnelet, nie mogąc się powstrzymać od uczynienia kroku tak wielkiego, na jaki mu pozwoliło spętanie nóg.

Podoficer zdjął kapelusz, oblicze skazańca bowiem jaśniało w tym momencie jakimś straszliwym majestatem:

– Ta pani – wybełkotał – wcale nie chciała przyjść. Powiedziała...

Tomasz powtórzył cicho:

– Powiedziała...?

– ... „Powiedz mu pan, że nic mnie on już nie obchodzi. Jeśli walczył ongiś jak człowiek, zdechnie teraz jak pies.”

Tomasz w milczeniu cofnął się aż ku drabinie. Kat, stojący o sześć kroków za nim, skinieniem dłoni przywołał pachołków. Powolnymi ruchami rąk podciągnęli sznur talii.

Tomasz trzy razy przełknął ślinę.

– Czy nie powiedziała – wyszeptał, ciężko dysząc – czy nie powiedziała nic więcej?

– W istocie – odparł podoficer, obracając w palcach trójrożny kapelusz. – W istocie... dodała jeszcze...

– Co dodała?!

– ...że pan nie jest ojcem jej dziecka...

Tomasz l'Agnelet, bez żadnej skargi, pochylił się nagle i zgiął wpół, jak to niekiedy czynią ludzie śmiertelnie ranni. Ale w chwilę potem wyprostował się znowu nagłym wstrząsem, odbił się od poręczy drabiny szubienicznej, zawrócił, wbiegł na trzy stopnie i skoczył w przód. Powróz talii, już naciągnięty i wyprężony, zacisnął się szybko wokół jego szyi.

Morze Śródziemne, w latach 1328-1330 hedzry